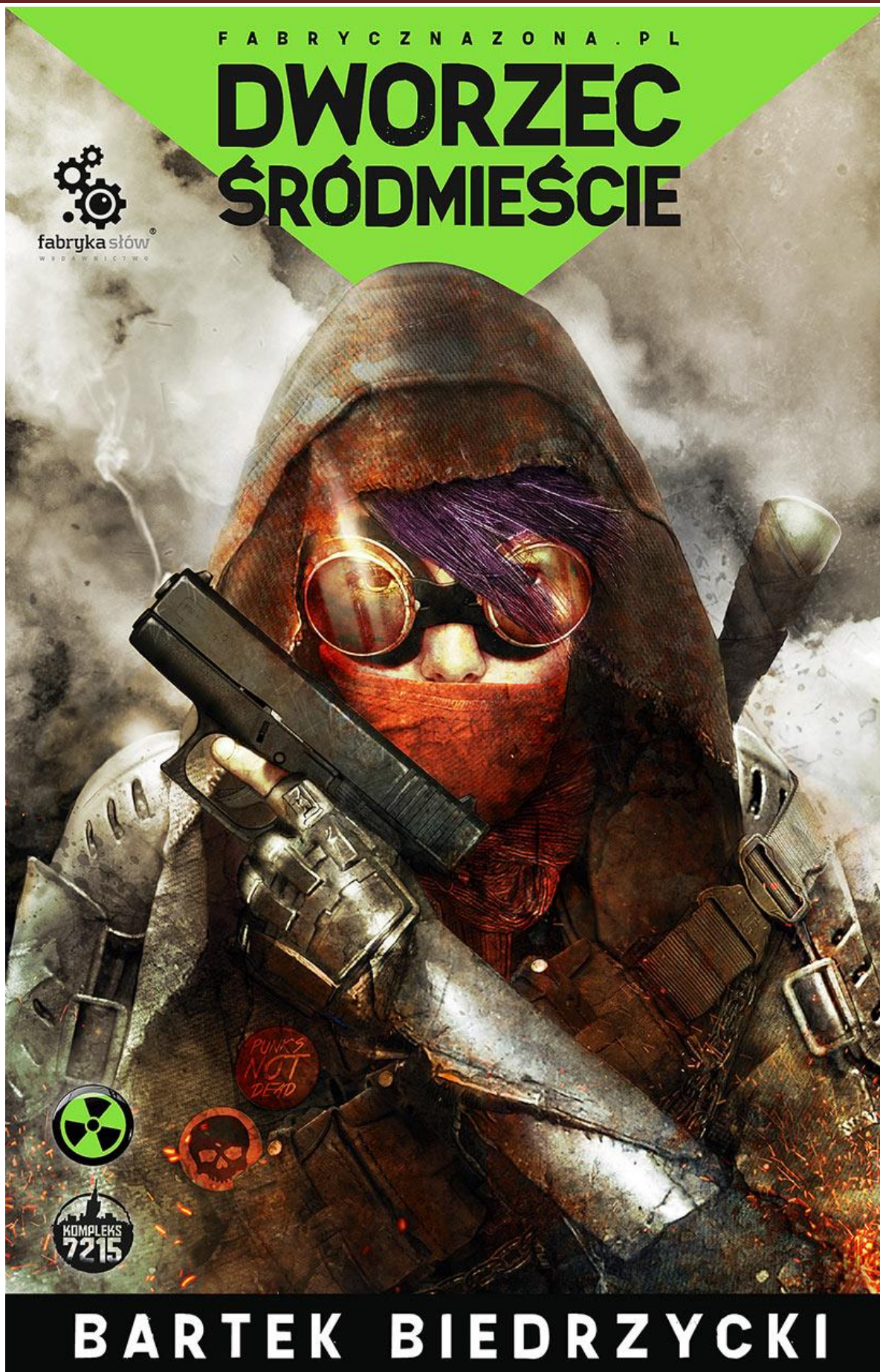


FABRYCZNA ZONA . P L

# DWORZEC ŚRÓDMIEŚCIE



**BARTEK BIEDRZYCKI**

**BARTEK BIEDRZYCKI**

# **DWORZEC ŚRÓDMIEŚCIE**

**OPOWIEŚCI Z POSTAPOKALIPTYCZNEJ AGLOMERACJI**



**ILUSTRACJE  
ROBERT ADLER**

**fabryka słów®**  
Lublin – Warszawa

## **Spis treści**

Karta tytułowa	
Seria Fabryczna Zona	
Dworzec Śródmieście Prolog	
<b>Część pierwsza.</b>	
Czyścić	
Grona gniewu	
King Bruce Lee Karate Mistrz	
Porucznik z P-1138	
Bliźnięta ze Śródmieścia	
W lesie	
Natomiast pies	
Chłopiec z Pałacu	
Wymarsz	
Dziewczyna z Kryształowego	
Krwawa jatka	
<b>Część druga.</b>	
Piekło	
Powierzchnia	
Skarpa wiślana	
Twierdza	
Święty Krzyż	
Słodowiec Plac,	
Politechnika,	
Pole Pole Mokotowskie	
Korytarz	
<b>Epilog</b>	
Śnieżyca	
Dodatek A	
Indeksy	
Od autora	
Podziękowania	
Fabryczna zona	
Fabryka Słów proponuje	
Karta redakcyjna	
Okładka	

## **Seria Fabryczna Zona:**



Michał Gołkowski – **Ołowiany świt**

Michał Gołkowski – **Drugi Brzeg**

Michał Gołkowski – **Droga donikąd**

Michał Gołkowski – **Sztywny**

Wiktor Noczkin – **Ślepa plama**

Wiktor Noczkin – **Czerep mutanta**

Wiktor Noczkin – **Łańcuch pokarmowy**

Krzysztof Haladyn – **Na skraju Strefy. Tom 1**

Krzysztof Haladyn – **Na skraju Strefy. Tom 2** (w przygotowaniu)

Sławomir Nieściur – **Wedle zasług**



Andriej Lewicki – **Łowca z Lasu**

Wiktor Noczkin – **Wektor zagrożenia**



Bartek Biedrzycki – **Kompleks 7215**

Bartek Biedrzycki – **Stacja Nowy Świat**  
Bartek Biedrzycki – **Dworzec Śródmieście**  
Dominika Węclawek – **Upadła świątynia**



Paweł Kornew – **Lodowa Cytadela**

Paweł Kornew – **Tam gdzie ciepło**

Paweł Kornew – **Sopel** (w przygotowaniu)

Jan Waletow – **Ziemia Niczyja**

## **ANTYMIR**

Andriej Lewicki – **Wstęga**

Andriej Lewicki – **Wojna** (w przygotowaniu)



# DWORZEC ŚRÓDMIEŚCIE



*1 Jam człowiek, co zaznał boleści pod różgą Jego gniewu;  
2 On mnie prowadził, iść kazał w ciemnościach, a nie w świetle,  
3 przeciwko mnie jednemu cały dzień zwracał swą rękę.*

*4 Zniszczył me ciało i skórę, połamał moje kości,  
5 osaczył mnie i nagromadził wokół jadu i goryczy;  
6 ciemność mi dał na mieszkanie, tak jak umarłym na wieki.*

*7 Opasał mnie murem, nie wyjdę, obciążył moje kajdany.  
8 Nawet gdy krzyczę i wołam, On tłumi moje błaganie;  
9 głazami zagroził mi drogi, a ścieżki moje poplątał.*

*Lm 3, 1-9*



#####

## Prolog



Pociąg szarpnął, ruszył, perony Ochoty uciekły w tył, zniknęły, a za oknami zaczęły migać drzewa rosnące przy wykopie, którym biegła trasa średnicowa. Koła stukwały miarowo, a z boków pokazał się betonowy mur oporowy, pokryty kolorowymi plamami graffiti.

– Elektryczka wieziot mienia tuda, kuda ja nie chaczium[1] – nucił siedzący pod oknem chłopiec. W zasadzie miał już wakacje. Właśnie skończył szóstą klasę i w sumie oficjalnie był już gimnazjalistą. Poważnym, konkretnym facetem.

– Co tam mamrociesz? – rzuciła z przeciwległego siedzenia dziewczynka, w zasadzie rówieśniczka. W zasadzie, bo była starsza o siedem minut, o czym nigdy, przenigdy, niezależnie od sytuacji nie zapomniała. I w zasadzie nie zdarzało jej się nie wykorzystać okazji, by wytknąć bratu, że to ona jest tym starszym z bliźniąt.

– Nic ci do tego – warknął. Sytuacja była zła. Wyjątkowo zła. Miał wakacje, egzaminy szóstoklasisty zdał może nie śpiewająco, ale z pewnością powyżej średniej krajowej i mógłby robić, co tylko chce. Jeździć na rolkach po splekanych chodnikach albo jechać rowerem z kolegami na jakiś totalny wypizdów, szukać miejsc, gdzie zawracają wrony. Ale nie, oczywiście nie, bo siostra bliźniaczka wymyśliła sobie, że pojedzie do centrum na zakupy. I oczywiście rodzice stwierdzili, że sama nie pojedzie, bo pociągi, bo daleko, bo dwunastolatka, bo dziewczyna i w ogóle. Więc on, też, na zakupy, z nią. Do centrum. Pociągiem.

To nie tak, że się nie lubili. No przynajmniej na pewnym poziomie się dogadywali. No przynajmniej do pewnego momentu. Aż jej odbiło i zaczęła nosić spódnice zamiast spodni. Nie mówiąc o tym, że rodzice właśnie pozwolili jej ufarbować włosy na wakacje i zrobić dodatkowe dziury na kolczyki, podczas gdy jemu nie pozwalali nawet na jeden. To jest to słynne równouprawnienie, myślał, wbijając wzrok w podłogę. Siostra wyglądała z tymi kolorowymi kudłami jak krety-

ka z teledysków dla debilek, czego nie omieszkał jej powiedzieć. Na wszelki wypadek trzykrotnie.

– Pewno znów te swoje ruskie piosenki śpiewasz, co? – judziła.

– Przecież ty nawet nie znasz ruskiego, głąbie.

– Bliższej rodziny nie masz? Podrzyj se łacha z kogoś innego, nie? – burknął, nie podnosząc głowy. Wjechali w cień, gdy pociąg minął ulicę Żelazną. – Kiedy dojedziemy?

– Zara.

No tak. Czego innego można było się spodziewać. Plunąłby na podłogę, gdyby nie to, że jednak w pociągu nie wypada, więc jedynie wzruszył ramionami.

– Ej, weź wyluzuj pudła. Będzie fajnie – zagaiła siostra. Nie zareagował. – Mam propozycję – kontynuowała wesołym głosem niezrażona – mam trochę więcej kasy, niż planowałam. Dziadek mi dał.

Chłopak mruknął niechętnie pod nosem. Wiadomo, wnuczka to oczko w głowie, dziewczynie zawsze łatwiej się podlizywać.

– Co tam gadasz? – Kopnęła go w goleń. Lekko, zaczepnie, bez złośliwości. Podskoczył na siedzeniu i uniósł wzrok.

– Głupia jesteś. Daj mi spokój.

– Sam głupi jesteś. Wolałbyś teraz z tymi pacanami się wozić?

– To są moi kumple. I jeszcze jakoś rok temu też ich lubiłaś.

– To są pacany, matoly, głąby, prostaki, frajerzy – zanuciła – a ty powinieneś mieć większe aspiracje.

– Ha, no i? – Wzruszył ramionami.

– Nieważne. Ej no, mam propozycję – kusila.

Wyglądała absurdalnie z tymi ufarbowanymi na fioletowo włosami. Co to będzie za obciach w ogóle łązić z taką po galerii handlowej...

– Mam tę dodatkową kasę, pójdziemy ci przebijemy ucho.

Koła pociągu stukały miarowo, za oknami panowały ciemności tunelu średnicowego. Za ażurową ścianą zamigotały światła Dworca Centralnego.

Uniósł głowę.

– Serio?

– No, kurde, serio. – Wyszczrzyła zęby, błyskając drutami nowiutkiego aparatu. – Jesteś matolkiem, ale cię lubię. No i starsza siostra powinna się opiekować swoim braciszkiem.

– Ej, weź pędź. – Dał jej prztyczka w ucho.

To był ich tajny sygnał. Na zewnątrz wyglądało to agresywnie, ale oboje wiedzieli, że jej wybaczył.

– Zastanowię się, ale nie obiecuj sobie zbyt wiele. Zresztą jak starsi zobaczą, to będzie gadanie znowu... – powiedział, wstając, bo pociąg zwalniał już z wizgiem hamulców. Dojeżdżali do Śródmieścia.

– Jak nie chcesz, to nie ma sprawy, kupię sobie buty... – Też dała mu przytyczka w ucho, żeby podtrzymać wrażenie konfliktu.

Poza jest wszystkim, ustalili to już dawno. W końcu bycie najfajniejszą parą bliźniąt nie tylko w szkole, ale i w całym Ursusie, a docelowo w całej Warszawie, to zadanie, do którego należy podchodzić bardzo poważnie i wykonywać je z należytych oddaniem. Ostatnio chyba o tym zapominali.

– Dawaj, dawaj. – Złapała go za rękę i wyciągnęła z wagonu prosto na środkową platformę. Przebiegli przez nią, potem – przez stojący na sąsiednim torze pociąg – dostali się na peron północny, a stamtąd po schodach na powierzchnię. Ukośne promienie słońca rzucały długie cienie na wybrukowany plac między budynkami. Było wyjątkowo wcześnie. Przez moment chłopak próbował sobie przypomnieć, czemu wyjechali z domu w porze, w której część sklepów nie była nawet jeszcze otwarta.

– Idziemy? – spytał.

Zerknął na piętrzący się dalej, brzydki nawet w promieniach czerwcowego słońca, masyw Dworca Centralnego, zobaczył logo sieci fastfoodowej na jednej z szyb. Przez moment myślał, że zje przynajmniej cheeseburgera, ale zaraz przypomniał sobie, że oni z rana mają tę idiotyczną ofertę śniadaniową, głupie jajko w bułce i tym podobne szajsy. Więc w sumie to nie miał do czego się śpieszyć. Ale z drugiej strony – chodzenie z siostrą po sklepach z ciuchami było czymś, co już zupełnie nie wchodziło w rachubę. Kupi sobie bajgla, siądzie gdzieś i pogapi się na dziewczyny.

– No, idziemy? – ponaglił ją, bo stała jak słup soli, idealnie pośrodku między prostokątnymi, szklano-kamiennymi pudłami wyjść ze Śródmieścia, i gapiała się idiotycznie w niebo, zupełnie jakby zobaczyła tam coś ciekawego.

– Zara... – mruknęła.

Potem uniosła rękę i pokazała na coś, gdzieś wysoko, na południu.

– Samoloty – powiedziała.

– Ha, no i? – Wzruszył ramionami. – Samoloty, kurde, ale sensacja!

– Te są inne. Wojskowe myśliwce – powiedziała głośno. To w końcu przykuło jego uwagę. Spojrzał we wskazanym kierunku. Faktycznie, z południa nadlatywała para smukłych maszyn. Nie był w stanie ich rozpoznać, ale bez wątplenia nie były to samoloty cywilne. Srebrzyste kadłuby, trójkolorowe gwiazdy na skrzydłach. Usłyszeli narastający ryk silników. Ludzie wokół, śpieszący dotąd za swoimi sprawami, zaczęli przystawać, zadzierać głowy i z niepokojem wpatrywać się w zbliżające się myśliwce.

Maszyny, zniżając lot nad budynkami, wykonały skręt w prawo i poleciały w kierunku Wisły. Bliźnięta biegiem ruszyły w stronę Jerozolimskich, patrząc w ciąg ulicy, na wschód, ku mostowi Poniatowskiego. Ciemne sylwetki samolotów rozmywały się na tle rozjaśnionego słońcem nieba. Nagle od każdej z nich coś się oderwało i poleciało w dół.

– O kurwa – wyrwało się chłopakowi. – Ty... To... Nie wiem, co to! Ale na moje to lepiej stąd spadajmy!

– Zara... – przytrzymała go za rękaw – chcę zobaczyć, co się będzie działo.

Odgarnęła z czoła fioletową grzywkę. Puściła rękaw bluzy i szybko złapała brata za rękę. Gdzieś niedaleko ktoś krzyknął, ktoś przebiegł chodnikiem. Ludzie, zatrzymani w pół kroku, w drodze do własnych celów, zagadywali między sobą, niepewni, co się rozgrywa na ich oczach. Kolejni przystawali, rozglądali się bezradnie, zerkali w niebo. Zaczęły wyc syreny.

Przebiegający obok bliźniąt żołnierz zwolnił w biegu, rozglądając się nerwowo.

– Gdzie wasza mama, dzieciaki? – zawołał do nich. Dziewczyna tylko machnęła ręką.

– W dupie – warknęła do żołnierza. – Spadamy na dworzec – powiedziała do brata. – Pod ziemią będzie chyba bezpieczniej. Tu się zaczyna jakaś frajerska wojna...

Jej oczy robiły się powoli coraz większe, chłopak nie potrafił ocenić – ze zdumienia, ze strachu czy z podniecenia.

– Wojna? – Wzruszył ramionami i, z trudem, udało mu się przybrać dziarską minę. – Ha, no i? Bo to pierwsza wojna w tym kraju? Damy radę, nie?

Przytulił siostrę mocno, potem puścił, dał jej prztyczka w ucho i chwytając za rękę, pociągnął z powrotem ku wejściu na dworzec Śródmieście. Razem zbiegli na perony, gdzie tłoczył się podniecony, zdenerwowany tłum. Syreny wyły. W pewnej chwili światła zamigotały i przygasły. Pod sklepieniem schodów rozległy się krzyki. Z tunelu dobiegł łoskot nadjeżdżającego pociągu.

– Ej, wariatko – szepnął jej do ucha w mroku, który rozcięły reflektory wjeżdżającej na stację SKM-ki – fajne masz te włosy.

– Dzięki, głąbie...

1 Ros. „Pociąg elektryczny wiezie mnie tam, dokąd nie chcę”.

Część pierwsza  
Czyściec

*I ogień widzę,  
we wnętrzu góry.*

*I ogień widzę,  
popioły drzew.*

*I ogień widzę,  
duszy pustotę.*

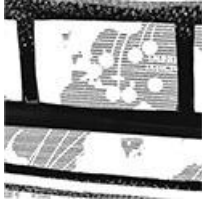
*I ogień widzę,  
bryzę i krew.*

*Byś pamiętała mnie – tego chcę.*

Ed Sheeran „I See Fire”

## Grona gniewu

Czerwiec, rok 2015



Mają rozmach, skurwysyny – przyznał kilkanaście minut wcześniej generał, patrząc na pulsującą plamę na mapie świata. To było zaraz po tym, jak zatrzasnęły się grodzie na powierzchni, zamknęły się maskujące kratownice, pokryte ziemią i porośnięte krzakami. Chwilę wcześniej specjalna baza NATO-Wschód P-1138, należąca do awaryjnej sieci operacyjnej Paktu Północnoatlantyckiego, przeszła w stan pełnego alarmu bojowego. Nadszedł moment, w którym stało się to, na co czekała jej obsada, doszło do zdarzenia, na którego ewentualność została przygotowana. Świat ogarnęła globalna wojna termonuklearna i nie pozostało już nic innego, jak tylko się modlić.

I czekać.

Na co? Tego nie wiedział nikt. Sztab tajnego kompleksu wojskowego, zlokalizowanego chytrze tuż pod ruinami niedokończonej, porzuconej, a następnie bezlitośnie rozszabrowanej zimnowojennej instalacji zwanej Atomową Kwaterą Dowodzenia, stanowili ludzie zaprawieni w służbie. Odpowiednio cwani, zblazowani, wystarczająco cyniczni, lecz niepozbawieni jeszcze hamulców ani pędu do kariery, co pozwalało im piąć się po szczeblach służbowej drabiny.

Kiedy kilka lat wcześniej nasiliły się niepokoje na Bliskim Wschodzie, a szumny amerykański projekt, nazywany dla niepoznaki „Wojną z terrorem”, okazał się żenującym niewypałem, stało się jasne, że coś musi w końcu trzasnąć. Oczywiście arogancja i buta USA nie były tu jedynymi winnymi. Nikt nie mógł podejrzewać, że nieudana operacja, w której wyniku kilka krajów zostanie wyzwolonych do gołej ziemi, a następnie zaoranych czołgami, okaże się czymś więcej niż klapą na miarę porażki w Indochinach. W przeciwieństwie jednak do Azjatów, którzy być może z racji wyznawanej filozofii, a może powodowanej historią mądrości ograniczyli się do wygnania najeźdźców ze swoich terenów i wzajemnego skakania sobie do oczu,



świat arabski ogłosił dżihad. Tym razem prawdziwy, uogólniony dżihad z Wielkim Szejtanem i resztą świata. Wyszkoleni przez CIA, GRU i wojska specjalne, wyposażeni przez Departament Obrony i Ministerstwo Wojny, zaprawieni w bojach z żołnierzami spod flag czerwonych, pasiastych i innych, bojownicy zeszli z gór, wyszli z jaskiń i postanowili udowodnić, że nie będzie nikt pluł im pod nogi.

Świat jednak zachował spokój, bo w końcu to byli tylko terroryści, a wojna toczyła się hen, gdzieś tam, daleko. Na drugim końcu świata. Kiedy jednak wybuchła afery z Krymem, kiedy rozpoczęły się walki w Donbasie, chociaż szerokie masy społeczeństwa potrafiły tylko bezmyślnie dziwić się w mediach i w internecie temu, na jak wiele i jak wymyślnych sposobów ludzie potrafią się masowo zabijać – wojskowi pojęli, że oto czas szukać nor. Kto mógł instalować się dzięki układom, szczęściu i sprytowi w jednostkach, które miały szansę ocaleć. P-1138 należała do tych, dla których szansa ta była najwyższa.

Sieć awaryjna NATO zaczęła powstawać pod koniec ubiegłej dekady, zanim niepokoje stały się publiczne. Analitycy, obserwujący narastające trendy, badający chaotyczne dane i próbujący wysnuć jakiś wątek z tej płątaniny orzekli, że obiecywana wojna Zachodu ze Wschodem to kwestia czasu. Generałowie, którzy wiedzieli lepiej niż ktokolwiek, że oznacza to gotówkę lejącą się wprost ze skarbców niczym woda chlustająca ze spłuczki, nie zasypiali gruszek w popiele. W kilka lat postawiono linie i centra mające służyć nie tyle obronie frontu, co jego przetrwaniu. W Puszczy Kampinoskiej w dwadzieścia miesięcy dokonano tego, czego władza ludowa nie dała rady dokonać przez dwadzieścia lat. Na terenach Kampinoskiego Parku Narodowego, w miejscu, gdzie czerniały okradzione i zdewastowane ruiny obiektu znanego dawniej jako Kompleks 7215, powstała potężna podziemna instalacja, która mogła zapewnić przetrwanie kilku tysiącom ludzi przez wiele, wiele lat.

Kiedy tego ranka rozpętało się piekło, stan osobowy nie był pełny. Znajdowali się akurat w trakcie rotacji, napięcia zmalowały, przysnął na chwilę konflikt na Ukrainie, talibskie bojówki jak raz trzymały kałasznikowy lufami w dół. Sztab Generalny Wojska Polskiego wykorzystał ten moment oddechu i pozwolił sobie na odrobinę rozprężenia. Generał Kulikowski, dowódca obiektu, chociaż pierwotnie pieklił się z powodu tych nagłych ruchów, teraz odczuwał ulgę. Pomyślał, że

zapasów, zgromadzonych w przepastnych magazynach bazy, wystarczy na dłużej.



Przez ostatnich kilkanaście minut oglądali ze zgrozą, jak najpierw ginie cały teren Bliskiego Wschodu, uważany przez archeologów za kolebkę ludzkości, Żyzny Półksiężyc. Z przerażeniem obser-

wowali, jak do wojny włącza się potomek rodu Kimów, który czując, że nie ma już nic do stracenia, odpalił swoje rakiety (a jednak je miał, zasrany karzeł, pomyślał mściwie Kulikowski) w kierunku Stanów Zjednoczonych. Musiał mieć silne poczucie niczego do stracenia, bo Amerykanie bez wahania zmiotli z powierzchni ziemi nie tylko Una, ale i cały półwysep, zasypując go ilością głowic wystarczającą dla dużo większego obszaru. Działania te nie uszły, oczywiście, uwadze Chińskiej Republiki Ludowej, Rosji ani kilku innych krajów i w następnej kolejności czerwone ikony wybuchów zaczęły masowo rozkwitać na całym świecie, także w Europie. W ciągu paru upiornych chwil walące się na świat bomby zasypały Francję, Niemcy, Wielką Brytanię i zaczęły trafiać w Polskę.

Te dane mieli jednak już wyłącznie z własnego rozpoznania, bo łącząca natowską sieć bunkrów awaryjnych siatka satelitarna przestała spełniać swoje funkcje. Kosztujące miliony dolarów elektroniczne cuda orbitujące ponad planetą zamilkły, kiedy impulsy elektromagnetyczne kolejnych wybuchów zagłuszyły wszelką łączność i zniszczyły delikatne układy kosmicznych przekaźników. Sztabowcy jak oniemiaли wpatrywali się teraz w mapę Polski, z której znikwały kolejne ikony w miarę, jak tracili łączność. Na środku, na północny zachód od Warszawy, migąła zielona – ich kompleks wojskowy.

– Kurewsko się cieszę, że jestem tutaj z wami, panowie – wyznał niechętnie generał. Za jego plecami trzasnęły drzwi do sali operacyjnej. To wrócił sierżant Dworak, zmuszony chwilę wcześniej do pozbawienia przytomności i wyniesienia jednego z oficerów, który wpadł w histerię. Młodego, ale bardzo zasłużonego dla bazy porucznika, inżyniera, Wiktora Dobrowolskiego, najmłodszego stopniem sztabowca, odpowiedzialnego za budowę kompleksu. Najwyraźniej odbiło mu, bo kiedy Kulikowski wydał rozkaz przejścia w stan pracy autonomicznej i odcięcia bazy, Dobrowolski wpadł do sztabu, krzycząc jak opętany coś na temat żony i syna. Faktycznie, miał jakiegoś dzieciaka, małego, kilka lat chyba. Chwalił się nim parę razy. Generał wzruszył ramionami. Dzieci... Cóż, tak, przychodzą i odchodzą. Jego własne córki nie odezwały się do niego od lat, chociaż jeszcze za PRL wypruwał sobie dla nich żyły. Kogo obchodziły dzieci?

– Oczy me ujrzały chwałę przyjscia Pana – zaczął recytować sierżant Grzegorz Dworak. Generał Kulikowski w pierwszym odruchu chciał go uciszyć, ale się powstrzymał. To, czego byli przed chwilą

świadkami, to był koniec świata. Upadek cywilizacji. Zagłada ludzkości. Kres życia, jakie znali. W takich chwilach odrobina patetyczności nie zaszkodzi, pomyślał, słuchając, jak podoficer recytuje dyletancko przetłumaczony na polski „Hymn bojowy republiki”. Generał dyskretnie rozejrzał się wokół. Żołnierze, których znał od lat, stare wygi, sztabowe szczury, bezlitosne skurwysyny, wśród nich ludzie, którzy brali udział w prawdziwych wojnach i sami, własnymi rękami zabijali wrogów, wpatrywali się tępo w tablicę świetlną. Na twarzach niektórych lśniły łzy, toczące się wolno po policzkach.

Kiedy sierżant skończył recytować, Kulikowski wydał rozkaz odtworzenia stanu wiadomości wywiadowczych z archiwum. W kilkadziesiąt sekund technicy przywrócili na ekran zapisy, uzyskane z satelitów i czujników przed śmiercią sieci teleinformatycznej. Przy zielonych kropkach, zaledwie kilku w całym kraju, zapaliły się godziny ostatniego udanego nawiązania łączności. Kilka czerwonych ikon oznaczało miasta i zagłębia przemysłowe zmiecione z powierzchni ziemi ładunkami nuklearnymi. Miasto leżące na południowy wschód od nich, jeszcze kilka godzin temu stolica niespełna czterdziestomilionowego kraju, zakryte było pomarańczową ikoną oznaczającą nierozpoznany typ i ilość broni ABC.

Kulikowski chrząknął, bo głos uwiązał mu w gardle. Wziął głęboki oddech. Wiedział już, co trzeba zrobić.

– Panowie... Baczność! – krzyknął ostrym głosem. – Jeszcze Polska nie zginęła, póki my żyjemy! – zaintonował.

– Co nam obca przemoc wzięła... – kolejne głosy dołączały do chóru, kiedy wyprężeni w postawie zasadniczej oficerowie i podoficerowie, łamiącymi się od wzruszenia, ale tężejącymi głosami, z nadzieją i wiarą śpiewali kolejne wersety „Mazurka Dąbrowskiego”.

W głębi kompleksu P-1138 odezwały się głośniki radiowęzła. Żołnierze stawali na bacność i przyłączali się do nabierającej mocy pieśni, która wypełniała teraz korytarze, sale taktyczne, koszary, garaże i pomieszczenia techniczne. W ambulatorium lekarz o smutnych oczach powstał od biurka i półgłosem śpiewał również. Za jego plecami porucznik Dobrowolski uniósł głowę, odzyskując przytomność.

– Leżeć, synu! – warknął jedynie konował. – Bo ci się krwotok odnowi!

Odczekał, aż umilknie hymn państwowy, i odwrócił się do swego jedyne pacjenta.

– Powiedzcie mi, poruczniku, jak to się stało, że byle sierżant wam tak po ryju dał? – zagadnął, siadając na krześle i oglądając z zaciekawieniem nos oficera. – Zaciśnijcie zęby, synu, bo zaboli. – Bez ostrzeżenia chwycił tamtego palcami i szarpnął, coś trzasnęło i uszkodzona chrząstka wskoczyła na swoje miejsce.

– Ojapierdolę – wydusił z siebie Dobrowolski. Potem zlizął ze wstrętem krzepnącą krew z warg i plunął do stojącej na brzegu leżanki metalowej nerki. – Ja muszę wyjść, panie doktorze – wydyszał i zaczął się podnosić. Zakręciło mu się w głowie, zatoczył się.

– Nic nie musicie – z rezygnacją stwierdził major służb medycznych, pozostający na posterunku nieprzerwanie od 1994 roku. – Na razie to musicie sobie ryło zakleić. A nawet jakbyście, mój drogi, młody, głupi poruczniku, mieli jakieś ważne powody, żeby opuścić ten pieprzony betonowy grobowiec, który obecnie jest najlepszym z możliwych miejsc na świecie, to musicie te plany zrewidować.

– Ale ja muszę! – krzyknął Dobrowolski i skrzywił się z bólu, bo najwyraźniej bogata mimika nie była dobra na obrażenia nosa. – Moja żona i syn zostali w domu! Muszę ich odnaleźć!

– W domu, czyli gdzie? – zapytał doktor major, oklejając nos Dobrowolskiego przyklepcem, aby unieruchomić naruszone chrząstki. – Ależ on wam, poruczniku, za przeproszeniem, przyjebał w pysk. – Niemal z podziwem pokiwał głową nad precyzją i jakością roboty, którą wykonał sierżant.

– W Warszawie zostali, w domu! – powiedział ranny. – Muszę po nich iść!

Lekarz wstał, wzruszając ramionami. Z biurka wyciągnął paczkę papierosów, zapalił jednego, wyciągnął do porucznika. Tamten pokręcił głową.

– Nie palę, panie majorze. Dziękuję za pomoc. – Zaczął wstać.

– Siedź, kurwa, synu – wycedził przez zęby starszy stopniem, wydmuchując w kierunku Dobrowolskiego dym – bo ty chyba nadal nie rozumiesz.

Ponownie popchnął oficera na leżankę, aż tamten przysiadł.

– To, co się właśnie rozegrało, to jest, o ile się nie mylę, trzecia wojna światowa. – Lekarz strzepnął popiół niedbale na podłogę.

Porucznik skinął głową.

– Wiecie, synu, co to znaczy? – zagadnął major. Porucznik

Wiktor Dobrowolski, inżynier i specjalista wojsk lądowych, ponownie kiwnął głową. Potem potrząsnął nią, jakby odmawiając przyjęcia tego faktu do wiadomości.

– Nie. Nie. Nie, nie, nie, nie. Nie, panie majorze, to nie tak. Ja idę – powiedział, wstając. – Ja muszę. Żona, moja Gloria. Ona na mnie czeka. I Borys, mój mały synek. Panie majorze, on ma dopiero cztery lata. To nie może tak być.

Potrząsnął głową, jakby sam nie wierzył w to, co się dzieje, jakby nie chciał w ogóle zaakceptować tego, że rzeczywistość może przyjąć taki, a nie inny kształt.

– Macie rację, synu, tak, oczywiście. – Major poklepał go po ramieniu. – Macie stuprocentową rację. Poczekajcie no chwilę, poruczniku.

Odwrócił się do przeszklonej szafy, otworzył ją jednym z wielu zaczepionych na drucianym kółku kluczyków, wyciągnął jakieś opakowanie.

– Jestem przekonany, poruczniku, że stary pozwoli wam się zobaczyć. Kulikowski to wyjadacz, w różnych bywał opałach, z pewnością coś wymyśli. Ale nie możecie, synu, iść do niego w takim stanie.

Podszedł do Dobrowolskiego i podał mu kieliszek z jakimś płynem.

– Łyknijcie sobie, poruczniku, na uspokojenie. To wam dobrze zrobi, bo generał nie potrzebuje teraz dodatkowych nerwów, a wy roztrzęsieni jesteście.

Odebrał od inżyniera opróżniony kieliszek i podał mu tabletki.

– I tym poprawcie, prędziutko – ponaglił, widząc, że oczy porucznika zaczynają uciekać do góry.

Chwilę później wiotczące ciało oficera opadło bezwładnie na leżankę. Major wdusił przycisk na biurku.

– Gdzieście się, gnoje, pochowały? – warknął ostro.

Interkom zatrzeszczał, a w chwilę później do pokoju wpadło dwóch sanitariuszy.

– Wam się, przepraszam, wydaje, że jak jest wojna, to sobie możecie konia w kącie walić? – zapytał dwóch wystraszonych kaprali, obracając się ku nim na krześle.

Przez moment mierzył ich wzrokiem. Wyjął kolejnego papierosa i zapalił. Trzeba korzystać, póki można, bo zaraz się zaczyną cyrki. Wentylacja-recyrkulacja-powietrza regeneracja, złożył w myślach

ciąg wyrazów.

– Co się tak, kurwa, patrzycie, taśmy jedne!? – obdarzył ich fałową obelgą, pochodzącą jeszcze z czasów przymusowego poboru. – Panu porucznikowi się usnęło, bo zmęczon on jest od ran!

Kaprale wyprężyli się na baczność, nadal nie rozumiejąc, czego oczekuje od nich stary major.

– A gdzie ta trzecia menda jest? – zażądał ostro odpowiedzi doktor, orientując się, że na zmianie powinno być trzech sanitariuszy.

– Melduję posłusznie, panie majorze... – zaczął jeden, ale zaciął się w połowie zdania.

– Co mi tu meldujesz, matole? – krzyknął przełożony. – Macie siedzieć na dupach i czekać na rozkazy, a nie włóczyć się gdzieś po bunkrze! Zresztą srał go pies... Jak się pojawi, to ma się zameldować na zjebkę.

Major sapnął z rezygnacją. Gdziekolwiek trzeci kapral poszedł, nie uciekł przecież z terenu jednostki – sam w myślach zaśmiał się ze swojego, dość kiepskiego, miał tego świadomość, żartu.

– Wynieść na oddział! – wrzasnął na zdezorientowanych podoficerów. – W tej chwili!

Sanitariusze zrobili przepisowy w tył zwrot, ale kolejny krzyk osadził ich w miejscu.

– Dokąd? Pana porucznika wynieść, a nie się wynieść! – przez złość w głosie przełożonego przebijała teraz także wesołość. – I tylko delikatnie, kurwa wasza mać, bo wystarczy, że go ryj boli, to jeszcze łeb go będzie napierdzielać, jak się jutro biedny w końcu obudzi. Ruchy!

Sanitariusze wzięli się wreszcie w garść, chwycili nieprzytomnego Dobrowolskiego i ostrożnie przenieśli go z gabinetu na salę szpitalną. Major wstał, ruszył za nimi i patrzył, jak ściągają mu buty, bluzę mundurową i spodnie, jak układają go na wojskowym łóżku, nakrywając kocem. Było mu szkoda chłopaka. Tak zwyczajnie, po ludzku, na pewnym poziomie było mu szkoda. Major Wilczyński swoje w armii przeszedł. W jej szeregi wstąpił z głową pełną ideałów, których większość zdążył zapomnieć i porzucić, kiedy w stopniu podporucznika zaczynał wreszcie czynną służbę w zapomnianym nie tylko przez bogów, ale także przez diabła i sztab generalny garnizonie w jakiejś nadmorskiej dziurze. Lata mijały, a Wilczyński piął się po szczeblach wojskowej kariery, zmieniając jednostki, przełożonych,

awansując.

Trzy lata wcześniej trafił na generała Kulikowskiego na przyjęciu w kasynie garnizonowym w jednej ze stołecznych jednostek, na które przyjechał specjalnie ze ściany wschodniej. Poznali się dawniej, jeszcze w drugiej połowie lat dziewięćdziesiątych. Kulikowski był wtedy zaledwie kapitanem, któremu młody lekarz przypadkiem ocalił dupę, łatając dzięki swoim drobnym szwindlom dziury w stanie wyposażenia. Usiedli i zaczęli przy kieliszku wspominać dawne dzieje. Generał był już mocno podpity, kiedy tuż przed brzaskiem siedzieli w opustoszałej sali, dojadali odgrzewane flaki i dopijali ostatnią butelkę wódki.

– Mam dla ciebie propozycję – powiedział świeżo wtedy upieczony generał do równie świeżo upieczonego majora. – Mam fajną metę do zajęcia.

Następnie roztoczył przed Wilczyńskim wizję tajnej bazy NATO, wakatu na stanowisku dyrektora szpitala w jednostce i paru innych rzeczy. Major, człowiek praktyczny, pragmatyczny, a przy tym po niedawnym rozwodzie wolny i nieskrępowany żadnymi zobowiązaniami, uznał, że kiedy okazja nie tyle puka do drzwi, co wręcz wyłamuje je kopniakiem, to trzeba być idiotą, aby jej nie wykorzystać. Bez głębszego namysłu zgodził się więc na propozycję dawnego kolegi i gdy tylko ruszyła praca przy P-1138, wszedł w skład sztabu.

Patrzył więc teraz na młodego porucznika z pewnym smutkiem. Wiedział świetnie, że jego pomysł, że tak po prostu pójdzie do miasta, znajdzie żonę, synka, że w ogóle zrobi cokolwiek, był z góry skazany na porażkę. Był to pomysł godny młodego idealisty, jakim zresztą Dobrowolski chyba po prostu był. Pomysł, który w konfrontacji z rzeczywistością musiał upaść, zniknąć niczym pryskająca bańka mydlana, rozpaść się jak domek z kart na wietrze, poddać. Major Wilczyński świetnie wiedział, że nikt, a już na pewno nie dowodzący tajnym wojskowym kompleksem generał Kulikowski z tym chłopakiem rozmawiać o niczym nie ma najmniejszego zamiaru i nie będzie.

Procedury były bardzo proste i jasno określone. Wybuchła wojna. P-1138 przeszło w tryb pracy autonomicznej, w którym pozostanie przez najbliższe pół roku. Takie były plany i jeżeli nic się nie sypnęło, a w sztabie nie doszło do puczu (a doktor nie miał powodów sądzić, że coś takiego mogło się wydarzyć), to procedura została uruchomiona. Ręczne zwolnienie grodzi i wypuszczenie zwiadowców możliwe



będzie najwcześniej za sześć miesięcy. Sto osiemdziesiąt długich, mrocznych, wypełnionych psychozą dni, podczas których mężczyźni i kobiety uwięzieni w bazie, znajdującej się pod ruinami peerelowskiego Kompleksu 7215, zdążą sobie w pełni zdać sprawę z tego, co się stało.

Wtedy dopiero będzie można wysłać zwiad na południe i zobaczyć, jak wygląda stolica. W sztabie pewnie już wiedzieli, czy i co w nią walnęło, ale Wilczyński miał to z grubsza w dupie. Warszawy nie lubił nigdy, bo była miastem w jego mniemaniu brzydkim, smutnym, źle zaprojektowanym i zamieszkanym przez tak niewiarygodną mieszaninę ludzką, że przypominała mu łuszczący się emaliowany garnek z rosółem, którego ktoś nie odszumował. Było mu więc idealnie wszystko jedno, czy ktoś pokrył ją nalotem dywanowym, spalił napalmem, opylił fosgenem, czy zwyczajnie rzucił parę kiloton. Dla majora Wilczyńskiego los tego wielokrotnie najeżdżanego i pieczołowicie odbudowywanego miasta na Mazowszu nie miał żadnego znaczenia.

Wiedział też, że wbrew procedurom zupełnie tak samo myślał i zamierzał postąpić generał Kulikowski. Porzucić na pastwę losu stolicę, której miał rzekomo strzec. Pozwolić jej szeznać, zniszczyć, wypalić się do cna. Zmarnieć w swoim zarobaczonym legowisku nad śmierdzącą, brudną rzeką i stanowić tam ostatni pomnik powalonej potęgi. O tym, oczywiście, żołnierze nie wiedzieli. Mieli pół roku na zapoznanie się z tą wiadomością, przetrwanie jej i przyjęcie. Porucznik Dobrowolski także musiał się z tym liczyć.

A gdyby nawet ta jego żona, ta cała Gloria i ten ich synek, jak mu było? Borys? Gdyby nawet ocaleli? Niezależnie od tego, co tam w tę cholerną Warszawę uderzyło? Jakie to będzie miało znaczenie za pół roku? Przecież ci wszyscy ludzie nie będą mieli co ze sobą zrobić. Pozabijają się jak szczury o ostatnie ochłapy jedzenia, wymordują, szukając bezpiecznych schronień, zatłuką w walce o odzież i sprzęt. A potem, nieubłagane i nieuchronnie, niczym gangrena, nadejdzie front skażenia radioaktywnego. Bo przecież, jeżeli nawet pożałowali Polaczkom atomówki, to z pewnością nie ominęła ona ani tych durnych, pewnych siebie, rozkrzyczanych idiotów z Pentagonu, ani tych zdradliwych kłamców z Kremla, ani śliskich towarzyszy z Pekinu. To wszystko pieprznięło z pewnością w gruzy. I wiatr to gównem zaraz przywieje do nas, ten zasrany szajs, radioaktywne drobinki, które po-

zabijają wszystkich i wszystko. I wreszcie będzie święty spokój.

– Panie majorze! – Do gabinetu wpadł drugimi drzwiami trzeci sanitariusz. – Melduję, że w poczekalni jest pan chorąży... – Umilkł nagle, widząc wzrok dowódcy. Tamten spojrział spode łba i najwyraźniej czekał. – Melduję posłusznie... – kapral znów się zająknął, usidlony wściekłym spojrzeniem. Major wstał. Górował nad podoficerem o dobrą głowę, masą przerastał go jeszcze bardziej. Przez moment podoficerowi wydawało się, że szef szpitala zamachnie się potężną ręką i zdzieli go w pysk, tak się jednak nie stało.

– Gdzie byłeś, szmato jedna? Polazłeś macać pielęgniarce?

– Panie majorze, melduję posłusznie!

– Dość, kurwa. Po służbie zgłosisz się do mnie, osobiście, po karny grafik służb. A teraz, kto tam czeka w tej poczekalni? – Major usiadł na powrót przy biurku. – Mówiłeś, że jakiś chorąży?

– Tak jest, panie majorze! Melduję, że pan chorąży Dąbrowski prosi o coś na uspokojenie.

– Wprowadzić – rozkazał Wilczyński. – Zaczęło się, kurwa – mruknął sam do siebie, patrząc po półkach na regale. Na szczęście szpitalny magazyn pełen był środków uspokajających, psychotropowych, anestetycznych i wielu, wielu innych. Osobiście zadbał o ponadnormatywny stan niektórych leków.

Opróżnił popielniczkę do kosza, wyciągnął z paczki nowego papierosa. Przez moment próbował sobie przypomnieć, jaki zapas tytoniu znajduje się w magazynach kantyny obiektu P-1138. Gdyby generał Kulikowski postanowił iść twardo w zaparte i siedzieć tu do upadłego, to może się okazać w przyszłości problemem. Dąbrowski i coś na uspokojenie, zastanowił się. To się musiało ostro dziać na górze, skoro właśnie ten człowiek potrzebował ukoić nerwy. To był wyjątkowo twardy, rozsądny i przy tym odpowiednio bezmyślny żołnierz, u którego służba zwykle nie powodowała nadmiernego wzrostu ciśnienia.

Dobrze by było czymś tę bandę zająć dzisiejszego dnia, jak już zejdą ze służby. Jakiś film może puścić. „Ostatni brzeg” może. Aż zaśmiał się pod nosem z kolejnego, tym razem już całkiem bez nadziejnego żartu. Ciekawe, co na ten pomysł powiedziałby naczelny psycholog kompleksu. Pozmieniało się. Psycholog na stanie, nie to, co dawniej, pomyślał Wilczyński. Dawniej to oficer polityczny, potem oświatowy. A teraz...

A potem uświadomił sobie, że psychologa na stanie wcale nie ma i już go nie będzie, bo poprzedniego dnia wytargował u generała przepustkę i pojechał do domu, do Warszawy. Biedny frajer, tak się cieszył. Tak bardzo się cieszył, a poszedł, najwyraźniej, prosto na śmierć. Ale przynajmniej zdechł z rodziną, pomyślał lekarz, a nie jak ten biedak Dobrowolski.

– Wejść – rozkazał, kiedy rozległo się pukanie do drzwi. Chorąży Dąbrowski wszedł do gabinetu. Major obrócił się na krześle i spojrział na niego z idealnym, wyćwiczonym przez lata zblazowaniem.

## King Bruce Lee Karate Mistrz

Lipiec roku Zagłady



Nie rycz, mała, nie rycz – zanucił pod nosem sklepikarz.

– Nie jestem dla ciebie mała, głąbie. I wcale nie ryczę – odgryzła się Zara, pokazując mu język.

– Mam narzeczoną małolatę – ciągnął tamten niezrażony. – Niezły agregat, mówię wam...

– Oj, weź się przymknij, bo jak ci zara... – Pogroziła mu pięścią.

Miała już trochę dość. Trzeci czy czwarty dzień siedzieli praktycznie bez przerwy zamknięci w pawilonie handlowym na poziomie peronów. Tamtego feralnego dnia po schodach wlała się masa uciekających z powierzchni, wrzeszczących i przerażonych ludzi, pociągając bliźnięta ze sobą.

– Wali sikami – skomentowała dziewczyna.

– Ha, no i? – zapytał jej brat bliźniak, podążający pół kroku z tyłu.

Starał się zawsze dotrzymać siostrze tempa, a jeszcze lepiej być o krok z przodu, ale ta jaszczurka tak się wkręcić potrafiła, że wszędzie zawsze była pierwsza. Gadzina jedna i przeklęte niech będzie na wieki to przeklęte siedem minut.

– Jak ci tu śmierdzi, to możesz na górę wrócić. – Pokazał palcem ku sufitowi.

– Weź mnie nie wpieniaj, bo ci zara strzelę. – Nawet nie zaszczyliła go spojrzeniem. Zrobiła krok w bok i stanęła pod ścianą, usuwając się z drogi nasilającego się potoku ludzi, zbiegających na stację Śródmieście. Tłum gęstniał, na schodach zrobiło się tłoczno i nerwowo, podniesione głosy odbijały się echem pod sklepieniem przejścia. Bliźniaki przyglądały się temu poruszeniu, nie do końca pewne, co robić dalej.

W którejś chwili silne ręce chwyciły ich oboje i szarpnęły w bok. Wysoki, łysy mężczyzna pociągnął rodzeństwo w kierunku

znajdującego się pod ścianą hali stoiska z prasą. Kioskarz nie bez pewnego trudu wygarnął z tłumu dwójkę dzieciaków, wciągając je przez boczne drzwi do wnętrza sklepiku. Następnie spuścił błyskawicznie stalową roletę, odcinając ich od szaleństwa po drugiej stronie cienkich, metalowych paneli. Odgłosy dobiegające zza rolety i uderzenia o nią uświadomiły im, że w hallu dworca jest ciężko.

– Dzięki. – Dziewczynka odwróciła się do człowieka, który najwyraźniej wybawił ich z solidnych kłopotów.

– Nie ma sprawy. Sami tu jesteście? Gdzie wasi rodzice?

– W dupie – odparła. – Znaczy w domu, ale chyba w dupie, patrząc na to, co się wyprawia.

– Młoda damo, powinnaś chyba zadbać o język... – upomniał ją dorosły.

– Możemy tu posiedzieć? Pan to w ogóle kto jest? Bo nam mama zabrania gadać z jakimiś obcymi. – Uśmiechnęła się szelmowsko.

– Ja jestem King Bruce Lee Karate Mistrz – zanucił mężczyzna, wykonując pozorowane kopnięcie, którym strącił stojak z prasą.

Na pierwszej stronie tabloidu krzykliwy tytuł zajmujący całą szerokość zachęcał do lektury sensacyjnego artykułu przypominającego wydarzenia z trzydziestego dziewiątego. Niżej niewiele mniej miejsca poświęcono zdjęciu tyłka w stringach, który, jeśli wierzyć podpisowi, należał do byłej jurorki jednego z wielu żalonych telewizyjnych reality show. Resztę powierzchni zajmowały reklamy środków na zatwardzenie i nietrzymanie moczu.

– A ty, mała, jesteś boska i wyglądasz przebojowo. – Ugiął nogi w kolanach i prawie dźgnął dziewczynę obydwojma wskazującymi palcami. Wyciągnął rękę i rozczochrał jej ufarbowane włosy.

– Ej, cieciu – brat włączył się do rozmowy, lekko odpychając faceta dłonią. Młodszy czy nie, miał jednak pewne obowiązki względem tej czarownicy.

– Nie drażnij mnie, mały – zaśmiał się mężczyzna – bo jak ja dołożę, wtedy nie daj Boże, reanimacja nawet nie pomoże!

– Ha, no i?

– Zara mnie szlag trafi – oznajmiła nastolatka pod nosem, nie kierując uwagi do żadnego z towarzyszy. Była przekonana, że ten głąb, jej brat, świetnie dogada się z tym matolem kioskarzem. Mimo że dzieliło ich co najmniej dziesięć lat, to zdawali się prezentować identyczny poziom intelektualny. Dziewczyna przysiadła z boku na

jakichś kartonowych pudłach i rozejrzała się kolejny raz po wnętrzu spowitym mrokiem. Światło zgasło zaraz po tym, jak rozpełtało się to piekło, ale domorosły karateka był widać przygotowany na różne sytuacje, bo gdy spuściwszy metalową roletę, odciął całkowicie resztę światła, wpadającego z powierzchni przez skręcające schody, wyciągnął gdzieś spod długiej lady latarnię kempingową, zapalił ją i zawiesił na sterczącym z sufitu kawałku sztywnego drutu. Rzucała białe, jasne światło, tworząc ostre, kontrastowe, kanciaste cienie. Lekko drgała, szczególnie gdy ktoś uderzył w roletę. Z zewnątrz dobiegały ledwo tylko przytłumione krzyki, podniesione głosy, szloch i inne objawy paniki. Dziewczyna czuła, że coś jest nie w porządku. Dużo bardziej nie w porządku, niż to się mogło w pierwszej chwili wydawać. Minęło już kilka godzin, zegarek na komórcie pokazywał południe, a tymczasem sytuacja się nie uspokajała. Właściciel przybytku stanowczo odmówił wyjrzenia na zewnątrz czy nawet otwarcia drzwi, gotów wręcz się zabarykadować.

Parokrotnie, kiedy ktoś łomotał w blachę, wymownym gestem przykładał palec do warg i kręcił wolno głową, dając im do zrozumienia, że nie należy specjalnie afiszować się ze swoją obecnością.

– Wierzcie mi, ja tu niejednym meczem przesiedziałem, a kibice byli nie tylko tutejsi, ale i dalekobieżni przelotem, co stacje pomylili, i podmiejscy, i różni. Ci od Arki, ci od Korony, od Motoru i od Pogoni. To jest bardzo dobra, wzmacniana roleta, a ja mam duże doświadczenie w radzeniu sobie z nadliczbowym tłumem w moim hallu dworcowym – wyznał.

– A skąd tutaj zamiejscowi, na lotnisko jechali? – zapytał się chłopiec.

– O, mój drogi, w... hm... w uniesieniu sportowym to idzie się pomylić. Nie takie rzeczy widywałem, jak kibic rozochociony... – poczył kioskarz. – I ja wam mówię, moje wy, jak wam tam w ogóle? – Spojrzał na nich badawczo. – Ja jestem Marcin, Marcin Podlewski, a wy?

Wymamrotali swoje imiona pod nosem, tak, że ledwo ich usłyszał.

– Że co? Serio?! Rodziców macie chyba z poczuciem humoru... Zresztą nieważne, niech wam będzie na dzisiaj Zara i Hanoi, nawet też zabawnie. Ja wam mówię, że teraz trzeba siedzieć tu cicho i udawać, że nas nie ma – wyznał szczerze poruszony sytuacją, chociaż uśmiech

nie opuszczał jego twarzy, a pod nosem stale nucił jakieś dziwne urywki piosenek sprzed trzech dekad.

Dzieciaki początkowo protestowały, przekonane, że trzeba coś zrobić, cokolwiek, chociaż wystawić głowę i zapytać, ale ostatecznie zadowolili się zerkaniami przez wąziutką szparę z boku drzwi, przez którą widać było głównie plecy zmieniających się postaci.

– Mam tu kamerę – King Bruce Lee postukał palcem w niewielki martwy ekran – ale jak prądu nie ma, to z kamery żadnego pożytku też nie ma.

I tak, mimo że bliźniaki zżerała nieziemska wręcz ciekawość, skazane były na przysłuchiwanie się przez blachę rozgrywającym się na dworcu wydarzeniom i na obserwowanie majaczących w półmroku ludzkich tułowi. Telefony straciły zasięg, o internecie mogli sobie jedynie pomarzyć, a poza tym należało oszczędzać baterię, bo prądu nie było. Ostatecznie dziewczyna pograżyła się w lekturze, chłopak zaś z zadowoleniem odkrył, że ich przypadkowy znajomy jest podobnie jak on fanem starych filmów.

– A jak wtedy powiedział, że go brzuch boli, bo się opił wody...  
– Zara uniosła głowę, wsłuchiwała się w głos brata, łapiąc fragment ich dyskusji.

– No tak, wtedy to tak, to już było po nim. Wiadomo – odparł Bruce Lee. Wcale nie był podobny do chińskiego mistrza kung-fu. Wysoki, nawet bardzo wysoki, postawny. Pewnie przyznałaby, że całkiem przystojny, gdyby ją to w ogóle interesowało. Ale faceci to był ekscytujący temat dla tych dziewczyn z klasy, na które dwunastolatka patrzyła z lekko pogardliwym dystansem. W życiu liczyły się inne rzeczy.

A w dodatku prawdziwy Bruce Lee miał gęste, ciemne włosy, a ten to był łysy. Całkiem, całkiem łysy. Za to jej brat, tak, jej brat miał gęste ciemne kudły. Jak chiński mistrz. I jak jego idol, ten radziecki piosenkarz. Zresztą tamten też był chyba jakiś taki skośny, pomyślała.

– Głębokie... – powiedziała, patrząc na brata i czując niespotykany przypływ siostrzanych uczuć do tego durnia. Prawie jakby miała ochotę wyłamać się z pieczołowicie wypracowanego kodu zachowań, objąć go i uściskać.

– No? – tamten niechętnie oderwał się od rozmowy. – Co znów, wariatko? Chcesz się poradzić, jak kudły wywabić do naturalnego koloru?

– Weź, wyluzuj pudła – odburknęła. Magiczna chwila minęła, a pomysł o przytulaniu brata wydał jej się niegodny tak bystrej i obdarzonej taką charyzmą nastolatki. – Po prostu chciałam ci powiedzieć, że mamy chyba przesrane.

– Ha. No i? – Wzruszył ramionami swoim stałym zwyczajem. Najpierw pomyślała, że świat mógłby się zawalić, a jej dumny brat umiałby zdobyć się jedynie na wzruszenie ramion. A potem pomyślała, że możliwe, że właśnie coś takiego się przydarzyło.

Musiało minąć kilka godzin, zanim przekonała się, że miała rację. Siedzieliby zamknięci w spokojnym pawilonie dowolnie długo, gdyby nie wyгнаła ich stamtąd fizjologia. Kioskarz uchylił drzwi, wyrzwał, a następnie dyskretnie wypuścił dzieciaki i zamknął pieczołowicie drzwi za całą trójką.

– Hej, patrzcie, tam w środku ktoś siedział – rozległ się zdziwiony głos.

– Ej, panie, otwórz pan ten kram, bo my tu głodni – zagaił ktoś z dużej grupy ludzi, siedzących na posadzce.

– Właśnie! – rozległy się kolejne głosy. – Wskocz z jedzenia, facet, nie bądź gadem!

– Ja mam tam tylko gazety. – Mężczyzna ruchem ręki zgarnął bliźnięta i przesunął je sobie nieco za plecy.

– Na pewno masz jakieś batony – zagaił wąsaty i brzuchaty gość w średnim wieku, opierający się o ścianę.

– Coś ci się nie podoba, człowieku, to możesz dostać prztyczka w nos. – King Bruce Lee lekko ugiął kolana i cofnął stopę, poprawiając pozycję.

– Nie pyskuj, gnojku – wąsaty oderwał się od ściany – tylko otwieraj tę budę, bo rozjebię zaraz ciebie i to pudło.

Sklepikarz nic nie odpowiedział, jedynie lekko poruszył głową, aż trzasnęły kręgi. Ludzie jakby automatycznie rozsunęli się na boki. Wąsaty stanął na krótkich nogach, zapewniających mu stabilne ułożenie niskiego środka ciężkości. Popluł w rękę, zrobił kilka kroków do przodu i kwiknął dziwacznie, trafiony w bok głowy celnym, szybkim ciosem. Kolejne trzy uderzenia pozbawiły go ochoty do dalszej dyskusji, a szybkie kopnięcie w kolano – równowagi. Zbyt zaskoczony, by złorzeczyć swojemu przeciwnikowi, runął z hukiem na ziemię i dopiero tam pozwolił sobie na pełen niedowierzania jęk, a potem długi, niemilknący, chociaż raczej cichy potok bluzgów.



– Mam tu kamerę – King Bruce Lee wskazał na urządzenie – jak wrócę i zobaczę, że ktoś zrobił cokolwiek, co mi się nie spodoba, to porachuję kości. Nie będę się bawił, jak z tym tutaj o.

Bez słowa zgarnął bliźniaki i pociągnął je w stronę toalet. Szli w milczeniu. Dworzec Śródmieście wciąż zalegały ciemności. O ile niedaleko schodów docierało jeszcze światło słońca, to na właściwych peronach mrok był gęsty. Gdzieś tam tylko widać było światła smartfonów, lecz po tylu godzinach od katastrofy było już ich stosunkowo niewiele. Prąd został odłączony rano, zaraz po tym, jak nad Warszawą przeleciały samoloty. Ludzie zajmowali całą powierzchnię posadzki, rozmawiali półgłosem w ciemnościach, niektórzy, nie zważając na obowiązujący normalnie zakaz, palili papierosy. To nie były normalne chwile, nie normalny czas. Ostry zapach dymu unosił się w powietrzu, a czerwone, małe ogniki rozjarzały się i przygasały, jak pulsujące odległe gwiazdy, tonące w głębi czarnej, wypalonej galaktyki. Opiekun bliźniaków wodził latarką wokół, próbując przebić się między ściśniętymi ludźmi. Odwracali głowy, mrużyli oczy i złorzeczyli mu, kiedy zaświecił któremuś w twarz. Ich przejście wywołało poruszenie, ludzie łapali mężczyznę za nogawki, dopytywali, czy wie coś na temat sytuacji, zagadywali. Zbywał ich informacją, że nic nie wie, że na powierzchnię nie wychodził. Ich rozjaśnione nagłym błyskiem ciekawości i nadziei oczy gasły wtedy, niechętnie odwracali głowy.

Czasem ktoś, tak jak oni, przepychał się przez zastygły, zmartwiały tłum, wędrował gdzieś. Ten i ów, również wyposażony w latarkę, był łatwym celem do śledzenia w mroku. Wędrowali po peronach i między nimi, przez pociąg z otwartymi na przestrzał drzwiami, a jeden z nich zapuścił się w tunel, idąc, nie wiedząc czemu, w stronę Wisły i oddalając się od ludzkiego skupiska. W powietrzu wisiało napięcie, ale było to tylko echo poruszenia sprzed wielu godzin, kiedy masy ludzkie przewalały się po całym dworcu, tocząc się falami na wszystkie strony. Kiedy rozmowy brzmiały głośniejsze, pełne ekscytacji, przerażenia i zaskoczenia. Teraz mówiono szeptem, półgłosem, podniecenie zostało zastąpione przez zmęczenie, lęk osłabł, przeradzając się z wolna w rezygnację.

Łazienki były w opłakanym stanie. King zażądał, żeby dziewczyna weszła razem z nimi do męskiej, ona natomiast, trzeźwo oceniając obraz nędzy i rozpacz, jaki przed chwilą ujrzała, nie protesto-

wała specjalnie.

– Trzeba będzie chyba ogarnąć to na własną rękę – stwierdził mężczyzna, świecąc latarką dookoła. Bliźniaki nie bardzo wyczuły, co miał na myśli. Po cichu mieli nadzieję, że nie oszalał i nie mówił o sprzątanii – łazienka wyglądała katastrofalnie. Na podłodze rozlewały się kałuże wody; śmierdziało niewiarygodnie, bo spłuczki od jakiegoś czasu były suche, gdy w słabnącym wodociągu zabrakło ciśnienia; wszędzie wały się przemoczone, smętne wstęgi papieru toaletowego.

Szybko załatwili swoje sprawy i czym prędzej podali tyły. Wędrowali przez mroczne Śródmieście niczym przez podziemne pieczary, zamieszkane przez rój niezwykłych istot. Kluczyli pomiędzy ludźmi, ponownie budząc irytację, aż dotarli do dolnego hallu, gdzie znajdował się kiosk. Ludzie na ich widok rozstąpili się i nieco cofnęli. Chociaż bliźnięta wiedziały, że to nie chłopca i dziewczynki boi się tłum, lecz ich dorosłego towarzysza, oboje jednocześnie poczuli przyjemną satysfakcję z bycia po stronie silniejszych i z budzenia respektu wśród ludzi.

King Bruce Lee otworzył drzwi kluczem, obrzucił wszystkich spojrzeniem świetnie widocznym – w tej części zalegał zaledwie półmrok – i zamknął za nimi. Znaleźli się znów we wnętrzu, które zdążyli doskonale poznać. Mężczyzna zapalił wiszącą latarnię, odłożył latarkę na półkę, przysiadł.

– Nie wygląda to dobrze, co, dzieciaki? – zagadnął. Dziewczyna wzruszyła ramionami.

– Co się w ogóle dzieje? – zapytała.

Jej brat kolejny raz próbował majstrować przy małym radiu na baterie, stojącym w głębi pawilonu handlowego, ale próba spęzła na niczym, tak samo jak wszystkie poprzednie. Z radia dobiegał jedynie biały szum, przerywany czasem intensywnymi, głośnymi trzaskami.

– To wy byliście na górze, jak się zaczęła ta cała ruchawka. Powinniście wiedzieć lepiej...

– Były samoloty – wzruszył ramionami chłopak. – I ludzie uciekali. No i tyle, w sumie.

– Zara! – powiedziała dziewczynka. – Czy to znaczy, że jest wojna? Taka jak pisali w internetach? Jak mówili w telewizji?

– Nie, nie sądzę... – z ociąganiem odparł sklepikarz, widząc, że w jej oczach czai się strach. Wyglądała na zadziorną małą jędzę, z tymi swoimi ufarbowanymi na lato włosami i wyzywającym, pełnym

złości spojrzeniem, ale widział, że teraz coś się w niej łamie. To nie była już tylko przedłużająca się ponad miarę, nieprzyjemna przygoda. To były duże kłopoty i ona to wiedziała. I, w odróżnieniu od brata bliźniaka, który zdawał się nie tyle nie przejmować, co nie dostrzegać powagi sytuacji, wiedziała, że wszyscy są w poważnych tarapatach. Spojrzał na to zwieńczone fioletową szopą ludzkie stworzenie i zdobył się na odwagę. – Tak, tak naprawdę to myślę, że to jest wojna. Taka na serio wojna. – Głęboko wciągnął powietrze do płuc. – Ale nie taka z filmów i książek, tylko taka, co zniszczy cały świat.

Zobaczył, jak oczy dziewczynki rozszerzają się, kiedy docierały do niej jego słowa.

– Wolałbym, żebyście zostali tutaj, ze mną, w kiosku – powiedział powoli. – Tak będzie bezpieczniej, dopóki nie zorientujemy się, co się naprawdę dzieje.

W ciszy, przerywanej trzaskami z radia, nad którym znów paścił się jej brat bliźniak, dziewczynka skinęła głową.

– Dobra – powiedziała wtedy. – Posiedzimy tu u ciebie.

– I dwie tysiacy ljet wajna, wajna bez osobych priczin...[2] – zaśpiewał pod nosem chłopak, rezygnując z daremnych prób złapania jakiegokolwiek fali.

To było kilka dni wcześniej. Straciła rachubę, bo cykl dobowy rozregulował się doszczętnie. Oboje z bratem spali dużo, nie tyle może z fizycznego wyczerpania, co ze stresu i z nudy. W budce samozwańczego króla karate i starych polskich przebojów nie działo się zbyt wiele. Można było poczytać, pogadać, mężczyzna rozdzielał także między ich trójkę zapasy słodczy oraz rogalików z czekoladą, których istnienie ukrywał pieczołowicie przed koczującymi na zewnątrz ludźmi.

Dwukrotnie jeszcze, gdy wychodzili – zawsze wyłącznie razem – musiał staczać bójkę z przypadkowymi awanturnikami, lecz od ostatniego delikwenta, który z hukiem wylądował twarzą na twardej posadzce, nie pojawił się żaden nowy pretendent. Ludzie zresztą jakby przerzedzili się. Część ruszyła dalej, w spowite mrokiem perony, część wyszła na powierzchnię i odeszła, bo najwyraźniej bezpośrednie zagrożenie minęło. Na powierzchni podobno nie było jednak wcale wesoło. Miasto opustoszało i płonęło. Trzeciej nocy na ścianach na wprost schodów z góry widać było odbłask ognia. Ci, którzy wychodzili na górę, aby szukać jedzenia w sklepach, mówili, że niebo za-

snute jest pyłem, słońce prawie nie świeci, a dymy pożarów widać ze wszystkich stron.

Plotki mówiły także o trupach leżących na ulicach. Choć bezpośrednio w okolicy Śródmieścia ich nie było, ponoć w innych rejonach martwi ludzie leżeli pokotem, lecz nawet wygłodniałe, teraz bezpańskie psy omijały te upiorne cmentarzyska, bo to, co zabiło ludzi, nadal było groźne.

Z Dworca Centralnego wąskim korytarzem i przez tunel średnicowy przychodzili ludzie, ale nie zagrzewali miejsca długo. Ci, którzy nie wędrowali dalej na wschód w kierunku Wisły, wracali szybko do siebie. Drugiego ranka od katastrofy okazało się, że ci z Centralnej nie wpuszczają na swój teren ludzi ze Śródmieścia.

– Mamy dla was, oczywiście, szacunek, jako dla naszych mniejszych towarzyszy – twierdzili ponoć wartownicy, którzy pojawili się na granicy między dworcami. – Jesteśmy wszyscy ludźmi, ale nasze władze najpierw muszą zapanować nad sytuacją na głównym dworcu, nim będziemy mogli okazać wam naszą pomoc – brzmiały jakoby ich słowa.

– Jebane słoiki – skomentował podobno ktoś z tych, którzy z dworca podmiejskiego pragnęli przejść na dalekobieżny. Plotka mówiła, że wartownicy okazali się raczej drażliwi i nie spodobało im się zwyczajowe warszawskie określenie dla przyjezdnych. Stosunkowo szybko ludzie zorientowali się, że należy go używać raczej na własnym peronie, z dala od uszu tych z Centralnej, ale samo określenie przyjęło się nad wyraz dobrze. W końcu na podmiejskim byli ludzie z aglomeracji, a diabli wiedzą, kogo przyniosło na największy dworzec w Polsce – na pewno same jakieś obcuchy.

Trzeciego dnia pod wieczór wszystkie drzwi na zewnątrz zostały pieczołowicie zamknięte, przeszklone fragmenty zaś spróbowano osłonić dostępnymi materiałami – deskami, płytami, elementami tablic reklamowych. Mizerna to była osłona, więc cały następny dzień pieczołowicie, grupami, mieszkańcy dworca Śródmieście rwali bruk z placu między pawilonami naziemnymi stacji i w ich pobliżu, układając z nich barykady, broniące dostępu do wnętrza.

Nadal nędzne to były zabezpieczenia i wyglądały smutno, lecz sam fakt wspólnych zmagania pozwalał tym, co jeszcze z dworca nie uciekli, na poczucie pewnej wspólnoty. Wysilek odrywał ich myśli od trosk, fizyczna praca ułatwiała szybkie zasypianie. King Bruce Lee nie

pozwalał bliźniętom wychodzić na zewnątrz, ale umykali przed nim parokrotnie, żeby chociaż popatrzeć na ludzi, mozolących się na poziomie ulicy, obkładających pawilon od wewnątrz rosnącym murem chodnikowych płyt i kostek brukowych. Na noc posłusznie zostawali w sklepiku, świadomi tego, że dworzec pełen uciekinierów nie jest dobrym miejscem dla dwójki samotnych dwunastolatków. Z pewnością jednak lepszym niż ulice Warszawy – zbombardowanej, spalonej, pełnej miejsc, na które zrzucano nieznane trucizny. Faktem było, że ci, którzy wyszli na powierzchnię i zapuścili się dalej niż do pobliskich sklepów, nie wracali.

Część z nich, szczególnie w pierwszych dniach, udała się do metra, które przecież każdemu kojarzyło się jednoznacznie ze schronem, niezależnie od tego, czy stołeczne faktycznie się do pełnienia tej funkcji nadawało. Jednak już trzeciego dnia wszystkich wejść na stację Centrum bronili mężczyźni o zaciętych twarzach, z ciężkimi pałkami, metalowymi rurkami lub długimi prętami w rękach. Wśród nich byli także, uzbrojeni w pistolety, policjanci i SOM-owcy. Metro nie chciało przyjąć ludzi z dworców.

Wszystkie te wiadomości docierały do nich w formie plotek. Pod drzwiami kiosku kręcili się zawsze ludzie – tędy wiodła trasa na górę, ale też spragnieni jakiegokolwiek rozrywki przychodzili wytargować gazetę lub książkę z zapasów karateki. Przychodząc po nieaktualną prasę, przynosili czasem różne historie i opowieści.

Chyba czwartego dnia dziewczyna zaczęła mieć dość. Nie była nawet pewna, który to był dzień. Wprawdzie na powierzchni nadal istniało następstwo dnia i nocy, ale na dole nie przekładało się to już na rytm biologiczny.

– Nie rycz, mała, nie rycz – zanucił pod nosem sklepikarz, widząc jej zrezygnowaną minę i zmęczone, zamglone oczy.

– Nie jestem dla ciebie mała, głąbie. I wcale nie ryczę – odburknęła, pokazując mu język.

– Mam narzeczoną małolatę – ciągnął tamten niezrażony. – Niezły agregat, mówię wam...

– Oj, weź się przymknij, bo jak ci zara... – Pogroziła mu pięścią.  
– Nie jestem twoją narzeczoną, zboczeńcu.

– Wybacz, księżniczko – przyłożył dłoń do czoła, jakby gestem pozdrowienia czy salutu – nie chciałem cię urazić. Śpiewam jedynie pieśni z minionego świata, które sprawiają, że mi lżej na sercu.

Skinęła lekko głową na znak, że mu łaskawie wybaczyła.

– Teraz to bardziej takie – zastanowił się przez moment – pieśni dalekiej Ziemi. Świata, który chyba już nie istnieje.

Chwilę myślał nad czymś intensywnie.

– Wiesz, że ja chciałem być kosmonautą? – zapytał. Dziewczynka spojrzała na niego.

– Za wysoki jesteś, nie puściliby cię, bo standardów byś nie spełnił.

– No proszę, jaka bystra – uśmiechnął się mężczyzna. – Ciekawe, skąd to wiesz? Zresztą Hermaszewski był wyższy od jednego ze swoich kolegów – on poleciał, bo się dobrze składał w kapsule, a tamten odpadł. Inna budowa ciała, głową walił w sufit.

– I tak byś nie poleciał, bo nie mamy programu kosmicznego – odburknęła. Co za idiotyczna rozmowa, pomyślała. Przez ostatnie dni toczyli tylko takie. Rozmawiali o czymkolwiek, byle zająć czas i myśli, których nie dawało się uspokoić.

– Faktycznie, urodziłem się w złych czasach...

– A teraz to już nigdy nie będziemy mieć żadnego programu kosmicznego i tak, no nie? – zagaił Hanoi, siedzący nieco dalej i bawiący się radiem, w którym bezskutecznie próbował złapać jakąkolwiek falę.

– Przestań trzaskać tym gratem – warknęła na niego siostra. – Bo ci zara przyleję.

King Bruce Lee Karate Mistrz obrócił się, aż krzeselko zgrzytnęło.

– Nic nie złapiesz, za dużo zakłóceń w atmosferze po wybuchach bomb.

– Ha, no i? Kiedyś w końcu się to skończy, uspokoi się to całe, co tam było? – Spojrzał na siostrę. – Ty to zawsze uważałaś na lekcjach.

– Promieniowanie – mruknęła pod nosem, opierając się o ścianę.

– No tak, promieniowanie – potwierdził mężczyzna. – Ale może faktycznie to minie.

Na moment ucichli wszyscy. Za ścianką kiosku słychać było szuranie, z góry dobiegały głosy mężczyzn układających barykadę z zerwanych z dziedzińca płyt i kostki.

– Ale może to minie? – powiedział kioskarz bardziej do siebie niż do dzieci. – Może, kto wie... Jeszcze będziemy mieli korpus ko-

smonautów. Jeszcze będzie przepięknie. Jeszcze będzie normalnie.

– Ciekawe, co się stało z tymi na orbicie? – zapytała dziewczynka.

Zapadła cisza. Nikt nie znał odpowiedzi na to pytanie. Nie było ono zresztą teraz ważne. Kogo obecnie obchodziła szóstka załogi na pokładzie Międzynarodowej Stacji Kosmicznej? Tak naprawdę liczyła się odpowiedź na pytanie inne, chociaż bardzo podobne. Co się teraz stanie z nimi wszystkimi, co się stanie z Warszawą?

Gdzie jest Wojsko Polskie i kiedy nadejdzie, żeby pomóc cywilnej ludności?

2 Ros. „I od dwóch tysięcy lat wojna, wojna bez konkretnego powodu”.

## Porucznik z P-1138

Lipiec, rok 2015



– Niiieee, tato! – Borys biegał wokół niego, śmiejąc się i okładając go po nogach piankowym mieczem. – Niiieee taaaak!

Czterolatek zatoczył koło i odbiegł po trawie. W ostatniej chwili zawrócił, ostro hamując przed parką rowerzystów pędzących po ścieżce, i podbiegł znów do ojca.

– Musisz powiedzieć: „Ja jestem twoim ojcem” i wtedy ja się puszczam od tych rur i spadam! O tak! – Malec odrzucił daleko od siebie piankowy miecz, a następnie teatralnym gestem rzucił się na plecy, lądując na miękkiej, nieco tylko wydeptanej trawie. – Niieeeeee! – zawołał. – Nigdy się do ciebie nie przyłączę!

Wiktor roześmiał się głośno i usiadł na trawie, obok synka. Wyciągnął dłoń i pogłaskał chłopca po rudej, gęstej czuprynie. W sobotni poranek Pole Mokotowskie pełne było ludzi. Mieszkańcy stolicy, korzystając z pięknej, letniej pogody i wolnego dnia, wylegli do parków i na skwery. Alejkami Pola krążyli biegacze i rowerzyści, nad jeziorkiem młodzież, myśląca już tylko o wakacjach, brodziła w letniej, mętnej wodzie, dzieciarnia przekrzykiwała się na trawnikach. Za szpalerem drzew, w Alejach Niepodległości zadzwonił przejeżdżający tramwaj, a grunt przebiegło ledwo wyczuwalne drżenie, gdy głęboko pod ziemią przemknął swoim okrągłym, metalowym tunelem pociąg metra.

Wiktor przyciągnął synka do siebie i mocno uściskał.

– Muszę jechać do jednostki, maluchu – powiedział poważnie. Malec wyraźnie pomarkotniał.

– Musisz? – upewnił się, podnosząc oczy na ojca. – Ja bym nie chciał, żebyś ty musiał jechać, tatusiu.

– Niestety muszę, synku. Ale tylko na kilka dni. Na weekend znów będę w domu – zapewnił Wiktor z uśmiechem.

Malec podrapał się po głowie.

– No bo kiedyś to ty na tak długo nie chodziłeś do pracy, tylko



na noc wracałeś. – Borys usiadł po turecku obok ojca i przytulił głowę do jego koszuli.

– I znowu tak będzie, Bo. Niedługo. Już niedługo – zapewnił ojciec, głaszcząc rude włosy. Mocno przytulił malca do siebie, pragnąc, żeby to, co mówi, było prawdą. Żeby faktycznie wszystko wkrótce wróciło do normy.

– Jak będę duży, to też będę dowódcą, tak jak ty. – Chłopiec poderwał się na równe nogi i podniósł rzucony w trawę miecz. – I będę miał własny oddział i w ogóle! Będę porucznikiem jak ty. Albo generałem! – Biegał wokół ojca, wymachując orężem na wszystkie strony.

Wiktor Dobrowolski roześmiał się w głos. Wstał i podał synkowi rękę. Razem ruszyli w kierunku ulicy Batorego.

– Będziesz generałem Szturmowców? – zapytał czterolatek.

– No co ty! – zaperzył się tamten. – Będę Jedi, jak mój ojciec!

Porucznik Dobrowolski śmiał się długo i serdecznie, śmiał się jeszcze, gdy wchodzili na klatkę schodową i wciąż, kiedy otwierali drzwi do mieszkania.

Tamtego wieczora siedzieli z Glorią do późna w kuchni, rozmawiali. Żona bała się tego, co mówiono w mediach, martwiła się. On nie próbował robić dobrej miny do złej gry, ale przekonywał ją, że wszystko się jednak ułoży, że zwycięży zdrowy rozsądek.

– Mam nadzieję – powiedziała wtedy – że oni także kochają swoje dzieci. I nie zrobią nic, żeby im zagrozić.

Wtedy też miał taką nadzieję. Teraz wiedział już, że była to nadzieja głupia, a wiara, że wszystko się ułoży, była mrzonką. Porucznik Wiktor Dobrowolski, inżynier odpowiedzialny za budowę i funkcjonowanie tajnej bazy P-1138 w Puszczy Kampinoskiej, ocknął się z niespokojnego snu i leżał na twardej pryczy, gapiąc się w niski, betonowy sufit. Bolała go głowa. Bolały plecy i przedramiona. W zasadzie bolało go wszystko, w końcu dostał niezły łomot od żandarmów, gdy próbował się z nimi szarpać. Nawet nie miał im tego za złe, bo, prawdę mówiąc, chyba mu się należało. Na miejscu Kulikowskiego też by się nie cackał z człowiekiem, który naraził bezpieczeństwo wszystkich. Oczywiście to niewiele zmieniało. Musiał wrócić do Warszawy.

Kiedy rankiem, następnego dnia po ogłoszeniu alarmu bojowego, obudził się w szpitalu kompleksu z potwornym bólem głowy, dostał napadu wściekłości. Tak strasznego, że major Wilczyński uznał za

stosownie potraktować go dodatkową dawką uspokajaczy. Ponownie odzyskawszy przytomność, porucznik, nauczony przykrym doświadczeniem, zachowywał się już dużo lepiej. W ciągu kilku godzin udało mu się wybłągać widzenie u dowódcy. Ten przyjął młodego oficera w swoim gabinecie, ukrytym głęboko pod ziemią, w sercu bunkra.

– No, słucham was, poruczniku Dobrowolski. – Generał spojrzął spode łba, kiedy za przybyszem zatrzasnęły się metalowe, wzmocnione, ogniotrwałe drzwi. Drzwi hermetyczne, przypomniał sobie porucznik.

– Panie generale, proszę o zezwolenie na zejście ze służby – wyrecytował, prężąc się na baczność. Patrzył wprost na przełożonego, wyczekując jego reakcji.

– Nie udzielam – odparł krótko generał.

– Ale... Panie generale, ja muszę wracać do Warszawy! – wypalił Dobrowolski.

– Tak, wiem – warknął Kulikowski. – Ja to wszystko wiem, słyszałem. Macie żonę i małego synka.

– Tak jest, panie generale! – Porucznik znów wyprężył się na baczność. Poczul przyływ nadziei, że stary nie jest jednak takim zupełnie pozbawionym serca zgredelem, za jakiego uchodził.

– Niestety, musicie się zadowolić towarzystwem swoich współtowarzyszy niedoli, poruczniku – ciągnął Kulikowski. – Sądzę, że dobrze wam wiadomo, jak zaprogramowana jest ta baza?

W gabinecie zapadła cisza. Porucznik odwrócił wzrok.

– A więc? – nalegał generał. – Wiecie to, prawda, poruczniku?

– To bzdura, panie generale – stwierdził kwaśno Dobrowolski – gadanie sztabowe. Nie wierzę, że ktoś byłby skłonny do zrobienia czegoś równie idiotycznego...

Kulikowski zaśmiał się sucho.

– Doceniam waszą szczerłość, poruczniku. Na przyszłość jednak radziłbym trzymać nerwy na wodzy, a swoje opinie i poglądy na temat przełożonych zachować dla siebie. Gdyby nie to, że was cenię i być może będę jeszcze bardzo potrzebował, to wlepiłbym wam stosowną naganę za obrazę wyższego stopniem.

Generał pogrzebał chwilę w szufladzie biurka. Wyciągnął teczkę i rzucił ją na blat.

– Podejdźcie. – Zachęcił oficera ruchem ręki. Dobrowolski posłuchał. Wziął w dłoń dokumenty i zaczął je przeglądać. Nie pozosta-

wiały wątpliwości. Oczywiście, wiedział o procedurze, ale uważał, że nie zostanie wdrożona. Wydawała się absurdalna i niepraktyczna. Najwidoczniej generalicja i sojusznicy z Paktu byli innego zdania. Baza sieci NATO-Wschód została w chwili rozpoczęcia konfliktu zapieczętowana. Odcięta od świata. W sposób całkowicie automatyczny i uniemożliwiający obejście tej blokady przez obsługę.

– To jest standardowa kwarantanna. Nie wiemy, co wydarzyło się na powierzchni...

– Przecież mamy odczyty z czujników – porucznik wszedł przełożonemu w słowo. – Nie zarejestrowaliśmy odczytów charakterystycznych dla broni jądrowej!

– ...to nie mogę podjąć ryzyka. – Generał całkowicie zignorował słowa oficera. – W związku z tym zarządziłem kwarantannę. Oraz wydałem stosowne rozkazy. Oraz, mając świadomość, jak sędzę, lepszą niż ktokolwiek, że stare powiedzenie „Polak potrafi” jest jak najbardziej słuszne, kazałem wdrożyć blokadę kompleksu na poziomie technologicznym. – Odetchnął, wyrzuciwszy z siebie tak długą myśl. Sformułowania godne prawdziwego dowódcy. Ba, wodza!

– To bzdura! – oburzył się Dobrowolski. – Obaj świetnie wiemy, że jeżeli w okolicy nie było wybuchu, to należy działać, zanim zacznie się opad radioaktywny i wiatr przywieje pył z innych rejonów!

Starszy stopniem pokręcił głową z udawanym smutkiem.

– Bardzo was cenię, poruczniku Dobrowolski, ale brak wam dyscypliny. O tak! – Uciszył podwładnego nagłym ruchem ręki, widząc, że ten znów mu chce przerwać. – Za mało w was żołnierza, a za dużo inżyniera. Na wasze szczęście, Dobrowolski, inżynierem jesteście świetnym i wasza dupa jest mi tu potrzebna.

– Ja... Tak się nie godzi! Ludzie! Tam są ludzie, czekają na nas!

– Kwarantanna. Sześć miesięcy. Mogę coś dla was jeszcze zrobić, poruczniku? – zapytał generał, patrząc spode łba. – Zapewniam, że te dokumenty mówią prawdę. Zresztą powinniście to wiedzieć, sami byliście odpowiedzialni za budowę kompleksu. Jeżeli nie wierzycie, możecie się przejść pogadać z informatykami. Nie wyjdziecie nawet, jakbym wam wydał zgodę. A z pewnością nie wydam! Czy to wszystko?

– Tak jest, panie generale! – Porucznik przyjął postawę zasadniczą. – To wszystko, panie generale!

– No to spieprzajcie, poruczniku. Mam na głowie ważniejsze

problemy. – Kulikowski wskazał drzwi, nie pozostawiając wątpliwości, że wszystko zostało omówione, wyjaśnione i załatwione.

Dobrowolski wycofał się z gabinetu. Na korytarzu przystanął, opierając się ciężko czołem o ścianę i spazmatycznie chwytając powietrze. Nadal nie wierzył. Zacisnął dłoń w pięść, aż poczuł ból, ale nawet przez ból czuł pod palcami miękkiego dotyk włosów synka, ciepło skóry Glorii. Cichy, jednostajny szum rozbudowanego i skomplikowanego systemu wewnętrznej wymiany powietrza nie był w stanie zagłuszyć ich głosów, odbijających się echem w jego głowie. Dobrowolski uniósł głowę i uderzył czołem o betonową, lekko chropowatą ścianę. Potem drugi raz. I kolejny. Dopiero kiedy na twarzy poczuł wilgoć, zorientował się, że rozciął sobie skórę o beton. Głośno zaklął i ruszył korytarzem, kierując się ku serwerowni.

Informatycy szybko rozwiali złudzenia porucznika i upewnili go, że generał i jego papiery mówią prawdę. Wiktor przyjął to ze spokojem i rozpoczął pertraktacje – najpierw pytał o szanse, że coś zostało przeoczone, że zaimplementowano jakiś backdoor, potem błagał o pomoc i groził, aby wymusić współpracę. Chciał zmiany programu. Godzinę zajęło mu przyjęcie do wiadomości, że nie mogą, nie chcą i nie mają możliwości obejścia zabezpieczeń bazy. Dotarło to do niego, kiedy w końcu dwóch poruczników bezceremonialnie chwyciło go pod ramiona i najzwyczajniej w świecie wywlekło na korytarz. Otepiąły patrzył, jak zatrzasują się pancerne drzwi. W chwilę później do jego uszu dobiegł szczeł mechanicznych rygli, a ostry, zirytowany głos z interkomu kazał mu się wynosić i nie wracać.

Tamtej nocy porucznik Wiktor Dobrowolski długo leżał w swojej kwaterze. Nie mógł zasnąć i przewalał się na łóżku, aż jego współlokator, klnąc w głos, wstał, ubrał się i wyszedł, trzaskając drzwiami. Inżynier próbował przypomnieć sobie wszystkie etapy budowy prowadzonej w ubiegłych latach. Przed jego oczami przesuwaly się plany kompleksu, schematy połączeń, zabezpieczenia i urządzenia. W środku nocy zerwał się, w biegu wciągnął mundur i sznurując buty już na schodach, pognął ku szczytowym kondygnacjom. Wartownia na bramie wjazdowej, którą sam kilka dni temu przekroczył, obsadzona była normalnie. Mimo że gigantyczne, pancerne, hermetyczne wrota przeciwatomowe zatrzasnęły się na głucho, to wartownicy pilnowali ich tak samo jak zawsze.

Zasalutował niedbale dowódcy warty i zaczął przyglądać się

bramie. W ciągu kilku minut doszedł do wniosku, że próby zwarcia instalacji albo wręcz wysadzenia przeszkody nie wchodzi w rachubę. Żegnany nieprzychylnymi spojrzeniami wartowników, zrezygnowany powlókł się z powrotem w głąb bazy. W ciągu godziny sprawdził w ten sposób dwa pozostałe wyjścia z kompleksu, chociaż miał świadomość tego, że nie będą się znacząco różnić od głównej bramy. Oględziny jedynie to potwierdziły. Zaaferowany swoimi sprawami, przeoczył fakt, że po jego odejściu dowódcy wart na wszystkich trzech posterunkach sięgali natychmiast po telefon.

Rozgoryczony i rozczarowany postanowił wrócić na kwaterę i odszukać plany, które miał gdzieś, w jakimś pudle, pieczołowicie złożone i zabezpieczone w ceratowej teczce. Szerokimi betonowymi schodami zaczął schodzić ku niższym kondygnacjom. Był już dwa poziomy niżej, kiedy nagle przypomniał sobie o czymś jeszcze. Małe, tylne drzwi, pieszce wyjście, które prowadziło do zrujnowanego Kompleksu 7215 – zdewastowanych, rozprutych i wałących się ruin Atomowej Kwatery Dowodzenia. Kiedy kończyli już drażenie P-1138, połączenie dla ciężkiego sprzętu, wykute w dawnym obiekcie numer trzy, wielkiej podziemnej hali, zostało pieczołowicie załatanie. Zostawili jednak w rogu małe przejście, w sam raz dla personelu. Utrzymywali je do końca budowy, aby usprawnić poruszanie się po terenie. Gdy baza zaczęła działać, obiekt numer trzy został zasypany ziemią, łącznik z P-1138 zamknięto, a samo wejście do niego – zamaskowano. Od strony natowskiego bunkra postawiono pancerne drzwi, prowadzące do wąskiego korytarzyka na tyłach szatni polowej. Dobrowolski przystanął w pół kroku, zdając sobie sprawę z tego, że znalazł słaby punkt. Obrócił się na pięcie i pobiegł schodami w górę. Kilkanaście minut później elektronicznym kluczem otwierał przejście z zapasowej sekcji magazynowej do korytarza.

Ta część kompleksu była bardziej wyludniona. Miała stać się potrzebna dopiero w momencie wyjścia większej liczby ludzi na powierzchnię. Prócz magazynów sprzętu i umundurowania znajdowała się w niej śluza przejściowa, połączona ze zlokalizowanym niedaleko głównym wyjściem pieszym. Jeżeli Wiktor dobrze pamiętał, korytarz, na który wychodziło zapasowe przejście na powierzchnię, znajdował się za szatniami. Przez kolejne pary elektronicznie sterowanych drzwi wchodził do następnych pomieszczeń. W ostatnim z nich światła nie zapaliły się automatycznie i musiał wymacać na ścianie przełącznik.

Inżynier powoli podszedł do pancernych drzwi. Połyskiwały srebrzyście w ostrym świetle diodowych lamp. Szara, jednolita powierzchnia, jedynie na środku zakłócona niewielkim kwadratem czytnika kluczy czipowych. Porucznik Dobrowolski z sercem tłukącym się w piersi jak oszalałe podszedł i uniósł swój klucz. Przyłożył go do czytnika. Ten zapiszczał cicho. Nic jednak się nie stało, przynajmniej na pozór.

– Cholera jasna, psiakrew – głośno wyraził swoją opinię w pustce korytarza. Spróbował ponownie, potem jeszcze raz, lecz drzwi zareagowały wyłącznie piskami. Nie rozległ się trzask rygli, nie stuknęły zawiasy, hermetyczny kołnierz nie puścił z sykiem. Jedynie gębokoboko w trzewiach bunkra na jednym z monitorów pojawił się alert, a kolejne próby otwarcia drzwi zapisane zostały w logach systemu komputerowego bazy. Jeden z informatyków podniósł słuchawkę telefonu alarmowego, łącząc się z oficerem dyżurnym. O tym jednak porucznik Dobrowolski nie wiedział.

Tej nocy wrócił na kwaterę i usnął ciężkim, męczącym snem. W tym śnie widział swojego synka, jak biegnie ku niemu, wyciąga rączki, coś woła. On sam jednak, chociaż chciał rzucić się w kierunku chłopca i porwać go w ramiona, nie mógł wykonać nawet kroku. Czuł, jakby stopy wrosły mu w podłogę, podeszwy butów były ciężkie jak z ołowiu, próbował je unieść, ale nie był w stanie. Rozłożył szeroko ramiona, mając nadzieję, że pochwyci w nie nadbiegającego Borysa, ale chłopiec nie zbliżał się, chociaż biegł ku tacie. Wręcz przeciwnie, jego mały synek zdawał się coraz dalszy, jego głos – coraz cichszy. Inżynier szamotał się przez sen aż do pobudki. Zerwał się rano, zlany zimnym potem.

Tego dnia zaczął przygotowania do ucieczki. Drzwi były zablokowane, systemy sterujące znajdowały się poza jego dostępem, a nawet gdyby mógł się do nich dostać – nie potrafiłby ich rozbroić. Znał kompleks na wylot i wiedział, że poza tymi czterema punktami nie ma w strukturze bazy instalacji, którą mógłby przedostać się człowiek. Zarówno sieci zasilające, jak i informatyczne poprowadzone były w kanałach o zbyt małych przekrojach. Systemy filtracji powietrza i wody również nie umożliwiały przedostania się człowiekowi. Można, oczywiście, spróbować zdemontować urządzenia w jednym z szybów, ale potem trzeba by przebijać się przez systemy filtrów, a to mogło trwać całymi dniami. Po przemyśleniu wszystkich opcji doszedł do wniosku, że jedynym sposobem na wydostanie się z P-1138 jest wy-

sadzenie awaryjnych drzwi prowadzących do Kompleksu 7215.

Zadanie było karkołomne. Po pierwsze, musiał tak wyliczyć ładunek, aby zniszczyć jedynie rygle, a nie zawalić cały korytarz. Potem przeniknąć do obiektu numer trzy, co było stosunkowo łatwe, bo przejście zamaskowano jedynie ścianą z desek, pokrytą betonowym tynkiem udającym szalowaną ścianę. Potem jednak musiał szybko wydostać się z samego obiektu. Chociaż dawniej stał on otwarty i dostępny, to po zakończeniu robót uzupełnili brakujące fragmenty podziemnej hali, zastąpili niezainstalowane wcześniej wrota żelbetowym murem, a sam teren dokładnie zabezpieczyli. Wydostanie się z podziemnego garażu mogło nastęrczyć pewnych trudności, tym bardziej że nie istniało przejście do pozostałych obiektów 7215. W tej sytuacji będzie musiał szybko sforsować pancerne włazy, zamontowane w dawnych kanałach i przejściach. Najpewniejszym sposobem na to także były ładunki wybuchowe.

Za dużo tych ładunków wybuchowych, porucznik był jednak tak zawzięty i zdeterminowany, że postanowił plan przeprowadzić. Nie miał nic do stracenia. Jediną alternatywą pozostawało siedzenie i czekanie, aż system komputerowy bazy pozwoli im wyjść na powierzchnię. Za pół roku. A za pół roku świat już pewnie nie będzie istniał.

Plan, już na pierwszy rzut oka karkołomny, okazał się także dużym wyzwaniem od strony logistycznej. Łatwiej było wymyślić użycie ładunków, dużo trudniej – zdobyć potrzebne środki. Dobrowolski spędzał noce na obliczeniach, za dnia snuł się po kompleksie pozornie bez sensu, pod pretekstem kontrolowania instalacji i konstrukcji zaglądnąc w różne miejsca. Unikał jedynie pojawiania się w okolicy zapasowych drzwi, żeby nie zwracać na siebie uwagi. W ciągu dwóch tygodni kilkakrotnie sprawdzał magazyny, intendenturę oraz zbrojownię. Ryzykując wpadkę, zdobył wreszcie odpowiednią ilość materiałów wybuchowych. Tego samego dnia wieczorem postanowił ruszyć, nie czekając, aż opuści go szczęście.

A szczęście zdawało się mu sprzyjać, wbrew logice. Jego współlokator wieczorem zasiedział się w kantynie, dzięki czemu porucznik mógł swobodnie wydobyć ukryty w pokoju osprzęt i spakować plecak. Przygotował maskę, filtry, ubranie, zapasowe buty. Ładunki starannie podzielił i przygotował już wcześniej, upewniając się, że nic nie zawiedzie. Przemknął nocnymi, częściowo wygaszonymi

korytarzami ku szatniom, gdzie uprzednio ukrył część sprzętu i zapasów, a także broń. Nie czekając, aż koło fortuny obróci się w niepomyślnym kierunku, przystąpił do zaminowywania drzwi. Skończył właśnie rozkładać ładunki i był gotów do montażu zapalnika, kiedy zabłyśły wszystkie światła. Usłyszał trzask przeładowywanej broni i do korytarza z obu stron wbiegli żandarmi z karabinami gotowymi do strzału. Był otoczony i bezradny.

– Nawet nie drgnijcie, poruczniku – rozległ się głos generała. Dowódca P-1138 pozornie swobodnym krokiem wyszedł z za rogu i stanął w rozkroku, spoglądając na klęczącego pod drzwiami inżyniera. Dobrowolski z ociąganiem wstał. Przyjął postawę zasadniczą.

– Panie generale, porucznik Wiktor Dobrowolski. Melduję się – powiedział zrezygnowany.

– Widzę, kim jesteście, poruczniku – sapnął Kulikowski – ale nie pojmuję tego, co widzę. Co wyście tu, kurwa, chcieli zmajstrować?

– Melduję posłusznie, panie generale, że miałem zamiar wysadzić zapasowe drzwi łączące bunkier z ruinami K7215 na powierzchni – odparł spokojnym głosem porucznik. Mimo spokoju pobrzmiwał w nim bezbrzeżny smutek.

– Sabotować chcieliście wszystko! – wrzasnął generał, aż najbliższy z żandarmów drgnął niespokojnie.

– Chciałem jedynie opuścić miejsce pełnienia służby i udać się na samowolne oddalenie, panie generale! – zameldował Dobrowolski. – Melduję posłusznie, że moim celem nie było narażanie nikogo z obsady jednostki, panie generale! To była sprawa osobista!

– Ja wam, kurwa, poruczniku cholerny, dam sprawę osobistą! – wrzasnął generał. – Wam się wydawało, że nikt się nie zorientuje? Wyście mnie mieli za idiotę, Dobrowolski?

Nabrał głęboko powietrza i kontynuował tyradę:

– To nie jest żadna wasza, kurwa wasza mać, sprawa osobista! My tu mamy kwarantannę, poruczniku, kurwa! Wy wiecie, poruczniku, kurwa, co to znaczy kwarantanna?! Wyście mi tu chcieli rozwalić cały szczelny, zamknięty system!

– Melduję posłusznie, że nie miałem pana generała za idiotę, panie generale! – skwapliwie zapewnił porucznik. Kulikowski chciał coś jeszcze powiedzieć, ale wreszcie, poczerwieniały z gniewu, odwrócił się plecami do inżyniera. Spojrzał na dowódcę patrolu żandarmerii.



– Posłuchajcie mnie, kapitanie, sprawa jest delikatna. Chciałbym, abyście zadbali o to, aby nikt niepowołany nie dowiedział się o całym zajściu. To może baaaaardzo źle wpłynąć na morale – generał przeciągnął głoski, podkreślając powagę sytuacji.

– Tak jest, panie generale! – Dowódca patrolu wyprężył się i zasalutował. Porucznik Dobrowolski uznał, że żandarm musi być idiotą, skoro salutuje „pod dachem”. Zresztą było mu wszystko jedno, znał go jedynie z widzenia, nie lubili się. Mógł sobie być idiotą, jeśli tego chciał.

Generał Kulikowski skinął głową i ruszył korytarzem. Porucznikowi nie poświęcał już uwagi, dla niego sprawa była zamknięta. No, prawie. Przystanął jeszcze na moment.

– Jedna sprawa, kapitanie...

– Tak jest, panie generale! – Żandarm znów wyprężył się na baczność.

– Obawiam się, że porucznik Dobrowolski stawiał opór przy aresztowaniu i zmuszeni byliście użyć wszelkich przewidzianych regulaminem środków przymusu bezpośredniego. – Kulikowski odwrócił głowę, rzucił inżynierowi nieprzychylnie spojrzenie. – Mówiłem wam, poruczniku. Ja cholernie nie lubię, jak ktoś próbuje ciąć ze mną w wała.

Odwrócił się na pięcie i zniknął za zakrętem korytarza. Kapitan żandarmerii oblizwał nerwowo wargi. Zabezpieczył broń i przesunął karabinek do pozycji spoczynkowej. Sięgnął do zawieszanej u pasa pałki.

– No, poruczniku Dobrowolski. Niepotrzebnie się pan w to wszystko wpakował. – Uniósł pałkę do ciosu i opuścił ją, nie szczerząc siły. Porucznik osłonił głowę rękami i opadł na kolana, bo w ślad za pierwszym poleciały kolejne ciosy i po chwili żandarmi regularnie pałowali go na betonowej podłodze. Zamknął oczy, zacisnął zęby i myślał tylko o Glorii, pięknej, najpiękniejszej w świecie Glorii, ukochanej. I o Borysie, małym rudym chłopcu, dla którego miał być całym światem, a którego zostawił na pastwę bomb. Nie był w stanie liczyć razów, wreszcie stracił przytomność.

Teraz obrócił się na bok i jęknął. Wprawdzie porozbijane wargi się zagoiły, siniaki i opuchlizna zeszyły, ale po prawie dwóch tygodniach od bolesnej nauki, jaką postanowił dać mu generał Kulikowski, żebra nadal rwały przy każdym ruchu. Wiktor Dobrowolski

jęknał i poprawił się na pryczy. Przed sobą miał metalowe drzwi aresztu. Przez judasza dolatywał odgłos kroków, wartownicy z ancla krzatali się po swojej służbówce, rozmawiali, śmiali się. Czuł zapach dymu papierosowego, aromat gorącej kawy.

Zamknął oczy, bo zakręciło mu się w głowie. Dostawał już szału od patrzenia na betonowe ściany i metalowe drzwi. Czuł, że jeżeli nie uśnie, to zacznie wyć, wyć jak zwierzę, jak opętany, jak szaleniec. Z każdą godziną, z każdą dobą szansa na to, że odnajdzie żonę i synka żywymi malała, stawała się coraz bardziej ulotna. Wiedział, że nie może się poddać. Najpierw musi wyjść z aresztu. Jeszcze tylko sześć tygodni. Tylko sześć tygodni. Potem znów spróbuje uciec. Kłóciło się to z jego przekonaniem, żołnierskim honorem, jego poczuciem obowiązku, a jednocześnie wiedział, że nie może zrobić nic innego.

Wiktor Dobrowolski poszedł do szkoły oficerskiej zaraz po skończeniu liceum mundurowego. Chciał być dumny z Polski i chciał dla swojej ojczyzny pracować i starać się. Z wyróżnieniem ukończył zarówno kursy oficerskie, jak i specjalizację, dostał przydział do piekła nudy gdzieś na polskiej prowincji, który znosił z pokorą i godnością, jaka przystała podporucznikowi, a następnie z radością powitał przeniesienie i awans, które przydarzyły mu się akurat wtedy, gdy Gloria, jego żona i najpiękniejsza dziewczyna na świecie, oznajmiła mu, że zostanie ojcem.

Mieszkali we trójkę w Warszawie, na skraju parku Pole Mokotowskie, gdzie mały roześmiany Borys biegał, bawiąc się z ojcem i mamą w rycerzy Jedi, wojów piastowskich, kosmonautów i kowboi. Jego ojciec w tym czasie nadzorował budowę tajnego wojskowego kompleksu na drugim krańcu miasta, w sercu Kampinoskiego Parku Narodowego. Robił to dobrze i z poświęceniem, bo w myśl starej zasady pot wylany na poligonie wart jest równie wiele, jak krew przelana w bitwie. I podobnie wiele wart był dla polskiej armii bystry umysł, analityczne spojrzenie i doskonała, wciąż aktualizowana wiedza młodego, pełnego ideałów porucznika Dobrowolskiego. Jego celem była służba demokratycznej ojczyźnie, praca na chwałę munduru i w trudnych, niestabilnych czasach – bezpieczeństwo ukochanej żony i synka.

Idealy jednak często bywają oderwane od rzeczywistości i kiedy najgorsze jednak nadeszło, a na powierzchnię planety zaczęły spadać głowice jądrowe wyprodukowane i wystrzelone przez zbyt wiele kra-

jów, by dało się to zliczyć, okazało się, że miejsce porucznika było, owszem, tam, gdzie należało – w karnych, zdyscyplinowanych szeregach armii. Lecz zabrakło tam miejsca dla Glorii i Borysa Dobrowolskich. On sam, ukryty bezpiecznie pod ziemią – podczas gdy oni narażeni byli na skutki wojny – pragnął ze wszystkich sił uwierzyć, że Gloria sprowadziła małego Borysa pod ziemię, do metra, że w trzewiach stołecznego lewiatana ocaleli jacyś ludzie, którzy zapewnili synkowi i żonie porucznika przetrwanie.

Zamknął oczy i odpłynął w sen. Borys biegł korytarzem, wyciągał do niego rączki i wołał ojca, ale Wiktor nie był w stanie nic zrobić, nie mógł się poruszyć, nawet drgnąć. Mógł jedynie rozłożyć ręce i bezradnie patrzeć, jak synek, chociaż biegnie do niego, oddala się coraz bardziej...

## Bliźnięta ze Śródmieścia

Wrzesień, drugi rok po Zagładzie



Wrzask niósł się echem. Krzyk, wydarty z wielu gardeł, odbijał się i rezonował pod sklepieniem, wielokrotnie spotęgowany w olbrzymiej, podziemnej kawernie dolnych poziomów Dworca Centralnego. Ludzie tłoczyli się, przepychając ku krawędzi peronów, schodząc na torowisko i stając jak najbliżej krawędzi, chociaż było to wyjątkowo niebezpieczne. Uprzywilejowani – starszyzna Dworzan i ci, którzy mogli sobie na to pozwolić, podziemni bogacze, handlarze i pośrednicy zasobni w środki, stali na galeriach, spoglądając z góry na cały peron trzeci, zamieniony w arenę. To były najlepsze miejsca – pozwalały śledzić przebieg wszystkich toczących się wzdłuż peronu walk, ogarnąć wzrokiem całą jego długość, dostrzec prawie wszystkie szczegóły akcji, oświetlonej przez wielkie metalowe kosze z płonącymi ogniskami, mimo że paliły się w nich bezużyteczne śmieci, kopcąc i śmierdząc. Ciemne spirale dymu unosiły się nad peronami i niemrawo, wolno płynęły ku górze, gdzie kłębiły się pod brudnym, pokrytym warstwą sadzy i kurzu sufitem.

Nie był to jednak brudny sufit z dawnych lat, podwieszana kratownica z metalowych listew. Ta została dawno zdemontowana, a jej elementy sprawdzały się świetnie jako konstrukcje kubików mieszkalnych, pokrywających gęsto trzy z czterech peronów. Obudowane dyktą, kartonem lub szmatami dawały namiastkę domu, minimum poczucia prywatności w podziemnym piekle, w jakim przyszło Dworzanom żyć przez ostatnie dwa lata. Perony pierwszy i drugi przeznaczone były dla zwykłych śmiertelników. Mieszkała tam dworcowa biedota, wyrobnicy, drobni rzemieślnicy. Peron trzeci służył jako miejsce wspólne, przestrzeń życia społecznego. Uprzątnięty, niepoznaczony mieszkalniami, bywał placem apelowym, teatrem, targowiskiem, a czasem, jak teraz, areną postapokaliptycznych derbów.

Dalej, za torowiskiem, znajdował się ostatni, specjalny peron. „Czwórka” była odpowiednikiem przedwojennego zamkniętego osie-

dla. Mniej tłoczna, mniej spowita dymem z płonących śmieci, nieco oddalona od zgiełku właściwego plebsowi. Tam znajdowały się, odpowiednio większe i przestronniejsze, mieszkalnie członków rady, bogatych handlarzy, co obrotniejszych poszukiwaczy, którzy mieli szczęście obłowić się na wyprawach na powierzchnię, lecz nie stracić wszelkich zysków na rzecz dworcowych bimbrowników i hodowców magicznych grzybków – drogiej, lecz wartej swej ceny rozrywki, do której klucz posiadali jedynie Bracia Mniejsi.

To właśnie mieszkańcy „czwórki” zajmowali teraz galerie na poziomie minus jeden, popatrując w dół niczym z rzymskiej areny na igrzyska, rozpalające wyobraźnię, podniecające podupadłego ducha, lecz przede wszystkim będące okazją do czynienia zakładów. Małe fortuny, złożone z konserw, naboju i innych, przedwojennych artefaktów, przechodziły z rąk do rąk.

– Dajesz! Dajesz, ciocia Terrorino! – darła się Zara, stercząca bez cienia strachu tuż przy krawędzi trzeciego peronu, chociaż uczestniczki tych dziwacznych zawodów w pędzie przemykały tuż obok, grożąc zmiżdżeniem palców lub, w przypadku upadku z krawędzi peronu, dużo poważniejszymi obrażeniami. Jednak kiedy się ma czternaście lat, nie poświęca się takim zagadnieniom zbyt wiele uwagi, szczególnie jeżeli życie jest zimne, wilgotne, twarde i mroczne, a takim było życie Zary i jej brata, bliźniąt ze Śródmieścia, dwójki Braci Mniejszych, dopuszczonych przez Dworzan do zabawy.

– Jeeeeeeedziesz!!! – wrzeszczał schrypniętym głosem jej młodszy o siedem minut brat, nazywany Hanoi. Było takie miasto przed wojną, gdzieś w państwie nazywanym Wietnam. Podobno w metrze mieszkali ciągle Wietnamczycy, tak słyszał od kogoś. Nie stąd jednak wzięło się jego miano; podobnie jak przydomko siostry.

– Przecież jada, głąbie! – Dziewczyna szturchnęła brata w ramię, ale śmiała się szelmowsko.

– Weź się ucisz, wariatko, bo ja... – zaczął, lecz w tym momencie tuż przed jego twarzą przetoczyły się z łoskotem, wrzeszcząc, zawodniczki. – O kurwa...

Zara roześmiała się, wymachując rękami i dopingując drużynę Underdogs International. Hanoi nie miał wyjścia – zmuszony był kibicować ich przeciwnikom. Nie wypadało, żeby popierał faworyta siostry.

Długi, błotnisty i zasłany śmieciami rów torowiska wypełniała w

większości najgorsza biedota i zaproszeni z okazji igrzysk mieszkańcy Dworca Śródmieście. Dla Dworzan, mieszkańców Centralnej, byli hołotą, gorszym sortem ludzi ze stołecznych podziemi, kimś godnym uwagi tylko ze względu na swoje umiejętności i zasoby. Pieszczotliwe niemalże określenie „Bracia Mniejsi” odnosiło się nie tylko do dysproporcji w wielkości obydwu dworców, odnosiło się także do przedwojennego, mającego religijne podłoże znaczenia tej frazy.

Mieszkańcy Śródmieścia nie pozostawiali zresztą kolejowemu hegemonowi dłużni. Dworzan, ze względu na ich napływowy charakter, określali tak samo, jak przed wojną – mianem Słoiaków. W końcu każdy prawdziwy warszawiak wiedział – na Śródmieście dojeżdżały podmiejskie, SKM, pociągi lokalne. Tam mieszkali ludzie z aglomeracji. Czym innym był dworzec dalekobieżny – tam z pewnością tego feralnego ranka tłoczyli się obcy, przybysze z dalekich stron.

Mimo jednak tych drobnych przepychanek, mimo trochę żartobliwej, lecz nieskrywanej wzajemnej pogardy z obu stron, mimo faktu, że zarówno w przejściu pieszym między dworcami, jak i w tunelu średnicowym stały posterunki, na których stale przebywali uzbrojeni wartownicy – dworce koegzystowały, trwały w dziwnej symbiozie, niemożliwej do uniknięcia dla tak bliskich sąsiadów. I bywały okazje, że mieszkańcy spotykali się, świętowali, bawili. Czy to na jarmarkach, organizowanych na Śródmieściu, gdzie napływały przeróżne towary, niesione tunelem średnicowym ze wschodniej części śródmieścia, od strony Wisły; czy to na takich imprezach jak ta, rozgrywanych na większych, przestronniejszych peronach Centralnej.

Roller derby były wydarzeniem dużym, przyciągającym tłumy. Nie tylko okolicznych mieszkańców. Z piwnic Pałacu Kultury wynurzali się nawiedzeni rewolucjoniści z Podziemnej Republiki Ludowej, oszołomieni piewcy rewolucji, którzy w przerwach między meczami próbowali głosić swoje idee. Ze stacji Centrum gromadnie przybywali mieszkańcy metra, na co dzień zaprzyjaźnieni z Braćmi Mniejszymi, prowadzący ożywioną wymianę handlową dzięki awaryjnemu przejściu spod ronda do tunelu średnicowego. Ludzie ściągali z daleka, bo roller derby to były prawdziwe igrzyska, chociaż zaczęły się niepozornie.

Kiedy nadszedł ten feralny dzień, na peronach Centralnej utknęły dwie drużyny, jadące na mistrzostwa kraju. Początkowo staczały krótkie pojedynki w ramach sparringów, lecz szybko okazało się, że

występy przed publicznością są dużą atrakcją. Teraz, dwa lata po bombach, był to świetnie zorganizowany sport. Widowiskowy, budzący emocje, twardy i krwawy.

– Daaaaaaajesz! – wrzasnęła Zara, podskakując jak na sprężynie, kiedy obok przemknęła jej faworytka, wrotkarka o intensywnie błękitnych włosach. Jak wszystkie zawodniczki miała na sobie kask oraz masywne, ciężkie ochraniacze. Już w swoim pierwotnym wydaniu był to sport dość brutalny – chociaż w derby brały udział same kobiety, było to de facto starcie często czysto siłowe. W postapokaliptycznej wersji – bardziej widowiskowej, bardziej bezlitosnej i bardziej pożądanej przez rozkrzyczaną gawiedź – połamane ręce i nogi, krwawiące nosy i przetrącone palce były tym, czego oczekiwali widzowie. Zawodniczki ściagały się wzdłuż peronu, zawracając pod koniec, tam, gdzie w posadzce widniało zejście do podperonia. Cztery z nich próbowały powstrzymać drużynę przeciwną, jedna starała się wysforować na czoło wyścigu i przegonić wszystkie. Przeciwniczki cel miały ten sam, więc ostatecznie kończyło się na zwarciu, a nie rzadko na rozdzielanych szczerze przy użyciu ochraniaczy ciosach. I chociaż część z tych walk musiała być pozorowana i obliczona na efekt, to jednak medycy potrafiący nastawiać nosy, palce i stawy mieli pełne ręce roboty.

Wrzawa przesuwiała się wzdłuż peronu, podążając za pędzącą w zawrotnym tempie stawką. Przeciwniczki przemknęły wzdłuż przeciwległej krawędzi i oddaliły się, Zara, niewiele myśląc, podciągnęła się na rękach i wskoczyła na płytę peronu. Momentalnie silna męska ręka chwyciła ją za kołnierz i pociągnęła w tył.

– Zostaw! – odepchnęła Podleńskiego, nawet się nie odwracając.

– Z uśmiechem godnym Racheli Welch... – zanucił, ale jego głos utonął w krzyku, wydobywającym się z nieprzeliczonych gardeł. Zawodniczki zawróciły, jedna z nich nie wyrobiła się na zakręcie i ostro hamowała, upadając na kolana. Reszta pognała znów ku środkowi peronu. W przerażającym tempie zbliżały się – obrona rozsypała się i teraz Underdogs ściagały bezlitośnie jammerkę przeciwniczek. Ostatnia blokerka, odepchnięta brutalnie, zatoczyła się, zamachała bezradnie ramionami i w pełnym pędzie wyleciała poza peron, lądując bezpośrednio na widzach. Kask, ciężkie ochraniacze, a przede wszystkim wrotki poczyniły straszliwe spustoszenie wśród ludzi, między których

padła. Właśnie dlatego torowiska były sektorem dla biedoty. Tymczasem Underdogs dopadły jammerkę przeciwniczek i otoczyły ją ścisłym kordonem, a ich własna ścigająca pomknęła jak strzała naprzód, zdobywając punkty. Pod sklepieniem niósł się ryk – uwielbienia i zawodu.

Hanoi plunął pod nogi. Rozległy się cztery donośne, ostre gwizdy sędziego, a w chwilę później jeszcze jeden długi. Ostatnie starcie zakończyło mecz. Na moment zapadła pełna napięcia cisza, przerywana ukradkowymi szeptami. Zawodniczka z numerem 911 na koszulce zakręciła się efektownie wokół osi, uniosła w górę ręce i triumfująco spojrzała na pokonane przeciwniczki.

– No i co? – wrzasnęła. – No i pstro! Chujów sto!

Publiczność wiwatowała. Sędzia oficjalnie ogłosił zwycięstwo Underdogs. Ci, których było na to stać i obstawili wyniki u bukmacherów, pędzili teraz po swoje wygrane, śpiesząc, bo zdarzało się, że nie wystarczało na wypłaty. Zara znów wskoczyła na płytę peronu i usiadła, dyndając nogami.

– Frajer. – Pokazała język bratu. – Jak zwykle kibicowałeś przegrany.

– Przymknij się lepiej – mruknął Hanoi, rozdrażniony sytuacją. Wcale nie musiało tak być, przez pierwsze czterdzieści minut Psiary przegrywały, chociaż nieznacznie. Dopiero w końcówce meczu, w ostatnich zwarciach pokazały, na co je stać. Zwyciężyły też kondycyjnie – kiedy przeciwniczki dosłownie leciały z nóg, tamte wykrzesywały z siebie ostatnie pokłady energii i sprawiały, że do samego końca widowisko było satysfakcjonujące. Kiedy przyszli na Centralną, żałował, że nie ma z czego obstawiać – teraz ten żal był mniejszy.

Większy smutek przypadł kioskarzowi, który podobnie jak Hanoi, kibicował drużynie przegranej.

– Ja mam łeb do interesów – mówił jeszcze chwilę przed meczem, ściskając w jednej dłoni piersiówkę z samogonem, a w drugiej świstek od bukmachera. – Ja jestem menago, sto zarobię nago! – podśpiewywał, przekręcając słowa.

Bliźniaki nie mogły sobie pozwolić na taką ekstrawagancję jak hazard, lecz nie żyło im się źle. Nocowali na stałe w kiosku, gdzie znaleźli ciepły kątek, lecz też nie żyli na koszt King Bruce Lee Karate Mistrza. Kręcili się tu i tam, czasem pomagali przenosić paczki, czasem biegali z wiadomościami wzdłuż tunelu, a także, ku wielkiej

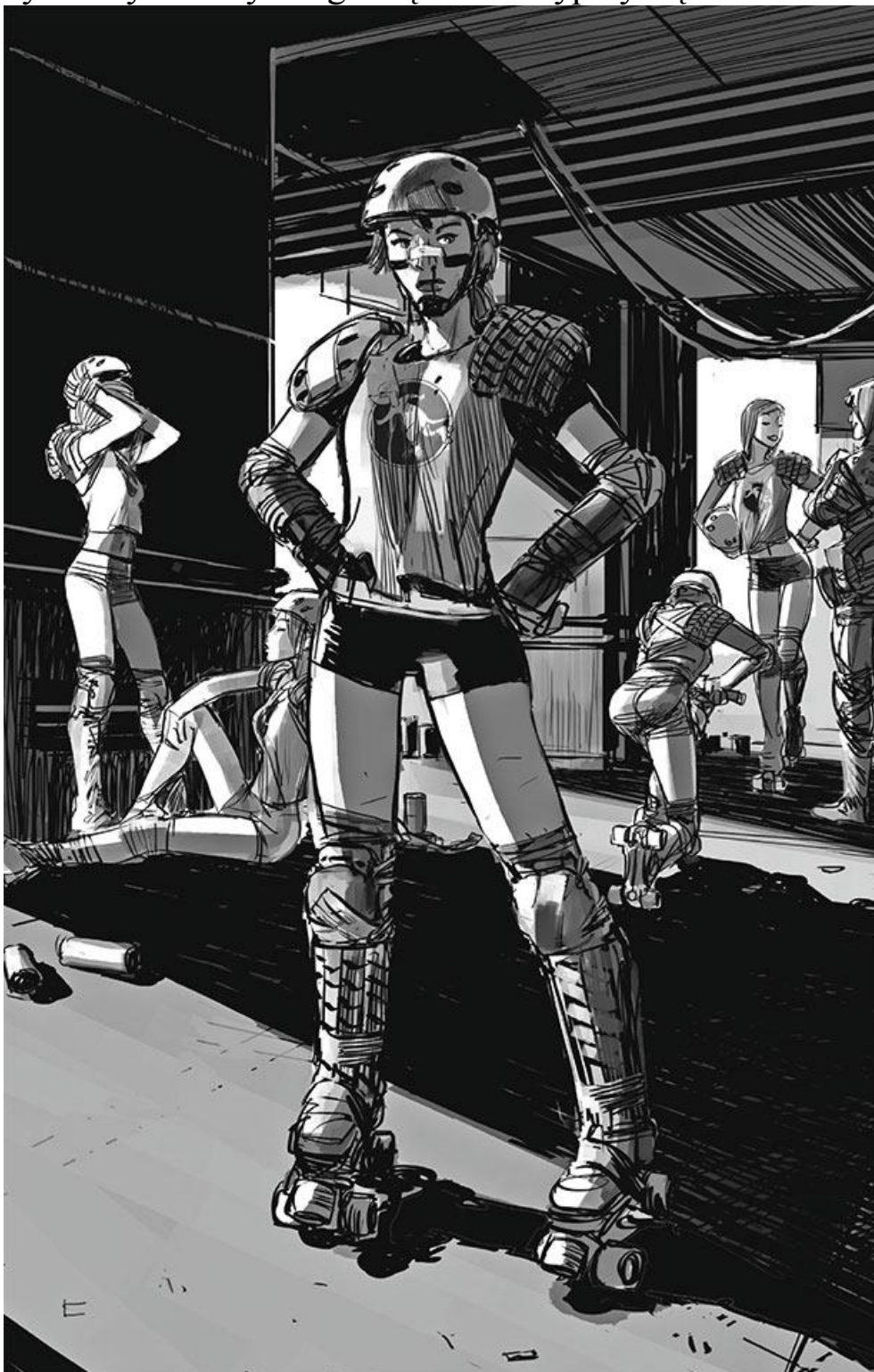


dezaprobacie Podlewskiego, wypuszczali się na powierzchnię – zarówno na wschodnim krańcu średnicowego, jak i bliżej śródmieścia, wychodząc na jarmark pod rondem, penetrując mniej uczęszczane tereny, zapuszczając się także czasem wzdłuż metra. Pewnego dnia udało im się nawet dotrzeć na upiorną, nieco widmową stację Plac Konstytucji, na której nikt nie chciał mieszkać. Zawrócono ich z posterunków na Politechnice, gdzie tworzył się jakiś dziwny sojusz robotniczo-inteligencki, przewany przez mieszkańców Kryształowym Pałacem. Zdeterminowani, tak długo krążyli po surowej, na wpół wykończonej Konstytucji, aż udało im się jakimś zapomnianym, awaryjnym wyjściem wydostać na powierzchnię i ograbić przeoczone przez dorosłych małe sklepiki w głębi jednego z podwórz.

Zara i Hanoi nie mogli równać się z dorosłymi stalkerami, jak nazywano tych ludzi. Nazwa podobno przyszła z Imperium – grupy stacji na wschodniej części drugiej linii metra. Powstało tam ponoć takie właśnie sobie Imperium, podziemne polskie państwo, rządzone przez przedwojennego wojskowego. Jak było naprawdę, mało kto wiedział, bo nie wpuszczano tam nikogo, a mówiło się też nierzadko, że ich grupy poszukiwawcze to prawdziwe bojówki – obcych na swoim terenie gonili, bili i grabiali z chabaru. Jednak tam, gdzie uzbrojony mężczyzna łatwo zwraca na siebie uwagę, dwójce nastolatków często łatwiej jest ukryć się, wtopić w tło i umknąć niespodziewanymi przejściami. A strach, gdy biegli za nimi czarno odziani, potężni bojowcy Imperium, dodawał bliźniakom skrzydeł. I tak, ponad dwa lata po feralnej wyprawie na zakupy do centrum, Zara i Hanoi też stali się stalkerami. Dwójką dzieciaków, którym brakowało wszystkiego – nie mieli broni palnej, masek, strojów ochronnych – ale które nadrabiały sprytem, pomysłowością i nieposkromioną żądzą przygody. Zasłynęli więc jako spece od zadań, których nikt dorosły by się nie podjął – z powodów najróżniejszych.

Zara zadyndała nogami i przeciągnęła się. Spojrzała na brata, który nagle zamarł bez ruchu. Chwilę potem usłyszała za sobą hurgot i lekki pisk, kiedy ktoś podjechał i gwałtownie zahamował, zatrzymując się o centymetry od jej pleców. Dziewczyna powoli odwróciła się i uniosła głowę. Nad nią stała jedna z zawodniczek. Na stopach miała spracowane, noszące ślady wielu starć wrotki. Ciężkie, metalowe ochraniacze osłaniały golenie. Obcisłe krótkie spodenki, wyżej pamiętająca lepsze czasy, naciągnięta na ochronną kamizelkę podarta i

pocerowana koszulka z logo, z którego uśmiechał się szelmowski jamnik na wrotkach. Na koszulce ciemniały świeże plamy krwi, ciekącej zawodniczce z rozbitego nosa. Psiara ściągnęła z głowy hełm i jej włosy barwy intensywnego błękitu rozsypały się luźno.



– Queenie Terrorino – wyszeptała Zara z nabożną czcią, mruga-

jąc oczami, jakby oczekiwała, że zawodniczka rozwieje się za chwilę jak senne widziadło.

– No, ja – odparła tamta. – A wy jesteście bliźniakami ze Śródmieścia?

Przykucnęła, balansując na wrotkach. Hanoi otworzył usta ze zdziwienia. Mimo brutalnego w swej naturze osprzętu Queenie emanowała kobiecością, która obudziłaby silne emocje w każdym czternastolatku. Pokiwał szybko głową, zastanawiając się, czego od dwójki biednych dzieciaków może chcieć gwiazda igrzysk.

– Queenie Terrorino – wyszeptała ponownie Zara, nie mogąc otrząsnąć się ze zdumienia. Tamta odłożyła kask i usiadła na krawędzi peronu. Ludzie wokół nich zaczęli przystawać, formując koło otaczające wrotkarkę, dzieciaki i ich łysego opiekuna.

– Proste jak ruchanie, że ja. – Terrorino przewróciła oczami i otarła wciąż lekko krwawiący nos rękawem. – Ale może chodźmy gdzieś, gdzie będzie spokojniej, bo tutaj się zaraz zrobi zbiegowisko, rozumiesz?

– Rozumiem – odparła dziewczyna. – Chodź, głąbie.

Wrotkarka wstała, okręciła się kilka razy wokół własnej osi i skinieniem ręki zaprosiła ich, aby jej towarzyszyli.

– Ty zostań, Bruce Lee. – Zara nie pozostawiła kioskarzowi żadnych wątpliwości. Nie oglądając się, ruszyła za swoją idolką.

To było dwa dni wcześniej. Queenie Terrorino zabrała wtedy dwójkę młodocianych stalkerów ze Śródmieścia do popularnej jadłodajni na poziomie minus jeden. Przy posiłku składającym się z makaronu z przedwojennych zapasów i stanowczo współczesnego mięsa niewiadomej proveniencji zaproponowała im zlecenie.

– Wrotki, rozumiesz? – zapytała. Nie za bardzo rozumieli. – Te się kończą. – Wskazała na stojącą przy krześle parę, w której ścigała się nieco wcześniej. – Tu w okolicy nie ma już nowych. A nikt ze zwykłych szperaczy nie pójdzie w miasto szukać butów na kółkach.

Bliźniaki gorąco zaczęły zapewniać, że takich znalazłoby się z pewnością wielu, ale wrotkarka zaprzeczyła i uciszyła ich gestem dłoni. A potem ponowiła propozycję.

– Przy czym – zaznaczyła – nie mam teraz za dużo kasy na wymianę, rozumiesz? Zresztą wam naboje chyba niepotrzebne?

– Rozumiem – odparła Zara. – Myślę, że dogadamy się jakoś... Jest coś, co będę od ciebie chciała...

– Ej, Zara, czekaj – wtrącił Hanoi, unosząc się z krzesła. Naboje, owszem, nie były im bezpośrednio potrzebne, ale to najlepsza, „twarda” waluta. Prócz nich ceniono sobie konserwy, ubrania, wiele innych rzeczy sprzed wojny, których zapasy wyczerpywały się coraz szybciej i które ciężko zastąpić tym, co się dało chałupniczo wyprodukować pod ziemią.

– Weź siedź, głąbie. – Starsza siostra popchnęła go na powrót na krzesło, nie zaszczycając nawet spojrzeniem. – Przyniosę ci, co chcesz i skąd chcesz, tylko załatw mi farbę do włosów. Albo jeszcze lepiej naucz mnie, czym farbować teraz włosy. Teraz i zawsze...

Brat westchnął. Marzenie choleryjnej jaszczurki, pomyślał. Nie mogła darować sobie koloru, który dawno zniknął. Próby z jedną znalezioną kiedyś na mieście mieszkanką przyplącała katastrofą, po której ogoliła głowę na łyso. A jednak nadal chciała wrócić do swojego przedwojennego, wakacyjnego stylu.

– To jak? – spytała wrotkarkę Zara.

– Proste jak ruchanie – odparła Queenie Terrorino. I tak, dwa dni później, znaleźli się na powierzchni, szukając sklepu rzekomo istniejącego w tej okolicy przed wybuchem wojny, bo Zara przyjęła zlecenie. Hanoi ostatecznie nie był aż taki zły, ale za nic nie dałby tego po sobie poznać. Dla porządku więc pomarudził trochę na wszystko, ale potem zgodnie wyciągnęli ciepłe kurtki, zapasowe, wyszabrowane w martwym mieście buty, narciarskie gogle i grube szaliki, których używali zamiast masek przeciwgazowych. I wyszli w miasto.

Zapasy sklepów sportowych w Złoty Tarasach przetrzebiono dość dawno, dlatego członkini Underdogs International zwróciła się do tych, którzy wypuszczali się dalej w miasto. Ponieważ przejście ze średnicowego pod rondo było na co dzień zabarykadowane i strażnicy ze Śródmieścia otwierali je tylko przy okazji jarmarku, bliźniaki wyszły na powierzchnię przez pawilony i ruszyły w kierunku Marszałkowskiej, z zamiarem odbicia dalej na południe.

– Patrz, ciągle wisi. – Hanoi wskazał na mocno zniszczony przez warunki atmosferyczne billboard, górujący nad Patelnią, dziedzińcem przed stacją metra Centrum. Z plakatu patrzył na nich dziwny policjant i trup.

– Podobno miała być druga część – zagadnął siostrę. – Pierwsza była niezła. Szczególnie ten taki major, co dowodził.

– Miała, ale się zesrała – odburknęła Zara, zajęta rozglądaniem

się na boki i brnięciem przez zasy czarnego, brudnego śniegu.

– No co, może napisał. – Bliźniak nie ustępował.

– Nawet jeżeli, to nie przeczytasz, bo się świat zawalił. – Starsza o siedem minut dziewczyna nie była w nastroju do rozmów, bardziej zajmowało ją przyjęte zlecenie.

– Podobno on żyje.

– Kto niby?!

– No autor. Podobno jest w Warszawie, nosi pocztę – wyjaśnił.

Zara zatrzymała się i obróciła, patrząc na brata przez grube gogle, groteskowo wyglądające na jej małej, dziewczęcej twarzy. Głęboko naciągnięty kaptur rzucał cień na oczy.

– Listonosz? To tutaj to nie jest książka fantastyczna, tylko prawdziwy świat, głąbie – warknęła. – Zresztą kogo to w ogóle obchodzi, o czym była ta książka?

– O zombie była.

– Zombie? Zombie nie ma. Nigdy nie było czegoś takiego jak zombie. Nie ma i nigdy nie będzie. Ruszaj się, głąbie. – Uderzyła go okutaną w grubą rękawicę dłonią w tył głowy. – Ruszaj się, bo mi pupa marznie. Matoł...

– Ach, eta bratskaja, bratskaja, bratskaja, bratskaja ljubow – cicho zaśpiewał Hanoi. – Żiwjot wa mnje, garit wa mnje[3].

Zara tylko syknęła niecierpliwie.

Brnąc przez zasy, odbili na południe, zanurzyli się między zabudowania. W osłoniętych wąskich uliczkach wiatr był słabszy, ale i tak brnięcie przez gromadzący się od dwóch lat, nigdy nietopniejący śnieg, okazało się karkołomnym wyzwaniem dla dwójki niedożywionych, mieszkających w zimnym podziemiu nastolatków. Ale chociaż oboje byli szczupli i żyłaści, to trudy powojennego życia ich zahartowały. Dwa lata zmagania i walki sprawiły, że odważnie stawiali czoło koszarowi powierzchni, a prowadzona całe życie rywalizacja pozwoliła rodzeństwu zgrać się i dopasować tak, że funkcjonowali bez słów jako świetnie uzupełniający się zespół.

Zara wyciągnęła z zewnętrznej kieszeni złożony na czworo papier – uchowaną jakimś cudem przedwojenną „gazetkę” ze sklepu. Na dole strony wydrukowany był adres, zakreślony markerem. Tak samo zaznaczony został model wrotek, które mieli przynieść. Im więcej par, tym lepiej. Rozglądając się, przemykali ulicami. Mimo że dochodziło południe, wokół zalegał półmrok. Gęsta pokrywa chmur zasnuwała

niebo i przesłaniała słońce. Boczny wiatr zacinał poziomo, niosąc zmrożony, drobny śnieg, który próbował się wcisnąć pod gogle i pieczołowicie owinięte wokół twarzy szaliki. W pewnej chwili Hanoi poruszył niespokojnie głową, przystanął.

– Co jest, głąbie? – zapytała siostra, obracając się do niego.

– Zamknij się – syknął gwałtownie. Szybkim ruchem ściągnął kaptur z głowy, obrócił ją, nadstawiając uszu, lekko odchylając czapkę. Zara w lot pojęła, co się dzieje.

– Psy?

– Chyba cała wataha... – mruknął, rozglądając się. – Niedaleko.

Nie namyślając się wiele, dali nurka w pierwszy otwór po wyłamanych drzwiach, niknąc w mroku klatki schodowej. Błysnęła mała latarka i po chwili biegli po schodach, rozglądając się na boki. Szukali niesplądrowanego lokalu, gdzie można by się ukryć i zabarykadować. Dobięgli do czwartego piętra, nim udało im się znaleźć jakieś mieszkanie, którego drzwi nie padły łupem szperaczy – takie elementy były cenne, służyły za materiał budowlany, te metalowe stanowiły pod ziemią ściany, przejścia, te drewniane w najgorszym wypadku szły na opał. Zdołali wreszcie jednak trafić na pomieszczenie, prawdopodobnie celowo pozostawione jako kryjówka. Bliźnięta zamknęły drzwi i zabarykadowały je stojącą w pustym przedpokoju komodą, jakby specjalnie zostawioną w tym celu. Zara rozejrzała się i podeszła do okna, ostrożnie wyglądając przez wybite szyby.

Ulicą pędziła z wyciem wataha psów. Odkąd ludzie zniknęli z powierzchni, ich dawni najlepsi przyjaciele rozmnożyli się. Mimo morderczych warunków, odbierającego życie zimna, zwałów śniegu, a przede wszystkim zabójczego, niewidzialnego promieniowania – zwierzęta wydawały się radzić sobie świetnie. A nawet, na co zwracali ostatnio uwagę stalkerzy – lepiej niż dawniej. Nowe, zrodzone w śniegach atomowej zimy pokolenie psów zachowywało się inaczej. W ich zachowaniu, ich działaniu było coś odmiennego, dziwnego. Przystosowały się do zmienionego środowiska, zaadaptowały. W przeciwieństwie do ludzi, którzy, mimo że minęły już dwa lata, nadal żyli iluzją powrotu do świata sprzed bomb, psy poszły naprzód. Patrzyły w przyszłość i być może, stanowiły przyszłość. A kiedy watahy napotykały na powierzchni stalkerów, udowadniały, że równie dobrze może to być przyszłość bez ludzi.

Dwójka nastolatków dyskretnie zerkała przez okno, patrząc, jak

ulicą pod nimi przewalała się stado. Z wyciem i ujadaniem sfora psów przemknęła po czarnym śniegu, wiedzona łowieckim zewem. Zaskakujące było to, że biegły ku śródmieściu, które zwykle omijały, ze względu na częstą obecność uzbrojonych ludzi. Co je ciągnęło w tamtym kierunku, tego Zara i Hanoi nie wiedzieli. Wataha przebiegła i zniknęła za zakrętem, przez dłuższą chwilę jeszcze dochodziło ich ujadanie.

– Idziemy? – Dziewczyna spojrzała na brata. – Czy czekamy?

– Na co tu czekać? – Wzruszył ramionami. – Jakby co, to mam nóż.

Sięgnął pod kurtkę, wyciągając długi myśliwski nóż, który udało mu się kiedyś ukraść pijanemu wartownikowi po służbie.

– Jakby taki na mnie skoczył, nie? – Wykonał szybki zamach. – Tobym go jak taka nindza normalnie! Hadzia!

Ostrze zatoczyło łuk, aż Zara mimowolnie cofnęła się o pół kroku.

– Matoł – mruknęła i wystawiła głowę przez okno. – Lecimy, zanim znów się coś pojawi.

Nie czekając, wyszła z pokoju, złapała za masywną komodę.

– Będiesz tam stał?! – krzyknęła. W życiu nie poprosiłaby o pomoc. Hanoi szanował to, więc bez słowa podszedł i wspólnymi siłami odepchnęli komodę od drzwi. Wychodząc, zamknęli je na klamkę, aby pozostawić bezpieczną kryjówkę dla następnych poszukiwaczy. Zbiegli ze schodów i ostrożnie wystawili głowy na ulicę. Panował spokój, pod ołowianym niebem jedynie wiatr się poruszał. Wybiegli i truchtem skierowali się w dół ulicy.

Minęło sporo czasu, zanim udało im się odnaleźć poszukiwany sklep. Znajdował się w głębi, nieco z boku, w podwórzu. Był zamknięty, ale kilka mocnych uderzeń wygrzebanym spod śniegu betonowym śmietnikiem pozwoliło szybko rozprawić się z kłódkami i lekka krata zamykająca wejście opadła. Zara i Hanoi śpieszyli się – liczne psie tropy na śniegu dawały jasną odpowiedź na pytanie, dlaczego nikt dotąd nie splądrował tego podwórza. Ślady łap przecinały się we wszystkich kierunkach, wytopione w śniegu dziury po gorącym moczu otaczały podwórze i bramę. Woleli nie sprawdzać, co czai się w czarnych czeluściach powybijanych piwnicznych okienek.

Weszli do wnętrza ostrożnie, świecąc latarką. Szron pokrywał ściany i półki, na oknie wystawowym zastygły nacieki lodu. Gdyby

nie gruba na palec warstwa drobnego, unoszącego się chmurami przy każdym ruchu kurzu, sklep wyglądałby, jakby ktoś go dzień wcześniej zamknął na noc, a oni go rankiem otworzyli. Na półkach leżały sterty zgłiwiałych koszulek, pokryte nalotem zmarzniętej, martwej pleśni kurtki, oszronione, zalodzone buty. Wreszcie Zara dostrzegła to, po co przyszli. Na małym stojaku, w głębi, wisiały wrotki. Ich szaber, poszukiwany towar, przepustka do sławy. Oboje wiedzieli, że zlecenie dla zawodniczki nie musiało być dobrze płatne, żeby być prestiżowym. I chociaż Zara zaprotestowałaby, gdyby Hanoi ją o to zapytał, nie chodziło także o farby do włosów i babskie tajemnice.

Mieli po czternaście lat i świetnie wiedzieli, że stalkerem nie zostaje się ot tak sobie, za nic. Że najlepsi są najlepszymi nie dlatego, że mają sprzęt i broń, lecz ze względu na swoje umiejętności. Szybko przekopali się przez stertę wrotek – były w niezłym stanie, oblodzone, ale dzięki temu uniknęły pleśni, która zdążyła zniszczyć inne towary. Grzebali w pudłach, szukając odpowiedniej numeracji. Wkrótce, oboje obarczeni kilkoma parami, ostrożnie wychynęli na podwórze, na wszelki wypadek dokładnie zabezpieczając wejście postawioną na powrót kratą, którą Hanoi prowizorycznie przymocował wyniesioną ze sklepu linką do zabezpieczania rowerów. To miejsce mogło im zapewnić jeszcze wiele łupów.

We wnętrzu najbliższej piwnicy coś się poruszyło, przez rozbite okienko dobiegło niskie, gardłowe warczenie. Nie czekając, wypadli przez bramę i wyciągając nogi, pobiegli na północ. Dwie godziny później grzali się przy ognisku w hallu wejściowym Dworca Śródmieście. Wrotki bezpiecznie spoczywały w kiosku. Queenie Terrorino była umówiona na odbiór tego samego wieczora.

– Ej, głąbie... – zagadnęła Zara, wyciągając ręce do ognia i masując zgrabiałe palce.

– Co tam, wariatko? – odpysknął.

– Masz dobry słuch – odparła i pstryknęła go w ucho. Lekko, po przyjacielsku, ich tajnym umówionym sygnałem, który dla postronnych miał wyglądać na nieprzyjemny gest, lecz w rzeczywistości stanowił symbol porozumienia między rodzeństwem.

3 Ros. „Ach, to braterska, braterska, braterska, braterska miłość / Żyje we mnie, płonie we mnie”.



## W lesie

Czerwiec 2020



Poruczniku Dobrowolski, melduję posłusznie, że generał wydał zakaz dopuszczania was do wrót na bliżej niż dziesięć metrów. – Sierżant wyprężył się służbiście, strzelając dłońmi po szwach.

Wiktor jęknął głucho, przewracając oczami.

– Posłuchajcie mnie, sierżancie, skoro tacy jesteście, kurwa, służbowi – warknął. – Zakaz ten wydany został ponad pięć lat temu, pod koniec czerwca dwa tysiące piętnastego roku. A teraz mamy który?

– Melduję posłusznie, że lipiec dwa tysiące dwudziestego roku, panie poruczniku! – wciąż w postawie zasadniczej odparł sierżant, pilnie unikając kontaktu wzrokowego z oficerem.

– Otóż to! – Porucznik Dobrowolski wycelował w dowódcę warty palec, jakby chciał oskarżyć go o jakieś naruszenie. Podoficer pocił się i czerwienił, w duchu modląc się, aby wyższy stopniem poszedł sobie, zapadł się pod ziemię z nagłym hukem albo przynajmniej padł martwy, rażony gromem, który jakimś cudem przeniknął odporne na ładunki nuklearne stropy tajnego bunkra P-1138 w sieci NATO-Wschód.

– Otóż, właśnie, to! – powtórzył porucznik, wykonując gest, jakby chciał sierżanta dźgnąć w pierś, zreflektował się jednak w ostatniej chwili, że mogłoby to być, przy odrobinie zaledwie złej woli, potraktowane jako napaść na wartownika na posterunku.

Jęknął ciężko i pokręcił głową, jakby dziwił się sposobowi, w jaki urządzony jest świat. Jakby nie potrafił zrozumieć, czemu rzeczy mają taki, a nie inny porządek. W pewien sposób – tak właśnie było.

Początkowo, jeszcze w okresie trwania kwarantanny, próbował uciec z kompleksu, lecz skończyło się to długotrwałym aresztem. Nie powstrzymało to ambitnego żołnierza, podjął więc kolejną próbę, która zakończyła się równie sromotną klęską. Tym razem w celi spędził

kilkanaście miesięcy. Kiedy wyszedł, potrzebował dużo czasu, aby dojść do siebie, lecz nie porzucił nadziei. W jego sercu, zgnębionym regulaminowym i logicznym, lecz nadal dla niego samego niezrozumiałym i nieludzkim postępowaniem przełożonych, tliła się wciąż wiara, że jego rodzina jakimś cudem przetrwała. Liczył na tunele metra, na kilka rozsianych po całym mieście schronów, a czasem liczył po prostu na cud.

On sam przycisnął się, nauczony boleśnie dwukrotną porażką zacisnął zęby i czekał na stosowny moment. Kręcił się po P-1138, wykonując swoje obowiązki i dodatkowe zadania gorliwie i sumiennie, starając się nie wychylać. Kiedy jednak leżał pośród sztucznej, elektrycznej nocy na swojej pryczy i patrzył w betonowy, zimny sufit, miał ochotę wyć w głos, tłuc te nieczułe ściany pięściami, szarpać zębami pancerne, ogniotrwałe drzwi, pruć zakrzywionymi z wściekłości palcami kable w serwerowniach, których milcząco mrugające panelami komputery zamykały mu drogę na świat. Drogę na powierzchnię, do miasta i do bliskich.

I tak rozdarty między ojczyzną i służbą a tymi, których kochał, trwał Wiktor pod ziemią piąty rok.

Z przełożonymi nie odważył się mówić o tym, w szczególności unikał zupełnie towarzystwa generała Kulikowskiego, głównodowodzącego bunkra. Zebrał się jednak wreszcie na odwagę i zagadnął dowódcę warty, którego znał dość dobrze i którego dyskretnie wywołał z posterunku, aby zamienić z nim kilka słów.

– To było pięć lat temu – powiedział, próbując pochwycić wzrok tamtego.

– Rozkaz to jest rozkaz, panie poruczniku – odpowiedział cicho wartownik. – Wiktor, kurwa, idź stąd. Jak ktoś się dowie, to będziemy mieli obaj problemy. Proszę cię, na Boga w Trójcy jedyne, to nie jest czas na wpychanie kija w mrowisko. – Pierwszy raz podniósł wzrok na oficera.

– Dobrze, dziękuję, przepraszam. – Dobrowolski sztywno zasałutował, odwrócił się na pięcie i odmaszerował, stukając miarowo obcasami po posadzce. Sierżant odetchnął z ulgą i rozejrzał, aby upewnić się, że nie rozmawiali w zasięgu żadnej z kamer obejmujących swoim czujnym wzrokiem przedsiónek wartowni i służby, gdzie znajdowało się pomocnicze pomieszczenie zewnętrznych wrót – potężnej, pancernej konstrukcji, strzegącej wyjścia na powierzchnię, której ry-

gle od pięciu lat pozostawały zamknięte. Na zewnątrz, nad samymi wrotami, znajdowała się ruchoma płyta. Od chwili ogłoszenia alarmu znajdowała się w położeniu bojowym – przykrywała szczelnie podjazd do wrót tak, że na pierwszy rzut oka było to zwykłe, porośnięte krzakami zagłębienie. Na warstwie ziemi spoczywało teraz dodatkowo kilka metrów śniegu, otulających czujniki pomiarowe i ledwo sterczące nad powierzchnią, zamaskowane wśród martwych pni drzew anteny. Nic w tym miejscu nie miało prawa się zmienić bez wiedzy i zgody generała Kulikowskiego. Sierżant wzdrygnął się na myśl o tym, co by się stało, gdyby ktokolwiek dowiedział się, że postanowił nie meldować o wizycie Dobrowolskiego. Dobrze jednak rozumiał cierpienie porucznika, bo i on sam zostawił na powierzchni, w najprawdopodobniej bezpowrotnie spalonej polskiej stolicy rodziców, których wiek i stan zdrowia nie pozostawiał wątpliwości co do ich dalszych losów. Żołnierze w bazie wiedzieli, że cały rejon został skażony, przynajmniej w wyniku wtórnego opadu, bo sejsmometry nie zarejestrowały wstrząsów, które wskazywałyby na uderzenie głowicy nuklearnej. Czujniki mówiły za to także o śladowej obecności broni biologicznej i chemicznej, a to znaczyło, że jeżeli nawet miasto nadal istniało, nie zostało zmiecione z powierzchni ziemi wybuchem termojądrowym, to i tak jego mieszkańcy umarli w ciągu kilku pierwszych tygodni.

Porucznik Dobrowolski wiedział o tym świetnie, ale nadal wierzył, że ludzie przetrwali. Warszawa była miastem pomnikiem, miastem grobowcem, który z martwych się podnosił, unosił dumnie głowę i żył dalej. Wszystko to za sprawą bohaterstwa swoich mieszkańców, trwających nieprzejeźdnie na obywatelskim posterunku i toczących krew z żył nawet, gdy cyniczni ludzie twierdzili, że porządek panuje w Warszawie.

Od pamiętnej rozmowy z sierżantem, odbytej wiosną tego roku, minęło kilka miesięcy. Wiktor postawił wszystko na jedną kartę. Ułożył w głowie plan i zaczął przyjaźnić się z major Olech, zarządzającą wartami w kompleksie. Jeżeli ktokolwiek był w stanie przerzucić go na powierzchnię, to jedynie ona. I oczywiście Kulikowski, ale co do opinii generała na ten temat Wiktor Dobrowolski wyzbył się złudzeń lata wcześniej, gdy po pierwszej nieudanej próbie ucieczki przełożony kazał go „doprowadzić z użyciem środków przymusu bezpośredniego”. Major była jedną z nielicznych w P-1138 przedstawielek

płci pięknej. Nadreprezentacja mężczyzn pozwalała kobietom na w pewnym sensie naturalne, dodatkowe przywileje, gdyż żołnierze pozbawieni rodzin – czy to z powodu stanu kawalerskiego, czy ze względu na wojnę, która spowodowała, że ich świat skurczył się do objętości podziemnego kompleksu – zabiegali na różne sposoby o względy nielicznych żołnerek. Martyna nie należała w tym względzie do wyjątków, lecz korzystała z tych nieoczekiwanych korzyści oszczędnie, nie cedując na skorych do poświęceń kolegów ani obowiązków służbowych, ani zadań dodatkowych, jakie przyszło jej wypełniać. Szybko jednak doceniła towarzystwo porucznika, który dostrzegł nie tylko jej płeć i długie ciemne włosy, ale także bystry umysł i ciekawą osobowość.

Ta dwójka w ciągu kilku tygodni zaprzyjaźniła się, często spędzając wspólnie czas po służbie, czy to w kantynie, czy w podziemnym kasynie oficerskim, czy wreszcie – sporadycznie – we własnych kwaterach. Plotki na temat domniemanego statusu ich relacji błyskawicznie obiegały kompleks, ale oboje zdawali nic sobie nie robić z ludzkich języków. Major Martyna Olech cieszyła się z towarzystwa kolegi, który najwyraźniej nie postawił sobie za punkt honoru zaciągnięcia jej do łóżka, porucznik Wiktor Dobrowolski natomiast uczciwie i metodycznie zapracowywał na jej przyjaźń i zaufanie, często w duchu wyrzucając sobie, że jego pobudki nie są do końca tak czyste, jak by sobie tego życzył on sam lub jak by tego wymagał honor żołnierza polskiego. I chociaż w pierwszej chwili major interesowała go głównie ze względu na swoją funkcję, uprawnienia służbowe i możliwość dobrowolnego – lub nie – wsparcia jego dążeń i celów, to z czasem zaprzyjaźnili się prawdziwie.

Na nielicznych, wyczekiwanych przez cały personel bunkra seansach kinowych bywali wspólnie, chętnie potem oddając się niemającym końca rozmowom o swoich ulubionych projekcjach; w kantynie, jeśli pozwalał im na to grafik służb, siadali obok siebie, dyskutując i przekomarzając się; jedynie w czasie pełnienia obowiązków zajmowali się własnymi sprawami. Ona zarządzała bowiem grafikami i organizacją wart, on natomiast, ze względu na specjalizację, a także na obowiązujący nadal zakaz brania udziału w jakichkolwiek obowiązkach związanych ze światem zewnętrznym, odbywał służby w intendturze i w pionie administracyjnym, gdzie zarządzał ekipą remontową i technikami.

Mijały dni, regulowane sztucznym następstwem elektrycznego dnia i podziemnej nocy, naśladowującym wiernie upływ rzeczywistego czasu. Dni te przechodziły z wolna w tygodnie, potem w miesiące. Pani major i pan porucznik spowszednieli i przestali być obiektem bieżących dociekań, kiedy okazało się, że faktycznie ich relacja nie ma charakteru ani romantycznego, ani tym bardziej seksualnego. Niektórzy jedynie nadal kiwali ze zdziwieniem głową, nie mogąc dociec, jak to możliwe, że taka kobieta marnuje czas na zupełnie towarzyskie i platoniczne spotkania, chociaż mogłaby bez problemu zapewnić sobie towarzystwo dowolnego oficera – młodszego, ciekawszego lub lepiej umocowanego w hierarchii jednostki.

Sami zainteresowani nie robili sobie nic z tych dociekań, pojawiając się na seansach filmowych i popijając sporadycznie w kantine, gdzie pani major oszczędzała się, tłumacząc wstrzeźliwość słabą tolerancją alkoholu. Ten zresztą w miarę upływu lat stawał się faktycznie trunkiem, który wymagał mocnej głowy, a jeszcze lepiej – wytrzymałego żołądka. W P-1138 były oczywiście zgromadzone pewne zapasy przedwojennej wódki, brandy i piwa, lecz szybko stopniały. Ten ostatni napitek zniknął jako pierwszy z karty alkoholi w kantine dla żołnierzy, a potem także w klubie oficerskim. Minęły miesiące i również przedwojenne wódki stały się wspomnieniem, ustępując miejsca lokalnie pędzonemu bimbrowi. Generał Kulikowski przemykał oko na cały proceder, zezwalając poza regulaminem na dostarczanie samogonu do barów podziemnego kompleksu, wychodząc z założenia, że lepiej kontrolować produkcję, niż zakazać jej i zmagać się z polską pomysłowością i uporczywością, która bez wątpienia nie dopuściłaby pustki w tak ważnym segmencie żołnierskiego życia. Zaraz też domorośli gorzelnicy, którzy swoją wiedzę do koszar przynieśli z domów rodzinnych, z czasów sprzed trzeciej wojny światowej, zaczęli uatrakcyjniać produkty, tworząc nowe kombinacje smakowe, jakościowe i ścigając się w destylacji co ciekawszych alkoholi.

Tego wieczora siedzieli oboje w rogu kantyny oficerskiej, nisko sklepionego, dość rozległego pomieszczenia, znajdującego się niedaleko centralnych tras komunikacyjnych kompleksu na jednym ze środkowych poziomów. Major Olech z większym niż zwykle ożywieniem rozprawiała o swoich przygodach w czasach studiów oficerskich. Dobrowolski słuchał uważnie, dyskretnie i nienachalnie dolewając jej co jakiś czas do kryształowej szklanki, jednej z topniejącego

powoli zapasu pięknych, przedwojennych rzeczy, które przypominały szczęśliwe chwile sprzed uderzenia bomb. Dzień i wieczór był niezwykły, bo mijała właśnie piąta rocznica dnia, kiedy generał Kulikowski zarządził kwarantannę i nakazał zabezpieczenie zaryglowanych wrót, które automatycznie zamknęły się, gdy tylko pierwsze stacje satelitarne natowskiej sieci ostrzegania wykryły aktywność międzykontynentalnych rakiet balistycznych ponad atmosferą. Dla porucznika stało się dawno jasne, że pani major nie pomoże mu dowolnie uciec za wrota. Nigdy nie spytał jej wprost, ale z niedomówień i jej wypowiedzi wynikało jasno, że po dobroci się nie da. Wiktor zastanawiał się, czy siłą lub podstępem miał w ogóle jakiegokolwiek szanse.

Wokół nich, przy stolikach, rozprawiał i popijał tłum oficerów, wspominających swoje życie przez ostatnie pięć długich, ciężkich, mozolnych lat oraz, tak teraz pozornie odległe i nierealne, życie przed wybuchem wojny. W spowitej lekkim półmrokiem sali kasyna siedzieli prawie wszyscy, którzy nie pełnili tego dnia służby. Zawzięcie dyskutowano o zasadności przedłużającej się ponad miarę i rozsądek izolacji, a co odważniejsi lub co bardziej pijani głośno kwestionowali sens pozostawania w podziemnym kompleksie. Do polemiki z nimi stawali dzielnie w miarę możliwości i stopnia trzeźwości ci, którzy dowodzili, że po pięciu latach wyjście na powierzchnię jest już i tak pozbawione wszelkiego sensu, bo wszystko, co można było uratować lub co można było zrobić, należało robić w pierwszych miesiącach po wybuchu wojny.

– Chuj tam nocuje! – powiedział z przekonaniem pułkownik Drózdź, dawniej jeden z najbliższych współpracowników generała Kulikowskiego, odsunięty jednak od ważnych zadań i podejmowania decyzji ze względu na zbyt częste, w opinii głównodowodzącego, różnice poglądów z resztą sztabu. – Teraz to tam leży śnieg do pierwszego piętra i hula wiatr, nic się nie dzieje w tym smutnym jak pizda mieście! – perorował, wstając i przewracając mocno już sponiewierane krzesło.

– Siadaj, Daniel. – Ktoś przy stoliku pociągnął go silnie za rękaw, próbując pułkownika sprowadzić do parteru dosłownie i w przenośni. – Nie dość ci zgryzoty? Jak się stary dowie, że znów zaczynasz, to...

– No co?! – zaperzył się Drózdź – Co niby zrobi? Oddeleguje

mnie do nadzorowania kibli? Przynajmniej coś pożytecznego będę robił! – Zamachał rękoma, żeby dodać wagi swoim słowom.

– Siadajcie, panie pułkowniku – mitygował go inny oficer. – Teraz nie ma o czym gadać.

– Jasna cholera, pewnie, że nie ma! – wybuchnął tamten. – Było o czym gadać dzień po zamknięciu grodzi! Wtedy trzeba było iść, wtedy trzeba było ratować miasto i ludzi! A teraz? Co tam teraz zostało?! Gnoje ze sztabu pozwoliły spalić to miasto, zniszczyć, kamień na kamieniu... Nawet Niemcy nie byli tak cyniczni!

Szmer przebiegł wśród siedzących najbliżej. Porucznik Dobrowolski złapał panią major za rękaw i pociągnął ku sobie.

– Wychodzimy – powiedział ostro, niegłośnie.

Przy stoliku obok wstał jeden z poruczników, Gaździński. Jedno oko miał zasłonięte czarną łatką, zakrywającą pusty oczodół. Dobrowolski znał go przelotnie, wiedział, że tamten stracił oko w wypadku w zbrojowni.

– Niech pan sobie nie pozwala, panie pułkowniku – porucznik Gaździński w ostrych słowach zwrócił się do Drózdza, kładąc wymownym gestem dłoń na ramieniu starszego oficera.

– Tak właśnie jest – odparował tamten. – Wam się wydaje, młode wilki, że na tym polega patriotyzm? Że to jest służba Ojczyźnie?!

– Mnie się nic nie wydaje, pułkowniku. Ja jedynie słyszę, że pan w sposób niegodny honoru żołnierza polskiego ubliża swoim przełożonym – Gaździński podniósł głos. Zaszurały odsuwane krzesła, rozmowy wokół przycichły.

Dobrowolski złapał major Martynę pod łokieć, pomógł jej wstać, bo zachwiała się lekko, poddając się zbyt dużej jak dla niej dawce samogonu, jaki wypila tego wieczora z okazji smutnej rocznicy. Manewrując wprawnie między zbierającymi się oficerami, pociągnął ją w kierunku wyjścia.

– Co wy wiecie o patriotyzmie?! – doleciał go zdenerwowany, podniesiony głos pułkownika. – Gówno jesteście, a nie żołnierze, grzejecie dupska w piwnicy jak bojące się huków dział dzieci! Wam kury szczać prowadzić, a nie ojczyzny bronić!

– Pan plami swoim zachowaniem godność munduru! – rozległ się rozzłoszczony okrzyk. O podłogę stuknęło przewrócone krzesło.

– Ja ci zaraz, szczeniaku, pokażę godność munduru! – wściekle

ryknał rozjuszony Drózdź. – Nie będziesz mnie, gnoju, uczył, co to honor i co to ojczyzna!

Przy drzwiach rozległ się okrzyk, na korytarzu załomotały oddalające się kroki. Porucznik Dobrowolski wypadł z kantyny, w której zaczynało wrzeć. Oficerowie przepychali się ku centrum zbiegowiska, skąd dolatywały coraz wymyślniejsze wyzwiska i krzyki. Pociągnął major korytarzem, w kierunku kwater mieszkalnych. Gdzieś w głębi bocznego korytarza słyhać było podniesione głosy, potem rozległ się zwielokrotniony echem gwizd.

Oficer prowadził swoją koleżankę, która odpywała coraz bardziej. Poczł, że to jest ten moment, na który czekał. Rano jego towarzyska obudzi się nie tylko z bolącą głową, ale też z duzo większą szkodą – ujmą na honorze i poczuciem, że Wiktor zdradził i wykorzystał ich przyjaźń. On jednak nie mógł czekać na lepszą okazję, bo ta mogła się nie powtórzyć. Nie bacząc na protesty, zaprowadził ją do swojej kwatery. Delikatnie ułożył panią major na pryczy i zaczął ją obszukiwać, metodycznie, starannie.

– Wiktor, do diabła, gdzie z tymi łapami. – Odepchnęła go, odpywając powoli i tracąc kontakt z rzeczywistością.

Sam Dobrowolski też był podpity, lecz zadbał, żeby w jego szklance był trunek słabszy i rozwodniony, podczas gdy przyjaciółkę spoił nierozcieńczanym bimbrem.

– Wiktor, przestań, gdzie z łapami. – Starala się złapać obszukując ją ręce. – Ty masz żonę...

– Wiem, mam żonę. Mam żonę i małego synka, dlatego muszę to zrobić – wyszeptał, rozpinając jej bluzę munduru.

– Jesteś okropny – wymamrotała, a oczy uciekły jej w głąb cza-szki.

– Przepraszam cię, Martyna. To nic osobistego.

Szybkim ruchem rozchylił poły i przeszukał wewnętrzne kieszenie, wreszcie znajdując to, czego potrzebował. Przepustka, upoważniająca do wydawania poleceń służbie wartowniczej. Przepustka upoważniająca do otwarcia wrót. Bilet do wolności.

Delikatnie ułożył nieprzytomną panią major na pryczy, poprawił jej mundur, zapiął guziki bluzy, aby w niczym nie uchybić jej godności i nie dać powodu do plotek.

– Przepraszam cię, ale musiałem – wyszeptał. – Stawką jest moje życie i moja rodzina.



Spod pryczy wyszarpnął dobrze dopasowaną deskę, uklęknął na posadzce i wy dobył z niej zawinięty w brezent pakunek. Rozwinął go, wysypując na podłogę strój ochronny, wyposażenie i dodatkową broń. W kilkadziesiąt sekund był już ubrany, osprzęt i strój ukrył pod zwykłym wojskowym płaszczem.

Sięgnął do wewnętrznego telefonu, ściągnął luźno tylko zamocowaną płytkę spodnią i szybkimi ruchami zakręcił na stykach dodatkowe, sterczące luźno kable.

Porucznik Dobrowolski niczego nie zaniedbał, przez długie tygodnie przygotowywał się do tej chwili. Jednym z elementów planu było wykonanie dodatkowego, redundantnego obwodu, przemyślnie doprowadzonego do centrali telefonicznej. Wbił numer. Piętro wyżej, na dyżurce bramy numer trzy zabłysło światło połączenia. To było dodatkowe, awaryjne wyjście, znajdujące się z boku kompleksu, z dala od głównej bramy. Procedury nie przewidywały jego użycia, bo było małe i nie pozwalało na wyprowadzenie sprzętu, a jego przepustowość nie nadawała się dla dużej ilości personelu. Miało też jeszcze jedną ważną cechę – plik w systemie komputerowym bazy, odpowiedzialny za kontrolę obwodu otwierającego te wrota, był od kilku tygodni uszkodzony. Proces w jądrze systemu sygnalizujący stan przełączników zawiesił się i nieprzerwanie pokazywał, że wszystkie obwody są zamknięte. Nawet gdyby w rzeczywistości miało być inaczej. Dobrowolski zadbał o to, układając się z zaufanym informatykiem. Nie on jeden uważał, że przymusowe pozostanie wojska w kompleksie było pozbawione logiki i sprzeczne z sensem istnienia armii. Zresztą takich jak on było wielu, czego dowodziła awantura w kasynie oficerskim. O tak, los nie mógł mu bardziej sprzyjać. Zamieszanie powinno odciągnąć uwagę.

W słuchawce wewnętrznego telefonu odezwał się sygnał i zameldował się dowódca zmiany warty.

– Mówi major Martyna Olech. – Oficer osłonił słuchawkę dłonią, aby stłumić głos, i próbował nadać swoim słowom odpowiednią modulację.

– Sierżant Hermaszewski, melduję się na rozkaz! – rozległo się po drugiej stronie.

– Będę na posterunku w ciągu najbliższych trzech minut. Z rozkazu generała Kulikowskiego przygotować się do wypuszczenia mnie na zewnątrz. Wszelkie rozkazy będę miała przy sobie. Rozkaz jest

ściśle tajny i zostanie zweryfikowany niezwłocznie przez samego generała.

– Tak jest! – wymamrotał zaskoczony sierżant.

– Rozkazuję zachować polecenie w całkowitej tajemnicy, również w stosunku do obecnych na służbie żołnierzy, czy to jasne?!

– Tak jest, pani major! Zrozumiałem!

Nie czekając, Dobrowolski rzucił słuchawkę. Ostatni raz spojrzął na nieprzytomną kobietę.

– Wybacz – szepnął i wyszedł, zatrząskując za sobą drzwi. Przemknął korytarzem. Z dala, od strony kasyna oficerskiego, dobiegały krzyki i natarczywe gwizdy. Wyglądało na to, że do akcji włączyła się pełną parą żandarmeria. Porucznik spojrzął na zegarek – od rozpoczęcia awantury nie minęło więcej niż pięć minut. Szczęście mu sprzyjało. Biegając, naciągał rękawice, dopinał oporządzenie, poprawiał kombinezon ochronny.

Zatrzymał się za rogiem, tuż przed wejściem na wartownię. Naciągnął na twarz maskę. Wybrał specjalnie taką, która miała osobne okulary zamiast dużego wizjera. To powinno uniemożliwić rozpoznanie go przez wartowników. Z wewnętrznej kieszeni płaszcza wyciągnął foliową kopertę, zalepioną pieczęcią. Na zewnętrznej stronie widniały napisy i pieczęcie oznaczające najwyższą klauzulę tajności. Bezceremonialnie wkroczył na posterunek, z hukiem otwierając drzwi.

– Otwieraj wrota – zażądał, podchodząc do dowódcy warty pewnym krokiem. – Szybciej, jeśli ci miła służba. Na terenie kompleksu wybuchł bunt, który tłumi właśnie żandarmeria!

Oniemiały sierżant Hermaszewski zamachał rękami.

– Tak nie można, pani major! – zaprotestował słabo.

– Otwieraj, na Boga, w imię Polski! Chyba nie chcesz trafić pod sąd polowy za niewykonanie rozkazu! – porucznik podniósł głos, starając się nadać mu wyższe tony. Nagły wyrzut adrenaliny pomógł mu w tym, sprawiając, że okrzyk zabrzmiał piskliwie. – To jest rozkaz bojowy! – Wyciągnął z zewnętrznej kabury na kombinezonie pistolet, odbezpieczył i wycelował w dowódcę warty.

– Ale... rozkazy... – zaprotestował tamten.

– Sprawdzisz je, gdy wyjdę, nie ma czasu na procedury! – Dobrowolski nachylił się nad cofającym się sierżantem, który w zamieszaniu nie zwrócił uwagi na fakt, że major Olech powinna być niższa.

Kombinezon i płaszcz ukryły różnicę postury.

– Tak jest! – wrzasnął Hermaszewski i obrócił się ku konsoli. Kopertę z „rozkazami” rzucił drugiemu wartownikowi. – Otwieraj i czytaj! – rozkazał. – Pani major, proszę wejść do służby! – polecił.

Dobrowolski, gotując się w środku, przesunął kartą prawdziwej major przez czytnik. Drzwi zaskoczyły i zapaliło się zielone światło.

– Proszę dłoń – zarządził sierżant.

– Nie ma czasu na zabawy, matole, mam kombinezon. – Oficer nawet się nie odwrócił. – To jest awaryjna procedura, pośpiesz się, idioto, bo każę cię zamknąć na rok w anclu jak tego porucznika!

Groźba podziałała, sierżant Hermaszewski, jak zresztą cała załoga, znał historię porucznika, który złamał rozkaz generała Kulikowskiego.

– Tak jest! – wrzasnął służbiście, na panelu biometrycznym zabłysło zielone światło. Mrugnęła żółta lampa ostrzegawcza nad drzwiami, trzasnęły rygle, zaszumiały serwomotory i wrota zaczęły się uchylać. Pocąc się jak mysz w kombinezonie ochronnym i gumowej masce, Dobrowolski wcisnął się do wnętrza służby, gdy tylko zewnętrzne drzwi uchyliły się na tyle, że mógł się przecisnąć przez szparę.

– Zamykaj służę, otwieraj wrota – krzyknął jeszcze. Zaszumiała sprężarka i drzwi zaczęły się powoli zamykać. Dla porucznika obserwowanie ich powolnego ruchu było jak tortura, sekundy wlekły się w nieskończoność, czas jakby się zatrzymał. Nawet gdy stali i patrzyli na ekrany w sali odpraw tamtego feralnego dnia, kiedy kwiaty eksplozji wykwitwały na mapie świata nieskończenie wolno i mozolnie, nawet wtedy czas zdawał się biec szybciej.

Nie czekając, aż wszystko się zawali, a szczęście się od niego odwróci, podbiegł do drugich wrót służby i szarpnął wajchę otwierania. Za jego plecami stuknął metal i pierwsze drzwi się domknęły. Zagrał werbel zatraskujących się rygli. Po sekundzie, która wydawała się dziesięcioleciem, błysnęła pomarańczowa lampa nad drugimi drzwiami, wypełniając niewielkie pomieszczenie falą jaskrawych rozbłysków. Dobrowolski obejrzał się, przez małe okienko pancerne dostrzegł wewnątrz dyżurki. Sierżant pochylony przy konsoli coś mówił, drugi wartownik nadal zmagął się z foliową kopertą, w drzwiach pojawił się trzeci żołnierz. Nie oglądając się więcej za siebie, zbieg przecisnął się przez nieskończenie wolno otwierającą się szparę służby,

obrócił i zrywając plombę, zatrzasnął przełącznik. Drzwi zadygotały i zatrzymały się, a przedsiónek wypełniły czerwone światło i modulowany dźwięk syreny ostrzegawczej.

– Szybciej, do ciężkiej cholery! – Oficer napał ramieniem na zamykające się odrzwia grodzi, jakby wierzył, że przyspieszy w ten sposób ich zółwi, mechaniczny ruch. – Szybciej, na bogów tego światła, szybciej! – zaklinał potęgi, które pozwoliły zabić ludzkość, ale może dla jednego zdesperowanego ojca i męża będą gotowe zrobić wyjątek.

Najwidoczniej ktoś w jakimś panteonie przychylił się do błagań desperata, bo wewnętrzne drzwi śluzy stuknęły wreszcie o mocarną futrynę, znów zagrały sworznie, a błyskające światło zmieniło się w ciągłe. Syrena wyła teraz opadającym i wznoszącym się, zawodzącym sygnałem. Drgnęły wrota w przeciwległej ścianie i zaczęły się unosić nieskończenie wolno. Szczelina między pancerną płytą a podłogą początkowo miała grubość włosa, potem palca. Szum zastałych siłowników hydraulicznych zdawał się zagłuszać syrenę, lecz porucznik Dobrowolski słyszał jedynie łoskot krwi, pędzącej jak oszalą, gnanej sercem, które omal nie wytlukło mu się z piersi.

Szpara między grodzią a posadzką miała już kilkanaście centymetrów, już dwadzieścia, rozszerzała się w niewyobrażalnie wolnym tempie, kiedy on tłukł pięściami w zimny metal. Spod wrót zaczął się sypać szary, brudny śnieg. W dyżurce, za dwiema parami atomowych grodzi wartownik rozdarł wreszcie foliową kopertę z rozkazami. Papiery wysypały się na podłogę.

– Pozbieraj to, prędzej! – ostro skarcił go dowódca warty. Tamten opadł na kolana, zgarniając rozsypane zadrukowane kartki. Podniósł je do oczu. Zbladł i poczuł, że robi mu się słabo.

– Panie sierżancie – powiedział ochryplym głosem – melduję, że jesteśmy w strasznej dupie.

Uniósł rozłożone w wachlarz kartki, które miały być tajnymi rozkazami. Były to zadrukowane z obu stron spisy dań z oficerskiej kantyny, złożone i ostemplowane na czerwono.

– Ożeż ty... – zaczął sierżant Hermaszewski, blednąc i czerwieniąc się na przemian. Rzucił się na powrót do konsoli, próbując przerwać procedurę.

Dobrowolski na kolanach wciskał się w powiększającą się przerwę pod drzwiami, rękoma zagarniając śnieg do wnętrza śluzy.

Jak obłąkany maniak rył norę w kilkumetrowej, zmarzniętej pokrywie, zagłębiając się w nawarstwiony latami brudny puch. Usłyszał łoskot, kiedy gródź z mozołem zatrzymała się, i wycie sprężarek, kiedy tłoki zaczęły pracować w przeciwnym kierunku. Jak szalony odpychał za siebie zwały śniegu, na kolanach pnąc się w górę, byle dalej od śluzy. Wreszcie uderzył pięścią w zlodowaciałą pokrywę. Ciosem rozbił lodoszreń i zaczął gramolić się w górę. Za nim zazgrzytały wrota, rozcierając w pył śnieg nagarnięty do wnętrza śluzy. Porucznik, z sercem bijącym jak młot parowy, wyczołgał się na powierzchnię, odepchnął i jak wariat zaczął ślizgać się, byle dalej od całkiem zasypanego wyjścia. Nie patrzył, dokąd się kieruje, jedynie pracując dłońmi i stopami, mknął po wysmaganym wichrami atomowej zimy lodzie jak pingwin po lodowcu, tracąc przyczepność, kręcąc się jak bąk i ślizgając bokiem. Kurczowymi haustami panicznie chwycił mroźne powietrze, przesączające się przez filtry maski, rozbieganymi oczami chłonął widok szaro-czarnej, lodowej pustyni, pokrytej radioaktywnym śniegiem i usianej sterczącymi gdzieniegdzie kikutami martwych drzew. Był wolny, a przynajmniej uczynił pierwszy krok na drodze ku wolności. Wyhamował na pniu, podciągnął się w górę i chybotliwym krokiem, upadając co kilkanaście metrów, lecz podnosząc się znowu, pobiegł w kierunku, który ukryty w kieszeni kombinezonu kompas wskazywał jako południowy wschód. Biegł ku Warszawie, ku Glorii i ku Borysowi.

Na wartowni w tym czasie rozgrywało się piekło. Kable telefoniczne wytrzymały wprawdzie wrzaski, ale sierżant stał, trzymając słuchawkę kilkanaście centymetrów od ucha, bo generał Kulikowski, zawiadomiony natychmiast, gdy tylko zorientowali się w oszustwie, wrzeszczał jak opętany. Żandarmeria, postawiona na nogi z powodu awantury w kasynie, która zdążyła przerodzić się w ogólną bijatykę, dobijała się właśnie do kwater Dobrowolskiego i Olech. W tej drugiej nie zastali nikogo, za to odnaleźli panią major śpiącą na pryczy porucznika. W ciągu kilku zaledwie minut, jakich potrzebowała na przebiegnięcie z pomocą mocnych ramion żandarmów z kwater do sztabu, gdzie czekał Kulikowski, zdążyła całkiem otrzeźwieć. Pod nosem mamrotała wymyślne przekleństwa, których nie powstydzilby się żołnierz żadnej armii świata w żadnej sytuacji. Odetchnęła głęboko, otworzyła drzwi i stanęła na baczność zaraz za progiem.

– Panie generale, major Martyna Olech melduje się na rozkaz! –

powiedziała. Nie zdążyła dokończyć, bo wszystko zagłuszył potok wyrzaskiwanych na całe gardło bluzgów.

Porucznik Dobrowolski w tym czasie biegł, potykając się i ślizgając na zmrożonej pokrywie lodoszreni. Przemykał między drzewami, starając się utrzymać kierunek, licząc, że prędzej czy później dotrze do jakichś zabudowań. Jedyłą nadzieją było odsadzenie się najdalej jak to możliwe od bunkra, a potem ukrycie przed ewentualnym pościgiem. Nie miał wątpliwości, że generał nie pozwoli mu tak po prostu odejść. Nawet, jeśli w grę nie wchodziłyby sprawy między nimi dwoma, to puszczenie płazem dezercji nie było czymś, na co dowódca P-1138 mógł sobie pozwolić, szczególnie przy nie najlepszych nastrojach. Porucznik rozpędził się i rzucił na plecy, zjeżdżając w dół wyjątkowo wysokiej zasy, próbując po drodze omijać martwe, zlodowaciałe pnie, sterczące spod śniegu. Las zgęstniał, więc Dobrowolski poderwał się znów na nogi i zerkając na kompas, parł naprzód, przytrzymując się uschniętych drzew. Widoczność była kiepska, ciężkie, bure chmury zasnuwały dokładnie niebo, sprawiając, że wokół panował półmrok. Płuca zaczynały boleć od intensywnego wysiłku, podobnie nogi w ciężkich, masywnych butach, pod którymi chrzęścił głośno śnieg.

W oddali coś mignęło między drzewami, ale nie był pewien, czy po prostu nie zwidziało mu się coś w cieniach, zalegających martwy las. Po chwili jednak dojrzał znów jakiś ruch. Instynktownie odbił w bok, starając się odsadzić od tego, co mogło się w mrocznym, martwym lesie znajdować w takim miejscu i w takim czasie. W pewnej chwili jego krew zmroziło dobiegające z tamtego kierunku wycie. Długa, jakby jękliwa skarga poniosła się po lesie, chwilę jeszcze trwało echo i wszystko na powrót umilkło, jedynie trzask pękającego pod stopami biegnącego mężczyzny lodu niósł się daleko między suchymi pniami. A potem z drugiej strony odezwało się kolejne wycie. Potem następne dołączyło z przeciwnej. Aż wreszcie trzeci skowyt rozległ się z kierunku, w którym Wiktor Dobrowolski zmierzał, i oficer zobaczył między drzewami niewyraźne, zamazane cienie, zdające się go okrążyć.

Sięgnął do kabury i nie zwalniając, wyciągnął i odbezpieczył pistolet. Obejrzał się; teraz także za plecami miał przysadziste, kluczące między drzewami sylwetki, niskie bure ciała, zlewające się z szarością śniegu, widoczne tylko ze względu na ruch. Przez głowę przemknęła

mu myśl o wilkach, potem uświadomił sobie, że prędzej będą to zdzi-  
czale psy, których w Kampinosie pełno było przed wojną, a z którymi  
władze parku narodowego nie mogły dać sobie rady. Przymknął oczy i  
biegł naprzód, bojąc się, że płuca zaraz mu eksplodują. Czuł gorycz  
porażki, właśnie teraz, kiedy wreszcie udało mu się uciec z klatki,  
miał paść ofiarą polowania. Kilkanaście metrów za plecami usłyszał  
warknięcie, z boku zaś ujadanie i wychudły, podobny do pająka bry-  
tan zaczął zabiegać mu drogę. Spomiędzy sterczących jak kikuty, po-  
szarzałych pni wysypała się sfora. Porucznik, niewiele myśląc, we-  
pchnął pistolet w kieszeń i skoczył na pierwszy z brzegu martwy pień,  
łapiąc z trudem za oblodzone, suche gałęzie. Pierwsza z nich trzasnęła  
pod jego ciężarem, ale dał radę podciągnąć się na drugiej ręce. Na  
moment zawisł, potem chwycił wolną dłońią kolejny szerniały kikut  
gałęzi i szarpnął się do góry, windując ciało poza zasięg psów.  
Ostrożniej już wybierał kolejne szczeble tej upiornej drabiny i parł w  
górze, słysząc tuż pod stopami kłapnięcie zębatej paszczy, kiedy jeden  
z kundli wyskoczył w górę nienaturalnie wysoko, próbując go dosię-  
gnąć. Dobrowolski obrócił się, wy dobył pistolet i wypalił prosto w  
najbliższego osobnika. Rozległ się bolesny skowyt, a reszta sfory rzu-  
ciła się na broczącego krwią pobratymca i w ciągu kilkunastu sekund  
rozdarła go na strzępy. Czarny śnieg zabarwiła buchająca na wszyst-  
kie strony krew. Oficer wypalił kolejny raz, i kolejny, i kolejny, kła-  
dąc trupem następne sztuki, ale stado wydawało się zupełnie tym nie  
przejmować, uczując na ciałach zabitych towarzyszy.

W pewnej chwili jeden z psów, wyraźnie większy i bardziej ży-  
lasty od pozostałych, uniósł w górę łeb i spojrzał na człowieka. Po-  
rucznik wzdrygnął się, widząc w jego ślepiach przeblysłk czegoś nie-  
naturalnego i dziwnego, zupełnie jakby zwierzę oceniało przeciwnika  
i ważyło szanse. Pies zaskowyczał krótko, przysiadł na zadzie, a na-  
stępnie dźwignął się niepewnie, stając na tylnych łapach jak tresowane  
zwierzę cyrkowe. Oparł przednie kończyny o pień i pokracznie wybi-  
jając się tylnymi, przywarł do martwego drzewa. Pazury zaszurały,  
drąc korę, kiedy dziwny czworonóg zaczął wspinać się w kierunku  
człowieka. Dobrowolski, jedną ręką przytrzymując się pnia, drugą  
ściągnął z pleców pistolet maszynowy i nie celując, puścił długą serię  
wprost w pokracznego mutanta. Kiedy rozszarpane kulami ciało opa-  
dło na ziemię, zaczął bez opamiętania strzelać do pozostałych psów,  
rzucających się na świeży łup. Nie kontrolując strachu i napięcia, za-

czął krzyczeć, aż stracił dech. Zachwiał się i musiał wypuścić z rąk pistolet, żeby przytrzymać się drzewa.

Spomiędzy drzew wynurzyło się jeszcze jedno zwierzę. Zewnątrz przypominało psa, lecz tylko z pozoru. Miało żyłaste ciało, oplecione węzłowatymi, nienaturalnymi mięśniami. Skóra pokryta była rzadką, parszywą sierścią. Przybysz poruszał się jak przedstawiciel naczelnych – wędrował na tylnych łapach, zgarbiony, podpierając się wyjątkowo długimi przednimi kończynami. Uniósł łeb i spojrzał prosto na człowieka, a potem szczeknął krótko. Reszta sfory niechętnie odsunęła się od pnia, cofając się krok za krokiem, z pałającymi oczami utkwionymi w zdobywcę, z obnażonymi kłami ociekającymi krwią. Dobrowolski zadrżał, czując lodowaty chłód wichru. Trzewia zacisnęły mu się ze strachu w twardą, splątaną kulę. Jak urzeczony patrzył na psiego mutanta, który uniósł się na tylnych łapach, wyprostował, odrzucił łeb do tyłu i zawył przeciągle.

Trzasnął strzał i łeb prowodyra rozpadł się na kawałki, rozchlapując krew. Spomiędzy drzew posypały się pociski, błyski wystrzałów oświetliły upiornym blaskiem scenę rzezi. Między pniami stali żołnierze, bez litości prując ogniem automatycznym do watahy znajdującej się wokół drzewa. Bolesny skowyt zagłuszał huk wystrzałów, kolejne sztuki padały w konwulsjach na powlekający się zamarzającą posoką lód szreni. W ciągu minuty stado leżało martwe. Jeden z żołnierzy wystąpił przed szereg, nie patrząc pod nogi, przeszedł po sterwie parującego mięsa, uniósł strzelbę do ramienia i wypalił. Porucznik poczuł bolesne ukłucie, kiedy igła przeszła przez kombinezon i utkwiała w udzie. Poczuł zawrót głowy, przed oczami zatańczyły mu barwne koła i runął w dół, lądując na szczycie ociekającej juchą jatki.

Silne ramiona chwyciły go pod pachy, twarde dłonie ścisnęły mocno i powlekły z powrotem w las. Nogami szurał po zlodowaciałym śniegu, obijał się o pniaki i wykroty, ale nie czuł już prawie nic. Patrzył tylko tępo w przesuwający się pod jego twarzą śnieg, przylepiający się do wizjera maski. Od wewnątrz pokryły ją kapiące bez kontroli łzy, które były jedynym wyrazem emocji targających porucznikiem. Poczuł, że wpada do głębszego wykrotu, silne ręce chwyciły go i przepchnęły przez wąskie drzwi, potem przytrzymały we wnętrzu śluzu. Ktoś zdarł mu maskę i szarpnął za ramiona, stawiając do pionu. Przed sobą porucznik Dobrowolski zobaczył czerwoną, spuchniętą ze wściekłości twarz Kulikowskiego. Słyszał wrzaski, ale nie zwracał na



nie najmniejszej uwagi

A kawałek dalej, za drzwiami wartowni, z rękami opartymi o biodra, stała major Olech. Jej wzrok był tak zimny, że mogłaby zawstydzić szalejącą na powierzchni atomową zimę. Wiktor przyjął uderzenie w twarz. Ostatnie, co poczuł, to lot ku szybko zbliżającej się posadzce.

## Natomiast pies

Grudzień, siódmy rok po Zagładzie



Natomiast pies... – zagadnął Hanoi, a następnie się zamyślił. Spojrzał na skulonego u jego stóp, rozbrojonego, przerażonego napastnika. – No właśnie, pies. Czy jebał cię kiedyś pies? – zapytał go rzeczowo, z powagą malującą się na twarzy. Zara wybuchnęła śmiechem, który odbił się echem między pokrytymi szronem ścianami.

– Że co? – Tamten odważył się unieść wzrok i popatrzeć prosto w lufę pistoletu. – Co ty gadasz?!

– Nic, nieważne. – Chłopak zaciągnął bezpiecznik i schował pistolet za pasek. Potem bez ostrzeżenia kopnął klęczącego prosto w twarz kolanem, pozbawiając go przytomności.

– No, już? – zapytała go siostra. – Masz zamiar się z nim tak babrać do jutra?

– Tak, tak – wzruszył ramionami – już się nie ciskaj, księżniczko. Już idziemy.

Prychnęła pogardliwie i skoczyła między ruiny. Brat wepchnął nieprzytomnemu knebel w usta i skoczył w ślad za nią, lądując w sięgającej kolan zaspie czarnego śniegu. Nie cierpiał tego. Starsza o kilka zaledwie minut, ale zawsze musiała pokazać, że ona rządzi i we wszystkim jest pierwsza. Ona pyskowała, ona załatwiała zlecenia, ona szła przodem na rajdach, czy były to zwykłe wyprawy po fanty, czy zwiad zlecony przez Radę Dworców, czy też specjalne zadania, jakie sporadycznie realizowali dla innych społeczności. Tym razem przyjęli to ostatnie ze zleceń.

Na Śródmieściu i Centralnej robiło się niespokojnie już od wielu tygodni. Fanatycy z Podziemnej Republiki Ludowej byli od zawsze skorzy do bitki i nigdy nie marnowali okazji, żeby ze zwiadowcami Słoików wdać się w pyskówkę albo łomotaninę, ale ostatnimi czasy rozbestwili się ponad miarę. W jaki sposób kilku starym, zatwardziałym komunistom udało się tę absurdalną ideologię zaszcześcić bandzie

młodych, brodatych i rozwrzeszczanych ludzi, tego nikt nie potrafił dociec. Faktem jednak było, że pokolenie niemające już szans pamiętać dokonań socjalizmu w Polsce zaadaptowało idee z ubiegłego, barbarzyńskiego stulecia i wdrażało je – jeśli nawet nie całkiem skutecznie – w trybie rewolucyjnym. Latem mijającego roku doszło do tego, że ani Bracia Mniejsi, ani Dworzanie nie pozwalali już swoim zbieraczom na samotne rajdy, lecz starali się wypuszczać ludzi w grupie. Wprawdzie komuniści nie należeli do najlepiej uzbrojonych, ale ich bandy, wyposażone we własnej roboty broń białą, wykutą w legendarnych kuźniach znajdujących się w warsztatach pod Pałacem Kultury i Nauki, bywali niebezpieczni. Szczególnie gdy chodzili w kupie. Dawniej zadowalali się osaczeniem innych stalkerów i pozbawianiem ich całego dobytku – nie tylko znalezionej chabaru, ale także wyposażenia – nazywając te bandyckie napaści akcjami ekspropriacyjnymi. Uzasadniali je, oczywiście, walką o wszechmiejską rewolucję i działaniem na rzecz szerokich mas uciśnionych, lecz dla wszystkich, prócz samych czerwonych, jasne było, że to tylko ideologiczne brednie. Nie zdarzyło się jeszcze chyba nigdy w historii długich, zimnych lat po Zagładzie, aby komunistyczny bojownik komuś cokolwiek dał. Wyjątkiem były sytuacje, również na poły legendarne, w których komuniści stawiali bimber tym, którzy dali się oczarować ich wynaturzonej, karykaturalnej ideologii.

Owszem, ideały socjalizmu i wspólnoty nie zostały całkowicie w metrze zapomniane, lecz ograniczały się do społeczności poszczególnych stacji lub wręcz węższych jeszcze grup. W Kryształowym Pałacu istniały kasty, pracujące na rzecz wspólnoty – jedni wychodzili z bronią na miasto, szabrować i zdobywać artefakty minionej ery, inni wertowali i porządkowali książki, przekopiuwując praktyczną wiedzę, ci, którzy biegli byli w rzemiośle – używali pracy swych rąk do wytwarzania dóbr. Każdy dawał wedle możliwości, a oczekiwał wedle potrzeb, chociaż druga część tej maksymy zaspokajana była raczej teoretycznie niż praktycznie.

W pewnego rodzaju komunie oazowej żył Święty Krzyż, gdzie rozmodleni wierni pracowali na chwałę Pana, swego Boga, o którym mówili, że nadejdzie, aby oddzielić plugawych od prawych; tych ostatnich powiedzie drabiną ponad powierzchnię, tych pierwszych zaś wdepcze w torowiska, aby pozostali na zawsze plugawymi. Oczywiście rzesze wiernych pracowały także na poczet kasty rządzącej, na

duchownych, których wkładem we wspólne dobro było głównie głoszenie boskich przykazań i ich egzekwowanie. Tym ostatnim zajmowali się także zbrojni apostołowie, którzy, podobnie jak bojownicy o wszechmiejską równość i sprawiedliwość, nie mieli oporów, żeby pogan i innych splugawionych grabić, nim wymierzyli im boskie miłosierdzie.

Podobno na północy, w Związku Młocińskim, panowały zasady równości i braterstwa, a członkowie elitarnych hufców Płomiennych Chorążych równi byli mianowanym z pospolitego wyboru naczelnikom stacji. Identycznie myśleli ludzie z Rond, gdzie na ONZ i Daszyńskim burmistrzów obierano w powszechnych, jawnych obradach, opieka nad słabszymi zaś stała na poziomie na tyle wysokim, na ile pozwalała sytuacja materialna sąsiadujących ze sobą społeczności z M2. W tym regionie czerwoni z Podziemnej Republiki Ludowej ścigali się o rząd dusz z misjonarzami Świętego Krzyża.

Odmienne reguły rządziły za to południem pierwszej linii i wschodem drugiej. To pierwsze opanowała Twierdza, rządzona silną ręką generała Groma, który zaprowadził tam porządek wkrótce po Zagładzie, izolując się od pozostałych mieszkańców stołecznej kolei podziemnej i utrzymując jedynie umiarkowane kontakty z innymi społecznościami rozsianymi skąpo po terenach Mokotowa, Ursynowa i dalszych. Tam panował kapitalizm, kult zaradności, pochwała sprawnego ciała i bystrego umysłu, lecz pod rządami silnej ręki każdy miał szansę znaleźć dla siebie miejsce, a sprawiedliwość społeczna stawiana była na miejscu może nie priorytetowym, ale nadal poczesnym.

Inaczej było po obu stronach Wisły, gdzie władzę niepodzielnie dzierżył Imperator. Nad tym, żeby w Imperium panował porządek, czuwały zastępy ubranych na czarno żołnierzy, tłumiących każdy objaw niezadowolenia, niedopuszczających do buntu i dbających, aby obcy nie szabrowali terenów powierzchni, leżących nad włościami Imperatora. To właśnie oni, pośrednio, byli winni obecności religijnych radykałów na stacji Świętokrzyska. Półtora roku wcześniej napadli i krwawo podbili stację Nowy Świat-Uniwersytet, przepędzając stamtąd resztki religijnej, niegroźnej wspólnoty. Diaspora Krzyża znalazła ciepły kąt na skrzyżowaniu linii, gdzie okopała się, zradykalizowała i szybko zaczęła sączyć jad, przejmując po jakimś czasie faktyczną władzę na stacji. Stamtąd wyciągnęła rękę po więcej. W tu-

nelach i na stacjach mówiono, jakoby Imperium nie nasyciło się jedną stacją i chciało zdobyć skrzyżowanie linii, a potem w krwawym pochodzie ruszyć dalej na zachód oraz na północ i południe.

Wieści takie, powtarzane początkowo niechętnie i z niedowierzaniem, w ostatnich miesiącach się nasiliły. Ich źródłem byli zakonnicy Krzyża, którzy jakoby mieli swych szpiegów w szeregach Czarnej Armii i wśród uciemieżonych mieszkańców Imperium. Nie oni jedni już je obecnie powtarzali, lecz także stalkerzy wszystkich stacji i społeczności, zapuszczający się na tereny między śródmieściem a Wisłą, skąd bezlitośnie ich przeganiano, a niektórych mordowano bez pardonu.

Z początkiem ostatniego miesiąca siódmego roku po Zagładzie na Dworzec Śródmieście przybył wysłannik rady. Zara i Hanoi obozowali na środkowym peronie, z rezygnacją czekając, aż będą mogli wrócić na swoją kwaterę. Choć od wybuchu wojny mieszkali kątem w kiosku, to King Bruce Lee stawał się z upływem czasu gospodarzem i współlokatorem coraz bardziej nieznośnym. Im więcej radioaktywnego śniegu pokrywało zamarznąłą powierzchnię Warszawy, tym bardziej świat kioskarza kurczył się do dwóch rzeczy – bimbru i jak sam je określał, dzierlatek.

– Ten tankbar mnie trzyma, ja muszę być blisko – podśpiewywał pod nosem, wracając o dowolnej porze i w dowolnym stanie, kiedy kolejny raz puszczały mu nerwy i nie mógł znieść już wiecznego podziemnego życia w mroku, zimnie i wilgoci. – Wyciągam damy spod opieki mamy. I małolaty spod opieki taty – nucił ochoczo, kusząc swoją pozycją i legendarnym lokum kolejną chętną na poprawę swego losu dziewczynę, która wierzyła, że przejmie władzę nad nadal szanowanym i obrotnym handlarzem, przez którego ręce przechodziły wciąż łupy dwójki wyśmienitych stalkerów, jakimi byli Zara i Hanoi.

Bliźnięta jednak coraz mniej chętnie korzystały z pośrednictwa Marcina i chociaż zaciągnięty u niego dług wdzięczności był nie do spłacenia, dorosła teraz dwójka częściej działała na własną rękę, kontaktując się ze zleceniodawcami bezpośrednio. Rada Dworców była jednym ze stałych źródeł dochodu rodzeństwa – wierchuszka Słoików nie narzekała na niedostatek tak bardzo, jak zwykli mieszkańcy i mogła sobie pozwolić na najmowanie najlepszych. Rodzeństwo ze Śródmieścia należało do najlepszych.

– Ej, Zara! – zagaił chudy mężczyzna w średnim wieku, o twa-

rzy poznaczonej brzydko wygojonymi bliznami, który podszedł do ich maleńkiego ogniska na peronie. Gotowali erzac kawy, wyprodukowany przez naukowców z Kryształowego i wymieszany z mizernymi resztkami kawy prawdziwej, której nadpleśniałą puszkę udało im się zdobyć na jednej z letnich wypraw.

– Czego, szmaciarzu? – odburknęła Zara. Wiedziała, że wysłannik rady jest drażliwy i nie powinna mu pyskować, ale wiedziała także, że ten nie pozwoli sobie, aby sprawy prywatne zaważyły na powadze jego urzędu. I na sprawności w jego sprawowaniu, której spadek mógłby spowodować, że na intratną posadę wskoczy ktoś, kto lepiej potrafi pertraktować z ludźmi.

– Pomylił cię kto kiedy z facetem? – zarechotał tamten, z wyraźną pogardą patrząc na jej strój, złożony z niedopasowanych sortów mundurowych, wyposażenia i lekkiej broni, który w połączeniu z krótko ściętymi włosami zupełnie przeczył kobiecości właścicielki.

– Nie, a ciebie? – odparła z ironicznym skrzywieniem ust. Mężczyzna zachnął się nerwowo, szczególnie że z żartu stalkerki zaśmiał się nie tylko jej głupi brat, ale także kilka rozłożonych obok osób, które usłyszały przytyk.

– Lepiej nie pyskuj, bo przyszedłem z robotą. – Pogroził jej palcem, stając w rozkroku i opierając dłoń na biodrze, żeby dodać sobie powagi.

– Lepiej nie pyskuj, bo ktoś inny skorzysta z naszych usług – odszczeknął Hanoi, nie zadając sobie nawet trudu uniesienia głowy, aby spojrzeć na rozmówcę.

– Z tobą nie gadam, matole! – odgryzł się tamten.

– Dziwnym nie jest – padła podszyta śmiechem odpowiedź – bo do tanga trzeba dwojga, a ja z tobą też nie gadam, ciecui na posyłki.

Wysłannik rady zagotował się. Brzydkie, szerokie blizny nabiegły mu purpurą, która po chwili rozlała się na całą twarz. Zamachał rękoma, jakby chciał przejść do rękoczynów, ale sapnął jedynie głośno i zrezygnował.

– Macie w tej chwili przyjść do siedziby rady! Czeka na was ważne zlecenie.

– Dobrze – kiwnęła głową Zara. – Przekaż przełożonym, że zara przyjdziemy. Tylko skończymy kawę.

Wysłannik wzdygnął się.

– Lepiej sobie nie pogrywaj! – Zacisnął pięść. – Bo się możesz

zdziwić. Zresztą ja cię jeszcze dorwę, dmuchawcu!

Zara uniosła brwi pytająco, po chwili podniosła oczy na mężczyznę.

– Że co? – Przechyliła głowę na bok, rozbawiona.

– Ja cię jeszcze dmuchnę, dmuchawcu! Zobaczysz! – obiecał tamten, pewny siebie.

– Chyba cię lochło! – Dziewczyna roześmiała się na całe gardło, zanosząc się perlistym, czystym śmiechem, który poszybował pod sklepienie dworca. Nie czekając na dalsze upokorzenia, wysłannik odwrócił się na pięcie i szybko zaczął się oddalać.

– Natychmiast! – krzyknął przez ramię. – Do rady, natychmiast, bo ktoś inny skorzysta!

– Gadaj zdrów! – zawołał za nim Hanoi i przelał ciemny, mętny płyn z małego emaliowanego garnuszka do dwóch metalowych kubków termicznych.

Mimo upływu lat plastikowe zakrętki nadal trzymały, a kubki spełniały swoje zadanie. Chłopak chwycił garnuszek niezgrabnie, ale nie chcąc uronić ani kropli, zagryzł zęby, czując, jak uszko parzy go w palce.

– Cholera, cholera, cholera, cholera! – wyrecytował, przelewając płyn i upuszczając puste naczynie na posadzkę, gdzie potoczyło się z brzękiem. Szybko złapał się za ucho, ściskając je sparzonymi palcami.

Jego bliźniaczka roześmiała się, stukając się w czoło na ten gest. Pokazał jej język.

– Nie ma się co rechotać, więdźmo! Ucho jest bardzo mocno ukrwione, krew odbiera ciepło i pomaga ostudzić oparzenie – wyjaśnił jej cierpliwie kolejny raz. – Tata mnie tego nauczył.

Zara spoważniała, posmutniała na chwilę na wspomnienie rodziców i domu, który utracili jako dzieci. Dyskretnie pociągnęła nosem, mrugnęła, żeby powstrzymać czającą się pod powieką zdradziecką łzę, i wstała.

– Dawaj, zobaczymy, co dziadowska rada od nas chce. Przyda nam się trochę ruchu i dobrze będzie też coś zarobić.

– Ta, bo ci dadzą zarobić te skąpe szczury akurat! – Hanoi szybko spakował ich rzeczy w podręczną torbę, chwycił kubek i gestem zaofiarował dogasające ognisko najbliższym sąsiadom. Ci skorzystali bez wahania.

Rada Dworców, w osobie pięciu starzejących się mężczyzn,

niekryjących swojego niezadowolenia z faktu, że muszą korzystać z usług młodzieży, przyjęła ich raczej chłodno.

– Gdyby nie to, że jakimś cudem waszej dwójce udaje się zawsze najlepiej i najszybciej załatwić pewne specyficzne zlecenia... – zaczął Morawski, nieformalny lider tego ciała.

– Bla, bla, bla. Nabierz wartkości, człowieku – zgasła marudzenie Zara.

– Nie no, czekaj, państwo radcostwo płacą nam za słuchanie swoich świątłych uwag – wciął się w rozmowę Hanoi.

– Ty też sobie daruj – stalkerka z kolei zgasła brata.

Lider rady uderzył dłonią w brudny, odrapany blat, który służył za stół prezydialny.

– Do jasnej cholery, żyjecie ze sobą jak pies z kotem, nie wiem, jak w ogóle funkcjonujecie, więc jeżeli nie macie na celu zniechęcić nas ostatecznie, to zamknijcie te wasze nastoletnie jadaczki i posłuchajcie, czego od was oczekujemy.

– Dobrze – przyznała mu rację dziewczyna. – Chętnie posłuchamy, co moglibyśmy dla was zrobić.

– Na pewno do szerokich mas dotarły już plotki o rzekomej wojnie, jaką szykuje Imperator...

Zara ziewnęła demonstracyjnie i usiadła po turecku na podłodze.

– Nie przeszkadzaj sobie i kontynuuj – stwierdziła krótko. Członkowie rady spiorunowali ją wzrokiem, ale żaden nie odważył się wyrazić otwarcie niezadowolenia, jakie wywołała jej postawa i brak szacunku.

– Ha, no i? – jej brat, siadając obok, od razu przeszedł do sedna. Morawski jakby nie zwrócił na niego uwagi i zaczął się drobiazgowo rozwodzić na kłopotliwą sytuacją, problemami z komunistami z Pałacu, niepokojami, jakie wywoływali misjonarze. A także, w swojej własnej opinii zgrabnie, wplótł w tę przydługą przemowę kłopotliwą sytuację z płatnościami, jakich od rady oczekiwali zwykle stalkerzy.

– Ty skończ wreszcie i powiedz, o co chodzi. Jeśli się zdecydujemy, połowa zapłaty z góry.

– Tak to nie będziemy rozmawiali – obruszył się jeden z członków rady.

– No to nie będziemy. – Zara wstała i pociągnęła brata za rękaw. – Idziemy, głąbie!

– Ej, chwila! Nie szarp mnie za kurtkę! – zaproponował chłopak.



– Mówiłem? Jak pies z kotem, kurwa, nie ma sensu marnować naszego czasu – warknął lider.

– Mariusz, daj spokój. Chcielibyśmy, abyście udali się na zwiad i zasięgnęli języka. Na terenach Imperium. – Jeden z pozostałych mężczyzn szybkim ruchem ręki zmitygował swoich kolegów.

Zara przystanęła. Znała go z widzenia. Rafał, jak mu było? Sala. Właśnie. Wyglądał jak krasnolud z gęstą, rudziejącą brodą. Biorąc pod uwagę, że mieszkali pod ziemią, to skojarzenie z krasnoludem było jak najbardziej na miejscu.

– Mam iść dać się zabić? – spytała z powątpiewaniem. – I jeszcze pozwolić młodszego brata zatłuc?

– To nie tak... – podjął znów radny Sala. – Po prostu musimy wiedzieć, co się dzieje. Czy oni się zbroją. Jakie są siły... Sama rozumiesz, wszyscy mówią o wojnie.

– Już nie szalej z tymi wszystkimi – burknął jeden z milczących dotąd radnych. – Faktem jest, że chcielibyśmy, abyście przesłuchali, oczywiście o ile to możliwe, kogoś z Imperium.

Bliźnięta zgodnie wybuchnęły gromkim śmiechem.

– Dobrze, w porządku. – Zara wciąż się uśmiechała, zwracając się do Sali. – Bierzemy to. Połowa z góry, a resztę nam zapłacicie, jeżeli uznacie zdobyte przez nas informacje za przydatne, umowa?

Brodacz poważnie pokiwał głową mimo nieśmiałych protestów Morawskiego.

– Tak, mamy zgodę co do tego – potwierdził. Reszta rady niechętnie przyznała mu rację.

– No to nindze idą w miasto – roześmiał się Hanoi. – A to o psach i kotach...

Bliźnięta opuściły siedzibę rady, nie czekając, aż ktoś zmieni zdanie. Zara, nie ociągając się, ruszyła do skarbcza, gdzie miała zamiar pobrać należność w wyposażeniu.

– No, co z tymi psami i kotami? – odparła, nie poświęcając jednak bratu zbyt dużo uwagi.

– No bo kot to wiesz, jaki jest? – zagaił tamten.

– Wiem – odburknęła.

– Natomiast pies...

– Zara – przerwała mu. – Nie teraz. Przyszliśmy po zapłatę za zlecenie dla rady!

Siedzący za zakratowanym okienkiem superintendent Centralnej

schylił się, aby lepiej jej się przyjrzeć. Poczwała, że nie będzie lekko...

W kilka godzin później byli już na skarpie wiślanej. Przeszli z dworca tunelem średnicowym i wyszli mało uczęszczanym przejściem ewakuacyjnym pod budynkiem dawnej giełdy, znajdującym się spory kawałek za ostatnimi mieszkalniami. Obsada posterunku patrzyła na nich z niechęcią, bo przerwali im libację. Bezpieczeństwo tego przejścia zasadzało się nie na dość swobodnie podchodzącej do obowiązków obsadzie, lecz na mocnych, wąskich drzwiach, o których mało kto wiedział. Z zewnątrz wyjście wyglądało na zawalone i gdyby ktoś nawet zapuścił się w dół schodów, nie miałyby szansy zorientować się, że do tunelu średnicowego faktycznie można się tamtędy dostać. Bliźnięta przemknęły się wkrótce w okolice stacji metra Powiśle. Zara należała na wybranie tego właśnie miejsca, bo było odludne, a co za tym idzie, należało się spodziewać, że patrole Imperium będą w tym miejscu słabsze i mniej intensywne. Przyczaili się w ruinach pobliskiego budynku i czekali.

– Co tam gadałeś o tych psach i kotach, matole? – zagadnęła brata.

– No właśnie – podjął chłopak przerwany w intendenturze wątek. – Kot to wiadomo. Małe to nawet do garnka, zresztą wredne.

– Zupełnie jak ty... – skomentowała.

– Chyba ty! – odparował. – Natomiast pies... Pies to co innego.

– Czekał – uciszyła go nagle szeptem.

Wychyliła się mocniej przez wybite okno, wypatrując czegoś w zapadającym zmroku. Hanoi wystawił głowę w ślad za nią.

– Weź się schowaj, głąbie. – Pchnęła go otwartą dłonią w pierś. – Dwóch. Zobaczymy, gdzie pójda, łajzy jedne czarne...

Cichaczem zeszli na poziom ulicy i przez okno na parterze wydostali się na śnieg. Cofnęli się w smugę cienia, zalegającą pod ścianą. Dwóch mężczyzn, gawędząc, zbliżało się niedbałym krokiem do bliźniaków. Jeden z nich ściągnął maskę i palił papierosa, wystawiając się na – widoczny z daleka – cel pod ciemnym, zasnutym chmurami niebem.

– A więc... – zaczęła Zara.

– Nie zaczyna się zdania od „a więc” – odpowiedział Hanoi.

– Ja załatwię tego z petem, a ty unieszkodliw tego w masce. Tylko ma być żywy.

Brat z powagą pokiwał głową, salutując żartobliwie. Schylił się i

zniknął w cieniach. Po chwili dostrzegła go nieco dalej, a kilka minut później jakaś niewyraźna sylwetka zamajaczyła za plecami wolno krocących Czarnych. Ten z papierosem odwrócił się, jakby coś usłyszał, ale nie poświęcił temu zbyt wiele uwagi.

– Twój pech – szepnęła Zara, przemykając się pod osłoną zwalanej ściany, którą musiał rozsadzić pęczniejący lód. Sięgnęła do paska po pistolet, sprawdzając położenie bezpiecznika. Nie przepadała za bronią palną, ale tym razem oboje uzbroili się jak na wojnę. W końcu wchodzili na tereny, które cieszyły się najgorszą sławą. Nadal jednak wołała polegać na bardziej dyskretnych sposobach radzenia sobie z przeciwnikiem, jako że byli zbyt blisko wyjść ze stacji i strzał z pewnością ściągnąłby im na głowy całą armię Imperatora w ciągu kilku chwil.

Przywarła do muru, zasłonięta zwisającą, wyrwaną z okna futryną, w której skrzyły się resztki szkła. Wstrzymała oddech, bo żołnierze byli już o kilkanaście metrów od niej. Przeniosła ciężar ciała na drugą nogę i gdy dostrzegła ruch po przeciwnej stronie zbliżającego się patrolu, a do jej uszu dobiegł chrzęst śniegu, głośniejszy niż kroki żołnierzy, wyskoczyła ze swojej kryjówki. Przed sobą widziała tylko jarzący się na pomarańczowo ognik papierosa, więc nie namyślając się wiele, zamachnęła się i rzuciła nożem, mając nadzieję, że Czarny nie będzie miał dobrze chronionej szyi. Rozległo się gardłowe charczenie, a zaraz potem odgłos ciężkiego uderzenia. Błyskawicznie dopadła żołnierza i ciosem ręki wbiła nóż aż po rękojeść. Drugi z imperialnych, nieprzytomny, zwałił się ciężko na śnieg.

Bez słowa bliźnięta chwyciły oba ciała i zaciągnęły je za róg. Trupa porzucili zaraz w najbliższej klatce schodowej, drugiego, u którego mieli zamiar zasięgnąć języka, przetaszczyli przez podwórze i wtargali na parter sąsiedniego domu. Hanoi bez słowa skrępował mu ręce na plecach oderwanym ze ściany, przeoczonym przez zbieraczy kablem. Potem silnym uderzeniem w twarz ocucił więźnia. Tamten zamrugał oczami i próbował krzyknąć, więc chłopak poprawił mu pięścią między oczy, pozbawiając na powrót przytomności. Dziewczyna jęknęła, litując się nad jego głupotą.

– Dobrze. – Stalkerka rozsiadła się wygodnie na kilku ceglach, kiedy wreszcie więzień na powrót oprzytomniał. – Jest sprawa. Jak znów będziesz darł ryja, to mój prędziutki brat wybije ci zęby.

Tamten, zbyt przerażony, aby wydobyć z siebie głos, pokiwał

energicznie głową na znak, że świetnie wszystko zrozumiał i gotów jest współpracować.

– Ile czasu trwa patrol na zewnątrz? – zapytała dziewczyna.

– Dwadzieścia minut – wykrztusił. Tryby w jego głowie obracały się powoli, ale słysząc głos, załapał, że ma do czynienia z kobietą. Drugi z napastników także ustępował mu wagą i wzrostem w stopniu znacznym. Szarpnął się z kolan, próbując wstać, i znów stracił przytomność, powalony połówką cegły. Zara jęknęła, rozczarowana.

Doprowadzenie pojmanego do stanu kooperacji zajęło im kilka minut. Dziewczyna przesłuchiwała go szybko, dopytując o liczebność armii, rozlokowanie, uzbrojenie. Była to rozmowa trudna, bo imperialny okazał się idiotą, w dodatku idiotą wyjątkowo kiepsko poinformowanym i chociaż, przynajmniej od pewnego momentu, starał się ofiarnie współpracować ze swoimi oprawcami, to jednak jego wiedza daleka była od imponującej. Ostatecznie jednak zadowolili się tym, co usłyszeli. A wynikało z tego, że w Imperium nikt nie szykuje się na żadną wojnę. W każdym razie nie bardziej niż kiedykolwiek. O spodziewanym rychłym ataku na zachód owszem, mówiono, ale powtarzano to od czasu aneksji stacji Nowy Świat, ale samych faktycznych ruchów w tej materii praktycznie nie było.

– W porządku – zawyrokowała wreszcie Zara – wierzę, że nic więcej nie wiesz. I że mnie nie okłamałeś, prawda?

Pojmany pokiwał głową. Na dany znak Hanoi szybko zakneblował więźnia.

– Daruję ci życie – powiedziała dziewczyna.

Tamten radośnie pokiwał głową. Po chwili jednak dotarło do niego, że przeciwnicy zaczynają się zbierać, najwyraźniej mając zamiar go zostawić w tym zrujnowanym mieszkaniu.

– Szybciej, za chwilę ktoś od nich się zorientuje, że patrol dawno powinien wrócić – Zara ponagliła brata.

– Chwila – poprosił tamten – jest jeszcze sprawa.

Szybkim ruchem wyciągnął imperialnemu knebel i uciszył zaczynający się potok błagalnych próśb uderzeniem otwartą dłonią.

– Kot czy pies? – zapytał kompletnie osłupiałego więźnia.

– Ja... Ten... Ale co?

– No bo widzisz, kot, wiadomo, żaden z tego pożytek, tylko szczury podjada – wyklarował mu stalker ze Śródmieścia.

– Ja... Nie rozumiem... – przyznał osłupiały imperialny.

– Natomiast pies... – zagadnął Hanoi, a następnie się zamyślił. Spojrzał na skulonego u jego stóp, rozbrojonego, przerażonego napastnika. Wyciągnął pistolet i odbezpieczył. – No właśnie, pies. Czy jebał cię kiedyś pies?

Zara wybuchnęła śmiechem, który odbił się echem między pokrytymi szronem ścianami.

– Że co? – Tamten odważył się unieść wzrok i popatrzeć prosto w lufę pistoletu. – Co ty gadasz?!

– Nic, nieważne. – Chłopak zaciągnął bezpiecznik i schował pistolet za pasek. Potem bez ostrzeżenia kopnął klęczącego prosto w twarz kolanem, pozbawiając go przytomności.

– No, już? – zapytała go siostra. – Masz zamiar się z nim tak babrać do jutra?

– Tak, tak – wzruszył ramionami – już się nie ciskaj, księżniczko. Już idziemy.

Prychnęła pogardliwie i skoczyła między ruiny. Brat wepchnął nieprzytomnemu knebel w usta i skoczył w ślad za nią, lądując w sięgającej kolan zaspie czarnego śniegu. Biegli ulicą, kryjąc się w cieniu budynków. Nadchodziła szybkimi krokami czarna, zimowa noc. Straszna, zabójcza noc powojennej Warszawy, gdzie ciemność zmieniała się w drapieżniki, psy chodziły na dwóch łapach, a powietrze zabijało, wsączając w płuca radioaktywny pył. Zdecydowali się jednak na powrót po powierzchni, żeby nie kluczyć w kierunku zejścia pod Giełdą. Zresztą, biorąc pod uwagę, w jakim stanie widzieli wartowników, wychodząc, wejście przez tamtejszy posterunek i tak zakrawało na cud. Łatwiej było podjąć ryzyko i ruszyć po powierzchni. Ostrożnie przemykali w kierunku domu. Przecięli przecznice, dopadli Alei Jerozolimskich, ukryli się w cieniu pierzei. Hanoi głośno wciągnął powietrze, kiedy zwolnili.

– Kondycja siada, co?

– Chyba tobie – sapnął głośno, nie pozwalając sobie na chwilę słabości. Wkrótce minęli rotundę, przebiegli przez zaśnieżone rondo i krawędzią Patelni pobiegli ku wyraźnemu już mimo pogłębiającej się ciemności budynkowi wejścia na Śródmieście.

– Trzeba go było dobić – rzuciła Zara. – Jeszcze znajdą i wypłają wszystko.

– A co niby? Że dostał bęcki od sam nie wie kogo?

– Imperialni nie będą pytać, pojedą wszystkim. No, ale w sumie

masz sporo racji. Zresztą pewnie coś już go zagryzło...

– Ech – westchnął głośno chłopak, ciesząc się w duchu z pochwały siostry. – Taka noc, zimna i ciemna.

A potem na całe gardło, czując się bezpiecznie w progu domu, zaśpiewał tęskną radziecką pieśń.

– Ja lublju etat gorad, no zima zdies' slizkam dlinna![4]

– Zamknij się, głąbie, bo zaraz coś wyskoczy! – roześmiała się Zara. Rozluźniona, zadowolona, nie biegła już, lecz szła lekkim, sprężystym krokiem ku wejściu, kiedy nagle mroźne, nocne powietrze rozdarł mrozący krew w żyłach nie ludzki krzyk. Dwójka stalkerów przypadła do ziemi, gdy przemknął nad nimi cień.

– Kurwa – wyrwało się dziewczynie – to musi być ta maskara z za zegara, o której ostatnio mówili! Wszystko przez ciebie, matole, bo ci się śpiewać zachciało!

Poderwała się na równe nogi. W tym momencie drugi wrzask rozdarł powietrze i cień spadł na dziewczynę. Coś ją chwyciło za kurtkę na plecach i poderwało w górę jak szmacianą lalkę. Jej przerażony, zupełnie pozbawiony godności wrzask rozległ się nad wejściem na dworzec. Hanoi z satysfakcją odnotował, że starsza siostra nie zawsze jest górą, przeładował i nie zastanawiając się nad tym, że może ją zwyczajnie zastrzelić, zaczął walić z pistoletu wprost w podrywający się w górę cień. Widocznie miał więcej szczęścia niż rozumu, bo istota zaskwirzyła boleśnie i wypuściła zdobycz, a następnie, ciężko robiąc skrzydłami i zataczając się, poderwała się wyżej. Wypuszczona ze szpon Zara runęła w dół z wysokości wielu metrów. Krzyk przerażenia przeszedł w bolesny skowyt, kiedy uderzyła o krawędź dachu, odbiła się i poleciała na śnieg u stóp wejścia.

Drzwi, za którymi znajdował się posterunek wejściowy, otworzyły się i wybiegło z nich dwóch wartowników, omiatając teren wzrokiem i lufami karabinów.

Hanoi już klęczał przy siostrze. Jej obie nogi wygięte były pod nienaturalnym kątem. Dziewczyna zdarła z twarzy ochronną chustę. Pod wizjerem narciarskich gogli błysnęły łzy.

– Ja cię, matole, zatłukę – warknęła przez zaciśnięte zęby. – Zabiję cię, ty zasrany śpiewaku, cholerny ruski rockmanie z dupy!

– Już, już, spokojnie, żyjesz, już, odleciał, postrzeliłem go! – mitygował ją młodszy brat. Silne ręce wartowników chwyciły ranną pod ramiona i pociągnęły po śniegu w kierunku metalowych, zabez-

pieczonych drzwi.

– Zabiję cię, matole! – wrzasnęła, kiedy przenosili ją przez posterunek.

– Do lazaretu, byle szybko, ma połamane nogi! – krzyczał chłopak, biegnąc za nimi, roztrącając wartowników. – Ratujcie moją siostrę!

– Zabiję cię, gnoju, jak chociaż raz w życiu jeszcze zaśpiewasz ruską piosenkę! – krzyknęła do niego, kiedy położyli ją na krawędzi schodów do podziemia. – Masz mi się nie pokazywać na oczy! Jestem na ciebie obrażona na całe życie!

Chłopak stał z opuszczonymi rękami, patrząc za nią, na poły wściekły na siebie, na poły rozbawiony obrotem spraw. A jednak dostała za swoje. Taka karma. Ściągnął gogle, przetarł twarz wilgotną, brudną rękawicą i powoli zszedł po schodach.

Oby tylko dobrze się zrosły, pomyślał.

– Ty, sztalkier – zawołał jeden z wartowników.

– No? Czego? – zapytał chłopak, przystając.

– Był tu ten szmaciarz od Słoików. Od rady, wiesz? No. To kazał, że jak wrócicie, to macie natychmiast przyjść i zdać raport.

– Ha, no i?

– No i nic! – odburknął wartownik. – Tak ci tylko mówię, nie? Jakbyś chciał wiedzieć.

– Aha, dzięki.

– Nie śpiesz się – dorzucił tamten, wyciągając tytoń i papier. – Rządzą się tu, Słoiki zasrane, jakby u siebie byli. Przyjezdna swołocz jedna. A przecież to my jesteśmy warszawiakami, no nie? – zapytał z dumą dźwięczącą w głosie.

– No, ja to jestem z Ursusa – przyznał mu rację Hanoi.

– A ja ze Starej Miłosnej. A tamten cały ich popychiel to z Łomży.

– Aha. A nie z Radomia?

– Jeden chuj. Siadaj – zaprosił wartownik. – Co będziesz tam lazał, kocha, to poczeka.

Stalker nie był pewien, czy mężczyzna ma na myśli Radę Dworców, czy jego siostrę, ale w gruncie rzeczy nie miało to większego znaczenia. Zara i tak nie chciała go teraz na pewno widzieć na oczy. A rada... A niech sobie czekają. Słoiki cholerne!

– Opowiedz lepiej, co tam się stało, co? – dopytywał się męż-

czynna. – Zegarowy was dopadł, mam rację?

Chłopak kiwnął głową i przysiadł na zdezelowanej, wymontowanej z peronu ławce, służącej za cały posterunek.

– Zegarowy. No.

– Żeby się tylko to plugastwo nie rozmnożyło... Wtedy byśmy mieli wszyscy przesrane.

4 Ros. „Kocham to miasto, lecz zima tu trwa zbyt długo”.



## Chłopiec z Pałacu

Marzec, ósmy rok po Zagładzie



Borys ziewnął, przeciągnął się i uderzył dłońmi o ściankę mieszkalni. Cóż, miejsce było towarem deficytowym. Powinien się cieszyć, że w ogóle ma gdzie spać, co jeść, że ma się gdzie ogrzać, co na siebie włożyć. Przynajmniej tak uważali dorośli, którzy zwykle nie zaniebdywali okazji, żeby mu o tym powiedzieć. Szczególnie kiedy jego niespokojna natura dawała o sobie znać i chłopak robił rzeczy, które niekoniecznie musiały się starszym podobać. Zwłaszcza pani Karolina, nauczycielka, starała się uzmysłwić mu sytuację, chociaż nigdy nie potrafiła długo się gniewać ani naprawdę złościć na tego małego sierotę.

No, nie takiego znów małego, pomyślał Borys. Dwanaście lat, z czego osiem pod ziemią. W zimnie, półmroku i bez wygod. W każdym razie on tak na to patrzył – podobno gdzie indziej mieli gorzej. Podobno Kryształowy Pałac to i tak był raj pod ziemią. Na dalekiej północy stacje były płytkie, woda podciekała, zimno dawało się we znaki. Zresztą na pobliskim Placu Konstytucji mieli goły beton i sterzące druty zbrojeniowe. To widział na własne oczy. Widział też kolonię Wietnamczyków na Raławickiej. No i raz jeden, ten jeden jedyny raz – widział prawdziwy świat.

Udało mu się uprosić fachowców idących do Twierdzy na zlecenie, żeby zabrali go chociaż kawałek. Niechętnie, ale ostatecznie się zgodzili, bo pomagał im nieść narzędzia. Zabrali go na południe, tam, gdzie rządził legendarny generał Grom. Żołnierz. Taki sam, jak jego ojciec.

Mogli wołać za nim, że jest sierotą, ale to nie była prawda. Borys miał ojca. Ojca, którego od chwili wybuchu wojny nie widział. Ojca, który w dniu Zagłady znajdował się na posterunku, bronił ojczyzny. Co do tego chłopak nie miał najmniejszych wątpliwości. Rzecz była jasna jak jarzeniowe lampy w warsztatach Kryształowego Pałacu. Porucznik Wiktor Dobrowolski był żołnierzem. I tylko święty

obowiązek sprawił, że dotąd nie mógł porzucić służby i wrócić do miasta po syna i żonę. Na pewno tak było!

Myśl o matce zasmuciła Borysa na chwilę. Tak, matki nie miał. Już nie miał. Gloria zniosła go do metra i w pierwszych latach opiekowała się nim ofiarnie i z oddaniem. Dbała, by chłopiec był nakarmiony, by miał ciepłe ubrania, dobre buty. Każdego wieczora czytała mu książki, wydając ciężko zdobyty zarobek na baterie do latarki. Chciała, żeby jej mały rudowłosy smyk wyrósł na porządnego, bystrego, dobrze ułożonego mężczyznę. Spieszyła się, czując, że sama może nie doczekać tej chwili, gdy chłopiec osiągnie dojrzałość.

Początkowo Borys nie dostrzegał oznak tego, że Gloria po prostu gaśnie.

– Zjedz, mamó! – Podsuwał jej talerz z letnią zupą, którą gotowała sam nie wiedział z czego. W ciągu sztucznego, elektrycznego dnia bawił się na peronie z innymi dziećmi, pod okiem jednej ze starszych dziewcząt. On, jego koledzy i koleżanki. Matka pracowała w bibliotece, segregowała książki, kopiowała i zaznaczała fragmenty, osuszała zniszczone przez mróz i wodę egzemplarze, zabezpieczała instrukcje i poradniki tak, aby mogli korzystać z nich inżynierowie i rzemieślnicy. Czasem, rzadko, zabierała go ze sobą w te oddzielające Pole Mokotowskie od Politechniki tunele. Był wtedy szczęśliwy, mogąc biegać i wędrować między półkami, wodzić dłonią po zaroszonych tubingach, zapuszczać się daleko, aż do wentylatorni szlakowej, skąd wyganiał go wartownicy. Czasem jednak, gdy mieli dobry humor, pozwalali mu wejść na górę, dotknąć drzwi oddzielających bezpieczny, zamknięty świat warszawskiego metra od powierzchni.

Powierzchnia rozpaliała jego wyobraźnię. Kogo mógł, pytał o nią.

– Jak tam jest? – nagabywał wartowników.

– Chujowo – odparł kiedyś jeden z nich.

Borys nie zrozumiał.

– Źle. Do niczego. Tam jest gorzej niż na Konstytucji – wyjaśnił mężczyzna. Chłopak wpatrywał się w niego jak urzeczony. Wartownik miał na sobie kurtę mundurową, grubą, ciepłą, z pikowaną podpinką. Na ramionach pyszniły się nieco może spłowiałe, ale nienaganne czyste polskie flagi. Ciężkie, skórzane buty na pewno były bardzo wygodne i bardzo ciepłe. I tak bardzo męskie...

A nade wszystko wartownik miał jeszcze dwie rzeczy, których

chłopiec pożałował bardziej niż czegokolwiek na świecie. Miał pistolet i prawo otwierania drzwi na zewnątrz. Pistolet to był wysłużony policyjny wanad, spracowany, ale nadal sprawny. Kiedy chłopiec pierwszy raz uprosił wartownika, aby mógł go dotknąć, to było lepsze niż urodziny. Z fascynacją wodził opuszkami palców po zimnej metalowej powierzchni, dotykał z namaszczeniem rękojeści obłożonej tworzywem. Z czasem, gdy chłopiec i mężczyzna się zaprzyjaźnili, tamten nauczył dziecko budowy pistoletu. Siedział, ćmiąc papierosa, i patrzył, jak rudowłosy niespokojny duch wprawnie rozbiera konstrukcję, czyści, ładuje i rozładowuje naboje. Borys był wniebowzięty.

Broń była jedną sprawą, lecz drzwi na powierzchnię – to było coś zupełnie innego. Chociaż obsada warty pozwalała mu czasem do nich podejść, a nawet przyłożyć ucho i słuchać jęków pracującego metalu i wyobrażać sobie, że słyszy wyjący za drzwiami wiatr i odgłosy śnieżycy, to nie zdarzyło się, aby pozwolili mu być obecnym przy otwarciu. Zasady bezpieczeństwa były wyraźne. Wartownia znajdowała się przed śluzą. Śluza służyła nie tylko zabezpieczeniu przed skażeniem, ale także, a może przede wszystkim, była pierwszą linią obrony. Przed bandytami, zwierzętami, przed mutantami, których na zamrożonej, zniszczonej powierzchni pojawiała się z upływem lat coraz więcej.

Dla Borysa jednak liczył się już sam fakt, że bywał wśród tych zarośniętych, śmierdzących potem, tytoniem i samogonem mężczyzn, ludzi odpowiedzialnych za ich dom, ich bezpieczeństwo. A gdy udało mu się spotkać stalkera, wracającego z łupami z góry, gdy przy odrobinie szczęścia tamten chciał z dzieciakiem zamienić kilka chociażby krótkich i zdawkowych słów, wtedy chłopiec pęczniał z dumy i przez wiele dni pozostawał w radosnym nastroju, chociażby było zimno, ciemno i głodno. Gdy wracał do warsztatu, do biurka matki, przecierającej oczy, zaczerwienione od ślęczenia nad stertami książek i broszur, cały promieniał. Śmiał się radośnie, tulił do Glorii i snuł wielkie plany o tym, jak kiedyś razem odnajdą tatę – albo to on ich odnajdzie – i wtedy zima się skończy, wojna się skończy, metro się skończy, wszystko będzie jak dawniej. Na górze zazieleni się gęsta trawa, którą ledwo pamiętał, pociągi pomkną między rozjarzonymi stacjami, uwożąc w dal roześmianych, czystych, ładnie ubranych ludzi. Takich, jak ta szczerbata mała w sukienkach w kwiaty, co ciągle się koło niego kręciła w szkole. Nic dziwnego, nie tylko chłopcy podziwiali Borysa

za jego niezwykle osiągnięcia. Kiedy szedł po peronie i znajomi wartownicy odpowiadali na jego pozdrowienia, wszyscy zazdrościli – chłopaki i dziewczyny jednakowo. Żaden z jego niedożywionych, rachitycznych kumpli nie miał nigdy tyle odwagi, żeby dotrzeć aż do wentylatorni.

Nie mówiąc o Wilanowskiej. Kiedy stamtąd wrócił, pierwsze, co go spotkało, to kara od matki. Gloria szalała z niepokoju, kiedy okazało się, że syn nie wrócił i nie ma go ani na stacji, ani w warsztatach, ani w bibliotece, ani na wartowni, ani nigdzie w tunelach. Gdy odnalazł się dobę później po telefonie naczelnika Wilanowskiej i gdy zadowolony wkroczył w krąg lamp na peronie, matka dopadła go, mocno przytuliła, a potem odsunęła się i wymierzyła mu siarczysty policzek. Był to pierwszy i jedyny raz, kiedy podniosła na niego rękę. Chłopak zacisnął zęby, starając się powstrzymać łzy, które napłynęły mu do oczu. Pałący jak ogień ślad matczynej ręki był tylko jednym z powodów. Drugim był pożerający go wstyd. Że nie pomyślał, że nie uprzedził, że uciekł i ją zostawił. Czuł, że zrobił coś bardzo złego. Obiecał sobie, że nigdy więcej jej nie zawiedzie.

A jednak wyprawa do rajy pod ziemią była tego warta.

– Ty, Sowizdrzał, weź opowiedz! – domagał się jego najbliższy przyjaciel. Nikt już nie mówił do niego po imieniu, od kiedy przylgnęło do niego to przezwisko. Nadał mu je chyba Kalinowski, jeden z bibliotekarzy.

– Bo ty jesteś taki sam, jak ten Dyl Sowizdrzał – powiedział. – On też nie mógł miejsca zagrzać nigdzie i z samym diabłem by stanął w zawody.

– No powiedz, powiedz – prosiła ruda Ewka, patrząc na niego jak szczur na karalucha.

– Tam... – Bohater próbował poukładać sobie w głowie widziane obrazy i przełożyć je na coś, co jego przyjaciele mogliby zrozumieć. – Wiecie, jak wygląda knajpa na Thuoc dia? – w końcu znalazł sposób.

Pokiwali poważnie głowami. Nie wszyscy oczywiście równie ochoczo, bo też nie każdy miał okazję na własne oczy zobaczyć ten przybytek w tunelu, będący jedynym oknem do wietnamskiej stacji dla osób niedopuszczonych do jej wnętrza, ale każdy znał go przynajmniej z opowiadań.

– No to wyobraźcie sobie, że na Wilanowskiej na peronie to jest takich, nie wiem... – zastanowił się – no z dziesięć albo lepiej takich

jest. I każdy inny. I w środku są takie stołki, że się siada, jak się je, na nich. I takie blaty. Takie, no, biurka i tam się je. I tam dają też napoje różne.

Okrzyk zdziwienia wydarł się z dziecięcych piersi.

– I tamten ich szef, no wiecie, ten naczelnik? – zagadnął.

– No, co z nim, powiedz, powiedz! – prawie zapiszczała Emilka, wpatrując się intensywnie w jego twarz.

– No więc on ma prawdziwy mundur dyżurnego stacji! Taki od przed wojny. Cały szary i z krawatem, i z białusieńką koszulą, ale taką białusieńką, że ja nigdy takiej nie widziałem! Nawet u naszych profesorów fartuchy nie są takie białe!

Kolejny okrzyk zdziwienia wydarł się z ust dzieci.

– Na pewno strasznie krzyczy, co?! – zagadnął Strachajło, jego najlepszy przyjaciel.

– No nie właśnie. On, słuchajcie, on sam podszedł do mnie i się zapytał mnie, co ja tam robię! – Borys napęczniał z dumy i wodził po wszystkich zadowolonym wzrokiem.

– Ale kitujesz, weź! – krzyknął któryś z chłopców. – W życiu by do ciebie naczelnik nie podszedł i nie gadał z gówniarzem!

Sowizdrzał wiedział swoje. Wciąż czuł na ramieniu ciężką, męską dłoń, która spoczęła tam, gdy przyglądał się machającym i szczenioczącym z poziomu antresoli kobietom w skąpych, rozchełstanych sukienkach. Wyglądały jak kolorowe kwiaty albo ptaki, które ledwie pamiętał i lepiej znał z książek niż z życia. A jak się patrzyło z dołu, z peronu, to było widać, że niektóre były bez majtek...

– To nie jest widok dla młodego chłopaka – powiedział człowiek w mundurze, kładąc mu rękę na ramieniu. – Nie jesteś tutejszy, prawda? Nazywam się Krzysztof, a jak ciebie zwa, chłopcze?

– Sowizdrzał, proszę pana – odparł szybko i posłusznie. Coś takiego było w tym człowieku, że szacunek był jedynie możliwym i słusznym podejściem.

– Skąd do nas trafiłeś? – zapytał naczelnik, prowadząc go dalej, w kierunku wejścia do tuneli i technicznej części stacji.

– Przyszedłem z rzemieślnikami, proszę pana.

– Rozumiem – odparł tamten. – Ludzie z Pałacu. Nie wiedziałem, że mają takich młodych terminatorów.

– Kogo?

– Uczniów – wyjaśnił mężczyzna.

– A. Nie – odparł szybko chłopak. – Ja tutaj tak przyszedłem, no bo tak. Uprosiłem ich.

Naczelnik tylko pokiwał głową. Zabrał go do swojej kwatery, zawiadomił telefonicznie macierzystą stację i przechował przez noc, a potem puścił na północ w towarzystwie starego stalkera. Borys westchnął na to wspomnienie.

– Nic nie kituję, a ty się gównu znasz – odwarknął wąpiącemu. – Po prostu zazdrościsz, bo widziałem żołnierzy, widziałem bary, restauracje, piękne panie w sukniach i muzykantów!

Wypytywaniom nie było końca. Każdy chciał się dowiedzieć czegoś innego, o coś innego zapytać, inny detal uściślić. O żołnierzy z Twierdzy, o te restauracje, o światła, muzykę, ludzi i cokolwiek innego. I o wędrówkę tunelami, bo przecież przejść na trzecią stację to nie to samo, co iść biblioteką i warsztatami na Politechnikę. O nie, to zupełnie inna sprawa. Zupełnie inna wyprawa. Sowizdrzał był bohaterem i mimo że nie każdy we wszystko wierzył – bo choć i on sam za każdym razem, gdy opowiadał o swojej przygodzie, z czasem zaczął przywiązywać nieco mniejszą wagę do prawdy historycznej, to jakoś nikt z rówieśników nie miał mu tego za złe.

Tymczasem matka podupadała na zdrowiu. Tuliła go już tylko, gdy rozemocjonowany opowiadał o tym, że znów był na wartowni albo że pozwolono mu asystować w warsztatach i sprzątać w kwaterze stalkerów. Czuła, że chłopak powoli odrywa się od niej, uwalnia. Czuła też, że jej dni są policzone. Jak delikatny ptak w klatce dusiła się w metrze, marniała z każdym tygodniem, tęskniła i płakała w ciemności, w samotności, tak aby nikt tego nie zobaczył, za mężem, którego utraciła na zawsze i którego w duszy, odwrotnie niż jej synek, dawno pochowała. Wierzyła, że gdyby Wiktor żył, to wróciłby po nią, zabrałby ich oboje z tego piekła albo przynajmniej zadbał, żeby mogli być razem, wsparł ją, wspomógł.

Tarła zaczerwienione oczy, przerzucając kruche, wilgotne kartki, roniła łzy, raniąc palce igłą, gdy dorabiała szyciem i reperacją odzieży, ze smutkiem odrzucała awanse sympatycznych i porządnych mężczyzn, którzy gotowi byli zaopiekować się nią i jej synkiem. Wiosną, na krótko przed siódmą rocznicą Zagłady, zmarła.

Borys obudził się rankiem przy ciele matki. Uniósł się na posłaniu i zrozumiał w mgnieniu oka, co się stało. Przytulił się do jej stygnącego ciała, pogłaskał po policzku, a następnie z poważną, zaciętą

miną poszedł do naczelnika Zimowskiego poinformować go o tym, co zaszło. Ze spokojem i cierpliwością patrzył, jak zabierają Glorię ludzie od trupów, wysłuchał nabożeństwa za jej duszę, przyjął kondolencje. Bez słowa skargi przeniósł się do sekcji stacji, gdzie mieszkały pod nadzorem pani Karoliny dzieci niczyje. Żył tam od tej pory, nie zmieniając nawyków. Chodził na lekcje tyle, ile musiał. Czasem dopytywał o coś, czasem drażył jakiś temat, ale zwykle, gdy odbębnił już naukę i przypisane mu obowiązki, biegł na wartownię, pomiędzy stalkerów, do wyjść, słuz i bram. I tam przesiadywał, dopóki go nie przegoniono. Pastował buty, czyścił mundury, a gdy któryś z dorosłych miał dobry humor – dostawał broń do wyczyszczenia.

Tamtego ranka obudził się z poczuciem, że stanie się coś ważnego. Nie był pewien co, ale miał wrażenie, że to będzie miało przełomowe znaczenie. Od paru dni w metrze wrzało. Na północy skończyła się wielka, koszmarna wojna. Wojska Przymierza pokonały i wypędziły Imperatora spod Wisły, a jego Czarna Armia poszła w rozsypkę i niewolę. Ludzie opowiadali potworne rzeczy o tym, co się na wschodniej części drugiej linii działo. O bitwach przeradzających się w rzezie, o tajemniczych kobietach wojowniczkach, które zeszyły pod ziemię, aby walczyć po stronie tych dobrych, o dzielnych strażakach z północy, policjantach i bohaterskich żołnierzach pod dowództwem generała Groma. Powtarzano, z pewnością zmyśloną, sensacyjną plotkę o żołnierzu, co sam zabił tygrysa, ale to musiała być bujda, bo skąd w metrze tygrys? Mówiono także o tajemniczym aniele, boskiej kobiecie, która ratowała rannych i zaginionych. Szczególnie wartownicy i stalkerzy przekazywali sobie tę ostatnią opowieść.

Sowizdrzał szybko naciągnął spodnie i wyczołgał się na zewnątrz. Na peronie trwało niezwykle poruszenie.

– Wracają nasi! – zawołała Emilka, podbiegając do niego.

– No to świetnie – skomentował. Tak, to był dobry dzień. Wyciągnął dłoń i jakoś tak bezwiednie, nie myśląc nad tym, pogłaskał ciemne włosy młodszej dziewczynki.

– Mój tata też wraca! – pochwaliła się.

– Masz dobrze – odparł. – Mój pewnie jeszcze długo nie wróci.

– Bo twojego nie ma w metrze – stwierdziła rzeczowo dziesięciolatka.

Wzruszył ramionami.

– No to co? – powiedział z goryczą. – Nawet jak nie ma, to co z

tego.

– No to się nie spotkacie, po prostu.

– Właśnie że się spotkamy. Pójdę i go znajdę. On... – na moment głos chłopca zadrżał – no bo on po prostu teraz jest na służbie i nie może zejść z posterunku. Broni ojczyzny!

– Rozumiem – odparła Emilka. – Będziesz miał fajnie, jak on wróci z tego bronienia. Cieszę się. – Spojrzała w górę na starszego chłopaka i uśmiechnęła się.

– Wiem. – Borys uśmiechnął się do niej i pogłaskał ją znowu. – Leć do mamy, na pewno będziecie chciały razem przywitać ojca.

Mała obróciła się na pięcie, aż zafurkotała przyciasna sukieneczka w kolorowe kwiaty. Wepchnęła się między ludzi i zniknęła. Borys stał przy krawędzi peronu. Z dala, z ciemności tubingów, dobiegł go śpiew; z początku cichy, potem narastający coraz bardziej. Z tunelu wynurzyło się czoło maszerującej trójkami kolumny, śpiewającej tęskną balladę o powrocie do domu. Żołnierze maszerowali ze spuszczoneymi głowami. Nie uśmiechali się, nie machali do witających ich ludzi. Po prostu szli, otoczeni aurą smutku. Mały oddział wyłamał się z szyku, wspiał na krawędź peronu. To wrócili ludzie Krysztalowego posłani na wojnę. Śmiech i ulga mieszały się z rozpaczą i łzami. Nie wróciła ponad połowa tych, którzy pomaszerowali na północ...

Sowizdrzał rozejrzył się i nagle zobaczył samego generała. Grom szedł wolno, mozolnie. Jakby marsz mu nie służył. Karabin zdawał się ciążyć żołnierzowi na ramieniu. Obok dowódcy Borys ujrzał chłopca. Dzieciaka w jego wieku, nieco zgarbionego, o mrocznej, zastygłej w maskę twarzy. Miał na sobie zbyt duży mundur z podwiniętymi rękawami i nogawkami. Szedł i przystawał tak jak Grom, lecz nie podnosił głowy. Na ramieniu zaś miał najprawdziwszy karabin, a u pasa urządzenie, jakie Borys widywał u stalkerów – licznik Geigera. Poczul bolesne ukłucie zazdrości, zrozumiał, że to było jego miejsce. Tamten chłopak był żołnierzem, doświadczonym w ogniu bitwy wojownikiem. Kimś, kim Sowizdrzał z Krysztalowego Pałacu chciał się stać. Kimś, kim dopiero miał się stać.

Żołnierze odeszli, a on długo jeszcze patrzył za nimi, gdy zniknęli w mroku tunelu. Coś namawiało go, aby pobiegł za oddziałem, aby przyłączył się do tego, który szedł obok dowódcy, został jego kolegą. Jednak kiedy tamten podniósł głowę i na moment spotkali się wzrokiem, coś w oczach rówieśnika sprawiło, że dreszcz przebiegł



Borysowi po plecach. Obrócił się na pięcie i pobiegł w kierunku torów odstawczych. Wiedział, że Strachajło siedzi w bibliotece.

Kiedyś też pomaszeruję tunelami, dalej, nie tylko do Politechniki, dalej niż do Wilanowskiej, poprzysiągł sobie. Albo wyjdę na powierzchnię i zobaczę słońce. I będę miał własny karabin, tak jak tamten chłopak.

## Wymarsz

Czerwiec 2030



Obrócił się na bok i jęknął. Zacisnął powieki, pod którymi zobaczył czerwień. Głowa sprawiała mu najwięcej problemów, lecz w miarę jak wybudzał się ze snu, czuł także podły posmak w ustach, suchość w gardle i nasilający się ucisk żołądka. Mięśnie rwały jak po długotrwałym wysiłku fizycznym, chociaż od dawna nie przydarzył mu się żaden długotrwały wysiłek. Krótkotrwałe zresztą też, ale to nie był dobry moment, żeby roztrząsać takie sprawy. Porucznik Dobrowolski przechodził prawdziwą agonię. Nie pierwszą i – jeżeli świat nie miał nagle stanąć na głowie – nie ostatnią. Zresztą agonია to było duże słowo, jak na kaca. Nawet jeśli ten był wyjątkowo paskudny. Trudno jednak oczekiwać czegoś innego, jeżeli piło się bez przerwy przez tydzień.

A mówili: pamiętaj, żeby kac nie wyprzedził klina.

Cóż jednak począć, kiedy popyt przekracza podaż i nawet samogon staje się towarem deficytowym, będąc jednocześnie towarem pierwszej potrzeby. W P-1138 pili wszyscy, bez wyjątku. Szeregowcy, podoficerowie, oficerowie i generałowie chlali na potęgę. Nie potrzebowali do tego pretekstu ani okazji, w każdym razie – już nie. Dawniej, owszem, zawsze ktoś miał imieniny, dzień wolny od służby, jakąś rocznicę, a zdarzało się, chociaż nieczęsto, że i dziecko się komuś urodziło... W miarę upływu lat stało się jasne, że pili wszyscy, zawsze i wszystko. Nie było alternatywy, bo tytoń skończył się bezpowrotnie, a próby uprawiania go w podziemnych ogródkach hydroponicznych spełzły na niczym. Nie było dostępu do naturalnych narkotyków, syntetyczne zaś, otrzymywane na miejscu przez co bystrzejszych znawców tematu, okazały się na tyle podłe, że kilkoro żołnierzy pożegnało się z tym łez padolem. W tej sytuacji pędzenie bimbru było jedyną odpowiedzią na przytłaczającą nudę, melancholię i rozpacz załogi uwięzionej pod powierzchnią skażonej ziemi.

Z początku zjawisko nie przybierało takich rozmiarów, ale przez

piętnaście lat od wybuchu wojny, która zmiotła cywilizację i uwięziła ich w kompleksie, stało się powszechne. W P-1138 dało się robić jedynie kilka rzeczy: spać, być pijanym do nieprzytomności lub nie żyć. Jakiegokolwiek inne opcje były nieznośne i nie do zaakceptowania. Żołnierze przerywali picie, aby odbębnić służby, które stały się tylko formalnością, bo na powierzchni nigdy nic się nie działo. Przerywali picie, lecz to nie znaczyło, że trzeźwieli. Ci, którzy mieli wyższe aspiracje, prosili o przeniesienie do żandarmerii, która jako jedyny pion miała zawsze coś do roboty. Zawsze był jakiś powód do kłótni przy kieliszku, jakieś mordobicie zawsze potrafiło ubarwić jeden z tysięcy identycznych wieczorów, rozerwać zblazowanych, ogarniętych otepieniem i melancholią mężczyzn i rozgoryczone, rozczarowane kobiety, które nie oczekiwały już niczego od życia. Życia, które dla wszystkich z nich straciło sens bezpowrotnie i nieodwołalnie w czerwcu 2015 roku, kiedy zatrzasnęły się atomowe grodzie i gdy wydano rozkaz odizolowania bunkra od świata. Rozkaz, który potem, przez lata, utrzymywano w mocy, powstrzymując obsadę być może ostatniego posterunku świata przed wyjściem na górę i przeszukaniem ruin miasta, leżącego na południe od nich i będącego dawniej dumną i piękną stolicą równie dumnego i wspaniałego narodu.

Patrząc teraz w lustro i na siebie nawzajem, synowie i córki tego dumnego i pięknego narodu nie czuli dumy i nie widzieli wspaniałości, lecz pogrążali się powoli w odmętach degeneracji. Porucznik Dobrowolski nie odstawał od reszty. Wojsko nie ceniło odstających jednostek. Owszem, czasem był z nich jakiś pożytek, ale zwykle oznaczały kłopoty. Wiktor Dobrowolski też sprawiał kłopoty. Kiedyś. Dawno. Przed wielu laty. Bił się, uciekał, walczył. Chciał wyrwać się do Warszawy, odnaleźć małego Borysa i piękną Glorię, syna i żonę. Teraz uniósł głowę i boleśnie zwymiotował na betonową posadzkę swojej kwatery.

Jęknął żałośnie, czując, jakby w żołądku miał zwiniętą kulę drutu ostrzowego.

Opuścił nogi z pryczy, starając się ominąć rozbryźniętą na podłodze przetrawioną treść i ponownie zgiął się wpół, zmuszony nagłym skurczem trzewi. Zwymiotował drugi raz. Zaklął, otarł usta dłonią i chwiejnie wstał, przytrzymując się sprzętów. Szurając bosymi stopami po zimnym betonie, dotarł do łazienki, gdzie ochlapał twarz zimną wodą. Uniósł głowę. Z lustra spojrział na niego upiór. Ciemne wory

pod oczami, przekrwione białka, głębokie zmarszczki okalające nos i usta. Dawniej, przed wojną, był przystojny. Gdyby chciał, mógł przebierać w kobietach, ale zdecydował się na jedną, z którą wziął ślub. Zdawało się teraz, że to tak dawno.

I faktycznie, to było dawno, bo minęło półtorej dekady, odkąd ostatni raz widział żonę. Gloria, tak miała na imię. Wychodził z domu, stała w drzwiach w nocnej koszuli odsłaniającej nogi, z lekkim sweterkiem narzuconym na ramiona. Uśmiechała się, kiedy całowała go na pożegnanie, lecz w jej oczach widział strach i smutek. Bała się tego, co nadciągało. Bała się i miała rację, bo potem nadeszła wojna, która zniszczyła cały świat. Wojna, która zniszczyła Dobrowolskiego i prawie na pewno zabiła jego żonę i małego synka.

Gdybyż tylko żyli! Borys teraz miałby już dziewiętnaście lat. Młody mężczyzna. Pewnie byłby wysoki i przystojny, po rodzicach. Rudy, z pięknymi, błyszczącymi oczyma. Kochany mały chłopiec, który zawsze wybiegał mu na spotkanie, gdy Wiktor wracał do domu. Porucznik stawał pod oknem u końca korytarza, rozkładał szeroko ręce i czekał, aż mały pocisk uderzy w niego, skoczy mu w objęcia, uściska za szyję. Jego syn i jego żona wracali do niego w sennych koszmarach. Widział, jak idą ulicą zalaną słońcem późnego czerwca. Potem nagle światło słońca zmieniało się w oślepiająco biały błysk, ciepłe promienie niosące życie zamieniały się w ostre, twarde promieniowanie, które obierało jego bliskich z ciała. Pałaca wszystko na swojej drodze fala uderzeniowa zrywała sukienkę Glorii, oddzielała nagle usmażoną skórę i mięśnie od kości. Dwa czerniałe, spalone trupy wyciągały ręce do Wiktora, z przerażeniem krzycząc jego imię. Budził się wtedy, zrywał zlany zimnym potem, z sercem bijącym w piersi tak, jakby chciało połamać żebra, wyrwać się z tej przeklętej klatki i ulecieć.

I w pewien sposób Dobrowolski postradał serce, gdy zrozumiał, że nie ma już sensu się oszukiwać i wierzyć w to, że jego rodzina mogła przetrwać. Kiedy dziesięć lat wcześniej ostatni raz spróbował ucieczki, przyplacił to zdrowiem. Spędził w karczerze rok, skąd wyciągnięto go obłąkanego. Godzinami wył i tłukł pięściami w ściany i podłogę, aż musieli go krępować. Generał jednak nie ustąpił i zrobił z niego przykładowy dowód na to, że rozkazów przełożonego się nie łamie. Trzymał go tam jak zwierzę, śpiącego na podłodze w odchodach, wymiocinach i resztkach jedzenia, miesiącami.

Kiedy wreszcie zezwolił na wypuszczenie porucznika Dobrowolskiego na wolność – nie zdegradował go, chociaż mógł – ten był wrakiem. Tygodniami leżał w lazarecie, gapiąc się tępo w sufit i nie odzywając do nikogo. Minał prawie kolejny rok, nim wrócił do służby i zaczął znów brać czynny udział w życiu jednostki. Wtedy zaczął pić, żeby zagłuszyć ból i zabić koszmary. Nauczył się, że gdy zwala się na swój barłóg nieprzytomny, wtedy sny nie nadchodzą, nie przebijają się do otumanionego umysłu. Trupy żony i syna poddawały się przed obrzydliwą terapią szokową, jaką sam sobie zastosował.

Teraz oderwał się od umywalki, zaczesał rzednące, przedwcześnie posiwiałe włosy i się wyprostował. Przez moment, jak setki razy wcześniej, pomyślał nad samobójstwem. Wiele osób z obsady bunkra wybrało to wyjście. Niektórzy pękli od razu, w pierwszym roku. Inni dopiero po kilku latach, kiedy beznadzieja, uwięzienie i przygnębienie stały się nie do zniesienia. W zeszłym miesiącu zabił się Wilczyński, główny lekarz kompleksu. Wiktor znalazł jego ciało, leżące porządnie na pryczy w kwaterze doktora. Nie wiedzieli, co zażył, ale odszedł z klasą, bez krwi, bez brudu, bez przemocy. Po prostu zasnął i się nie obudził. Może to było wyjście?

Coś jednak trzymało porucznika przy życiu. Coś kazało mu trwać niezmiennie na posterunku w zaginionej w Puszczy Kampinoskiej bazie. Być może poczucie, że są ostatnim bastionem Polski, za którą przysięgali ginąć i której obiecywali bronić, a którą sromotnie i wszetecznie zdradzili, nie kiwnąwszy nawet palcem. Bardziej prawdopodobne było to, że życie było karą, którą sobie sam wyznaczył. Karą za to, że zdradził swoją żonę i synka, karą za to, że sprzeniewierzył się honorowi polskiego oręża, że zawiódł ojczyznę i naród, któremu ślubował służbę i krew, jeśli taka zajdzie potrzeba.

Potrzeba zaszła i wszyscy zawiedli. I nie mogli zwalać całymi latami winy na generała Kulikowskiego, który podjął takie, a nie inne decyzje. Był tylko ich przełożonym, a żołnierz musi czasem wystąpić przeciwko złym rozkazom. Chyba że jest złym człowiekiem. Wiktor Dobrowolski, porucznik Wojska Polskiego, uważał się za złego człowieka. Takiego, który zasłużył na cierpienie. Dlatego nadal żył, nie potrafiąc sobie wybaczyć i skończyć ze swoim życiem. Nie miał też siły, aby stawić temu czoła z podniesioną głową, więc gdy nie musiał pracować i pełnić służby – pił do nieprzytomności, zabijając w ten sposób puste popołudnia, straszne noce, ciągnące się tygodnie, zimne

miesiące i straszliwe lata, które przechodziły z wolna w dekady. Pił, bo się wstydził i pragnął ze wszystkich sił zapomnieć i nie wstydzić się. Wstydził się, bo nie było nikogo, kto mógłby mu wybaczyć.

Wiktor zatoczył się, przechodząc z powrotem do części sypialnej. Zrzucił przepocone, brudne łachy, wyciągnął z szafki pomięty mundur nie pierwszej świeżości i założył na siebie ze wstrętem. Na chwilę zawiesił wzrok na kopercie, leżącej na półce. Były w niej zdjęcia rodziny. Dawniej wisiały na wewnętrznej stronie drzwi do szafki, przymocowane magnesami, ale nie mógł znieść ich widoku, wzroku Glorii, uśmiechu Borysa, więc schował je głęboko. Czasem dotykał koperty, ale nie miał siły i odwagi, aby zdjęcia wyciągnąć i obejrzeć.

Z niechęcią wyszedł na korytarz, wyciągnął ze schowka zapyziałe wiadro i stary, przetarty mop. W łazience nalał wody do wiadra i zmył wymiociny z podłogi, a potem odstawił wszystko na miejsce. Spojrzał odruchowo na zegarek – miał jeszcze czas do objęcia służby. Dużo czasu. Wystarczająco dużo, aby wytrzeźwieć. Ruszył burym, słabo oświetlonym korytarzem w kierunku kantyny. Paliły się jedynie lampy na zakrętach i skrzyżowaniach. Wydajność energetyczna kompleksu dawno już spadła poniżej nie tylko nominalnej, ale nawet akceptowalnej. Jego mieszkańcy cieszyli się, że wciąż mają bieżącą wodę, że temperatura jest znośna i że tu i tam wciąż palą się lampy. Ten bunkier nie został obliczony na piętnaście lat samodzielnego trwania i wszyscy dotkliwie odczuwali ten fakt. Z biegiem lat robiło się w P-1138 coraz bardziej ponuro, na korytarzach coraz zimniej i ciemniej, jedzenie stawało się coraz bardziej ubogie, w miarę jak wyczerpywały się zapasy, wymierały hodowle, a uprawy hydroponiczne się degenerowały.

– Czolem, poruczniku Dobrowolski – powitał go w kantynie jeden z żołnierzy z pionu inżynierskiego. Dobrowolski dobrze go znał, często pracowali razem przy psującej się infrastrukturze. Razem grali w karty. Oglądali wspólnie wciąż te same filmy. Upijali się też wspólnie. – Widzę, żeście dziś świeży i piękny jak poranek – żartował tamten bezlitośnie.

– Skończcie pierdolić, kapitanie Wiorowski, bo głowa mi dzisiaj pęka – odburknął porucznik. – Coś dzisiaj dają czy bury glut z glonów?

– Dają, dają – odparł kapitan – tyle tylko, że jedynie bury glut z glonów. Jak co dzień od roku.

Dobrowolski usiadł ciężko i strzelił palcami, chcąc zwrócić uwagę kucharza drzemiącego za kontuarem kantyny. Dawniej ten zajmował się jedynie gotowaniem, ale odkąd barman otworzył sobie żyły, nie mogąc dłużej znieść wysłuchiwania żalosnych opowieści, jakimi raczyła go co wieczór cała jednostka, z szefa kuchni przedzierzgnął się w szefa wszystkiego. Gotował, pilnował aprowizacji, pędził i serwował bimber. Teraz drgnął, wybudzony, otworzył jedno oko i spojrzał na nowo przybyłego. Nie ruszając się z bujanego fotela, postawionego za ladą, nabrał wielką chochlą z parującego gara, wytrząsnął glutowatą zawartość na talerz i pchnął go lekko, aż ten za-zgrzytał po blacie.

– Nie ruszysz się? – zawołał Dobrowolski do niego.

– Nie ma chuja we wsi! – odkrzyknął szef wszystkiego. – Chcesz jeść, to się pofatyguj!

Oficer mruknął pod nosem coś, co nie powinno było w żadnym wypadku dotrzeć do uszu człowieka odpowiedzialnego za to, że żołnierze w ogóle jeszcze jadali ciepłe posiłki, odsunął z hurgotem krzesło i ciężko dźwignął się na nogi. Skupiając się wciąż na utrzymaniu równowagi, jako że nadal był lekko zamroczony, podszedł, chwycił rozdygotanymi dłońmi talerz z lekko parującą masą, zgarnął łyżkę i wrócił do stolika. Postawił jedzenie i bez słowa zaczął wmuszać w siebie zalatującą błotem i rybami kleistą maź. Przynajmniej zmasakrowany i wymęczony żołądek znosił ją dobrze i się nie buntował. Zaciśnięty węzeł kolczastego drutu lekko się rozluźnił, dając odrobinę wytchnienia.

– Co ciekawego straciłem? – zagadnął kapitana Wiorowskiego.

– Ciekawego to nic. Jak żeś wczoraj w końcu dał radę z kantyny wyjść, to i tak mało kto został. Ot, noc jak co noc – wzruszył tamten ramionami.

– Hmm... – mruknął Dobrowolski. – Mógłby szlag trafić to wszystko, byśmy się nie męczyli.

– Ech, Wiktor! – zaśmiał się kapitan. – Co to za słowa niegodne polskiego żołnierza? – zadrwił, ironicznie wykrzywiając usta.

– Ty mi tu nie żołnierzuj polskuj! – Porucznik pogroził mu łyżką. Nabrał ostatnią porcję kleistej mazi i przełknął ją bez przyjemności. Pomyślał, że tak musieli czuć się pierwsi kosmonauci, karmieni pastami z torebek i tubek.

– Jest sprawa, Wiktor... – Kapitan Wiorowski pochylił się ku

niemu, rozglądając się konspiracyjnie i zniżając głos.

Jednak Dobrowolskiemu nie dane było dowiedzieć się, jaka to sprawa, bo w tym momencie do kantyny wpadł z łoskotem schodzonych butów jeden z sierżantów. Rozejrzał się, przytrzymując mocno rękoma futryny, i na całe gardło wrzasnął:

– Wychodzimy z jednostki! – Po czym popędził dalej, a tupot jego nóg niósł się echem w mrocznych korytarzach.

Obydwaj oficerowie osłupieli, a zastygły na bujanym fotelu szef kuchni uniósł głowę.

– Co on tam powiedział? – zawołał do jedynych gości kantyny.

– Że wychodzimy. – Dobrowolski dźwignął się na nogi, przewracając krzesło. Poczuł, że zakręciło mu się w głowie i świeżo przełknięta pasta z glonów podeszła mu do gardła, ale zacisnął zęby i pięści i uniósł dumnie głowę. – Kurwa! Wreszcie! – krzyknął na całe gardło, aż echo zagrało pod niskim sufitem.

Sensacyjna wiadomość, w którą początkowo nikt nie odważył się uwierzyć, bardzo szybko okazała się prawdziwa. W ciągu godziny od rozejścia się niewiarygodnej pogłoski zwołana została odprawa, na której głównodowodzący P-1138 potwierdził te niewiarygodne wieści.

– Nie będę owijał w bawełnę – zagrzmiał generał Kulikowski z podium na końcu sali, w której zebrali się oficerowie. – Nadszedł ten moment, że nawet ja muszę przyznać, że siedzimy tutaj zbyt długo.

– No, kurwa, Sherlocku, co ty nie powiesz?! – krzyknął ktoś z tylnego rzędu. Generał spojrzał ponad głowami zgromadzonych, ale nie zareagował.

– Odebraliśmy sygnał radiowy – powiedział powoli i wyraźnie. – Wychodzimy z jednostki za tydzień. Przez ten czas wszystko ma być gotowe do wymarszu.

Na sali zaległa idealna cisza. Nikt nie śmiał jej zmącić.

– Czy to jest jasne? – upewnił się Kulikowski. Odpowiedziała mu radosna wrzawa.

Wiktor spędził ten czas pracowicie. Wytrzeźwiał, pozbierał się w sobie i przeprosił z przeszłością. Wyciągnął zdjęcia rodziny z szafy i napisał kilka krótkich kartek, które zostawił w swojej kwaterze i w szatniach. Nie liczył, że ktoś je kiedyś znajdzie – bardziej traktował je jak pożegnanie z miastem, w którym przegrał i utracił wszystko. A może liczył, bo razem z nimi zostawił kopie mapki, na której zaznaczone były bunkry sieci NATO-Wschód. Nikt nie wiedział, czy udają



się do któregoś z nich.

Wyruszyli o świcie, w mglisty, brzydki dzień postatomowego lata. Placki brudnego śniegu pokrywały ziemię pod drzewami, lecz tam, gdzie świeciło słońce, gleba odtajała i rośliny odżyły, walcząc o lepsze ze swoim zmutowanym młodszym rodzeństwem. Ruszyli kolumną ciężarówek i samochodów, które radziły sobie nieźle, bo przez poprzednie piętnaście lat były ustawicznie serwisowane, czyszczone i regulowane przez armię tyleż gorliwych, co zdychających z nudy mechaników. Na czele pochodu toczył się leniwie, hałaśliwie Twardy, torując drogę wśród drzew. Za nim ciągnęły ciężarówki, pełne rozgadanych żołnierzy w maskach i strojach ochronnych. Ku zdziwieniu wszystkich generał kazał kolumnie ruszyć przez las na południe i przebijać się w kierunku Mor. Tam mieli wjechać – jeśli to w ogóle było możliwe – na dawną trasę szybkiego ruchu S8. Stamtąd, jak dowiedział się sztab – do Łodzi. Wykłętego już przed Zagładą miasta wielkich szans, wielkich złudzeń i wielkich przegranych.

Pochód okazał się dużo trudniejszy, niż to przewidziano i południe zastało ich dopiero pod węzłem Mory.

Generał zaprosił do swojego wozu dowodzenia wierchuszkę armii.

– Panowie – zaczął bez wstępów – myślę, że możecie już teraz dowiedzieć się wszystkiego, zresztą pewnie do części z was dotarły plotki.

Zebrani pokiwali głowami.

– Wychwyciliśmy sygnał radiowy nadany z Łodzi. Nie jesteśmy pewni, jak sprawy tam się mają, ale z pewnością był to komunikat wojskowy. Z fragmentu, który odcyfrowaliśmy, można wnioskować, że wojsko nadal trzyma tam posterunki.

Nie było to nic nowego, może z wyjątkiem konkretnej lokalizacji, o której nikt z nich – oprócz szefa łączności – wcześniej nie słyszał. Jednak oficjalne potwierdzenie tego faktu przez dowódcę wywołało poruszenie.

– Wiemy także, że funkcjonują oddziały w innych miastach. W przechwyconym sygnale padły słowa o Krakowie i Wrocławiu. W tej sytuacji – kontynuował Kulikowski – udamy się najpierw do Łodzi...

– Gdzie psom bieganie szkodzi! – roześmiał się jeden z kapitanów. Generał spiorunował go wzrokiem.

– Pozartujecie sobie dzisiaj na warcie – warknął. – Najpierw

udamy się do Łodzi i tam zorientujemy się w sytuacji. Mój wóz nada-  
je od rana sygnał wywoławczy garnizonu warszawskiego. Sądzę, że za  
kilka godzin ich radiostacja powinna odpowiedzieć.

– Czemu przez tyle lat na nic nie natrafiliśmy? – zaciekawiał się  
jeden z oficerów.

– Kto to tam wie – odparł z niechęcią generał. – Nie natrafiliśmy  
to nie natrafiliśmy, na chuj drażyć temat?

Wszyscy członkowie sztabu pojęli wyjątkowo czytelną aluzję.

– Koniec odprawy – zarządził Kulikowski. Wyszedł na ze-  
wnątrz, gdzie przy kolumnie wozów kręcili się żołnierze. – Bierzcie  
unimogi i przepatrzcie mi drogę – rozkazał. – W obu kierunkach. Na  
wszelki wypadek.

Załogi wskoczyły do pojazdów. Nikt nie zaproponował, gdy po-  
rucznik Dobrowolski, niewiele myśląc, usadził się na tylnym siedze-  
niu wraz z patrolem jadącym na wschód, Połczyńską w stronę Czy-  
stego. Plutonowy za kierownicą tylko zmierzył wzrokiem jego pago-  
ny, skinął i nie odezwał się nawet słowem. Przełożonemu jednak nie  
umknęło to, kto i gdzie się wybiera. Skinął na porucznika z patrolu,  
zamienił z nim kilka słów i gestem ręki udzielił zezwolenia na wy-  
marsz zwiadu w teren.

Potoczyli się ulicą, wymijając skorodowane, zniszczone wraki,  
objeżdżając sterty gruzów z zawalonych budynków, klucząc między  
naniesionymi wiatrem wydmami piachu i ziemi.

– Pojedź do Powstańców Śląskich – polecił porucznik. – Potem  
zawróćmy na Salomeę i od południa dojedziemy znów do Mor.

Plutonowy skinął głową. Ruszył raźniej, bo na ulicy zrobiło się  
jakby luźniej. Niebo było zaciągnięte chmurami, panował lekki pół-  
mrok, więc kierowca wrzucił długie światła i wprawnie manewrował  
po pokrytej marznącym śniegowym błotem nawierzchni.

Dobrowolski rozglądał się jak urzeczony. Chłonał widoki, jakich  
nie miał okazji oglądać nigdy w życiu. Sypiące się budynki, pokryte  
warstwami brudu, wałące się ściany, leżące w gruzach piętra, poko-  
nane przez wieloletnią zimę i dziwaczne, najwyraźniej zmutowane ro-  
śliny. Widział miasto, które się poddało, wycofało, zamknęło i zapa-  
dło w sobie, jakby ostatecznie dając się zabić. Posuwali się powoli, bo  
gdzieniegdzie ulicę przegradzały jeszcze wraki, które nie rozpadły się  
całkowicie. Resztki samochodów osypywały się w rude sterty, na  
zwałach rdzy pyszniły się czarne, błyszczące oleiście krzaki o gru-

bych, niezdrowo wyglądających liściach. Kikuty latarni sterczały w niebo.

W pewnej chwili między odsuniętymi od drogi budynkami zobaczyli przemykające cienie, coś jakby stado wyjątkowo dużych jaszczurek. Żołnierz obsługujący stanowisko karabinu drgnął nerwowo, chwycił za broń, ale porucznik powstrzymał go.

– Nic nie rób. Nie potrzebujemy tutaj hałasem zwracać na siebie uwagi – polecił nieznoszącym sprzeciwu głosem.

Jedna z istot stanęła słupka i spojrzała na toczący się jezdnią pojazd. Przekrzywiła głowę, opadła na łapy i pomknęła za pobratymcami. Wkrótce rozpląnęły się w cieniach między gruzowiskami.

– Jestem pod wrażeniem – zażartował Dobrowolski. – Pierwszy raz widzę, żeby tu ktoś zgodnie z przepisami jechał.

Plutonowy za kierownicą obejrzał się, wyszczerzył zęby i docisnął gaz. Unimog zarzucił i pomknął na wschód.

– Dobry czas mamy – dorzucił Wiktor. – Może warto się zabezpieczyć i sprawdzić teren głębiej? Jedź prosto, zawrócimy na Prymasa Tysiąclecia.

– Nie wiem, gdzie to jest – przyznał kierowca, patrząc z powątpiewaniem na porucznika.

– Ja ci powiem, gdzie to jest – odparł twardo Dobrowolski. Porucznik siedzący na przedzie skinął głową na znak przyzwolenia. Kierowca wzruszył ramionami i skoncentrował się znów na trasie.

Minęło dobre dwadzieścia minut, nim dotarli do Kasprzaka. Dobrowolski, z pamięci i rozglądając się wokoło, instruował kierowcę, jak ma jechać. Wkrótce dotarli do wiaduktu przy Dworcu Zachodnim. Kierowca zwolnił, gdy wjechali w jego cień. Wiktor rozglądał się ciekawie. W pewnej chwili wydało mu się, że w głębi, na sąsiednim pasie, za filarami, dostrzegł błysk światła.

– Stań – zażądał.

– Ale po co? – zaoponował porucznik.

– Bo mi się szczać chce! – odparł Dobrowolski. Był w amoku. U swoich stóp miał miasto, które leżało za progiem, a do którego tyle lat nie był w stanie dotrzeć. Nie potrafił wyrwać się z podziemnego więzienia i po prostu pójść tutaj, między mury, między ruiny, do Warszawy. A teraz nagle jego marzenie się spełniało. I widział błysk światła, więc tam musieli być jacyś ludzie, bo przecież zwierzęta nie rozpalają ognia. Musiał to sprawdzić!

– Panie poruczniku, to niebezpieczne! – zaproponował dowódca patrolu. Wiktor zignorował jego obiekcje, naciągnął maskę i wyskoczył z unimoga, nie zważając na dalsze protesty. Ruszył między podpory wiaduktu, zanurzając się w gęstym mroku. Na sąsiedniej jezdni gwałtownie skręcił, zawrócił i pobiegł w kierunku, w którym widział światło. Chwilę później wpadł w otwarty na przestrzał otwór drzwiowy, ziejący pustką. Stał w progu i ogarnął wzrokiem całą scenę.

Za kolejną ścianą, również ziejącą pustym otworem po drzwiach, w małym technicznym pomieszczeniu przylegającym do tunelu pod wiaduktem płonęło niewielkie ognisko, a przy nim siedziało dwoje ludzi – kobieta i mężczyzna, oboje, sądząc z powierzchowności, młodzi, sporo młodszy od niego. Chudzi, ubrani w znoszone wojskowe kurki, w butach, które pokonały zbyt wiele kilometrów. Zanim zdążył się zorientować, co się dzieje, leżał już na ziemi z nożem przyciśniętym do szyi. Uniósł ręce w górę uniwersalnym gestem.

– Jestem oficerem Wojska Polskiego. Nie mam złych zamiarów – powiedział zduszonym głosem.

– Ha, no i? – zapytał mężczyzna.

– Zara, daj mu dokończyć – warknęła kobieta, trzymająca mu ostrze na gardle.

– Nazywam się Wiktor Dobrowolski. Szukam żony, Glorii. I syna Borysa. Mieszkali przed wojną przy Polu Mokotowskim.

Śmiech był jedyną odpowiedzią na to wyznanie.

– Człowieku. – Kobieta pochyliła się nad nim, odsuwając szalik, by móc swobodniej mówić. Miała niebrzydką twarz, spod kaptura wysypywały się fioletowe włosy. – Zagłada była piętnaście lat temu, mało kto ocalał do dziś...

– Wiem. Wiem. Wiem o tym – wyszeptał Dobrowolski. – Ale w Warszawie nadal żyją ludzie?

– No kurwa, a czy Zegarowy widzi w ciemnościach? – odparł pytaniem na pytanie mężczyzna. Oficer nie zrozumiał, o co tamtemu chodziło.

Gdzieś w tunelu rozległy się krzyki.

– Cholera jasna, psiakrew! Dużo was jest? – Kobieta rozejrzała się szybko, w duchu przeklinając własną głupotę i brak myślenia. Oczywiście, że jest ich dużo, samotny żołnierz nie bierze się znikąd i nie zadaje pytań, jakby ostatnie piętnaście lat spędził w zamknięciu. Przez moment patrzyła Dobrowolskiemu prosto w oczy, wreszcie po-

derwała nóż i wstała.

– Cała armia... – odparł oficer, podpierając się na łokciu. – Jechemy do Łodzi, gdzie ponoć jest wojsko. Ale ja wołałbym...

– W dupie mam, co byś wołał. – Odepchnęła go, gdy próbował wstać. Zignorowała jego prośbę, aby zabrali go ze sobą. – Głębie, spadamy – rzuciła tylko do towarzysza i nagle oboje rozplynęli się w mroku, wyskakując przez drzwi na zewnątrz, porwawszy leżące pod ścianą plecaki. Porucznik usłyszał kroki i podniesione głosy, a zaraz potem strzały, odbijające się ogłuszającym echem pod wiaduktem. Do pomieszczenia wpadli żołnierze z patrolu.

– Co tu się dzieje, do kurwy nędzy? – zażądał odpowiedzi drugi z poruczników.

– Nic. Zupełnie nic. – Wiktor wstał, otrzepując mundur z kurzu.

– Ładne mi nic, bratać się z bandytami! – Tamten podszedł i kopniakiem rozrzucił maleńkie ognisko. Posypały się na wszystkie strony pomarańczowe iskry, zasyczał żar, lądujący w kałuży. – Proszę mi wybaczyć, panie poruczniku.

– Co mam wam wybaczyć? – zapytał zdziwiony Wiktor. Potem poczuł nagle, mocne uderzenie w potylicę. Chwilę później silne ręce chwyciły nieprzytomnego pod ramiona i pociągnęły do stojącego dwie jezdnie dalej unimoga na włączonym silniku.

– Panowie – powiedział porucznik, gdy rozparci ponownie w ogrzewanym wnętrzu mknęli „siódemką” ku trasie S2 – nie widzę powodu, żeby meldować o tym incydencie komukolwiek. Nic się w gruncie rzeczy nie stało, ot, porucznik Dobrowolski się poślizgnął przy sikaniu i walnął w głowę.

– A ci ludzie, których ostrzelaliśmy?

– Coś ich chujowo ostrzelaliście, plutonowy, bo jakoś nie widziałem, żeby ktoś dostał, prawda?

– Ehm, tak jest, panie poruczniku! – Strzelec momentalnie stracił rezon.

– A, no właśnie! A wiadomo, jak nie ma ciała, to nie ma sprawy. Jasne? – w głosie porucznika zadźwięczał ostrzejszy ton.

Pokiwali w milczeniu głowami. Nie było sensu robić afery. Jeszcze generał Kulikowski gotów był ich tu trzymać i kazać szukać tych, co prysnęli spod wiaduktu jak szczury ze spiżarni.

W niecałe pół godziny później byli z powrotem w zgrupowaniu, gdzie, podobnie jak drugi patrol, zameldowali brak jakichkolwiek

niepokojących obserwacji. Teraz czekała na nich Łódź, ku której wyruszyli jeszcze tego samego popołudnia, tocząc się kolumną po dość dobrze zachowanej autostradzie A2.

– Ty, patrz – rzucił generał do jednego z adiutantów – a mówili, że to dziadowska robota i że tak oszukali, jak to budowali. A tu co? Piętnaście lat zimy i stoi!

– No, ta – mruknął tamten. – Wiadukt na Olimpijce stał dłużej, tylko co z tego.

– Już nie filozuj – odburknął Kulikowski i pogrzyżył się w myślach.

Wiktor Dobrowolski nie odzyskał przytomności aż do wieczora. Porucznik z patrolu zadbał, żeby przypadkiem drugiemu z oficerów nie przyszło do głowy podzielić się z kimś swoim odkryciem. Potem nie miało to już i tak najmniejszego sensu.

## Dziewczyna z Kryształowego

Maj, dwudziesty pierwszy rok po Zagładzie



Emilia podniosła się na posłaniu. Nie mogła usnąć, przewracała się w ciemnościach mieszkalni z boku na bok, wsłuchując się w dochodzące zza przepierzeń szepty, oddechy, czasem inne odgłosy ludzi, mieszkających w mrówkowcu. W Kryształowym Pałacu trwała noc. Noc sztuczna, wywołana przez ludzi, gdyż pod ziemią nie było naturalnego następstwa dnia i nocy. Mimo to, chociaż od dnia Zagłady minęło dwadzieścia jeden lat, w czeluściach warszawskiego metra ludzie sztucznie podtrzymywali miniony porządek rzeczy, właściwy światu, który przeminął bezpowrotnie. Przeminął, lecz oni, odpady pozostałe po zniszczonej przez samych siebie cywilizacji – odmówili przyjęcia tego do wiadomości.

Niezwykłe było stołeczne metro. Na stacjach, w pomieszczeniach technicznych, na galeriach – kwitło życie. Ci, którzy w ostatnim tygodniu zajęć szkolnych feralnego 2015 roku akurat korzystali z kolei podziemnej, mogli uważać się za szczęściarzy. Przetrwali bombardowanie miasta, uniknęli wtórnego skażenia, przeżyli skryci pod ziemią przed piekłem atomowej zimy. Zawiazali między sobą sojusze, potworzyli grupy, połączyli podziemne tunele siecią wzajemnych zależności. Na Politechnice i Polu Mokotowskim zgromadzili się naukowcy, inżynierowie i fachowcy, rekrutujący się z pobliskich uczelni. Czerpali z pozostawionego bez dozoru źródła, jakim była Biblioteka Narodowa. Gromadzili wiedzę i narzędzia, szkolili kolejne pokolenia w umiejętnościach, które więcej były warte niż towary, jakimi w metrze handlowano. Nic w tym dziwnego, że umiejętność wytworzenia naboju była cenniejsza niż sam nabój. W zamian za tę i wiele innych umiejętności naukowcy z Kryształowego Pałacu potrafili uzyskać prawie wszystko. Emilia zaś była nauczycielką. Wychowawczynią kolejnych pokoleń. Opiekunką dzieci narodzonych w mroku, pod sztucznymi światłami, w wilgoci i zaduchu tuneli i korytarzy stołecznego metra. Powiernicą przeszłości tego świata.

Jej komórka była niewielka, jak wszystkie znajdujące się w mrówkowcu, zajmującym jedno z dawnych torowisk. Od betonowego leża aż po półokrągły sufit sięgała niezwykła konstrukcja; zmontowane z szyn, belek, sklejki, desek, brezentu i drelichu komórki, niczym plaster miodu. Wielopoziomowe gniazdo ludzkie, gdzie każdej rodzinie i każdej jednostce Rada Naukowa wyznaczała miejsce podług zasług i wagi jej żywota. Profesorowie z rady mogli korzystać do woli z pomieszczeń technicznych metra, gdzie mieli do swojej dyspozycji samotnie, przestronne pokoje z miejscem na meble. Docenci, obarczeni rodziną, jeśli byli dość zasłużeni, liczyć mogli na najlepsze miejsca na poziomie peronu, mieszkalnie przestronne, niejednokrotnie dwu- lub trzymetrowej szerokości, takie, w których dzieci mogły uczyć się chodzić wyprostowane. Biblioteczne ciury gnieździły się w komórkach w sam raz mieszczących jedną ludzką istotę wraz z mierzonym jej dobytkiem.

Takie samo było mieszkanie Emilii. Niskie, długie legowisko odpowiednie dla młodej dziewczyny i wyjątkowo niewielkiego dobytku, jaki miała. Tych kilka dosłownie sukienek, skarb gromadzony latami. Parę książek, które udało jej się zdobyć na własność. Trochę przydatnych drobiazgów – rozpadająca się latarka na korbkę, przetrącony aluminiowy kubek, stary talerz i biwakowe składane sztucce. Leżała wśród swojego nieprzebranego bogactwa, a sen nie nadchodził, chociaż nad jego spokojem czuwała służba wartownicza i stalkerzy.

Stalkerzy... Półboscy zabijacy, zaprawieni w przelewaniu krwi zbóje na usługach rady, rzemieślnicy jednego tylko fachu – wojaczki. Docenci celności, profesorowie taktyki, kosynierzy podziemia, którzy mieli wystarczająco dużo bądź to odwagi, bądź też głupoty, by wychodzić na powierzchnię, mierzyć się z zimnem, promieniowaniem i potworami, jakie leżały się w śniegach atomowej zimy. Psychopaci gotowi zabijać bez jednej myśli, strzelać do wszystkiego, co odważyło się poruszyć w mroku, przelewać krew własną i cudzą, aby pod powierzchnią ziemi sprawy mogły biec ustalonym torem, mimo upływu lat pielęgnując parodię dawno wypalanej cywilizacji. Młodzi i piękni chłopcy, jak chciały polskie, narodowe legendy, oddający życie za trwanie idei. I chociaż w większości byli młodzi, bo rzadko który wśród zasp brudnego, skażonego śniegu dożywał wieku średniego, to raczej mało kiedy mogli rościć sobie jakiegokolwiek pretensje do przystojności – promieniowanie, niedożywienie, brak opieki medycznej i



dentystycznej odbijały się na zdrowiu i wyglądzie dzieci podziemia niezależnie od profesji.

Emilia sama była młoda; i była też wyjątkowo piękna – nie tylko, jak na standardy metra, gdzie komplet zębów był doniosłym osiągnięciem. Była też wyjątkowo bystra. Od dziecka z otwartymi ustami wsłuchiwała się w słowa swojej nauczycielki, pani Karoliny. Chłoneła jej opowieści o dawnych czasach, o ludziach, o prawach rządzących tym światem. Gdy tylko nauczyła się czytać, sięgała po wszelkie dostępne lektury. Kiedy podrosła, zaczęła na własną rękę handlować ze stalkerami. W zamian za drobiazgi przynosili jej z Biblioteki najróżniejsze książki, w większości takie, które nie trafiały na listy sporządzane przez inżynierów i naukowców. Niejeden zresztą do pięknej nastolatki wzdychał skrycie i oddawał łupy tylko za uśmiech. Ona jednak, chociaż prezenty przyjmowała, nie zważała na te awanse. Wodziła oczami tylko za Borysem, krążąc wokół chłopaka, co dzień mijając go niby przypadkiem, kręcąc się przy posterunkach, gdzie bywał, terminując w służbie wartowniczej stacji. On zresztą szybko połapał się, że młodsza koleżanka nie podziela wcale jego zamiłowania do karabinków, mundurów i wyjść na powierzchnię, lecz interesuje ją coś innego. Ktoś. Chociaż początkowo małolata rzucająca mu powłóczyście spojrzenia bardziej go irytowała i śmieszyła, poddał się w końcu jej urokowi.

Pamiętała doskonale, jak jeden jedyny raz, wiele lat temu, tuż przed swoim odejściem na służbę w wojskach Twierdzy Borys przyszedł po nią. Była jesień dwunastego roku. Wieczorem, niby przypadkiem, trafili na siebie na peronie pod mieszkalnią. Szesnastoletni rudy wartownik i czternastoletnia asystentka nauczycielki, marzycielka o błyszczących oczach. Patrzyła jak urzeczona, gdy zbliżał się do niej. Uśmiechnął się i przystanął. Jeden z tych momentów, kiedy serce Emilii zwalniało na moment, tylko po to, aby ruszyć po chwili galopem, jakby chciało wyrwać się z jej piersi.

– Cześć, Borys – powiedziała pierwsza, zdobywając się na odwagę. Chłopakowi prawie niezauważalnie drgnęła powieka. Wszyscy w Kryształowym Pałacu wołali wtedy na niego Sowizdrzał. Kto i kiedy tak ochrzcił tego sierotę – nie wiedziała. Lubił swój przydomek, odziedziczony po legendarnym włóczędździe i wiercipięcie.

– Emilka. – Przystanął w pół kroku, spoglądając na nią z góry. Przewyższał ją o głowę. – Dzisiaj po zgaszeniu świateł czekaj na mnie

przy wejściu między regały.

Puścił oko, poprawił gęstą, skołtunioną rudą czuprynę i bez słowa ruszył do swoich spraw. Dziewczynie serce uciekło w pięty, nogi się pod nią ugięły. Zaciśnęła usta, żeby nie roześmiać się w głos, spuściła oczy, w których zagrały figlarne iskierki, i uciekła z peronu w bezpieczny mrok pomieszczeń technicznych, gdzie pani Karolina trzymała swoje szkolne skarby. Ale nawet ukochane książki, przedwojenna mapa świata i inne drobiazgi nie potrafiły Emilki uspokoić.

Wieczorem długo starała się zmylić rodziców, zanim udało jej się wymknąć. Przekradła się przez wygaszoną, zaciemnioną stację, skryta w plamach cienia, i wpadła między regały, starając się, żeby nie zobaczyła jej obsługa drezyny, kończąca właśnie dzień. Zagłębiła się w wąskie półki, zapelnione setkami i tysiącami książek, które przez lata ludzie znosili z pobliskiej Biblioteki Narodowej. Wokół unosił się charakterystyczny zapach kurzu, papierowego pyłu, pleśni i wilgoci. W oddali błyskały światelka bibliotekarzy, z tyłu, za jej plecami, dobiegał przytłumiony, nocny szmer stacji. Obróciła się i wtedy ciężka, silna dłoń opadła jej na ramię i pociągnęła ją między półki. W ciemnościach błysnęły bystre oczy Borysa. Chłopak położył jej na ustach palec i podał ciężki toból.

Rozwinęła gruby, gumowany materiał. W ciemności i ciszy pomógł jej wciągnąć gigantyczne spodnie połączone z butami, a potem nałożyć górę od kombinezonu. Z odkrytym kapturem ruszyła za nim, aż dotarli do zagłębienia w tubingach, skrytego za regałami. Tam podał jej bez słowa maskę przeciwwgazową, pomógł ją założyć i naciągnął dziewczynie kaptur na głowę. Serce nastolatki tłukło się tak mocno, że bała się, że pękną jej żebra. Nie mogła złapać tchu, nie tylko z powodu kiepskich filtrów w stareńkiej masce. Do dziś nie pamiętała prawie nic z drogi, jaką przebyli – wydostali się na powierzchnię starym kanałem wentylacyjnym, częściowo niedrożnym. Potem biegli przez skraj Pola Mokotowskiego, w zaspach czarnego śniegu, pod zasnutym chmurami niebem, wśród porywów wichru. Wreszcie zapadli między bloki, zatrzymując się dopiero w bezpiecznej ciszy klatki schodowej. Potem chłopak zaprowadził Emilię wyżej, na jedno z górnych pięter, a tam wpuścił ją do porzuconego, chociaż mało zniszczonego mieszkania, gdzie w grubej warstwie kurzu widać było tylko jego własne ślady.

W przedpokoju rzuciła okiem w duże lustro – wyglądała jak

szmaciana kukielka, niekształtna poczwarka, ale nie obchodziło jej to, bo nigdy jeszcze, w całym swoim życiu, nie czuła się tak piękna i tak kobieca. Wszystko to za sprawą chłopaka, który zabrał ją na pierwszą w życiu wyprawę na powierzchnię. Weszli dalej, w głąb mieszkania, do jednego z pokoi. Nie pytając, chłopak zdjął jej maskę, a ciemne włosy Emilii rozsypały się po ramionach. I wtedy znów poczuła się piękna i wspaniała. I taka kobieca. I Borys też to w niej zobaczył. Wziął ją za ramiona, schylił się i delikatnie pocałował w usta, a potem oderwał się od niej, jakby zawstydzony. Przez moment Emilia sięgnęła raju. I nigdy potem się już tak nie poczuła. Tamtego wieczora nie doszło do niczego więcej, chociaż wcale jej to nie przeszkadzało. Przez kilka godzin siedziała po turecku na pokrytej nalotem pleśni wykładzinie, patrząc, jak Borys przechadza się tam i z powrotem, za plecami mając plakat najprawdopodobniej z lokomotywą, a nad głową model jakiegoś chyba statku kosmicznego. Znała te rzeczy tylko z książek. On opowiadał jej o świecie, o podróżnikach, odkrywcach, żołnierzach, zdobywcach... Snuł własne historie i popularne stalker-skie bajki, powtarzał miejskie legendy. Mówił o ojcu, który feralnego dnia był na służbie i który na pewno gdzieś żył, czekał, szukał jego – Borysa – swojego małego synka, który zdążył wyrosnąć. Miał szesnaście lat i też go szukał. Emilka miała lat czternaście i była w Borysie beznadziejnie zakochana. Tak, jak jeszcze nigdy dotąd nie była w Borysie zakochana.

– Musimy już iść – powiedział wreszcie – bo jutro mam sprawy do załatwienia.

Pomógł jej założyć maskę i biegiem, trzymając się za ręce, wrócili do kanału wentylacyjnego. W ciemności między regałami pomógł jej się rozebrać ze stroju ochronnego, pieczołowicie go zwinął i spojrział na nią raz jeszcze.

– Nie będzie mnie przez jakiś czas – wyznał. – Mam kilka spraw, którymi muszę się zająć.

Po czym zniknął w mroku biblioteki. I nie zobaczyła go długo. Bardzo długo. Przez pierwsze kilka dni nie niepokoiła się – mówił coś o wyjściu ze stacji, o sprawach do załatwienia, jakiejś wyprawie. Na pewno poszedł na drugą stację. Po dwóch tygodniach wiedziała już, że to coś więcej. Że to coś poważnego. Poszła na posterunki, gdzie wcześniej służył na warcie, zaczęła pytać. Tam dowiedziała się, że Borys zaciągnął się do armii w Twierdzy.

– Sowizdrzał dał dyla z Kryształowego – zaśmiał się któryś z wartowników. Emilia bez słowa odwróciła się i ruszyła ku schodom. Spuściła głowę; nie chciała, żeby ktokolwiek widział, że przetyka łyzy rozczarowania.

Czekała cierpliwie, pomagając w szkole, a gdy pani Karolina zapadła na zdrowiu – stopniowo przejmując jej obowiązki. Czekała. Była cierpliwa i miała czas. Borka, bo tak teraz na niego wołano, wrócił po trzech latach. Ale to nie był jej chłopak, tamten nastolatek, który w pustym mieszkaniu opowiadał jej o ojcu. Teraz był stalkerem, uzbrojoną i cyniczną hybrydą zbója i mitologicznego herosa, pasożytniczym mutantem, który gdzieś na południu po cichu podmienił znanego jej roześmianego chłopca, ciekawskiego świata łobuza niemożęcego usiedzieć na miejscu. To jedno jeszcze łączyło tamtego nastolatka, który ją wtedy, w pamiętną noc pocałował, z inteligentną mąszyną do zabijania, jaka tego popołudnia stała przed nią w szkole – zamiłowanie do włóczęgi.

W pierwszej chwili nie zauważył jej, jakby zapomniał, jakby nie wiedział, kim ta dziewczyna jest. Emilia bała się przypomnieć, łapał ją strach na myśl, że tak łatwo ją porzucił. Wreszcie odważyła się spojrzeć mu w oczy.

– Wypiękniałaś – powiedział tylko, jakby z żalem. – Przegapiłem ten moment, kiedy mogłem cię zdobyć. Teraz już pewnie za późno, co?

Niemal z przerażeniem pokręciła głową, zaprzeczając tym gestem, bo bała się zaprzeczyć słowem, aby nie zdradził jej głos, ze wzruszenia więznący w gardle. Przez te lata jej wzrok na nikim nie spoczął dłużej. Wciąż, leżąc w nocy, w ciemnościach mieszkalni, miała w pamięci tamten pocałunek i dotyk jego spierzchniętych warg.

– Ja... – zaczęła.

– Trudno się mówi – roześmiał się rubasznie. Miał teraz gęstą, ogniście rudą brodę. Wyglądał jak prawdziwy zbój. – Zresztą, bez urazy, Emilka, ale nie mam teraz czasu na ballady i romanse. Organizuję oddział. Prawdziwy stalkerski oddział. Zaprowadzimy trochę porządku w tym naukowym śmietniku. Docenci w swetrach będą mogli spać spokojnie.

Odszedł, a ona została na peronie, z sercem pękniętym, ze łzami, które spod zaciśniętych z całej siły powiek potoczyły się w dół, po policzkach, rozpryskując się na posadzce.

Minęły lata. Stalker okrzepł na swoim stanowisku, sformował oddział, okrył się sławą. Nauczycielka prowadziła szkołę, odchowując kolejne roczniki dzieci podziemia. Krążyli wokół siebie, lecz ona nigdy nie miała odwagi, a on nigdy nie miał czasu. I chociaż oboje po cichu żalowali tego stanu, byli ze sobą tylko tak, jak Księżyc i Ziemia. Nigdy za daleko. I nigdy za blisko.

Emilia usiadła w mroku swojej komórki. Tego popołudnia Borka przyszedł do szkoły. Oczywiście pod pretekstem przekazania książki od docenta Komosy. Oczywiście, że historyk od dawna obiecywał jej to opracowanie, ale żeby wyręczać się stalkerem? Finezja godna brodatego zbója, który wchodził zwykle butami do przodu i strzelał niepytany. Ucieszyła się jednak. Przez ostatnie tygodnie Borka owszem, był na stacji, ale krążył między lazaretem a powierzchnią, doprowadzając swój oddział do ładu po ostatniej wyprawie, jaką w poszukiwaniu artefaktów podjął na zlecenie Twierdzy i z poręczenia Rady Naukowej. Coś wielkiego, co miało przywrócić im dawną świetność, ciepło, światło, prąd. To było dobre zlecenie, ale dziewczyna wiedziała, że brał też inne, mniej szlachetne. Chodził i zdobywał, zabijał ludzi, walczył w cudzej sprawie. Ponoć przyjął od Świętego Krzyża zlecenie na podbicie Słoików. Emilia odsunęła od siebie te myśli, nie lubiła godzić się z faktem, że człowiek, którego kochała od tylu lat, para się handlem śmiercią. Przymykała na to oczy. Tak naprawdę to się nie działo. W końcu walczyli tylko z wrogiem, stawali naprzeciwko nieprzyjaciela. Bronili swojej społeczności, a jeżeli brali zlecenia najemne, to przecież też tylko dlatego, że musieli z czegoś żyć. Czasy były niepewne, a sytuacja na stacjach napięta. Nawet w spokojnym dotąd Kryształowym Pałacu i w Radzie Naukowej narastały spory, podnosiły się głosy, że czas na zmiany i na rządy nowej fali, wychowanej już pod ziemią.

Nauczycielka odepchnęła od siebie te myśli, przywołała popołudniowe spotkanie. Jej Borys, heros, bohater, półbóg. Z tą rudą, nieuporządkowaną czupryną, z gęstą brodą. Gdzieś w brzuchu poczuła łaskotanie. Nie była już nastolatką.

Na posadzce peronu zaszurały czyjeś kroki i nagle zasłona wejściowa została odsunięta w bok.

– To ja – usłyszała tylko, lecz serce jej skoczyło prawie do gardła. – Posuń się trochę, co? – zaproponował kpiarskim głosem Borka.

– Borys, o rany, skąd ty... Ale jak to...

– Miałem wpaść, no nie? – W mroku błysnęły jego zęby, brakowało tylko jednego. – No dobra, niby mówiłaś, że jak wrócę, ale wiesz...

Wydawało jej się, że w ciemnościach wzruszył ramionami.

– Wiem – powiedziała cicho, chociaż głos jej zdradziecko zdrżał. – Możesz nie wrócić.

Schylił się w ciemnościach, chwycił ją za głowę i pocałował. Miał tak samo twarde, spierzchnięte wargi jak wtedy, przed wielu, wielu laty. Gęsta broda łaskotała ją po twarzy. Nie zwracała na to jednak uwagi, bo tym razem to nie był niewinny, nastoletni pocałunek w usta, złożony przez chłopca na wargach podlotka. Borka przygarnął ją do siebie i uściskał mocno. Na moment straciła dech i nawet, kiedy ją wreszcie wypuścił z ramion, jeszcze przez chwilę nie mogła złapać powietrza.

– Mam przeczucie, wiesz? – odezwał się w ciemnościach. – Tym razem znajdę ojca. Wiem, że on tam gdzieś jest, czeka na mnie, szuka mnie.

Emilia cicho westchnęła. Na razie musiała się zadowolić rolą najważniejszej kobiety w jego życiu. Do bycia najważniejszą osobą jeszcze jej trochę brakowało. Bez słowa położyła mu głowę na ramieniu i przytuliła się lekko do szorstkiego materiału kurty.

– Dziękuję, że przyszedłeś – powiedziała po prostu, naciągając na siebie koc.

– Ja... – zaczął, ale nagle urwał. Jakby coś sobie przypomniał albo o czymś nagle pomyślał. Czekala w ciemności, ale czas leciał, sekundy zamieniły się w minuty, a mężczyzna nic nie mówił. Uniosła się nieco na łokciu, patrząc na niego pytająco. Po chwili zorientowała się, że w ciemnościach mieszkalni pewnie nawet jej nie widzi.

– Borys... – zaczęła.

Mruknął pod nosem; równie dobrze mogła to być zachęta albo i nie.

– Borys, słuchaj – próbowała zebrać myśli – ja tutaj czekam. Sześć lat od tamtej nocy. I wcześniej pewnie też tyle samo. I ja... – głos na moment zdradził ją i załamał się – mogę nawet poczekać i następnie sześć. Tylko ja bym chciała wreszcie wiedzieć.

Borka sapnął głośno i uniosł się na łokciach. Delikatnie pogłaskał ją dłonią po policzku i wycofał się z legowiska. Odsunął zasłonę wejściową i zeskoczył na peron. Nauczycielka pomyślała, że po prostu

odejdzie bez słowa. Zostawi ją, tak samo jak poprzednio. Poczula ściekającą po policzku dużą, gorącą łzę, która na ułamek sekundy zawisała na krawędzi kształtnego podbródka, potem poszybowała w dół i wsiąkła w stary, wełniany koc.

– Emilka... – rozległ się jego głos. Zamarła.

– Borys?

– Pogadamy, jeśli wrócę. Obiecuję.

Jeśli, pomyślała kobieta, a nie gdy. Zadrżała nagle.

A potem zasłona opadła, a kroki ciężkich butów zaszurały na peronie i oddaliły się w mroku stacyjnej nocy. Następnego dnia Borka i Szturmowcy wyruszyli na północ. Ich celem była wyprawa na Dworzec Śródmieście, o której w Kryształowym Pałacu mówiono bardziej z dumą jako o wojnie ze Słoikami.

W mroku sztucznej nocy ludzie żyli, głęboko pod ziemią. Na stacjach i w tunelach wznosiły się domy bez okien, a w każdym z nich czaił się ból, spinający tysiące twarzy w tysiące masek. Tysiące masek przyoblekanych w tysiącu ról. Jedno z nich miało za zadanie dbanie o przyszłość, opiekę nad dziećmi, hołubienie ocalałych okruchów cywilizacji. Drugie z nich miało za zadanie nieść ogień i nie zadawać ani nie dopuszczać do siebie niepotrzebnych pytań.

## Krwawa jatka

Czerwiec, dwudziesty pierwszy rok po Zagładzie



Dupę rusz – zażądała Zara od brata bliźniaka. Hanno niechętnie nieco się przesunął, robiąc jej miejsce na zaimprovizowanej ławce, kawałku leciwej deski ustawionej na dwóch większych fragmentach gruzu.

– Co załatwiłaś? – zapytał. Od kilku dni czekali na decyzję w sprawie dalszego wypadu. Rada Dworców, biorąc od uwagę nasilające się problemy z niewygodnymi sąsiadami – zarówno Świętym Krzyżem, którego fanatyczni bojownicy stawali się coraz bezczelniejsi, jak również z rewolucjonistami z Podziemnej Republiki Ludowej, którzy z kolei dotarli do tak dramatycznego punktu w swojej historii, że zostało im już jedynie podpalenie świata w ogniu wszechpodziemnej rewolucji – oraz z coraz szczuplejszymi zapasami i zasobami, a także pogarszaniem się stanu infrastruktury, postanowiła zarządzić exodus.

Pomysł, dyskutowany od tygodni, forsowany w radzie głównie przez Dworzan, zakładał wyprawę mającą na celu zbadanie porzuconych od lat tuneli metra za zawałem – w okolicach Wisły. W przypadku potwierdzenia, że znajdujące się za Powiślem stacje i tunele nadal nadają się do zamieszkania, część społeczności – a w tym wypadku przeważali Bracia Mniejsi – miałyby udać się do nowych siedzib, porzucając spustoszony i targany niepokojami pierwotny dom, jakim był Dworzec Śródmieście. Nikt jednak nie mógł powiedzieć nic pewnego na temat obecnego stanu metra po praskiej stronie.

Podziemny odcinek linii średnicowej był drożny i oba tunele, zarówno dalekobieżny, jak i podmiejski zostały – mimo skrajnie niekorzystnych warunków bytowych – zaadaptowane i zasiedlone. Wyjątek stanowił jego wschodni koniec, zabezpieczony i zabarykadowany, którego wszyscy unikali. W pierwszych latach po Zagładzie wyjście na dworzec Powiśle zostało zablokowane ze względu na uciążliwe sąsiedztwo Imperium. Kiedy zniknęło ono z mapy miasta, korzystali z niego stalkerzy, lecz te tereny nie cieszyły się dobrą sławą.



Obecność Podziemnej Republiki Ludowej w Pałacu Kultury spowodowała zablokowanie wyjścia serwisowego z tunelu dalekobieżnego na skwer na północ od dworca. W kolejnych latach, ze względu na coraz bardziej kłopotliwą bliskość Świętego Krzyża, zlikwidowane zostało wyjście z tunelu do przejść podziemnych pod rondem. Dawniej służyło do komunikacji, jako łącznik z metrem, mimo że Patelnia nie była wtedy jeszcze w całości nakryta – przed rozmnożeniem się Zegarowych były to czasy dużo bezpieczniejsze. Z wyjścia ze stacji do przejść pod rondem biegł obudowany blachą i zadaszony korytarz. Same przejścia, z dostatecznie zabezpieczonymi i zabarykadowanymi wyjściami, służyły za neutralny teren, gdzie odbywał się handel i kwitł czarny rynek. Po dziesiątym roku, wraz z nadejściem władzy sekciarzy wokół całego skrzyżowania linii, wszystko zaczęło się zmieniać. Po kilku latach, gdy nie utrzymywano już żadnych stosunków między Braćmi Mniejszych a fanatykami, przejście zostało na głucho zamknięte, a wreszcie, dla bezpieczeństwa, całkiem zamurowane. Podobnie jak okna naziemnych pawilonów dworca Śródmieście, ogromnym wysiłkiem zmienione w lity mur.

Utrzymywano jeszcze wyjścia awaryjne przy Alejach Jerozolimskich i przy Brackiej, lecz wyprawy w tamtą część miasta stawały się coraz rzadsze i mniej opłacalne, aż dla bezpieczeństwa i z braku zainteresowania utrzymywaniem tam posterunków zawalono dwa z nich, pozostawiając częściowo funkcjonujące wyjście naprzeciwko Giełdy Papierów Wartościowych. Jednak w ostatnim okresie nie korzystano z niego wcale, gdyż nasilały się plotki o nowych, dziwnych mutantach, które opanowały lewy brzeg Wisły. Miejskie legendy mówiły o istocie zwanej Syrenką, która wynurzyła się wprost z legend i wciąż skutych lodem odmętów królowej rzek polskich i terroryzowała okolicę. Dzieci Syrenki miały być drapieżnikami, które bezlitośnie ścigają i pożerają wszelkich stalkerów i kurierów, zapuszczających się w okolice skarpy wiślanej i na podskarpie. Tunel w tamtej części został w dużej mierze zapomniany – nie było już tylu ludzi, żeby musieli w nim mieszkać, i z czasem stał się cmentarzyskiem i śmietniskiem. Obecnie swobodna droga kończyła się sporo przed dawnym wyjściem na powierzchnię przy dworcu Powiśle. Wciąż jednak drożne były przejścia aż do wysokości Giełdy, a znajdujące się tam korytarze awaryjne i wyjście ewakuacyjne na powierzchnię stalkerzy co jakiś czas sprawdzali i utrzymywali w porządku, więc można było w każdej

chwili je odblokować, gdyby zaszła taka potrzeba. W sytuacji, gdyby udało się zbadać odciętą część metra, tamtędy właśnie miałyby ruszyć pochód pielgrzymów, udających się do nowej ojczyzny.

Wśród Braci Mniejszych krążyły różne plotki. Niektórzy pamiętali jeszcze Ostatnie Przymierze i opowiadali bajkowe historie o skarbach i bogactwach zgromadzonych przez Czarnego Pana na praskim brzegu. Przekupnie na środkowym peronie na równi z dziadami z korytarza podperonowego powtarzali bujdy o zapieczętowanych skarbach, pełnych broni, ubrań, konserw i innych cudowności, jakie sekciarze z Krzyża pozostawili tam, bo był to dla nich kęs zbyt wielki do przełknięcia. Oczywiście było dla każdego trzeźwo myślącego człowieka, że w kilkanaście lat po obaleniu Imperium przez zjednoczone wojska Ostatniego Przymierza musiały te magiczne skarbcie prawobrzeżnego sezamu sczeznąć i zmarnieć, ale ludzie nie zwykli trzeźwo myśleć, bo nie wynikało z tego nic optymistycznego. Woleli karmić się nadzieją i bajaniem, które chociaż na chwilę rozjaśniało mroki ich ponurej, wilgotnej egzystencji lepiej niż słabe, rachityczne ogniska na peronach zarówno małego, jak i dużego dworca.

W ostatnich tygodniach Rada Dworców kilkakrotnie wzywała Hanoiego, który jako jedyny ze Śródmieścia postawił stopę na praskim brzegu. Cierpliwie i metodycznie tłumaczył im, co tam znaleźli, a raczej czego nie znaleźli podczas owego zwiadu, który pozwolił pośrednio na przełamanie długotrwałego impasu w tej strasznej wojnie. Raz po raz powtarzał otrzymane wtedy informacje, potwierdzone później naocznie, że stacja Powiśle została wysadzona w powietrze, a następnie zalały ją odmęty czarnej, lodowatej wiślanej toni, zabierając ze sobą wszystko, co nie zostało rozgrabione. Te opowieści próbowano konfrontować potem wielokrotnie z kilkoma niedobitkami Czarnej Armii Imperium, którzy jakimś cudem przetrwali wieloletnią katorgę w Hufcach Pracy, lecz z tych, co walczyli wtedy i przegrali, zostały w większości jedynie puste skorupy, ludzkie wraki wyprane z inteligencji i pamięci przez lata bestialskiego, nieludzkiego traktowania i najgorszej, galernicznej roboty.

Nie mogąc podjąć żadnej sensownej decyzji, Rada Dworców zdecydowała o wysłaniu grupy zwiadowczej, której celem byłoby potwierdzenie doniesień o Dzieciach Syrenki, ocena zagrożenia z ich strony, rozpoznanie trasy, a nade wszystko dotarcie do odciętych tuneli drugiej linii metra i potwierdzenie ich aktualnego stanu. Do tej

roboty niejako automatycznie wyznaczono Hanoię, jako jedyne go człowieka, który znał teren. Dla wszystkich też było oczywiste, że Zara jako druga połowa stalkerskiego duetu pójdzie wraz z nim, natomiast co do reszty członków wypadu... Cóż, tu zarówno Dworzanie, jak Bracia Mniejsi byli zgodni – nie było sensu ryzykować i wysyłać większej grupy. Jasne przecież, że w przypadku zagrożenia ze strony mutantów czy też napotkania ludzi po tamtej stronie rzeki samotnej dwójce łatwiej będzie zarówno znaleźć schronienie, jak i podać tyły w sprzyjającym momencie lub, gdyby zaszła taka potrzeba, przeniknąć w szeregi obcych, budząc znacząco mniej podejrzeń niż silna, uzbrojona grupa. Dla bliźniaków było też równie jasne, że nikt nie chce gubić niepotrzebnie ludzi w straceńczej misji, a po wyszczekanej kobiecie i jej głupkowato żartującym bracie, gdyby mieli przepaść, mało kto w radzie będzie płakał. Jednak jasne było również, że bliźnięta nie są w stanie odmówić wykonania tego polecenia, bo chociaż przez dwie dekady życia na Śródmieściu obrośli setką legend i stali się niezależnym, samoistnym stalkerskim bytem, to rada dobrze wiedziała, jak uprzykrzyć czy wręcz uniemożliwić życie tym, którzy zbyt długo pod jej bokiem kręcili własne interesy i drwili sobie z możliwych tego świata.

W tej sytuacji rodzeństwo czekało jedynie na potwierdzenie daty wyjścia, uzależnionej od obserwacji ruchów agresywnych sąsiadów. Rada także, ustami swych emisariuszy na południu i północy metra, próbowała pozyskać dodatkowe informacje, mogące pomóc ocenić ryzyko. Stalkerski duet za to, nie czekając na decyzje, spenetrował tunel i odkrył dawne awaryjne przejście na południowy peron dworca Powiśle, które po krótkim namyśle zostawili jedynie dobrze zamaskowane. Nigdy nie wiadomo, co i kiedy może się przydać.

– Co załatwiłaś? – powtórzył Hanoi, kiedy siostra nie zareagowała na pytanie.

– Zara – odburknęła, poprawiając sznurowadła lekkich, wysokich skórzanych butów, które udało jej się wytargować za chabar z ostatniej wyprawy. Zacisnęła mocno linki, ziewnęła i oparła się o ścianę.

– Rada obraduje – zdradziła w końcu.

– Ha, no i?

– No i nic. Jak się naobradują, to się zdecydują – filozoficznym tonem stwierdziła kobieta. – Te tępe dzidy same nie wiedzą, czego

chęć. Moim zdaniem powinniśmy po prostu wziąć sprzęt i iść tam samodzielnie, bez oglądania się na Słoików i całą resztę tych pasących kałduny fiutów, którym bardziej zależy na wpływach w radzie niż na faktycznym zrobieniu czegośkolwiek.

Chłopak wzruszył ramionami i także ziewnął.

– Chodź spać – zasugerował – bo zmarnowaliśmy bez sensu cały dzień, a nie mamy już po dwadzieścia lat. – Kiedyś to się było nindzą – podniósł się z ławki – i się robiło różne rzeczy. Ech, się robiło...

– Ta. Zostawiało się siostrę z nogami połamanymi i szło na wojenkę, rwać kurierki, co? Tak było, głąbie? – Zara z uśmiechem uderzyła brata pięścią w ramię.

– Ej, weź, nie w szczepionkę – zażartował mężczyzna. Roześmieli się oboje. Szczepionki... Nikt ich nie widział ani o nich nie słyszał od wielu, wielu lat. Mokry sen antyszczepionkowych matolek przedwojennego świata ziścił się, gdy nadeszła wojna. I dzieci błyskawicznie przestały dostawać autyzmu i umierać od rtęci zawartej w narzuconych przez szatańskie rządy i opętane chciwością, kupujące ludzkim życiem korporacje. Przestały nawet mieć te mniej groźne powikłania. Przestały także, co niektórych jednak bardzo zaskoczyło, dożywać wieku dojrzałego, gdy okazało się, że w ciasnych korytarzach, gdzie ludzie byli niemiłosiernie stłoczeni, a warunki sanitarne urągały wszelkim standardom, nagle zaczęły wybuchać gwałtowne epidemie dawno zapomnianych i pogrzebanych chorób, zbierające śmiertelne żniwo wśród niedożywionych, osłabionych i nieleczonych malców. Wtedy jednak okazało się, że za późno już na pseudonaukę i piękne słowa, a jedynym, co pozostało z tamtych lat, były cmentarze pełne małych nagrobków. Po latach zaś, ostatecznie, natura zadziałała po swojemu i dzieci zaczęły znów, normalnym trybem, przechodzić przez wszelkie zarazy i uodparniać się na nie coraz bardziej. Było to jednak zwycięstwo pyrrusowe.

Stalkerski duet przeskoczył między peronami, kierując się ku kioskowi, gdzie urzędowali w dawnych latach. Mimo upływu czasu lubili tam jeszcze zaglądać. W tym momencie, prawie jednocześnie, w wieczorny gwar wdarł się huk trzech kolejnych eksplozji. Cały dworzec zatrzęsł się w posadach, ze stropu posypał się betonowy pył i opadł deszcz kropel. Huk detonacji złął się w jedno z łoskotem walących się murów, w przerażone krzyki napadniętych mieszkańców Śródmieścia wdarł się ostry świst zimnego wiatru. Ze schodów pro-

wadzących do nadziemnych części dworca buchnęły kłęby dymu i betonowego pyłu. Na stopniach zadudniły ciężkie wojskowe buty. Chmura dymu i odłamków zakryła wschodni kraniec środkowego peronu, gdzie również nastąpiła eksplozja. Z tych trzech punktów rozlewały się strzały i w ciągu kilku chwil kanonada zaczęła się nasilać.

Na dworcu zapanowała panika. Ci, którzy zdążyli ułożyć się do snu, rozespani, wyrwani ku świadomości, próbowali zorientować się w sytuacji. Na peronach leżały już pierwsze trupy, powalone kulami stalkerów wkraczających na Śródmieście od wschodu i od strony dawnych kas. Napastnicy rozciągnęli się w tyralierę, strzałami zaganiając mieszkańców w kierunku zachodnim, ku przejściom na Centralny. Najgorzej było na środkowym peronie, na który przez wysadzone wejście od strony metra wlewała się oszaląca, wyjąca, strzelająca bez opamiętania masa, w której spanikowani ludzie rozpoznali znienawidzonych bojowników Świętego Krzyża. Ci nie zważali na nic, prując do każdego, nie robiąc wyjątków dla kobiet, dzieci, starców.

Służba wartownicza Dworca Śródmieście, poderwana na równe nogi, zaczęła się ostrzeliwać, z początku mocno nieśmiało. W odróżnieniu od Dworzan Bracia Mniejsi nie dysponowali zbyt dużą ilością broni ani amunicji. Polegali w dużej mierze na protekcji większego z dworców i na tym, że mieszkańcy metra i Republiki Ludowej postrzegali ich jako jedną wspólną społeczność Słoików. Jednak wiara w to, że silniejszy sojusznik pomoże im w razie kryzysowej sytuacji, okazała się naiwna. Być może gdzieś tam, na drugim końcu przejścia lub w czeluści tunelu średnicowego szykowali się już żołnierze Centralnej, w tej chwili jednak nie miało to znaczenia – ludzie padali jak muchy, koszeni wystrzeliwanymi na oślep seriami z karabinów i pistoletów maszynowych.

Zara i Hanoi skulili się pod krawędzią południowego peronu. Mężczyzna wystawił głowę i ujrzał krępego, rudego stalkera o gęstej brodzie, rozprawiającego się z nielicznymi obrońcami dworca pojedynczymi, celnymi strzałami. Kilka metrów od niego biegł karzeł w dziwnym hełmie, dalej inni bojownicy. To nie mogli być nawiedzieni ze Świętego Krzyża. Zdradziecki sojusz ze skrzyżowania pierwszej i drugiej linii metra musiał do brudnej roboty zatrudnić najemników. Hanoi zobaczył jeszcze, jak rudy drab rzuca się w bok, starając się uniknąć kuli, i pada na peron. Zara pociągnęła brata z po-

wrotem pod krawędź peronu, gdzie skulili się obok innych przerażonych mieszkańców podziemnego dworca. Strzały rozlegały się teraz ze wszystkich stron – najwyraźniej obrońcy zdołali się wreszcie zmobilizować i stanęli do walki. Pośród terkotania wystrzałów, w mdłym, przesyconym dymem i pyłem powietrza podziemia roznosiły się coraz głośniejsze szlochy i krzyki przerażenia. Najemnicy i fanatyczni mordercy od Krzyża bezlitośnie ostrzeliwali perony, likwidując jedno po drugim gniazda oporu.

Z brzękiem z krawędzi peronu na dawne torowisko sturlał się dziwny hełm karła-najemnika, widziany dopiero co przez Hanoię. Zara, zdumiona, wzięła archaiczne nakrycie głowy w dłoń, uniosła się nieco, spoglądając w górę. Przyglądała się hełmowi ze sterczącym na czubku kolcem, przestrzelonemu tuż nad kryzą. Rozległ się strzał i kobieta poczuła palący ból w klatce piersiowej, kiedy pocisk przeszedł przez jej prawe płuco, wychodząc plecami. Z niedowierzaniem uniosła dłoń i dotknęła krwawej plamy rozkwitającej na kurtce, upuszczając hełm na ziemię.

– Braciszku – wyszeptała zbielełymi wargami – trafili mnie...

Hanoi, nie czekając, chwycił ją za ramiona i pociągnął w dół. Trzymając pod pachy, poczołgał się na boku pod zbawienną krawędzią peronową, ciągnąc Zarę w stronę Dworca Centralnego, licząc na to, że za chwilę przez podziemne przejście i tunel wleją się tu przychodzące z odsieczą oddziały Dworzan. Na moment zastygli wśród skleconych na leżu torowiska bud, chwilowo zasłonięci przed wzrokiem agresorów przez płachty brezentu i połączone dykty. Bez słowa Hanoi rozpiął siostrze kurtkę, potem bluzę, rozdarł na pasy porwaną z pobliskiej mieszkalni szmatę i prowizorycznie starał się zatamować krew, płynącą z rany. Zara oddychała chrapliwie, charcząc i kaszląc, z ust pryskały jej spienione kropelki krwi.

– Odma – wyszeptał tylko mężczyzna. – Odma. Muszę zabezpieczyć! Nie możesz tutaj zdechnąć, ty wiedzmo. Nie zrobisz mi tego!

Gorączkowo rozglądał się wokoło, nerwowo odpychał tłoczących się ludzi, wrzeszcząc na nich i poszturchując. Wreszcie udało mu się wśród zwałowiska najróżniejszego śmiecia wygrzebać kawałek folii. Wprawnie przedarł go wpół i przyłożył do rany, obwiązując pasami materiału.

– Głobie... – wyszeptała Zara – spierdalajmy stąd, co?

– Jasne, jasne. – Stalker porwał siostrę pod ramiona, zarzucił ją

sobie na plecy, nie zważając na nagły, ostry okrzyk bólu, i na czworakach ruszył ponownie w kierunku Centralnego. Nagle od zachodniej strony rozległy się wybuchy – najwyraźniej napastnicy postanowili w ten sposób odciąć Śródmieście od sąsiadów, zapobiegając odwetowemu uderzeniu Dworzan. Po środkowym peronie przewalał się oszalały, dziki tłum, wyjąc i zawodząc. Napastnicy mieszały się z ofiarami, gdzieś tam migają łachmany niewolników Świętego Krzyża, nie wiedzieć czemu pędzonych w sam środek tej niepojętej rzezi. Pociski trafiały także ludzi stłoczonych w przestrzeni pomiędzy peronami, jęki agonii rozlegały się ze wszystkich stron. Bliźnięta zamarły, kuląc się ponownie pod nawisem peronu.

– Co teraz?! – nerwowo spytał mężczyzna. Kobieta wykonała jedynie gest głową, podbródkiem wskazując na wschodni kraniec dworca, gdzie pośród błysku wystrzałów, w kłębach dymu majaczyła czeluść tunelu średnicowego.

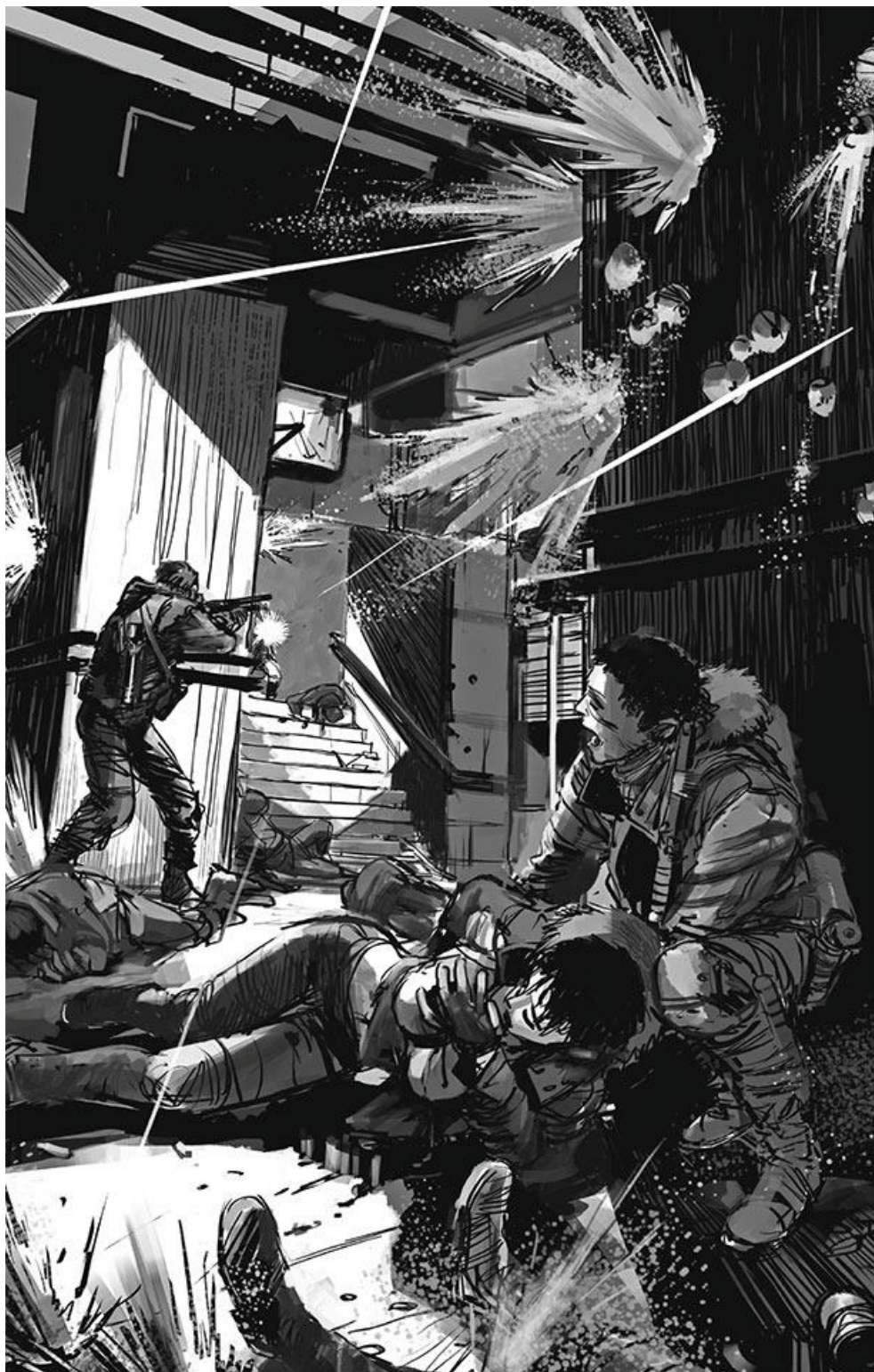
– Nad Wisłę... – wyszeptał Hanoi. Zara skinęła głową. Decyzja była karkołomna tylko na pozór. Znajdowali się w połowie długości peronów. Fala napastników przetaczała się szybko ku zachodniemu krańcowi, pozostawiając martwych i rannych za sobą, bez kontroli. Złachmanieni niewolnicy nie zwracali na nikogo uwagi, kuląc się pod batami nadzorców. Dworzec rozjarzył się nagłym, chybotliwym światłem, które zgasło na chwilę, tylko po to, aby znów się rozpaścić. Do walki włączył się miotacz ognia. Wrzaski przerażonych ludzi zlewały się w jedno z trzaskami wystrzałów z broni wszelkiej maści i kalibrów. Na zachodnim końcu zaterkotał metalicznie cekaem – pierwszy znak, że obrońcy Centralnej włączyli się do starcia. To dodało nieco ducha stalkerskim bliźniętom. Oznaczało, że dworzec, być może, nie jest jeszcze stracony. Zara uniosła głowę. Po peronach, ostrzeliwując się, kroczyli napastnicy. Ich czarne, złowrogie sylwetki, podświetlone nagłymi wybuchami ognia, przypominały nierzeczywiste zjawy, potworne demony. Demony wojny, pomyślała kobieta. Dźwignęła się na nogi i schylona, ciężko dysząc i krzywiąc się, gdy przestrzelone płuco przeszywało całe ciało nagłymi uderzeniami bólu, szybko ruszyła ku wschodniemu krańcowi Śródmieścia, natarczywie wpatrując się w otwarty przekrój tunelu, częściowo przesłonięty konstrukcjami mieszkalni. Dotrzeć nad Wisłę – jedyny pewny sposób na ocalenie.

Za sobą słyszała szybkie, lekkie kroki brata, czuła, jak w pewnej chwili chwycił ją za łokieć i podtrzymał, kiedy zatoczyła się nagle,

zgięta paroksyzmem bólu. Biegli wśród pandemonium szlochu, krzyków, wystrzałów i ryku ognia, szalejącego pod niskim sklepieniem, roztrącając na bok płaczących, wyjących z przerażenia ludzi, przedzierając się ku zbawczej ciemności tunelu. Ku wolności i życiu. Kobieta przystanąła, uniosła się nieco i wyjrzała ponad krawędź peronu. W oddali ujrzała rudego brodacza, który zdawał się dowodzić najemnikami. Poprzez gryzący dym, pośród duszącego smrodu krwi, spojrziała na niego. Mężczyzna, obrócony ku niej profilem, drgnął, jakby poczuł na sobie jej wzrok. Obrócił się i uniósł w górę karabin. Nie mierząc, posłał w jej kierunku długą serię. Pociski zagrzechotały na granitowej posadzce, odłupując kamienne drzazgi. Zara niczym w zwolnionym tempie patrzyła, jak uderzają coraz bliżej. Potem Hanoi poderwał się na nogi i rzucił, powalając siostrę na ziemię, a jego ciałem szarpnęły nagle konwulsje, gdy pociski go trafiły.

– Uciekaj, wariatko – wychrypiał, przygniatając ją. Z ust pociekła mu strużka krwi. Kobieta zaniósła się krótkim, urywanym kaszlem. Z trudem narzuciła sobie brata na plecy i na kolanach i łokciach poczołgała się w kierunku tak powoli zbliżającego się tunelu. Nie zważając na ludzi, kanonadę i wrzaski, parła naprzód, czując ciężar Hanoi przygniatający ją do zasłanej gratami i śmieciami ziemi. Nie uniosła głowy, gdy wpełzli pomiędzy wąskie mury, gdzie echo potęgowało jeszcze odgłosy kaźni, jaka miała miejsce na dworcu. Zara nie patrzyła przed siebie – w ciemnościach, w których się skryli, wymacywała trasę dotykiem, pościeranymi dłońmi i połamanymi paznokciami wyczuwając dalszą drogę. Dawno minęli już zamieszkane rejon średnicowego i kobieta w ciszy, przerywanej tylko odległym pogłosem walki i chrapliwym oddechem Hanoi, coraz bardziej płytkim i rwącym się coraz bardziej, pełzła mozolnie naprzód.





Wpadła po omacku na wschodni posterunek – wartownicy musieli porzucić go i pobiec na perony w pierwszych chwilach po wybuchu walk. Straciła równowagę i rąbnęła na twarz, boleśnie rozbijając wargę. Hanoi runął jak kłoda obok, jęcząc z bólu. Objęła go ramieniem i poczuła, że całą kurtkę ma mokrą. Nie widziała po ciemku, ale

czuła mdlący zapach krwi, która nasączyła materiał i kapiała na podtorze. Kobieta zawyla z bezsilnej złości, nie mogąc zarzucić sobie brata ponownie na plecy. Przestrzelone płuco dawało o sobie znać, a zmaltretowane ciało odmawiało posłuszeństwa. Chwyciła mężczyznę za ramię, wstała i w beznadziejnych ciemnościach, z cichnącymi jej za plecami odgłosami zgotowanego przez ludzi piekła, mozolnie parła naprzód. Sekundy rozciągały się w minuty, a te dłużyły się niemiłosiernie. Potykała się o coraz bardziej zagracające dno tunelu zwały śmieci, połamane sprzęty, kawały betonu, które odpadły ze sklepienia lub wykruszyły się ze ścian. Boleśnie uderzała stopami w ciężkie fragmenty gruzu, resztki jakichś konstrukcji, dawno porzucone i zgniłe budy, sklecone przed laty z dykty i kawałków płyt meblowych. Wokół unosił się smród rozkładu i zgnilizny. Pod stopami plaskała miękko woda, ciurkająca po ścianach i skapująca ze sklepienia, pokrywająca wszystko warstwą lepkiej, śliskiej wilgoci. W pewnej chwili kobieta poślizgnęła się na czymś miękkim i kleistym i runęła w przód, boleśnie uderzając o coś twardego przedramieniem, którym zasłoniła głowę. Upadek wypchnął jej powietrze z płuc, a przestrzelina w klatce odezwała się bólem. Długie minuty Zara gramoliła się z powrotem na nogi, dłonie nurzając w miękkim, oblepiającym wszystko, cuchnącym szlamie, zawieszanie rzadkiego błota i twardszych fragmentów, które mogły być czymkolwiek. Dźwignęła się na nogi, splunęła krwią w ciemność, zarzuciła rękę brata na ramię i zaczęła wlec go naprzód, dłonią starając się wymacać ścianę tunelu, aby zapewnić sobie podparcie. Przeklinała na głos los, który zadrwił sobie z nich – kiedy rozpoczęła się strzelanina, nie mieli przy sobie żadnego wyposażenia, latarni, broni, czegokolwiek. Jak dwójka głupich smarkaczy, co wychodzili na miasto z pałkami, mając nadzieję, że nic im się nie stanie, bo są tacy fajni. Tacy fajni byli, tacy sprytni, najlepsi stalkerzy z Dworców. Niefrasobliwi idioci, co nawet latarki nie nosili przy sobie, bo czuli się bezpiecznie i miło w swoim pięknym, podziemnym domu. Domu, który właśnie spływał krwią i płonął, czego świadectwem było już tylko dalekie echo niosące się tunelem, bo jego krzywizna dawno zasłoniła odblask walki.

Wreszcie gdy minęła nieskończoność, atak Świętego Krzyża zaś i krwawa jatka, jaka nastąpiła po nim, wydawały się zmaltretowanej kobiecie już tylko nieistotnym wspomnieniem, dotarła do barykady. Gdzieś po drodze minęła stalkerskie przejście na wysokości Giełdy,

ale teraz nie miała żadnych szans, by je odnaleźć, nawet gdyby była w stanie się cofnąć. Porzuciła ciało brata, z trudem usiadła wprost w zalegających pod ścianą śmieciach i siedziała tak, czując, jak woda ze ściany spływa jej za kołnierz, wsłuchując się długo i z gasnącą nadzieją próbując pochwycić płytki, słaby oddech. Hanoi wreszcie odkaslnął krwią i wciągnął konwulsyjnie powietrze – nadal żył.

Zara, macając jak oszalała po zawale pozdzieranymi do krwi dłońmi, natrafiła w końcu na kawał dykty zakrywający wąską szczelinę tuż przy ścianie. Odrzuciła go w bok, wpychając się w przesmyk i targając za sobą ciało brata. Po drodze natrafiła na kawały gruzu, pręty, resztki sprzętów, ale przedzierała się przy krawędzi betonowej ściany, bo tam barykada była najslabsza – dawniej biegło tędy wyjście. Wreszcie precisnęła się do końca i uderzyła głową o blachę pokrywy z głuchym odgłosem. Po drugiej stronie była wolność. Naparła na ciężką płytę ramieniem, ryjąc butami w podłożu. Odepchnęła się i nagle runęła w przód, padając i boleśnie tłukąc sobie ramię, ale była już na takim etapie, że nie obeszło jej to zupełnie. Szarpnęła za sobą Hanoię i runęli oboje na zasłany zakosami brudnego, śniegowego błota peron Powiśla. Kobieta upadła na plecy, wydając nagły krzyk, gdy ból z rany postrzałowej przeszył jej klatkę piersiową, i straciła na chwilę przytomność.

Kiedy otworzyła oczy, ujrzała nad sobą ciemne, nocne niebo. Gęste chmury przewalały się nisko po nieboskłonie, upiorna ciemność zalegała zrujnowany dworzec. Wiatr wył w gałęziach martwych drzew, światło księżyca słabo przebijało się przez pokrywę chmur. Zara z wysiłkiem uniosła się na rękach do przyklęku, kaszląc i obficie spluwając krwią. Sięgnęła ręką w tył, namacała brata. Nie była w stanie wyczuć ruchu klatki piersiowej. Kurtka Hanoię przesiąknięta była na wskroś krwią, która rozlewała się w kałużę na wysmaganym wiatrem betonowym peronie, gdzie w ciągu dnia śnieg się rozpuścił w letnich, dodatnich temperaturach. Zara obróciła się i schyliła, przykładając ucho do ust bliźniaka. Długo nasłuchiwała, próbując pochwycić świst oddechu lub poczuć go na policzku.

Z tyłu, za sobą, usłyszała ciche mlaśnięcie śniegowego błota, zatrzeszczał lód na kałuży ściętej w chłodnym nocnym powietrzu. Powoli obróciła się i przez czerwoną mgłę przesłaniającą oczy dojrzała kształty, kryjące się w cieniu skarpy. Wyglądały jak cienie, pozornie nieruchome, zbliżały się jednak.

Dzieci Syrenki, przemknęło jej przez głowę.

Zaledwie kilka sztuk, ale wiedziała, że nie ma najmniejszych szans. Nie była uzbrojona, przestrzelone płuco paliło żywym ogniem, z wyczerpania, przerażenia i bólu obraz rozmazywał jej się przed oczami, w dodatku peron spowijały nocne ciemności. Zrezygnowana pojęła, że to koniec. Uciekła z piekła, jakie jej pobratymcom z Dworca Śródmieście zgotowali bojowcy nasłani przez Święty Krzyż, tylko po to, aby teraz zginąć z łap mutantów. Ciche łkanie wstrząsnęło jej piersią, przesywając ją palącym paroksyzmem bólu. Powoli ułożyła się na zimnym betonie, objęła ręką ciało Hanoięgo i przytulając się do niego, zamknęła oczy.

– I tak to się kończy, głąbie – wyszeptwała bezgłośnie, samymi wargami. – A jeśli to wszystko ma się skoczyć dzisiejszej nocy, to powinniśmy umrzeć razem...

W oczekiwaniu na ostatni cios, na atak, który zakończy ten potworny wieczór, przymknęła oczy. Po chwili usłyszała szmer, a potem odgłosy lekkich sprężystych kroków. Potem kolejnych. Zbliżały się. Ktoś stanął obok niej. Zadrżała z zimna, lecz nie ze strachu – była już gotowa pożegnać się z tym światem. Wyczuła ruch i z drugiej strony także ktoś się zatrzymał. W upiornej nocnej ciszy słyhać było ciężkie dyszenie, oddechy świszczące i stłumione.

Coś stuknęło, jakby metal o metal, rozległ się głuchy trzask. A potem jeden z cieni zbliżył się i pochylił nad leżącym rodzeństwem. Kobieta poczuła, że coś przewraca ją na plecy, ale nie miała już siły otworzyć oczu. Wypuściła z ramion ciało brata, pociągnięte przez napastników. Gardło ścisnęło jej się tak, że nie mogła złapać nawet tego ostatniego oddechu.

– Co jest? – rozległ się kobiecy, mocno przytłumiony głos z boku. Dobiegł jakby zza mgły, niemal z majaczeń. Tak, na pewno był urojeniem, halucynacją wywołaną przez szok, utratę krwi i wycieńczenie.

Ktoś chwycił ją za ramię, uniósł głowę, usłyszała szuranie i zrozumiała, że ciało jej brata odciągnięto dalej na bok.

– Ja znam tego człowieka. Robiliśmy tu razem wypad na wojnie z Imperium – rozległ się inny kobiecy głos tuż nad jej uchem. Zara straciła przytomność.

Część druga  
Piekło

*Tutaj i teraz przebiega linia frontu  
Powietrze jest już nasycone  
Wszystko zostało powiedziane  
Ostatnie mosty zostały spalone  
I nic nie zostanie zapomniane  
Nawet wtedy gdy przyjdzie wiosna.*

Pidżama Porno  
„Porządek panuje w Warszawie”

## Powierzchnia

Lipiec, dwudziesty pierwszy rok po Zagładzie



Nie uda się, karwa fa – szepnął pod maską Golem, zerkając za róg budynku z użyciem ułamka lusterka. Spojrzał na stojącego krok dalej dowódcę i pokręcił przecząco głową. Wpakowali się w kłopoty. Chociaż, oczywiście, trudno to było uznać za zaskakujący obrót spraw. Sami zresztą byli winni swojej sytuacji.

Wracali z wypadu, który wedle wszelkich zasad należało uznać za nieudany. Niewolnik świętokrzyski zabrany w rozliczeniu przekonał dowódcę Szturmowców, że w Puszczy Kampinoskiej znajduje się tajny wojskowy bunkier. Nie bez przeszkód przeszli przez większość pierwszej linii, wyszli na powierzchnię, znaleźli obiekt, a potem udało im się go zniszczyć[5]. Teraz wracali z pustymi rękami.

No, niezupełnie. Borka w wewnętrznej kieszeni bluzy unosił ze zniszczonego przedwojennego bunkra kartkę, na którą trafił w pokrytej kurzem szatni. Kartkę napisaną przez ojca, poszukiwanego przez całe życie. Pierwszy od ponad dwudziestu lat ślad, że człowiek, za którym gonił, nie był jedynie widmem przeszłości, lecz gdzieś tam nadal żył.

W każdym razie żył sześć lat wcześniej, bo z tego okresu pochodziła nakreślona i pozostawiona w szafce notatka. Rudobrody dowódca stalkerów, nie bez powodu nazywany „najlepszym dowódcą na pierwszej linii”, nie przejmował się jednak takimi detalami. Wyrzucał sobie wprawdzie, że przez jego nieostrożność zniszczony został podziemny natowski kompleks, który mógł zawierać wiele interesujących tajemnic, jednak fakt, że unosił z niego ślad ojca, wytęsknionego, wymarzonego, zamienionego przez blednącą pamięć w niemal boga, sprawiał, że wszelkie sprawy usunęły się na drugi plan. Do tego stopnia poddał się euforii, że Miś, jego milczący, zwalisty zastępca, musiał zadbać o zorganizowanie odwrotu z puszczy do metra.

Na stacji Młociny powitano ich z rezerwą – mimo że ich nieobecność trwała tylko dwa dni, układ sił w tym rejonie tuneli wyraźnie

zdążył się zmienić. Banda ze Słodowca, której jednego z liderów zabił w samobójczej misji Licznik, zamieniła się w ul pełen szerszeni.

– My tutaj mamy spokój, ale na waszym miejscu, chłopaki – uznał za stosowne poinformować ich Lodołamacz, przywódca stalkerów ze stacji Młociny – tobym się na oczy nie pokazywał na Starych Bielanach. Porucznik nie przyszykuje wam na powitanie orkiestry. Ani dziewcząt z kwiatami nie oczekujcie.

Splunął na betonową posadzkę i podrapał się po podbródku, pokrytym kilkudniowym zarostem.

– Coś mi się zdaje – spojrzał uważnie na Borkę – że my to się szybko znowu zobaczymy, panie zbój.

Co rzekłszy, zezwolił im jednak zostać na noc w tamtejszych koszarach.

Następnego dnia stalkerzy ruszyli na południe, wędrując tym dziwnym, małym, połączonym tunelem, gdzie obie nitki dawno zdemontowanych torów biegły obok siebie, oddzielone jedynie betonowymi kolumnami. To były inne tunele, inne metro niż u nich, na południu. Na terenie pierwszego, najstarszego odcinka. Tu przestrzeń była mniejsza, stacje węższe, ludzie bardziej szarzy. Tu żyło się trudniej. Szturmowcy przeszli przez Wawrzyszew bez problemów, ale też bez wzbudzania sympatii wśród mieszkańców. Stosunkowo szybko dotarli na przedpole Starych Bielan i tam zgodnie z przewidywaniami stalkera z Młocin zaczęły się kłopoty.

Podeszli do północnego posterunku stacji bez problemu, nie kryjąc się, lecz gdy obsada zorientowała się, że nie są to ich sąsiedzi z dalszej stacji, lecz grupa obcych, która całkiem niedawno zmierzała w przeciwną stronę, nagle się zaczęło.

– Stać! – Dowodzący posterunkiem poderwał broń do ramienia, odbezpieczając ją po drodze. Szturmowcy w odpowiedzi sami położyli dłonie na swoich karabinkach.

– Ani kroku dalej – rzucił trzymający ich na muszce mężczyzna w okularach, z pagonami sierżanta na noszącej ślady wieloletniego używania kurtce.

Obrócił się i wydał krótkie polecenie drugiemu z wartowników.

– Siadać i czekać – rozkazał przybyszom.

– Weź, karwa fa, opuść tę pukawkę – mruknął pod nosem Golem, ostentacyjnie odwracając się do wartownika plecami i siadając na betonie. – Bo se, karwa fa, palca przytniesz bezpiecznikiem...



Borka westchnął tylko i gestem dłoni nakazał oddziałowi postój. Porozsiadali się pod ścianami, nie wypuszczając jednak broni z rąk. Nie musieli czekać długo. W kilka minut za plecami dowódcy posterunku pojawił się mężczyzna w podobnie znoszonym mundurze. Miał krótką, zadbaną brodę i okrągłą twarz, na której teraz malowało się silne wzburzenie. Mógł mieć około czterdziestki.

– Poruczniku Kropop, melduję obcych na progu.

– Dziękuję wam, sierżancie Kłeczek – powiedział, mijając stanowisko warty – ale to widzę sam. Kto tu dowodzi? – zapytał nieznośnym sprzeciwu tonem, wchodząc między stalkerów.

Borka uniósł się niedbale z ziemi, otrzepał pył z kurtki.

– Jestem dowódcą ochrony tej stacji – zadeklarował porucznik. – Rozumiem, że jesteście tą samą grupą, która dopiero co narobiła gnoju na Słodowcu?

Borka skinął głową powoli.

– Tak, to my. Zastrzeliliśmy im jednego z dowódców. Zrobiliśmy to w ramach umowy z kim innym, więc nic nam nie jesteście winni.

Porucznik z niedowierzaniem pokręcił głową. Spojrzał z dezaprobatą na sporo młodszego stalkera.

– Ja bym na twoim miejscu nie żartował, rudy – wyrzucił z siebie. – Dzisiaj w nocy te brunatne gnoje starły się z nami na południowym krańcu. Odparliśmy ich, ale przez te wasze brewerie straciłem sporo amunicji i człowieka, który siedział ze mną w tej norze od Dnia Gniewu. Odpowiedzialność za to spada na was.

Przerwał na moment i zaczerpnął oddechu. Po chwili kontynuował:

– Nie wiem, jaka cholera was tu przygnała. Nie wiem, po co żeście wepchnęli kij w gniazdo os. Ale wiem, że nie jesteście tu mile widziani – zakończył stanowczo i obejrzał się. – Kłeczek, weźcie kilku ludzi i wyprowadźcie tych gnojków na górę, do wyjścia. Nie życzę sobie ich teraz oglądać.

Bez dalszych ceregieli porucznik Kropop odwrócił się plecami do Szturmowców i pomaszerował z powrotem, wspinając się po betonowych schodkach na zachodni peron Starych Bielan. W chwilę potem w przejściu pojawiło się kilku wartowników.

– Słyszeliście? – zapytał sierżant, opuszczając wreszcie broń. Przybysze z Kryształowego Pałacu pokiwali głowami. Na komendę

Borki dźwignęli się z betonu i gęsiego wspięli na peron, skąd pojedynczym ciągiem schodów dostali się na powierzchnię, do chałupniczo opancerzonego pawilonu naziemnego. Mieszkańcy Pola Mokotowskiego z niedowierzaniem przyglądali się wyjściom ze stacji, otwierającym się praktycznie na peron. Głębokość osady, konstrukcja wyjścia i tandetność całej instalacji budziła w mieszkańcach starego metra niedowierzanie.

Rozglądając się, stali na powierzchni. Był środek lata, krótkiej przerwy od atomowego chłodu. Brudny śnieg się roztopił i zmienił w brudne błoto. Temperatury za dnia podnosiły się sporo powyżej zera. Południowe słońce, chociaż przesłonięte chmurami, grzało i świeciło dość mocno.

– Wot gad – zagaił spod maski Strażak.

– Jego prawo nas pognać. Jego stacja, jego reguły – mruknął Borka. – Jak nie tu, to i tak byśmy musieli zaraz potem wyjść. Chyba ci się, karwa fa, nie zdaje, młody, żebyśmy sobie przez Słodowiec przeszli w drugą stronę?

– Oj, weź, ty to zawsze! – zachnął się najmłodszy z członków oddziału. – Czatownika ubiliśmy, bunkier żeśmy zdobyli...

– Ta, zdobyli – mruknął pod nosem Suchy, oddziałowy kapelan. – Rozwalili.

– ...noc ani zima nam niestraszna – ciągnął Strażak niezrażony – to i byśmy tych tam też.

Borka ciężko sapnął pod maską.

– Weź, Strażak, zmilcz, bo cię sam zamknę. – Ściągnął karabin z ramienia i się rozejrzał. – Idziemy, bo tu stoimy jak dziwki na peronie. A jakoś nie mam wrażenia, że ktoś z naszych czeka na wizytę, co?

Odpowiedział mu zgodny pomruk.

– Szkoda tylko tych dziewczyn, na Madonnę, alebym sobie poruchał – mruknął na odchodnym najmłodszy ze stalkerów.

– Nie bluźnij, gówniarzu, bo nam nieszczęście na głowę ściągniesz. – Suchy uderzył go otwartą dłonią w tył głowy.

Nie marnując więcej czasu na dalsze jałowe dyskusje, Szturmowcy rozciągnęli się w linię i ruszyli na południe. Do przebycia mieli około dwóch kilometrów, co dla zaprawionych w wypadach na powierzchnię stalkerów nie było odległością nieosiągalną. Z drugiej strony znajdowali się na nieznanym terenie, na ulicach, którymi wcześniej nie mieli okazji wędrować. To nie były dobrze znane szlaki

otaczające Aleje Niepodległości czy Armii Ludowej. Nie szli przez nawiedzane przez lupiny, ale jednak znane Pole Mokotowskie. I chociaż do celu prowadziła prosta i stosunkowo dobra trasa dawną ulicą Kasprowicza, to jednocześnie nie mogli z niej skorzystać w obawie, że natkną się na patrole neonazistów.

Przeskoczyli jezdnię, pełną dziur w pozarywanym asfalcie, i szybko przemieszczali się chodnikiem po południowej stronie, w cieniu domów. W odróżnieniu od przeciwległej strony ulicy tutaj teren był bardziej odsłonięty, nie porastały go tak gęsto dziwaczne rośliny, odległa popromienna progenitura krzewów i drzew sprzed wojny. Mimo stałego zachmurzenia dzień był jasny, jedynie w plamach cienia na zniszczonych czasem i warunkami atmosferycznymi chodnikach srebrzyście błyskały cienkie tafle lodu na kałużach wody z roztopów. Śniegowe błoto mlaskało pod podszewkami ciężkich butów, kiedy truchtem przeskakiwali od budynku do budynku – ciemne, pochylone sylwetki ludzi z garbami plecaków. Dawni władcy świata, którzy w swojej własnej stolicy czuli się teraz intruzami. Gorzej, kryli się po kątach jak dawniej szczury; starali się nie rzucić w oczy niczym zwierzyna łowna, która z bezpiecznego kanału wysunęła łepkę na górę, rozglądając się niepewnie i nie wiedząc, z której strony nastąpi atak. Pokonali tak większą część trasy wiodącej w kierunku stacji Słodowiec i odbili na południe. Bez przeszkód dobiegli aż do ulicy Żeromskiego, nadkładając sporo drogi i robiąc prawie drugie tyle.

Przystanęli na rogu ulicy. Na przystanku autobusowym obok czegoś, co mogło być resztkami spalonego pawilonu handlowego, Suchemu udało się znaleźć pomarszczoną, spłowiałą mapę okolicy z naniesionym systemem komunikacji. Nie ryzykując, że wiekowy papier się podda, studiowali ją we dwóch z Borką przez dłuższą chwilę, gdy tymczasem reszta oddziału schroniła się na pobliskim niskim balkonie. Po krótkiej naradzie postanowili odbić jeszcze dalej na północ, żeby ominąć ulicę Sacharowa. Po obu jej stronach usadowiły się wyjścia z feralnej, brunatnej stacji, na której przed kilkoma dniami zostawili towarzysza. Na ostatni rajd poszedł z własnej woli, ale nie znaczyło to, że Szturmowcy zapomnieli czy wybaczyli krzywdę. Biegnąc po nierównym, mokrym chodniku, Strażak nadal mamrotał pod nosem coś o wejściu i wypaleniu ogniem całej stacji. Pozostali członkowie oddziału, chociaż nie snuli tak niestworzonych fantazji, myśleli też krążyli wokół tej sprawy.

I wtedy właśnie zaczęły się prawdziwe kłopoty. Dobiegali do przecznicy, która miała ich doprowadzić do węzła drogowego przy parku Kaskada, kiedy usłyszeli jakiś dźwięk dobiegający z kierunku, w którym się poruszali. Wszyscy członkowie oddziału błyskawicznie przypadli do ściany mijanego bloku i zamarli w oczekiwaniu, nasłuchując.

Dotychczas nie natrafili na żadne ślady życia. Była to okoliczność z jednej strony bardzo na rękę, z drugiej natomiast niepokojąca. Skoro na ulicach nie było drobnicy – ani mutantów, ani zwierząt – mogło to oznaczać, że coś wypłoszyło z okolicy mniejsze stworzenia. Borka nerwy miał napięte do granic. Euforia wywołana znalezieniem kartki od ojca już z niego wyparowała. Był świadomy tego, że list sprzed lat to w zasadzie zimny trop, tym bardziej że dołączona do niego mapa jako potencjalny cel dalszych poszukiwań wskazywała cały kraj. Kiedy wyszli na powierzchnię, wyrzuceni z metra przez porucznika, poczuł znów, że są na wyprawie. Rajdzie, bardzo daleko od domu. Na obcym, wrogim terenie, gdzie nic dobrego na nich najprawdopodobniej nie czeka. I niestety, instynkt stalkerski nie zawiódł rudobrodego dowódcy.

Z najbliższej przecznicy doleciał hurgot, a potem rytmiczne tąpnięcia – odgłosy kroków. Kroków, które stawiało coś ciężkiego i prawdopodobnie niezwykle dużego. Borka uniósł rękę i dał znak do odwrotu. W tym samym momencie wilgotne powietrze lata rozdarł dźwięk, który nie pozostawiał stalkerom już żadnej nadziei. Pomiedzy blokami, rykoszetując echem, poniósł się zwierzęcy ryk. Potężny, głośny zew, jakiego nikt z nich nie miał dotąd okazji słyszeć. Basowy, niski okrzyk drapieżcy, który wyruszył na swój teren łowiecki w jednym tylko celu. Ludzie nie czekali, żeby sprawdzić, co to za drapieżnik; pierzchali z powrotem na północ, trzymając się skraju ulic. Ryk powtórzył się i biegnący z tyłu Suchy obrócił się przez ramię.

– Madonno Tuneli, Światło w Ciemnościach, miej nas w swojej opiece – wyszeptał nagle zeszywniałymi ze strachu wargami. Poczuł, że zaschło mu w ustach. Z ulicy Staffa wyszedł wprost na nich mutant. Bestia spłodzona gdzieś w ruinach, pośród radioaktywnej nocy, wychowana w mrozie, w jamie gruzów spalonego miasta. Dzika i nieokiełznana.

Mutant przystanął, mierząc ich wzrokiem. Miał na oko ze cztery metry wysokości, mała głowa schowana była między wielkimi, po-

teżnymi ramionami, zakończonymi ogromnymi dłońmi o długich szponach. Krótsze nogi były muskularne, nabite zwojami mięśni. Widząc zdobycz, przysiadł na zadzie, podpierając się łapami, odrzucił w tył niepozorną głowę i wydał ponownie ryk, od którego stalkerzy zadrżeli. Coś dziwnego działo się z ciałem potwora – nad ramionami i plecami powietrze drgało, nad cielskiem unosiło się coś w rodzaju rzadkiej, przejrzystej mgiełki, rozmywającej kontury monstrum. Kiedy zaryczał, wszyscy przystanęli, patrząc z mimowolnym podziwem na ogrom stworzenia, z którym, wiedzieli to już, za moment przyjdzie im się zmierzyć. Trwali w bezruchu jak urzeczeni, a tymczasem stwór wsparł się mocniej na przednich łapach i zgarbił, jakby napinając kark. Uniósł nieznacznie łeb i wodził oczami od człowieka do człowieka. A potem stała się rzecz niezwykła.

Mutant spał się w sobie. Nad jego ciałem przeskoczył oślepiąco jasny, elektryczny błysk, krótkie gwałtowne wyładowanie, którego trzask usłyszeli bardzo wyraźnie. Mgiełka spowijająca mutantą stanęła błyskawicznie w płomieniach, które osłoniły potwora migotliwą kurtyną, otaczając cały korpus i głowę. Stwór ryknął po raz trzeci i skoczył naprzód, aż zadrżała ziemia.

– Biegnijcie, głupcy! – wrzasnął Suchy, znajdujący się najbliżej kreatury, i sam spróbował uskoczyć w bok, pomiędzy zabudowania.

Jego towarzysze, nie czekając na rozwój wypadków, rozsypali się na wszystkie strony, pędząc w kierunku balkonów i dawno wybitych okienek piwnicznych, przedkładając ryzyko nieznanego w blokach nad nacierający w pełnej okazałości terror na powierzchni.

– Madonno Tuneli, Pani Światłowłosa, Oblubienico Jasna – mamrotał kapelan, próbując w biegu wypatrzeć kryjówkę. Czuł, jak grunt pod nogami się trzęsie, kiedy koszmarny drapieźnik, pędząc na czterech łapach, się zbliżał. Coś poderwało Suchego w powietrze, poczuł owiewający go ogromny żar i smród spalenizny, a potem potworny ból w obu nogach. Nieludzka siła cisnęła nim o wilgotną ziemię, pozbawiając go przytomności. Nie wiedział, że napastnik po ataku popędził dalej, najwyraźniej próbując dopaść kolegów.

– Suchy został! – wrzasnął Strażak, ściągając maskę, w której nie mógł zaczerpnąć oddechu. Zdołał podciągnąć się na pobliski balkon i przymierzał się do dania nurka w mroczne wnętrze mieszkania, kiedy obok jego głowy przeleciała monstrualna łapa z potężnymi pazurami. Kurtka na plecach chłopaka trzasnęła rozdarta szponem, a on

sam poleciał na twarz przez puste, dawno stłuczone okno, lądując na podłodze czyjegoś salonu, na stercie zbutwiałych szmat, które mogły być przed Zagładą absolutnie wszystkim.

Z zewnątrz rozległy się strzały, najpierw jedna krótka seria, potem druga, po chwili z przeciwnej strony ulicy również zagrały karabinki. Strażak podniósł się, przez ułamek sekundy sprawdzał językiem zęby, strzyknął krwią z przygryzionej wargi przez dziurę po wybitych jedynkach i podskoczył do okna balkonowego. Potwór dreptał na środku ulicy, obracając się na wszystkie strony, porykując i wymachując długimi łapskami, jakby oganiał się od kul. Wyglądał groteskowo, ponad jego cielskiem olejki eteryczne podtrzymywały cały czas jasny płomień, rzucający ostre, rozchybotane cienie, podkreślające twarde guzy mięśni na łapach, korpusie i nogach mutanta. W pewnej chwili przypościł szarżę na balkon po drugiej stronie ulicy, z którego ostrzeliwał się Borka. Długie łapska bestii wystrzeliły naprzód, a dowódca skoczył w tył, niknąc w mrocznym wnętrzu pustego mieszkania. Mutant napał naprzód, krusząc beton, potężnymi ramionami rozrywając resztki ram okiennych. Czterometrowe monstrum pochyliło się, próbując dostać się do wnętrza i wyłuskać wciąż ostrzeliwującego się człowieka. Bolesny ryk dał znać Szturmowcom, że ich lider znajduje się być może w tej chwili w pozycji zwierzyny łownej, ale nie traci nic ze swojego opanowania i zimnej krwi.



Z okienka piwnicznego pod balkonem zaterkotał karabinek, seria dosięgła łydek mutanta, po burej, gruzłowatej skórze popłynęła ciemna posoka. Potwór wyszarpnął tors z balkonu i obrócił się. Nie namyślając się wiele, Strażak poderwał własną broń i puścił serię prosto w głowę poczwary. Musiał jednak chybić, bo spowity chmurą płomieni

olbrzym skoczył naprzód, nie robiąc sobie nic z lecących w jego stronę pocisków. Chmurą płomieni – skonstatował Strażak, wpatrując się intensywnie w ogień, jaki wykwitł na korpusie mutanta. Zmrużył oczy, głęboko wciągając do nieosłoniętych maską płuc powietrze wraz z dużą porcją dymu. Odskoczył w tył, w głąb pokoju, kiedy potwór rzucił się w kierunku piwnicy, druzgocząc niski balkon. Cały blok zatrzęsł się pod uderzeniem monstrualnego cielska.

Chłopak zrzucił na ziemię plecak, wysypał jego zawartość. Może nie był zbyt lotny w innych kwestiach, ale jeśli coś się paliło, to dla niego było zawsze interesujące. Odkąd, mając pięć lat, pierwszy raz zobaczył miotacze ognia w natarciu na drugiej linii, czuł, że tylko to może go zadowolić w dalszym życiu. Panowanie nad ogniem. Przez lata bawił się płomieniem, niejednokrotnie parząc ręce i wypalając dziury w ubraniach, za co przybrani rodzice karcili go, lecz bez skutku. Strażak po prostu lubił z ogniem igrać. I nie raz już ta wiedza się przydała. Tak jak kiedyś pomógł przegnać maorysów, jak przełamał patową sytuację w przejściu na Dworcu Śródmieście, tak jak zaledwie parę dni wcześniej pokonał czatownika w tunelu na północ od stacji Muranów, tak i teraz wiedział, co trzeba zrobić. Gdy był jeszcze zaledwie początkującym adeptem, stawiającym pierwsze nieśmiałe kroki w fachu podpalacza, usłyszał przypadkiem zdanie o zwalczaniu ognia ogniem. To właśnie miał zamiar teraz zrobić.

Z dna plecaka wyciągnął cenny, zawinięty w folię pakunek. Rozejrzał się szybko po pokoju. Blok zadrżał w posadach, kiedy mutant natarł na niego kolejny raz, podniosła się chmura pyłu. Chłopak zobaczył błysk w stercie gratów. Szybko rozrzucił ją kopniakami i wyciągnął małą, pękatą butelkę. Widział takie parokrotnie, starszyzna trzymała w tym trunki. Niewiele myśląc, wsypał zawartość pakietu do środka, rozglądając się ponownie. Potrzebował wody. Jak na ironię, chociaż wszystko gniło od wilgoci, stojącej wody w pokoju nie było. Niewiele myśląc, rozpiął spodnie... W pierwszej chwili obsikał sobie buty, kiedy blok znów zatrzęsł się od szarży stojącego w płomieniach mutanta. Skończył wreszcie, zatykając szyjkę szmatą, żeby na moment chociaż powstrzymać narastającą w butelce reakcję. Pokraczny, radioaktywny żywy stos tymczasem odwrócił się i szykował do skoku znów na drugą stronę ulicy, skąd, z poziomu wyższych pięter, ostrzeżliwali go Borka z Misiem, którzy zdążyli już ogarnąć się po pierwszej szarży.



– Ej ty, kutany złamasie! – wrzasnął Strażak, celując w szerokie plecy mutasa. Butelka poszybowała wysokim lobem, trafiając w cielsko. Zgodnie z naprędcie wykonanymi pobieżnymi obliczeniami ciśnienie wzrosło na tyle, że tuż przed uderzeniem w cel wypchnęło szmatę zatykającą szyjkę i bulgocząca zawartość spryskała skórę tego dziwnego, postnuklearnego balroga. W pierwszej chwili stwór nie zwrócił nawet uwagi na to, że coś go trafiło. Zanim jednak zdążył dotrzeć na drugą stronę ulicy, jego skóra, pokryta łatwopalną mieszanką, zajęła się ogniem. To nie były opary, wypalające się na powietrzu olejki eteryczne, to była gęsta, lepka maź, przywierająca do ciała i wżerająca się w nie bezlitośnie. Pałaca mięśnie aż do kości, odsłaniająca narządy, niszcząca i pożerająca wszystko pożoga. Strażak splunął i wyciągnął z kieszeni zmiętego skręta.

– Poruchałbym, karwa fa – powiedział sam do siebie, przykucając na resztkę strzaskanego balkonu i patrząc, jak mutant, drąc w agonii asfalt łapami, ginie w płomieniach. Jego robota była skończona.

Ryki mutantów przeszły w żalosne kwiki, kiedy Szturmowcy zdążyli wszyscy na powrót zebrać się na ulicy.

– Dziękuję, mały. – Borka klepnął go lekko w plecy i pognął z powrotem na miejsce pierwszego kontaktu z mutantem. Rozejrzał się wokoło, aż zobaczył leżące z boku ciało. Błyskawicznie dopadł Suchego, uniósł głowę kapelana Madonny, zdarł mu maskę i przystawił wizjer do ust. Leciutka mgielka pokryła powierzchnię szkła.

– Nie ma czasu, ruszać dupy, karwa fa! – krzyknął na stalkerów. – Po tym wszystkim będziemy mieli zaraz na głowie wszystkie mutanty i ludzi z całej okolicy, biegiem, ewakuacja!

Potrząsnął kapelanem, a ten otworzył zamglone bólem oczy. Wymamrotał coś niezrozumiałego. Dowódca poderwał go w górę, na co Suchy zareagował gwałtownym, krótkim skowytym. Borka dźwignął szczupłe, lekkie ciało wyżej. Obie nogi stalkera zachybotwały się dziwnie miękko. Rudobrody zaklął.

– Ruchy, panny, robimy włóki i spadamy! – krzyknął, poganiając towarzyszy. W ciągu kilku minut sklecone z przypadkowych materiałów pokraczne skrzyżowanie sani z noszami było gotowe i ranny stalker spoczął na nim.

– Madonno Tuneli, lokomotywo życia – szeptał zsiniałymi wargami – za ocalenie życia, pod Twoją obronę i na Twoje usługi moje życie polecam. – Poczuł, jak włóki unoszą się z przodu, szarpnięte

silnymi rękami Golema. Pałący ból połamanych nóg przeszył ciało i kapelan znów zapadł w niebyt omdlenia.

Dwie godziny później Szturmowcy dobijali się do barykady, broniącej wstępu na stację Marymont.

5 O wydarzeniach tych przeczytać możecie w książce „Kompleks 7215”.

## Skarpa wiślana

Sierpień, dwudziesty pierwszy rok po Zagładzie



Zara otworzyła oczy nagle, podrywając się jak ktoś, kto budzi się z koszmarne snu. Obolałe płuca zachłysnęły się krzykiem, nieludzkim, obłąkanym wrzaskiem, sterowanym przez mózg na krawędzi szaleństwa. Szarpnęła się w przód, dźwigając całe ciało w nagłym skurczu, paroksyzmie wracającej świadomości, w olśnieniu na powrót funkcjonującymi zmysłami.

– Już – usłyszała głos obok siebie i czyjaś ręka miękko spoczęła na jej ramieniu. Znała ten głos. Sierżant Karolina Ciecierska, jedna z budzących grozę i owianych tajemnicą wojowniczek, kobiet żołnierzy, należących do stalkerskiego siostrzeństwa nazywanego Walkiriami. Kobieta zacisnęła powieki, próbując na powrót wpaść w czarną otchłań niepamięci. Ale ten cud nie chciał się już ziścić. Przebudzenie następowało zawsze tak samo, równie boleśnie i gwałtownie. I było równie nieuniknione.

Zara chwyciła się dłońmi za głowę, ściskając skronie, pochyliła się w przód, cicho, boleśnie zawodząc. To trwało od tygodni. Doszła do ładu ze wszystkim, z całym światem, z bezsensem tego, co się zdarzyło, z tym, że Hanoi nie żyje. Ale te kilka chwil po przebudzeniu zawsze było najgorszym koszmarem. Gdy wybudzała się z pozbawionego marzeń snu, przez chwilę rzeczywistość przygniatała ją z przytłaczającą siłą.

– Już dobrze – powtórzyła Karolina. Zara znała ją dobrze, była jedną z kobiet zajmujących się lazaretem. W przyćmionym świetle na jej okrągłej twarzy kładły się miękkie, lejące się cienie. Jasne, krótkie włosy miała roztrzepane.

– Kudłata, ja już nie mogę. – Zara pochyliła się i objęła klęczącą przy niej Walkirię.

– Możesz – uśmiechnęła się tamta. – Możesz, jak co dzień.

Zara jedynie pokiwała głową, powoli dochodząc do siebie. Sierżant miała rację. Ona zresztą sama dobrze wiedziała, że za kilka minut

się uspokoi. Ale to nie ma znaczenia, kiedy budzisz się z wrzaskiem, mając wrażenie, że ciągle leżysz na zmarzniętym betonie i ściskasz w ramionach stygnące ciało jedyne go człowieka na świecie, który cokolwiek dla ciebie znaczył. Podniosła się, objęła ramiona rękoma i zrobiła kilka kroków w ciasnym, niskim pomieszczeniu. Nad głową miała lekko łukowate, ceglane sklepienie, pamiętające nie tylko ostatnią wojnę, która zniszczyła cały świat, ale i poprzednią, która zrównała to środkowoeuropejskie miasto z ziemią.

I tak samo jak Warszawa wielokrotnie padała na kolana i podnosiła się, tak samo Zara, mimo ciężkich lat spędzonych na podziemnym dworcu i trudów na zamrażanej, skażonej powierzchni, podnosiła się raz za razem. I kiedy cały świat padł na kolana, powalony atomowym ogniem, spustoszony przez broń chemiczną i biologiczną, skutą lodem atomowej zimy, Warszawa trwała. Spalona, zrujnowana, zamrażana, a jednak w gruzach, pod powierzchnią, toczyło się życie. Tak samo i stalkerka z nieistniejącej już osady na Dworcu Śródmieście – chociaż tamtego wieczora przeszła przez śmierć – wróciła do żywych. I tylko te krótkie chwile po przebudzeniu nie pozwalały jej zapomnieć, że koszmar nie był wcale snem i nie można się z niego obudzić.

Tamtego letniego wieczora, gdy wlokąc na plecach martwe ciało brata, wyczołgała się na peron dworca Powiśle, leżącego na stołecznej linii średnicowej, miała wrażenie, że to mutanty po nią przyszły. Ludzie opowiadali mroźące krew w żyłach historie o Dzieciach Syrenki, wypływających z Wisły potworach, co zabijały i pożerały wszystkich, którzy odważyli się naruszyć ich areał. W gęstniejącym mroku chybottliwe cienie otoczyły dwójkę stalkerów, spoczywającą na pokrytym marznącym śniegowym błotem, kruszącym się betonowym peronie. Wieczór, który zaczął się w płomieniach i spłynął gorącą krwią, kończył się mrozem i zacinającym wichrem. Lecz nie nadeszło uderzenie kłów ani pazurów, nic nie rozszarpało mięśni, nie wgryzło się w rozdygotane wnętrzości, silnym szarpnięciem nie zerwało twarzy z czaszki.

Nie nadszedł cios łaski.

– Miałaś trochę szczęścia – powiedziała kilka dni później major Tupadło, liderka Walkirii, zachowująca się momentami jak królowa-matka roju. Zara nie dowiedziała się nigdy, czy faktycznie była żołnierzem, czy swój stopień odziedziczyła po filmowym pierwowzorze. Zwano ją Motoko, podobnie nazywała się kobieta cyborg ze sta-

rozytnego japońskiego filmu. Na swój sposób major przywodziła na myśl istotę nie całkiem ludzką. Ciemnowłosa, o ostrych rysach i trójkątnej twarzy, była ucieleśnieniem mitologicznej Walkirii. Zawsze opanowana i chłodna, faktycznie przypominała czasem beznamiętnego robota. Albo była to idealnie utrzymywana poza.

– Gdyby Rosińska nie rozpoznała cię wtedy...

– Gdyby nie rozpoznała mojego brata – wtrąciła Zara.

– Dziecko, racz mi, do kurwy nędzy, nie przerywać. – Matka Walkirii spojrzała na nią z góry z chłodnym opanowaniem. – Gdyby Guzik nie dokonała pozytywnej identyfikacji, to dziewczęta dobiłyby was tam na peronie, a ciała cisnęły do rzeki. Powinnaś jej podziękować, bo zawdzięczasz jej życie.

– Pierdołę takie życie. – Uciekiniarka ze Śródmieścia nie miała wątpliwości i nie widziała powodu, żeby swój pogląd na sprawę ukrywać.

– Martwi mnie twój brak wiary. – Major pozwoliła sobie na lekkie rozluźnienie, ostre, napięte rysy twarzy na chwilę złagodniały, jakby lód, który zdawał się czaić w jej sercu, stajał. – Życie to są opcje. Możliwości. Decyzje. W każdej chwili możesz zmienić przeszłość. Śmierć jest ostateczną granicą, która raz przekroczona staje się nieodwołalna.

Walkiria pochyliła ku niej głowę, lekko unosząc się na stojącym pod ceglana ścianą krześle. Chwyciła Zarę za podbródek chudymi palcami. Była starsza od stalkerki od Słoiaków. Zara podejrzewała, że sporo, ale w świecie po Zagładzie czas upływał inaczej dla ludzi. Starzeli się szybciej, bez klasy i gracji, bez wdzięku. Motoko mogła mieć i pięćdziesiąt lat – pod tym względem budziła podziw, wciąż trzymając się prosto i patrząc wzrokiem niezmaconym przez cierpienie, właściwie źle traktowanemu ciału.

– Posłuchaj, mała – powiedziała cicho – bo nie powiem dwa razy. U mnie nie ma miejsca dla ofiar. Przygarniam słabszych, opiekuję się dziećmi, przyjmuję mężczyzn. Lecz ludzi, którzy nie cenią nawet własnego życia, nie toleruję. Możesz tu zostać, ale musisz co rano wstawać, wciągać buty, funkcjonować. Możesz mieszkać w moim królestwie, mała, wystraszona, potargana księżniczko, ale muszę widzieć, że jesteś tego warta. Pokaż, że Rosińska się nie myliła, kiedy tam na peronie Powiśla nie pozwoliła cię dobić.

Zarę przeszedł nagły dreszcz, znów poczuła wilgotny chłód be-

tonu, przejmujący jak mrozący serce ziąb wieczornego wiatru, i przypomniała sobie zabijające wszelkie uczucia doznanie, jakie budziło martwe ciało w jej ramionach. Uniosła głowę i z odwagą spojrzała w oczy major Motoko.

– Możesz tu zostać, mała. Jesteś bystra, zdrowa, wiem, że znasz się na swoim fachu. Nie raz i nie dwa słyszałam o bliźniętach od Słoiaków. Dziwisz się? – Major uśmiechnęła się półgębkiem, widząc zaskoczenie w oczach młodszej kobiety. – Moja droga, to, że po dwudziestu z górą latach od Zagłady mało kto wie o nas, Walkiriach, cokolwiek konkretnego, to nie znaczy, że my jesteśmy równie nieudolne. Byłyśmy tu od zawsze, siostry mroku, dziewczęta nocy, boginie o rozwianym włosie. Dla niektórych romantyczne jak warszawska syrena, dla innych straszniejsze niż suka Hekate. – Major znów złapała Zarę za podbródek, mocno przytrzymała. – Ja... My! Jesteśmy w tym mieście od zawsze. Walczyłyśmy od samego początku w czasie Wielkiej Czystki. Niejedna z nas postradała życie w wojnie z Imperium po stronie Przymierza. Potykałyśmy się z Szarymi, a potem patrzyłyśmy z żalem, jak walki o naftę zniszczyły lotnisko. Och, mogłabym tak długo wyliczać. To było bardzo długie dwadzieścia lat, a ja nie byłam dziewczynką, kiedy to całe gównno się zaczęło. Znam dobrze ponurego Groma z południowego metra. Znam gnuśnych, tępych ludzi z waszej Rady Dworców. Piłam stakanami wódkę z kilkoma kolejnymi pierwszymi sekretarzami Podziemnej Republiki Ludowej. Chodziłam na akcje z Płomiennymi Chorążymi. Widziałam upadek Agenora, gdy Solo zawiódł go ostatni raz. Patrzyłam na nocną zmianę warty... A przez te lata pod moimi skrzydłami znalazło się wiele kobiet, dziewcząt i nawet dzieci.

Umilkła na moment. Chociaż wydawało się to nieprawdopodobne, zdawała się zmęczona tą dłuższą tyradą.

– Gdybyś zechciała, mogłabyś zostać jedną z nas – major Tupadło puściła podbródek Zary – ale to zależy tylko od ciebie. Nie wiem, czy masz w sobie tyle dyscypliny.

– Ja... – zaczęła Zara – dziękuję. Muszę wrócić do zdrowia, odzyskać sprawność, jeśli pozwolisz, to skorzystam z twojej oferty. Ale masz rację, nie wiem, czy nadaję się na jedną z was.

Na moment zapadła cisza. Potem stalkerka odwróciła się plecami do Walkirii, zrobiła krok.

– Chciałabym wiedzieć, kto go zabił – powiedziała cicho, jakby

sama do siebie. – Wtedy miałabym jakiś cel w życiu. Przynajmniej do chwili, aż tego mordercę odnajdę.

– Zostań u nas, dopóki nie odzyskasz sił. Siostry nauczą cię walki. Potem zdecydujesz, co chcesz zrobić. – Motoko odprężyła się, opierając na powrót na krzesło i lekko odchylając głowę w tył. – Był taki film, kilka lat przed wojną. Film o tym, że zemsta najlepiej smakuje na zimno.

Zara wzruszyła ramionami. Postąpiła ku nisko sklepionym drzwiom zbitym z desek. Ceglane mury i stropy przytłaczały, osaczały.

– Zimno to jest tutaj u was – rzuciła przez ramię.

– I dobrze. – Major Tupadło również wzruszyła ramionami. – To hartuje ciało i duszę. Gdybym miała tu schody i studnię, to kazałabym ci nosić wiadra na plecach.

Przymknęła na moment oczy. Teraz wyglądała na dużo więcej niż pięćdziesiątkę. W półmroku, pośród miękkich, łagodnych cieni rzucanych przez świecę, sprawiała wrażenie zmęczonej.

– Niestety, nie mam studni, z której można by czerpać wiadrami – powiedziała znużonym głosem. – Idź już.

Od tamtej pory minęło kilka tygodni. Pierwsze dni w leżach Walkirii Zara spędziła w lazarecie. Ciało goiło się powoli, opornie, lecz stopniowo dochodziła do siebie. Kiedy mogła już wstać bez trudu, a oddychanie nie kończyło się pluciem krwią, została wezwana przed oblicze tej, która królowała postapokaliptycznym wojowniczkom. Za jej zgodą znalazła dla siebie kąt w tym dziwnym miejscu, łańcuchu podziemnych korytarzy i komnat, rozciągniętych wzdłuż skarpy wiślanej, łączących głęboko pod ziemią dawno popadłe w ruinę, wypalone i zamarznęte budynki. Betonowe, ceglane, a czasem grodzone deskami podziemia biegnęły wzdłuż Wisły, kryjąc się pod ziemią, pod nawisem skarpy, tu i tam wychynawszy na powierzchnię pojedynczymi szybami. W podziemnych salach, grotach i pałacach kwitło życie. Siostry noszące miano antycznych boginek zamieszkiwały to podziemne miasto. Wbrew mitologii większość z nich nie zachowała dziewictwa, lecz w tym matriarchacie hołubiły mężów i progeniturę. Inaczej jednak niż przed Zagładą, nie dopuszczając rodzaju męskiego do decyzji bardziej znaczących. To one decydowały, one wypuszczały się na powierzchnię, patrolowały okolicę, chroniły tajemnicę swego legowiska. Od lat mówiono o tym, że Walkirie mają

gdzieś stałe leże, nikt jednak nie wiedział, gdzie ono się znajdowało. Do metra wojowniczkki schodziły zawsze z powierzchni. Tak samo docierały na Dworce, nie inaczej pojawiały się na stacji Okęcie i z wizytą pod zegarem. Skąd przychodziły Walkirie? Tego nikt nigdy nie wiedział.

Zara potrzebowała trochę czasu, zanim zorientowała się, że znajduje się w systemie podziemnych przejść między różnorakimi zabudowaniami naskarpianej, lewobrzeżnej Warszawy. Minęły kolejne tygodnie, zanim dopuszczono ją do następnej tajemnicy – była to jedna z siedzib. Plemię, niczym Indianie północnoamerykańscy, nim zostali wycięci w pień i jak zwierzęta zamknięci w rezerwach przez Europejczyków, przenosiło się między siedzibami. Czasem zostawały w nich na dłużej, czasem tylko na kilka miesięcy. Pod Skarpą mieszały od dwóch lat. Same rozpuściły wśród mieszkańców Świętego Krzyża plotkę o nowych mutantach, potomstwie mitologicznej hybrydy, którą polska stolica miała w herbie. Istota, która dawniej broniła miasta przed wrogiem, podnosiła na duchu i służyła za symbol, obecnie zrównana została z popromiennymi mutantami. Podtrzymywanie tej legendy nie było trudne – kilku napastników faktycznie zginęło z rąk Walkirii, ale większość zabiły prawdziwe potwory wylęgłe ze skażenia. Dzięki temu nikt się nad brzeg rzeki nie zapuszczał, a wojowniczkki wiodły w wijącym się wzdłuż skarpy podziemnym ulu życie w miarę spokojne. Stalkerka od Słoików dopasowała się do jego rytmu.

Tego ranka obudziła się z krzykiem, jak zwykle. Nie mogła nigdzie zagrać miejsca, więc wróciła do lazaretu. Gdy podrywała się z wrzaskiem z posłania, Kudłata była już przy niej, wiedząc, że potrzeba tylko kilku chwil, aby kobieta się uspokoiła. Kiedy Zara doszła do siebie, zjadła skromne śniadanie i ruszyła na południe, ku schronom i korytarzom ciągnącym się na wysokości mostu Poniatowskiego i Muzeum Wojska Polskiego. Tam podziemia były obszerniejsze, przystosowane do zamieszkania przez ludzi, bardziej przemyślane. Ku północy i na południe od dawnej siedziby KC korytarze tego niezwykłego ula były węższe, niższe, bardziej klaustrofobiczne. Miejscami spoza desek przebierała ziemia, tam Walkirie własnoręcznie przekopały przejścia między piwnicami.

Gdy dotarła na miejsce, kilka kobiet już ćwiczyło. Treningiem kierowała niska wojowniczkka o okrągłej twarzy, starsza od większości

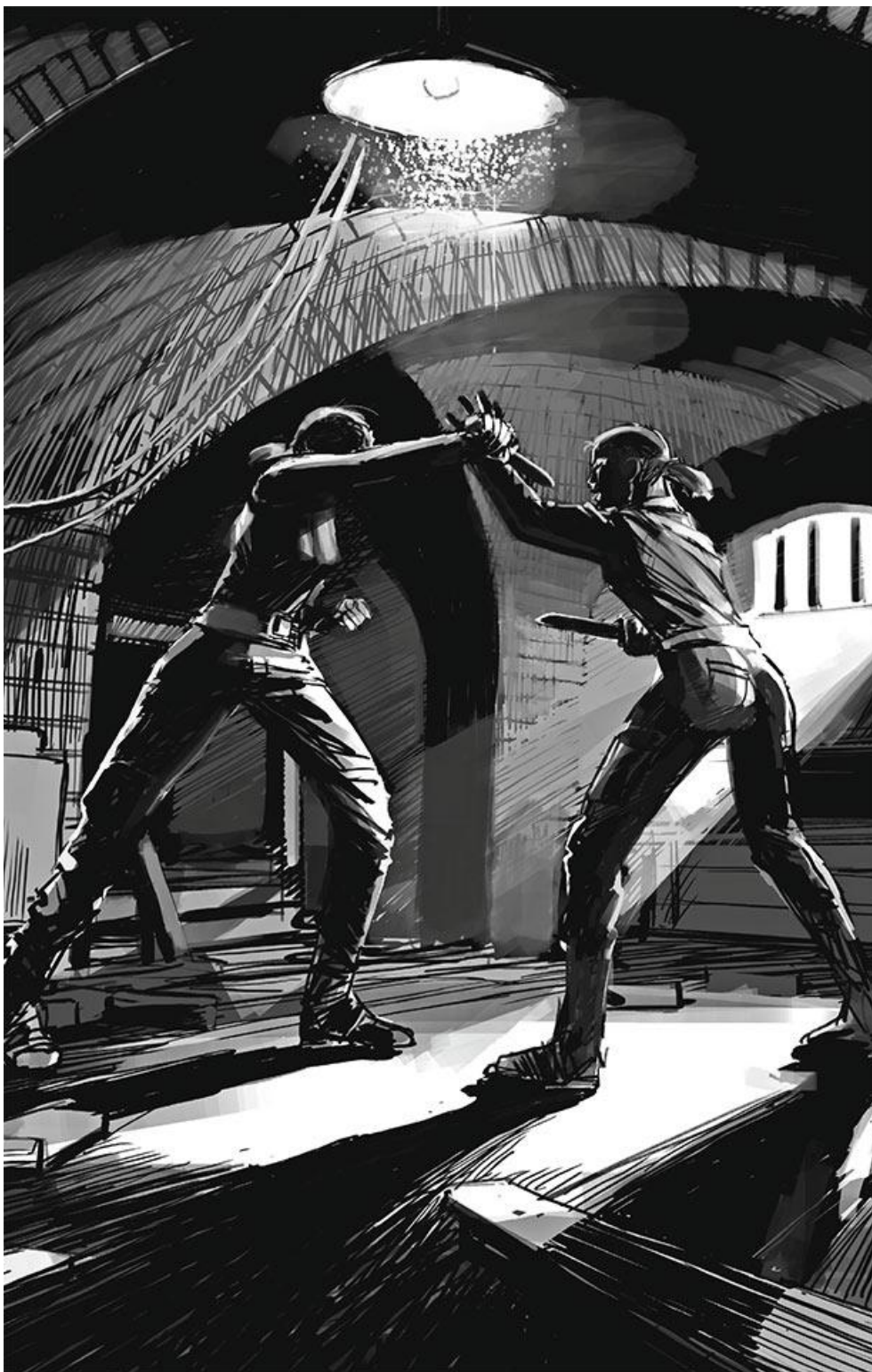


uczestniczek. Kurze łapki i zmarszczki w kącikach ust zdradzały skłonność do śmiechu. Między nią a stalkerką ze Śródmieścia było jakieś dziesięć lat różnicy. Znały się dobrze. To jej Zara zawdzięczała życie. Ola Rosińska, zwana Guzik, Walkiria znana od lat z opowiadań Hanoi, kobieta, z którą jej brat poszedł na patrol w czasie wojny z Imperium, kiedy to z nożem rzucił się na tygrysa. Ona leżała wtedy ze złamaną nogą i nie chciała nigdy uwierzyć w niewiarygodną, absurdalną wręcz historię o tym, jak w pojedynkę Hanoi zadźgał drapieżnika, a potem jeszcze znaleźli syna Imperatora i w ogóle we czwórkę niemal wygrali całą wojnę.

Nie wierzyła do momentu, aż Rosińska opowiedziała jej całą tę historię ze swojego punktu widzenia. I tygrys, i syn Imperatora, i piękna kurierka o twarzy naznaczonej blizną, i obdarzony krasomówczym talentem Robert z Łodzi okazali się prawdziwi. Godzinami w mroku bocznych korytarzy Zara wyła, ściskając głowę w dłoniach, wspominając brata.

Teraz podeszła bez cienia wątpliwości, skinęła głową, wzięła ze sterty pod ścianą drewniany nóż i przyłączyła się do treningu. Chwilę się rozciągała, a potem nastąpiło pierwsze zwanie. Przyjęła postawę i wylądowała na ziemi z hukiem. To nie były przepychanki w korytarzach stacji ani bijatyki w tunelu, czy nawet walki na zaśnieżonych ulicach. To była sztuka. Zara, podcięta wprawnym uderzeniem pod kolana, wywinęła kozła i rąbnęła o klepisko. Wstała sztywno i lekko skłoniła głowę. Po to tu była. Szkoliła się, by dorwać tych, co zabili jej brata. Od tygodni przychodziła do tej piwnicy. Zmieniały się instruktorki, zmieniały się przeciwniczki, a ona nabywała umiejętności.

Po pierwszej walce partnerki przemieściły się. Stała oko w oko z Rosińską. Sama nie wiedziała, czy ma być jej wdzięczna za zachowanie przy życiu, czy nienawidzić – za zachowanie przy życiu. Odchyliła lekko głowę, uśmiechnęła się i wyprowadziła cios drewnianym nożem. Starsza z kobiet skontrolowała go precyzyjnym kopniakiem, odepchnęła stalkerkę łokciem i przymierzała się do podcięcia. Zara obróciła się, przyjęła uderzenie na plecy, lekki okrzyk wyrwał się jej z piersi, kiedy poczuła ledwo co wygojoną ranę, ale zdołała się wywinąć i wyprowadzić cios. Pewna siebie uderzyła drewnianym ostrzem prosto w szyję przeciwniczki i znów znalazła się na ziemi.



– Lepiej, o niebo lepiej – skomentowała Guzik, podając jej rękę i pomagając wstać. – Widzę, że nauka nie poszła na marne.

Walkiria obróciła się bokiem, w tym momencie Zara błyskawicznie wyprowadziła cios, który został precyzyjnie odbity siostrzanym drewnianym nożem. Ale to wystarczyło, żeby rozproszyć prze-

ciwniczkę na krótką chwilę. Zadowolona z kontry obróciła się do stalkerki przodem i przyjęła hak pod kolano. Chociaż niezbyt silny, pozbawił ją równowagi. Zara rzuciła się do tyłu, lądując na plecach i chwyciwszy Walkirię za kieszenie na piersi, targnęła nią i przerzuciła nad głową. Nadal zaciskając pięści na materiale bluzy mundurowej, obróciła się wokół własnej osi, skoczyła na kolana i zamarkowała cios głową w twarz przeciwniczki, zatrzymując się o centymetr od celu.

– No, mała – w głosie Rosińskiej zabrzmiało uznanie – dobrze, żeś nie dokończyła, bo udało mi się przez te lata uchować nos przed nastawianiem i nie chciałabym nagle tej tradycji porzucać...

– Sama jesteś „mała” – żartując, Zara podała instruktorce rękę i pomogła podnieść się na nogi. – Mam trzydzieści trzy lata. W moim wieku Jezus z Nazaretu był już martwy.

Spojrzała wokół siebie. Półmrok rozjaśniony kilkoma domowej roboty świecami i jedną lampką olejową, zasilaną diabli wiedzą czym, skrywał postacie pozostałych dziewcząt i kobiet. Patrzyły bez słowa, jak najstarsza z nich padła na ziemię w tej pozorowanej walce.

– Mój brat też miał trzydzieści trzy lata. I też jest już martwy. – Zara cisnęła drewniany nóż na stertę podobnych. Poprawiła kurtkę, przeczesała palcami włosy, których fioletowy kolor wyblakł i które zaczynały kłębić się coraz mocniej.

– Jest ta siksa od Słoików? – rozległo się nagle z korytarza, biegnącego od strony schronów pod Muzeum.

– Twoja stara... – zaczęła Zara, rozpoznając głos.

– A ty się nie ciskaj – odparowała w odpowiedzi Maria Talko, przyboczna samej Motoko, wchodząc do korytarza. – Weź się w troki i idziemy, bo major cię wzywa.

Zara odwróciła się do Rosińskiej.

– Dziękuję – powiedziała, chwytając ją na moment za rękę. – Gdyby się okazało, wiesz, że już nie będziemy razem ćwiczyć...

– Może się tak okazać. Wiem, po co cię wezwała. – Starsza z kobiet uśmiechnęła się. – Powodzenia, Zaro.

Uścisnęły sobie dłonie krótko, po stalkersku. Potem, po chwili wahania, uściskały się. Obie wiedziały, że Zara nie wróci już do piwnicy ćwiczeń. Ich drogi się rozchodziły, stalkerka ruszyła w kierunku ponaglącej ją Marii.

– I wiesz co? – rzuciła za nią Walkiria.

Ocalona z pogromu na Śródmieściu zwolniła, przystanąła na

moment.

– Twój brat był głąbem – powiedziała Guzik – ale głąbem niezwykle uroczym. Dowal im za niego także ode mnie.

Stalkerka tylko skinęła głową, nie patrząc już na żadną z obecnych. W ślad za przyboczną poszła w mrok korytarza, szykując się na ponowne spotkanie z major Tupadło. Szły dość długo, nie rozmawiając, chociaż znały się dobrze. Talko była jakby stworzona do życia pod ziemią – niska, określenie „mała” pasowało do niej świetnie. A jednocześnie nikt tak bardzo jak ona nie dusił się pod ziemią – tuż przed wybuchem wojny zdobyła licencję pilota, chciała latać na myśliwcach. Nigdy nie zdążyła wznieść się w powietrze na żadnym z nich. Chociaż ona i Zara były tak różne, zostały na krótko, na te kilka tygodni wydartych śmierci koleżankami. Teraz jednak nie rozmawiały. Wszystko zostało już powiedziane. Wąskie przejścia, łączące poszczególne podziemne pomieszczenia, oświetlały kaganki, znicze i ogarki. Przeszły przez kilka większych piwnic, aż dotarły do ceglano-łukowato sklepionego schronu, gdzie urzędowała matka-królowa Walkirii.

– Mam wiadomości, na które czekałaś – zaczęła bez wstępów, kiedy kobieta zatrzymała się przed nią.

– To dobrze, bo czułam się niezręcznie, nadużywając gościny. Pierwszy raz w życiu faktycznie byłam Słoikiem...

– Czułam, że nie zostaniesz – skinęła głową Motoko. – Ale wiem, że nie zmarnowałaś czasu, jaki ci dałyśmy.

– Mam taką nadzieję – skomentowała Zara.

– Nadzieja matką głupich. I swoich dzieci nie lubi – skomentowała major cierpko. – Chciałaś żyć, żeby pomścić brata. Skądinąd wiem, że to był dobry człowiek. Wiesz, kto to była Tyzyfone?

Zara pokręciła głową.

– No tak. Bo i skąd ci wiedzieć. Ile miałaś lat, kiedy świat się zawalił? – spytała major.

– Dwanaście – odparła stalkerka.

– Gówniany wiek. Dorastanie i tak jest do dupy, nawet jak akurat nie ma końca świata – zaśmiała się krótko Motoko. – Tyzyfone. Głupie imię, co? Greka brzmi dziwacznie dla nas dzisiaj, ponad dwa tysiące lat później. A więc nie znasz niejkiej Tyzyfone?

– Nie.

– No tak, bo i skąd? A więc rzeczona była jedną z Erynii, bogi-

nią zemsty. Najbardziej nienawidziła zabójców. Przypomina ci to kogoś?

Zara bez słowa skinęła głową.

– Wiemy już, kto zabił twojego brata – przyznała major Tupadło. – Jego, tego zabawnego stalkera, co z nożem skoczył na tygrysa. Był z niego trochę matoł, prawda?

– Był.

– Nie umniejsza mu to. Każdy z nas za życia ma swoje zadanie, swój los do wypełnienia. Nikt o tym nie mówił wystarczająco głośno, ale Hanoi zasłużył się dla wszystkich metrasów. Gdyby nie on, to wojna z Imperium nie skończyłaby się tak szybko. Oczywiście, nie dałby rady sam – była tam moja Ola, była ta mała z blizną, co jej nie mogę zapamiętać, i Robert z Bałut. Bogowie, jakież on opowiadał rzeczy! Złotousty diabeł, a przy tym z gęby wyglądał jak de Saint-Exupéry. Szkoda, że tylko Guzik z nich wszystkich się do dziś ostała.

Motoko na moment przymknęła powieki. Miodowożłote cienie tańczyły po pomieszczeniu, rzucając plamy blasku i brązu na jej twarz.

– Pamiętaj, dziecko, że Tyzyfone była jedną z Eryni. A one, nie bez powodu, miały przydomek Eumenides.

Zara schyliła głowę powoli, głośno wciągając powietrze, dając do zrozumienia, że męczą ją te słowne gry i popisy starej Walkirii.

– Spokojnie. – Major otworzyła na powrót oczy. – Eumenidy, czyli Łaskawe. Czytałaś kiedyś komiksy?

– Nie – przyznała stalkerka.

– A szkoda. Była taka seria, dawno. Całe życie temu. W innym świecie. Nieważne zresztą. Talkowa, podejdź.

Wykonała gest ręką, jakby kogoś przyzywając. Z mroku wynurzyła się ponownie niedoszła pilotka o krótkich, ciemnych włosach.

– Zreferuj. Oszczędź starej babie słów – zażartowała szyderczo Motoko.

– Byłyśmy w Świętym Krzyżu, byłyśmy na dworcu Śródmieście. Porządek panuje w Warszawie – zameldowała dziewczyna. – Sprawę załatwili najemnicy.

Zara uniosła dłoń do czoła. Przymknęła oczy. Na razie nie usłyszała nic nowego.

– Znasz ten symbol? – usłyszała pytanie i Walkiria rzuciła jej

lekko nadpaloną naszywkę, emblemat zdarty z munduru. Dziwaczny wzór: z jednej strony tryb zębaty, z drugiej coś dziwnego, prostokątnego. I dwie litery – KP. W jednej chwili pojęła.

– Kryształowy Pałac? – zapytała z niedowierzaniem. – Co mógł mieć Kryształowy przeciw Dworcom? To sojusz robotniczo-inteligencki, naukowa komuna inżynierów szpanująca tym, że nadal mają co czytać...

– Oczywiście, że nie docenci zrobili wam z dupy jesień średnio-wieczna – wzruszyła ramionami wojowniczką. – Mają tam oddział. Nazywa się Szturmowcy. Dowodzi nim taki kudłaty...

– ...rudy stalker. Duży w barach, choć niewysoki. Brodaty – dokończyła Zara. – Jak go zwą?

– Znasz?

– Widziałam. – Od nienawiści na moment zrobiło jej się ciemno przed oczami.

– Wołają go Borka. Różne rzeczy robi i różne bierze zlecenia. Od kilku lat wsadza nogę między drzwi. Ledwo was sprzątnął, a ponoć narobił zaraz potem gnoju na północy metra. Kij w mrowisko komuś wepchnął, dużo ludzi tam na niego ciętych jest. To jego grupa podbiła Słoików.

– Braci Mniejszych... – odruchowo poprawiła Zara.

– Jak tam zwał. – Walkiria wzruszyła ramionami. – Zostali wynajęci przez Święty Krzyż.

Zapadła przeciągająca się cisza, którą zakłócały jedynie odległe, wytłumione echa i cichy, wieczny, nieustanny szmer sączącej się wody.

– Pani major, proszę o pozwolenie na powrót na kwaterę – poprosiła Talko.

– Udzielone – skinęła głową siedząca pod ścianą kobieta. Blask ognia skakał po jej twarzy, wyostrając rysy. Spojrzała na Zarę wyczekująco.

– Wiem, co mówiłaś. – Młodsza z kobiet schyliła głowę, wpatrując się w wytarte, deptane przez dekady, jeśli nie setki lat cegły, tworzące podłogę. – Wiem, że mogę u was zostać, poszukać swojego miejsca...

– Znalazłabyś je. – Motoko uśmiechnęła się łagodnie, jej ostre rysy, podkreślone wiekiem, na chwilę zmiękły. – Ale czuję, że nie dla ciebie jest bycie jedną z sióstr, prawda?

– Ja już byłam siostrą, a teraz mojego brata nie ma. Nie żyje, zniknął. Zupełnie jakby ktoś starł rysunek nabazgrany cegłą na peronie. A ja nie jestem już siostrą i nigdy już nie będę.

Major wzruszyła ramionami. Zbyt wiele miała lat, żeby się dziwić pewnym rzeczom, za dużo czasu upłynęło od końca świata, by pozwalać sobie na zbędne uczucia. Dwie dekady dowodziła swoimi Walkiriami. Widziała śmierć i narodziny, tragedie i radości, patrzyła, jak dziewczynki ćwiczące plastikowymi nożami wchodzą w wiek dorosły, zakładają rodziny. Dzieci, których przyjście na świat obserwowała, kiedy na ziemię spadały pierwsze płatki radioaktywnego śniegu, teraz były już dawno dorosłe, upinały wysoko włosy i nosiły broń.

Major Tupadło była zadowolona. Przez lata dawała tym kobietom poczucie wspólnoty, jednej, wielkiej rodziny, bezpiecznej przystani, w której ich indywidualne rodziny chronione były przed niebezpieczeństwami świata zewnętrznego. Wyszkoliła je, nauczyła wszystkiego, pokazała drogę. Oddała im całe swoje życie.

To było dobre życie.

Ale nie wszystkie chciały zgodzić się na jego rygory, wypełniać warunki, które były ceną za przynależność do siostrzeństwa. Niektóre nie miały sił albo motywacji, inne nie potrafiły sobie poradzić z dyscypliną. Nie każdej zależało na takim życiu. Tej stalkerce od Słoiaków w ogóle nie zależało na życiu. Gdy rozmawiały pierwszy raz, wyznała, że chciała umrzeć tam na peronie dworca Powiśle. I, w pewien sposób, umarła. A jej minione życie odeszło razem z życiem jej brata.

– Pójdiesz do zbrojowni, dostaniesz tam wszystko, czego potrzebujesz. Jeśli chcesz, wyprowadzimy cię aż do Placu Konstytucji.

– Do Nowego Świata – odparła cicho Zara.

Major uniosła brwi w wyrazie zdziwienia, rzuciła pytające spojrzenie.

– Borka pociągnął za spust – odparła Zara jeszcze ciszej. – Ale wynajął go kto inny. Mam porachunki na Świętokrzyskiej.

Major otworzyła usta, ale zamknęła je bez słowa. Komuś, kto już w zasadzie umarł, nie ma sensu mówić, że takie czy inne działania mogą go pozbawić życia. Zamiast tego wstała, objęła mocno Zarę ramionami i uścisnęła.

– Jesteś stalkerką, więc niech ci błogosławi Madonna Tuneli. Wchodzisz na jej teren. Będziesz zresztą miała okazję pogadać z Nią sam na sam.

Wypuściła młodszą kobietę z objęć, usiadła na swoim krześle. Na plecach poczuła dojmujący chłód.

– Co masz na myśli, mówiąc o Madonnie? – spytała Zara.

– Na końcu tunelu, daleko za stacją Uniwersytet, tuż przed obwałem, znajduje się kapliczka. Kapliczka Madonny. Bracia od Krzyża jej nie lubią, więc postawili niedaleko własną. Ale boją się ją zniszczyć, czy też z innego powodu ją tolerują.

– Nie mam jej o co prosić – przyznała Zara. – To patronka tych, co zabili mojego brata.

– Ty sama też jesteś stalkerką. – Motoko lekko się uśmiechnęła. – Ale coś w tym jest, mówią, że Jasna Pani woli pięknych młodych chłopców.

Zara jedynie skinęła głową.

– Zostań jeszcze tylko ten jeden dzień, baw się z nami. Agata jutro weźmie sobie męża... To dobry chłopak, sama go znalazła. Jest stalkerem, jak ty, ale nie ma w nim zła i wściekłości, które powodują innymi... – Matka Walkirii zamyśliła się na chwilę. Paweł, którego młoda wojowniczką przyprowadziła do ich leża, był rzeczywiście innym człowiekiem. Uczciwym, prawym, takim, który mógł zasłużyć na przyjęcie do ich wspólnoty. – Złożysz Agacie gratulacje, weźmiesz udział w uroczystości, powitasz ich jako młodą parę zgodnie z naszym obyczajem. – Spojrzała na Zarę. – Pojutrze rano dziewczęta cię poprowadzą. Znamy przejście do tunelu, tuż przed obwałem. Ta kapliczka to podobno najważniejsza w całym metrze. Może Światłowłosa się jednak za tobą wstawi, jak poprosisz... A teraz idź. – Major przymknęła oczy. To były bardzo długie i bardzo trudne dwie dekady. Kiedy spadły bomby, nie była wcale tak młoda, jak lubiła sobie to wyobrażać. I z każdym dniem nie młodniała. Pora było pomyśleć o kobiecie, która ją prędzej czy później zastąpi. O siostrze, która stanie się matką...

Zara szła powoli korytarzem w kierunku lazaretu. Mijała wąskie, nisko sklepienie przejścia, w mrocznych podziemiach pomagała sobie, trzymając dłoń przy ścianie; pod palcami czuła wilgotne drewno, mokrą cegłę, pokryty nalotem glonów beton. Spękane, kruszące się ściany, dźwigające ciężar minionych lat.

Teraz wiedziała już, jak nazywali się mordercy jej brata. Ludzie, którzy za garść naboju zabili Hanoiego i wielu innych, bandyci, dla których ludzkie życie przeliczało się łatwo i bez specjalnych ceregieli.



Nadeszła pora, aby porzucić skarpe wiślaną i wrócić do śródmieścia. A potem – aby zejść do metra.

Długo w noc gawędziła z Kudłatą, śmiejąc się i czując się pierwszy raz od tygodni swobodnie, bezpiecznie i dobrze. Odnalazła spokój ducha. Następnego ranka obudziła się bez krzyku.

## Twierdza

Sierpień, dwudziesty pierwszy rok po Zagładzie



Ostatecznie nic dobrego z tego wszystkiego nie wyszło – westchnął Grom. – Faktem jest, że Imperium niby pokonałiśmy, ale koszt w ludziach był niewiarygodny. Długo jakoś potem ogolić mi się nie zdarzało, bo nie czułem potrzeby na własną gębę patrzeć w lustrze.

Borka zaśmiał się krótko, nerwowo.

– Nie twoja wina, że te świny z Krzyża was wszystkich tak omotały – powiedział pocieszającym tonem.

– Moja, moja, a czyja by inna? To ja poszedłem na wojnę ze światem. Gieroj wielki, zbawca podziemnej dziedziny, zachciało mi się, kurwa, nieśmiertelności... Żebym chociaż do końca robotę zrobił...

Wzruszył ramionami i polał znów samogonu do szklanek. Od kilku godzin siedzieli w pomieszczeniach, które przed wojną były posterunkiem policji, obecnie zaadaptowanym na potrzeby Groma i jego armii. Borka, dowódca grupy stalkerskiej ze stacji Pole Mokotowskie, zwanej Szturmowcami, służył przed laty pod rozkazami generała. Porzucił potem mentora i sam został dowódcą własnego oddziału, pielęgnując zadawnioną niechęć, jaka się między mężczyznami wykluła pewnego razu podczas wspólnego patrolu. Nikt prócz tych dwóch zaprawionych w zabijaniu postapokaliptycznych wojowników nie wiedział, o co im poszło, nikt też nie miał ani odwagi zapytać, ani tym bardziej nadziei, że dostanie jakąś odpowiedź.

Tego szarego, chłodnego lata w dwudziestym pierwszym roku po Zagładzie Borka wraz ze swoimi stalkerami wybrał się daleko poza metro, porzucając znane rewiry. Licznik, jeden z oddziału, przypłacił życiem umowę, jaką musieli zawrzeć z policjantami z PKSP. Zginął, zabijając jednego z przywódców Białej Rzeszy. Przy okazji naruszyli status quo na granicy Inflant. Potem, nie bez dalszych kłopotów, dotarli do Puszczy Kampinoskiej, szukając tajnego bunkra, o którym mówił niewolnik, otrzymany w ramach zapłaty za wojnę ze Słoikami.

Udało im się rzeczywiście odkryć, a następnie przez przypadek zniszczyć najwyraźniej opuszczony tajny bunkier natowski.

Ale zanim wszystko zniknęło w wybuchu, Borka znalazł wreszcie to, za czym całe życie gonił ślepo – kartkę z kilkoma pośpiesznie skreślonymi słowami, ślad ojca, oficera Wojska Polskiego, który tego feralnego dnia, gdy na miasto stołeczne spadły bomby, był na służbie. Przez wszystkie te lata przy każdej okazji stalker rozpytywał o zaginionego ojca, szukał śladów, wierzył, że Wiktor Dobrowolski przetrwał Zagładę i gdzieś tam, w dalekim lub bliskim świecie trwa, oczekując na swego małego, rudego synka.

Teraz Borka siedział u Groma, omawiając wszystko, co odkrył w trakcie ostatniego rajdu. Zaczęli poważnie, po męsku, od ciosu pięścią, który zainkasował Grom za swoją słabą pamięć i za to, że zataił przed wszystkimi istnienie bunkra P-1138. Potem, popijając samogon i paląc tytoń z generalskiego, legendarnego wręcz „przedwojennego zapasu”, który okazał się równie przedwojenny, jak mułociągi i lupiny, stary generał zapoznał swojego dawnego podopiecznego z historią Przymierza i wojny z Imperium. Zabity przez Licznika zastępca naczelnego wodza Białej Rzeszy był w rzeczywistości Jerzym Nowickim, kapralem-dezerterem, który na stacjach wschodniego odcinka drugiej linii stworzył i przez pierwsze osiem lat po Zagładzie utrzymywał przemocą i strachem potężne podziemne państwo totalitarne. To właśnie przeciw niemu w ósmym roku po bombach zawiązано Przymierze, którego siły natarły na Armię Eksploracyjną Imperium i odbiły się od umocnień Nowickiego. Nikt nie potrafiłby powiedzieć, jak długo trwałby impas, a zastygłe na pozycjach oddziały wykrwawiałyby się w bezsensownych walkach, gdyby nie mały chłopiec, Marcin Nowicki, syn Imperatora, który przypadkiem natrafił na wysłany z lewego brzegu patrol. W ruinach Pragi mała grupka złożona z Walkirii, kurierki, zwiadowcy i stalkera odnalazła chłopca, którego wiedza i nienawiść do ojca pozwoliły zakończyć rozlew krwi.

Imperium upadło, lecz było to pyrrusowe zwycięstwo, bo zbyt wielu ludzi spoczęło na zawsze w betonowych grobowcach tuneli M2, zbyt wielu stalkerów i żołnierzy życiem przypłaciło nie walkę o pokój i bezpieczeństwo, lecz, jak ostatecznie wyszło na jaw, ambicje hierarchów ze Świętego Krzyża. Ta pierwotnie pokojowa, silnie religijna społeczność została w szóstym roku po Zagładzie wygnana przez czarne zastępy Armii Eksploracyjnej ze swojej macierzystej stacji

Nowy Świat. W diasporze zradykalizowała się i używając dyplomacji i podstępów, poszczuła przeciw sobie mieszkańców metra. Plan ten jednak stał się dla wszystkich jasny dopiero po latach, gdy było już za późno[6].

Sam Imperator najwyraźniej umknął i zdołał ukryć się przed pościgiem tak skutecznie, że przez lata nikt nie trafił nawet na jego ślad. Dopiero policjanci z PKSP na stacji Muranów ustalili, dobrze ponad dekadę później, gdzie skrył się kapral-dezertler, i wydali na niego wyrok. Mały chłopiec zabrany przez Groma z ruin stacji Stadion Narodowy, chłopak, który dorastał wśród żołnierzy w koszarach na stacji Kabaty, nastolatek, który zaprzyjaźnił się z przybyłym z Kryształowego Pałacu rudym Sowizdrzałem i który nadał mu przydomek na cześć zbója ze szwedzkiej książki dla dzieci; który wyrósł na mężczyznę w ciszy, karmiąc się nienawiścią, i podobnie niezamordowanie jak Borys szukał swego ojca Jerzego. O ile jednak Borka chciał rzucić się swojemu w ramiona i wreszcie po całym samotnym życiu przytulić go ponownie, o tyle Licznik miał dla swojego tylko śmierć – zapłatę za utratę matki i za to, na co musiał patrzeć w kazamatkach stacji Dworzec Wileński.

Borka otrząsnął się z ponurych myśli, sięgnął po kieliszek i przełknął jednym haustem palący płyn. Skrzywił się. Generał zrobił to samo i też się krzywiąc, otarł znów spuchniętą wargę, rozbitą przed paroma godzinami ciosem stalkera. Palili chwilę w ciszy, kiedy nagle starszy z mężczyzn rozkaszał się.

– A wiesz, że ja was widziałem wtedy – zagaił stalker.

– Kiedy? – spytał żołnierz.

– No, jak wracaliście. Z wojny z Imperium. – Borka zamyślił się na moment. – Szliście po torach, śpiewaliście. I widziałem ciebie z jakimś dzieciakiem w moim wieku. Teraz myślę, że to był Licznik.

Grom wzruszył ramionami i strzepnął popiół prosto na stół. Kaszlnął.

– Pewnie to był Licznik. Co z tego, skoro i tak już go nie ma. Uparł się gówniarz, siedział u mnie, a potem u ciebie tylko po to, żeby znaleźć i zająć ojca. Czy to ma wszystko sens?

Tym razem Borka wzruszył ramionami. Wystukał resztki popiołu z metalowej fiki i odłożył ją na blat.

– A co ma sens w tym świecie? Powiesz mi może? – zagadnął, nie oczekując raczej odpowiedzi.

Starszy z mężczyzn zaciągnął się głęboko. Zaczął kasłać po-  
nownie. Zaniósł się długim charkotem, coś zagrało mu w płucach i  
kiedy odjął od ust dłoń, na spracowany i zniszczony upływem czasu  
blat biurka bryznęły drobne kropelki jasnej, spienionej krwi. Uniósł w  
górze rękę i pokazał chłopakowi jej wnętrze, zbroczone czerwienią.

– Nic nie ma sensu, Borys. Nic, kurwa, nijak nie ma żadnego  
sensu – pozalił się. – Siedzę w tym jebanym metrze dwadzieścia jeden  
lat. Rozumiesz to? Dwadzieścia jeden lat. Ty pamiętasz niebo? Pa-  
miętasz ptaki, trawę, ciepło słońca?

Gestem dłoni uciszył rozmówcę, który już chciał odpowiedzieć.

– Może i pamiętasz, ale głównie warte są te twoje wspomnienia  
czterolatka. Pamiętasz opowieści rodziców, pamiętasz wspomnienia  
znajomych starszych ludzi, pamiętasz obrazki z książek, którymi was  
tam karmią w Kryształowym. Jak to powiedział kiedyś jeden lekarz –  
to wszystko chuj.

Grom znów się rozkasłał, zakrywając usta dłonią. Potem otarł ją  
z wyrazem obrzydzenia o spodnie. Wstał, obmył ręce wodą z plasti-  
kowej butelki, przepłukał usta i wypluł w rogu pomieszczenia.

– Tak – powtórzył – to wszystko chuj, mój dobry chłopcze.

Bez pytania polał kolejkę, uniósł gestem toastu i wychylił  
szklankę. Otarł usta wierzchem dłoni.

– Kiedyś ci, gnoju, oddam za tę wargę. – Pogroził Borce palcem.

– Należało ci się, karwa fa, jak mało komu – odgryzł się tamten.

– Ech, żeby byle stalker na bohatera rękę podnosił... – Grom na  
moment jakby się zawiesił, zatonął w myślach. Po chwili westchnął  
głęboko, polał znów samogonu, wypił i skręcił papierosa. Borka wy-  
ciągnął rękę, jakby chciał go powstrzymać, ale generał spiorunował go  
wzrokiem. – Nie będziesz mnie pouczał, młody – warknął.

Zapalił, zaciągnął się i spokojniejszy przyjrzał się chłopakowi.

– Źle się stało, żeś takiego gnoju narobił. Dowódca, a tym bar-  
dziej przywódca, nie może się rozbijać po tunelach jak byle chłystek,  
wymachiwać kałasznikowem jak żołdak fiutem w burdeliku w czasie  
sobotniej przepustki. Źle się stało, żeś nabałaganił na północy. Źle też  
się stało, żeś wziął tę robotę od tych czarnych skurwysynów w su-  
kienkach, bo to z tego nic dobrego nigdy nie wyjdzie. Zapamiętaj mo-  
je słowa – wycelował w Borkę papierosem – z tej całej twojej wojny  
ze Słóikami będzie jeszcze tylko nieszczęście, płacz i zgrzytanie zę-  
bów.

Borka nerwowo szarpnął głową, jakby skapnęła mu za uchem kropla wilgoci wprost z zapleśniałego tubingu.

– Skończ pierdolić, proszę cię. Co cię nagle zaczęła obchodzić moja reputacja, karwa fa. – Wzruszył ramionami i wypił swoją szklankę samogonu. Powoli obaj zaczęli mieć dość, a alkohol zbierał zniwo w organizmach. – Gównno cię obchodziło przez ostatnie lata, co ja robię i gdzie, a teraz nagle co?

Grom zaśmiał się, ale śmiech szybko przeszedł w wilgotny, nieprzyjemny kaszel.

– Właśnie dlatego – powiedział, pokazując chłopakowi krew na wnętrzu dłoni. Jasną, spienioną, pomieszaną ze śluzem, którą wykaszłał z siebie przed chwilą.

– No, kaszlesz krwią, widzę. Nic nowego w tunelach.

– Może i nic nowego – powiedział generał, ocierając dłoń – ale dobrze wiesz, że to koniec. Nie zostało mi dużo życia. Przez dwadzieścia z okładem lat wychodziłem na powierzchnię, taplałem się w radioaktywnym śniegu, wystawiałem na promieniowanie niesione z wiatrem i co? Wiesz, co mnie zabija?

Borka pokręcił głową.

– Rak płuc – zaśmiał się krótko Grom – od palenia fajek.

Wzruszył ramionami i zaciągnął się ponownie.

– Nieważne zresztą, co mnie zabija, nie o to tutaj chodzi. Ja się śmierci nie boję, bo i czego mam się bać. Wszystko już jest lepsze od mieszkania w tych norach ciemnych, mokrych, obsranych, w tych tunelach obmierzłych, pordzewiałych ściekach, zapleśniałych piwnicach! – wyrzekął coraz bardziej, nabierając lekko bełkotliwego tonu pod wpływem alkoholu. – Jak te szczury w tym metrze... – sapnął. – Jak, kurwa, stacja hodowlana, ostatnie żubry z puszczy, tyle że same siebie hodują dla kolejnych pokoleń! Czytałeś „Króla szczurów”? – zapytał nagle.

Borka skinął nieznacznie głową.

– No i my jesteśmy jak te jego zawszone zwierzaki. Tam w tej dziurze, w tej ziemi, w tym cholernym, w dupę jebanym obozie... – warknął Grom. – Ale ja nie o tym chciałem mówić. Ja chciałem o czymś innym.

Wstał z krzesła, potem ciężko usiadł.

– Polej – zażądał. – Lej, nie pierdol – podniósł głos, kiedy Borka zasugerował, że może czas zwolnić tempo. – Wiesz, co robiłem, jak

byłem na studiach? – zapytał generał. – Wlewałem pół litra do kufła, wrzucałem lodu i tak chodziłem na imprezie. Więc nie każ mi przestać. Bo nie mam już ochoty się powstrzymywać. Ani nie mam potrzeby.

Splunął w kąt krwawą śliną, kaszlnął, splunął znów.

– Kiedy to całe gówno się rozpętało – zaczął – ja byłem na Służewie. Kazałem zamknąć grodzie, a potem złożyłem obietnicę. Na honor żołnierza polskiego. Że poprowadzę tych ludzi, dopilnuję, żeby znów było normalnie, żeby mogli żyć jak ludzie, w normalnym, niepopierdolonym świecie.

– Coś ci nie poszło – mruknął Borka.

– Ba! Nie poszło jak kurwie w deszcz – z kwaśnym wyrazem twarzy skomentował Grom – ale nie ma w tym mojej winy. Nie wiedziałem, że to aż taki syf nam się na łeb zwałił, nie przeczuwałem, że to tyle potrwa. Głupi byłem. Młody jeszcze, świata widziałem, na akcje jeździłem, jako operator różne rzeczy robiłem, ale takiego rozpiżdzielu to jeszcze w łapach nie miałem.

– Nikt nigdy nie miał – uspokajająco powiedział Borka.

Siedzieli przez chwilę w ciszy, patrząc na siebie. Wreszcie stalker przemówił jako pierwszy.

– Nic z tego, nie zgadzam się.

– Na co się nie zgadzasz?

– Nie wjebiesz mnie na minę, Radek, karwa fa, chyba ogłupiałeś, myśląc, że dam się namówić na to, żeby cię zastąpić na stanowisku. Już to przerabialiśmy i nic się nie nauczyłeś!

Generał pokręcił głową.

– Nie radkuj mi tu, szczyłu. Długo o tym myślałem, ale nie mam lepszego pomysłu. Na mnie czas, lekarz mówi, że mogę pociągnąć i z rok, a mogę i ze dwa tygodnie. Z tym nigdy nie wiesz. Był raz taki piosenkarz, dowiedział się, że ma raka, i za dwa dni umarł. Ja nie mam już czasu na nikogo innego. Przyjdiesz tu do mnie, osobiście cię mianuję.

– Mnie tu nic nie trzyma. – Borka wykonał stanowczy gest dłonią, jakby odsuwał coś od siebie. – Ja mam w dupie to metro, tych ludzi. Ja teraz mam co innego na głowie – powiedział twardo.

– No tak. Ojca szukać. Znalazłeś wreszcie trop, to nic, że ostygły. Jedyne, jaki kiedykolwiek miałeś – w głosie generała zabrzmiała nutka drwiny, ale stalker zignorował ją. – A mówią, że jednak coś cię

trzyma na miejscu, że nie sypiasz już ze Szturmowcami pospołu, tylko nauczycielka ci gacie pierze.

Borka przewrócił oczami.

– No tak. Ale co z tego? Ona sobie mnie znalazła, nie ja ją. Będzie chciała, to pójdzie za mną, nie będzie chciała, zostanie w metrze. Ja wychodzę.

Nalał do szklanek i cisnął w kąt opróżniony pojemnik po samogonie.

– Właśnie po to tutaj tak naprawdę przyszedłem, a nie na słuchanie starych opowieści o tym, jak to się potykaliście w kanałach na noże i drewniane tarcze w ósmym roku.

Generał usiadł, upił nieco ze szklanki. Skręcił sobie papierosa i zapalił, rozkasując się na nowo. Uspokoił wreszcie oddech, wychylił szklankę do dna i spojrzał na stalkera.

– Czyli mam rozumieć, że nie dasz się przekonać do zajęcia mojego miejsca na przedzie tej kolumny wędrującej do piekła?

Borka jedynie pokręcił energicznie głową, nie racząc już nawet słowami potwierdzić swojej poprzedniej deklaracji. Generał skinął głową, akceptując jego decyzję.

– Dobrze. Więc co chciałeś, skoro nie na opowieści tu przyszedłeś? – zagadnął.

– Ponoć ktoś kiedyś wyszedł z Warszawy i dotarł aż do Radomia.

– Ponoć tak było.

– Ponoć ty wiesz kto, znaliście się. Ponoć to był jakiś kurier albo ktoś taki? – Borka drążył temat.

Grom zaciągnął się i zamyślił na moment, strzepując popiół i patrząc, jak delikatne paproszki opadają w wilgotnym, martwym powietrzu, poruszany jedynie oddechami dwóch pijanych mężczyzn.

– Tak, znałem ją. Wołali na nią Różyczka. Bo miała saneczki. Znajomy ją tak ochrzcił, facet, co książki o apokalipsie pisał. Nie podejrzewał pewnie nawet, że sam stanie się kiedyś bohaterem jakiegś. Łazili razem po mieście kilka lat, czasem zachodzili do metra, handlowali czym się dało, na wymianę mieli ciekawe rzeczy... A potem, nie wiem, w czwartym? Albo może w piątym? Mniejsza o to zresztą... Poszli na dalszy rajd, coś im nie pykło i jego wtedy...

– Streść się, karwa fa. Wysłuchałem już o bohaterach wielkiej wojny metrowianej, oszczędź mi elegii o śmierci pisarza! – zniecier-



pliwiał się Borka.

– A, jak sobie chcesz. Ale to ciekawa historia, o tym, jak Obywatel zginął... – odparł Grom.

Jego rozmówca wzruszył ramionami, dając wyraźnie do zrozumienia, że ma tę historię w dupie.

– No dobrze, na czym to ja... Po jego śmierci chodziła trochę sama, ciągała sanki. Potem zniknęła, nie było jej z rok, może lepiej? Nie pamiętam, Borka, to było kilkanaście lat temu. Przyszła akurat jakoś tuż przed wojną z Imperium. Przyjąłem od niej raport, na zasadzie ciekawostki. Faktycznie, była w Radomiu. Poszła i wróciła.

Generał zdusił niedopałek na blacie, usianym popiołem i śmieciami.

– Ty wiesz, że przed wojną do Radomia to były dwie godziny drogi? A ona jak poszła, to rok minął, nim wróciła.

Borka zakrył twarz dłonią i ciężko westchnął.

– Posłuchaj, szanuję to, że jesteś, karwa fa, nad grobem, ale i mnie też do niego doprowadzisz, jak zaraz nie skończysz pierdolić i nie powiesz mi po prostu tego, co się dowiedziałeś.

Generał parsknął pogardliwie.

– Będę ci może, gnojku jeden, referował? – Wstał, podszedł do drzwi i otworzył je szeroko.

– Pawluczuk! – wrzasnął. Po chwili pojawił się sierżant.

– Generał wzywał? – zapytał służbiście.

– Tak, wejdz. – Grom zaprosił go gestem do środka. – Masz, skosztuj. – Wyciągnął z szafki trzecią szklanekę i nową butelkę z bimbrem i polał od serca. Adiutant wychylił, skrzywił się i otarł usta.

– O co chodzi? – spytał.

– Weźmiesz tego tu młodego Borkę do archiwum – zaordynował Grom. – Znajdziecie raport Różyczki, ten z ósmego, co go zapisałeś osobiście, zanim te knury ze Świętokrzyskiej nam tu narobiły chlewu. Dasz mu ten raport, a potem niech idzie w tubingi.

Pawluczuk zasalutował, wycofał się do drzwi i czekał na Borkę. Stalker wstał. Zawahał się na chwilę, potem wyciągnął dłoń do generała.

– Mimo wszystko doceniam i dziękuję za zaufanie, jakie we mnie pokładałeś – powiedział. Grom niechętnie uściśnął podaną dłoń. Cofnął się do biurka, usiadł.

– Suchych tuneli, mały. Skończyłem z tobą, możesz odejść –

rzucił, nalewając sobie pełną szklanę. Potem sięgnął po tytoń.

Stalker wyszedł, cicho zamykając drzwi, i podążył korytarzami przejść technicznych za milczącym Pawluczukiem.

– Mogłeś być dla niego synem – powiedział adiutant, kiedy wyszli z kręgu światła. Bardziej rzucił te słowa w powietrze, niż skierował je do towarzyszącego mu rudobrodego. Tamten nie odpowiedział.

6 O wydarzeniach tych przeczytać możecie w książce „Stacja Nowy Świat”.

## Święty Krzyż

Wrzesień, dwudziesty pierwszy rok po Zagładzie



Szły przez miasto we trzy, Zara krok z tyłu, dwie Walkirie krok przed nią. Spotkały się w sali treningu, powędrowały na północ dalej niż zwykle i wymknęły się na powierzchnię przez podziemia Szpitala Dziecięcego przy Kopernika. W bladym świetle przekradły się między wypalonymi i zamienionymi w gruzy budynkami, poruszając się równoległe do Tamki. Przeskakując od jednej do drugiej plamy cienia, dotarły do Zajęczej i odbiły na południe. Dłuższą chwilę kluczyły między gruzowiskami, aż wreszcie idąca przodem podniosła dłoń, każąc się wszystkim zatrzymać. Zanurkowała pod zwalonym fragmentem muru. Po chwili wystawiła głowę i skinieniem kazała podążyć za sobą. Kobiety, schylone, przeszły kilkanaście metrów w czymś, co musiało być zawalonym kanałem.

– Dalej musisz radzić sobie sama – powiedziała druga z wojowniczek. Przez filtry maski jej głos brzmiał chropowato, beznamiętnie. Zara tylko lekko skłoniła głowę i odwróciła się plecami do swojej eskorty. Zeszła w dół po obrywie i ruszyła naprzód, świecąc latareczką, bo pod zwałowiskiem zalegały egipskie ciemności. Szła pochyłona dość długo; to, co początkowo było kanałem nakrytym zwaloną ścianą, przeszło w niski korytarzyk, którym dawniej musiały biec jakieś instalacje. Z betonowych ścian sterczały jeszcze tu i ówdzie nagie haki, kiedyś zapewne podtrzymujące wiązki kabli. W pewnej chwili, bez ostrzeżenia, korytarz kończył się ślepo. Zara omiotła ściany światłem latarki, potem poświeciła na podłogę. Pod warstwą kurzu rysowała się wyraźnie pokrywa wjazdu technicznego. Musiała być nieużywana od bardzo dawna, bo chociaż w niezłym stanie, to jednak przy próbie otwarcia stawiała zaciekle opór. Kobieta ułożyła latarkę na podłodze, chwyciła oburącz sterczący z kurzu pałak uchwytu i szarpnęła w górę, uginając kolana w niskim przejściu.

Niesmarowane od lat zawiasy zapiszczały przeciągle i ustąpiły, a metalowa pokrywa uniosła się do góry z większym niż spodziewany

impetem. W oświetlonym latarką kwadratowym otworze zamajaczył pionowy szyb ze sterzącymi ze ściany klamrami drabinki. Nie namyślając się wiele, Zara zawiesiła latarkę u paska, zaczepiając metalowe kółko o karabińczyk, i wolno zaczęła schodzić. Kiedy znalazła się poniżej ocembrowania, sięgnęła i szarpnęła pokrywę w dół. Ta ze zgrzytem i hukiem zatrzasnęła się nad głową. Krótkie echo wybrzmiało w kwadratowym szybie i zamarło w ciemnościach. Zara schodziła, nie licząc szczebli. Zejście było długie, wyjątkowo długie, co najmniej kilkanaście metrów w dół, ciągnęło się jak drabina do piekła.

Wreszcie w podskakującym, rzucającym rozdygotane cienie światło latarki zamajaczyło podłoże i kilka chwil później stalkerka stanęła twardo na betonie. Pomieszczenie było niewielkie, ale przynajmniej sufit znajdował się na poziomie zapewniającym człowiekowi względną swobodę. Pod ścianami widziała uchwyty po szafach i kilka samych szaf, całkiem pustych. Prawdopodobnie była tu jakaś rozdzielnia, bo w wieloletnim kurzu, oprócz ledwo widocznych starych śladów, leżały resztki kabli i kawałki izolacji. Na przeciwległej ścianie znajdowały się blaszane odrzwia. Zara podeszła, nacisnęła klamkę i popchnęła je, ale nie ustąpiły.

– Nieźleście mnie urządzyły, siostry – mruknęła pod nosem.

Naparła ramieniem na drzwi, które powoli zaczęły się uchylać. Z drugiej strony dobiegło głośnie szuranie i potępieńczy zgrzyt czegoś przesuwanego po betonowej podłodze. Stopniowo udało jej się uchylić skrzydło na tyle, że precisnęła się między stalową ramą a betonową ścianą. Zaczepiła latarką o klamkę i światło zatańczyło, odsłaniając kolejne, większe pomieszczenie. Wejście do tego, z którego przyszła, zastawione było metalowymi szafkami. Precisnęła się obok nich, zamknęła drzwi za sobą i rozejrzawszy się szybko, dosunęła szafki z powrotem, maskując przejście. Z jakiegoś powodu ktoś uznał, że zastawienie drzwi jest pomysłem właściwym. Zara nie miała zamiaru wnikać w pobudki nieznanego sprawcy, od razu założyła, że miał w tym jakiś konkretny cel i że trzeba to uszanować.

Omiotła wewnątrz snopem światła z latarki – pełno pustych, metalowych szafek, zbutwiała tablica, na której dawniej być może wisiały narzędzia, rozpruta skrzynka elektryczna i resztki zmurszałego drewnianego krzesła. Wieloletni kurz pokrywał ostatnie ślady, odcisnięte w kurzu jeszcze starszym. To nie było miejsce, gdzie zaglądali

żądni towarzyskich spotkań erudyci. Tutaj czas się zatrzymał i tylko sporadycznie, raz od wielkiego dzwonu, ktoś w te rejony się zapuszczał. Ktoś, kto musiał mieć dobry powód, żeby wejść w te rewiry niezauważonym. Ruszyła ku wyjściu, przechodzącemu w wąski, lekko pochyły korytarzyk, który skręcał ostro, wciąż opadając. Wreszcie ściana z jednej strony przeszła w luźną kolumnadę, a po jej drugiej stronie zamajaczyło jakieś większe pomieszczenie. Przekroczyła półmetrowy murek oddzielający jej dotychczasową trasę od nowej przestrzeni. Światło latarki wydobyło z mroku ciekawe detale – betonowe ściany były pokryte siatką spękań, z wyposażenia zostały się tylko jakieś przerdzewiałe, mizerne resztki, zawilgocone ściany pokrywały maziste glony, a na podłodze zbierała się kilkucentymetrowa warstwa wody. Przeciwległa ściana była ażurowa, otwierała się na coś w rodzaju małej odkrytej galerii, gdzie snop światła z małej latareczki rozmywał się w mroku.

Zara, brnąc po kostki w wodzie i starając się nie poślizgnąć, przecięła salę. Coś drgnęło pod jej stopami, więc zareagowała instynktownie i nadepnęła na początek nadpływającego stwora. Poczula, jak coś miękkiego pod obcasem buta pęka, rozległ się cichy skrzek i mułociąg, który wychynął z ciemności, znieruchomiał martwy w wodzie. Kobieta skrzywiła się lekko, jak zawsze, gdy przyszło jej kogoś zdeptać. Ten okaz był akurat mały i wyjątkowo źle zorientowany w hierarchii podziemnych drapieżników. Zara przeszła przez pomieszczenie, celowo rozchlapując wodę. Wcale nie miała ochoty słyszeć, jak za jej plecami kolejne mułociągi ślizgają się w płytkim bajorku i oblegają jeszcze wstrząsane drgawkami ciało pobratymca, aby urządzić sobie ucztę. Weszła na betonową galerię, oddzieloną ażurową kratą. Wąski taras biegł wzdłuż tunelu, lecz jego większa część była strzaskana. Na płycie leżały porozrzucone, betonowe tubingi, wyrwane ze ścian tunelu jakąś niewiarygodną siłą. Mimo że od tamtych wydarzeń upłynęło wiele lat, instalacje nadal nosiły ślady ognia, wilgoć i glony nie zdołały pokryć grubych, wżartych pokładów sadzy. Siatka pęknięć biegła od raptownie urywającej się krawędzi, rzedła pod stopami Zary i zanikała kawałek dalej. Kobieta przesunęła snop światła w bok, za raptownie kończącą się krawędź galerii. Tubingi, niektóre potłuczone na żwir, zagradzały prześwit. Zerwany strop schodził w dół pod ostrym kątem, betonowe prefabrykaty wisiały na rozciągniętym, nadwerężonym zbrojeniu. Długie kopce błyszczącej od

wilgoci gliny przemieszanej z betonowym tłuczniem wiły się z góry w dół, pomiędzy zmasakrowaną obudową tunelu. U podnóża obwału błyszczała tafla wody, pod której migotliwą, pokrytą wypryskami glonów powierzchnią trwało jakieś niestrudzone życie.

Kobieta przeszła po pokrytym siatką pęknięć balkonie galerii, zeskoczyła na jego końcu na dno tunelu, pokryte śliskim, gliniastym szlamem. Zredukowała światło latarki i poświeciła pod nogi, lawirując między fragmentami rozbitych tubingów. Tunel piął się w górę, Zara ruszyła na zachód. Ostrożnie stawiała kroki, bo chodnik serwisowy był pokryty wilgotnymi plackami glonów; gdzieś tam betonowa ścieżka popękała, tworząc dziury grożące połamaniem nóg. Patrząc pod stopy i przytrzymując się zaokrąglonej betonowej ściany, kobieta brnęła naprzód. Szuranie jej kroków odbijało się echem w pustej przestrzeni, ale było to echo dziwne, zduszone, zdławione, jakby ciemność miejscowo tylko ustępująca przed jasnym światłem latarki miała własną wagę, własną gęstość, niczym wata tłumiąc dźwięki. Zara przeszła tak kilkaset metrów, gdy natknęła się na barykadę. Betonowe prefabrykaty zwalono bezładnie na stertę, utrudniającą przejście. Kilka chwil minęło, zanim udało jej się przecisnąć między poszczególnymi elementami konstrukcji.

Wynurzyła się zza bariery i zgasiła latarkę. Chwilę stała w ciemności, napawając się spokojem tego miejsca. Potem spojrzała w bok i zobaczyła kapliczkę. Mimo ciemności nie dało jej się przeoczyć – uroczysko Madonny miało własne światło. W upiornym, bladym blasku widać było stertę żelastwa zwaloną w jedno miejsce. Zara różniała okrągłe, pordzewiałe kształty, które mogły być kiedyś kołami pociągów. W stertę poutykane były najniezwyklejsze graty – różnorażkie drobiazgi, breloczki, łuski po nabojach, karteczki, dzwoneczki, kolorowe szkiełka, fragmenty metalowych ozdóbek. Setki wotywnych ofiar, błagalnych i dziękczynnych śmieci, znoszonych tutaj po kryjomu pod nieuważnym okiem Świętego Krzyża przez różnego autoramentu osobników, zanoszących prośby do Światłowłosej. Cała ta niezwykła kupa odpadów oblana była nierzeczywistym światłem, rzucanym przez rosnącą na samym szczycie kępę fluorescencyjnych grzybów, wyglądających jak sterczące na boki, rozczapierzone palce. Po całym tym śmietniku ściekały strużki wody, migocząc i błyskając w niecodziennym organicznym świetle.

Zara stanęła jak urzeczona. A więc to było to miejsce, o którym

wspomniała Motoko. Faktycznie, robiło wrażenie. Ale nie takie, jak na gorliwych wyznawcach. Madonna Tuneli zawsze kojarzyła się Zarze z laleczką mężczyzn, rozrywką stalkerów, rodzajem duchowego pin-upu, do którego wzdychali. Ona była swoją własną Madonną. Patrząc teraz na stertę złomu z poutykanymi nic niewartymi śmieciami, podziwiała głupotę ludzką. Tę samą, która dawniej w spalonej grzance kazała idiotom widzieć Dziewicę Maryję, a teraz tępakom w kępie psich grzybów – ich własną oblubienicę, pokraczną pogańską Matkę Boską. Skrzywiła się i uniosła rękę, aby te szkaradne wykwyty strącić, ale w ostatniej chwili poniechała świętokradztwa. Każdy ma swojego boga, takiego, na jakiego zasłużył, pomyślała. Proste rzeczy dla prostych umysłów. Cofnęła się o krok i splunęła z rozmachem na ołtarzyk.

– Chuj ci na grób – wyszeptała. – Niech cię szlag za to, że ochraniasz morderców.

Co rzekłszy, odwróciła się plecami do uroczyska, zapaliła latarkę i osłaniając ją ręką, powędrowała dalej na zachód. Nie miała czasu na pomniejsze bóstwa. Gdzieś tam, w ciemności przed nią, byli ludzie, którzy czekali na śmierć. Nie wiedzieli tego, ale byli już martwi. Między nimi a stalkerką od Słoików stało po prostu jeszcze kilka osób, leżało kilka stacji, czekało kilka niezalatwionych spraw. A skoro jej droga i tak wiodła przez Świętokrzyską, to należało wykorzystać okazję i odplacić wszystkim, z góry do dołu. W końcu, kiedy okazja wyłamuje drzwi z kopa, to głupio jest ją przeoczyć...

Środki ostrożności, jakie zachowywała, skradając się tunelem na zachód, okazały się zbyteczne. W Świętym Krzyżu nikt nie oczekiwał nadejścia intruzów od wschodu – tunel w kierunku stacji Powiśle był od kilkunastu lat ślepy, nie było tam innych przejść, o których ktoś z administracji sekty by wiedział. Podążając ku stacji Nowy Świat, weszła w pewnym momencie w krąg światła, natrafiając na kaplicę, tym razem świętokrzyską. Tunel zastawiało coś, co przypominało jej ołtarze na Boże Ciało. Pamiętała je; jako mała dziewczynka, w komunijnej sukience, sypała kiedyś kwiatki w procesji. W zasadzie robiła to dwa razy – pierwszy i ostatni. Wzdrygnęła się, ujrzała bowiem, że przed ołtarzem ktoś klęczy. Ostrożnie, cicho stawiając kroki, podszła, omijając konstrukcję wypełniającą prawie cały przekrój tunelu. Pograżona w modlitwie postać w burym habicie nie zwróciła na nią uwagi, najwyraźniej niepomna świata w religijnym uniesieniu. Do-

piero gdy kobieta przeszła obok, rozległ się niski, lekko przytłumiony głos:

– Wychwalajmy Tego, Który Nadejdzie. – Klęczący uniósł głowę, lecz Zara nie zobaczyła jego twarzy, osłoniętej głęboko naciągniętym kapturem.

– Gdy o imiona zapyta, nie kaźden jeden jednako sądzon będzie – odparła po chwili wahania, przypominając sobie formułkę, którą parokrotnie słyszała od Świętokrzyżowców.

– Kto prawy, ten prawym pozostanie, kto plugawy zaś, plugawym będzie na wieki. Do Jego stóp złotą rzuć koronę, Walkirio. Jest okazja pogodzić się z Nim. – Mnich odwrócił się, opuścił głowę, jakby na powrót pogrążył się w modlitwie. Zara wciągnęła głęboko powietrze do płuc i bokiem stawiając kroki, zaczęła wycofywać się w stronę stacji. Po kilku metrach obróciła się plecami do rozmodlonego i ruszyła szybszym krokiem, lecz przystanąła.

– Jaka okazja? – spytała, zaciekawiona.

– Rocznicą Uniesienia Krzyża przed Złem – odparł.

– Ach. Rozumiem. – Przypomniała sobie, że w Świętym Krzyżu czczono faktycznie datę, kiedy pierwotna kolonia na stacji Nowy Świat-Uniwersytet została rozniesiona na strzępy przez siepaczy ze wschodu, z Imperium. To może być dobra okazja, zamieszanie, większy ruch, pielgrzymi, łatwiej będzie jej się wtopić w tłum.

– A tę nierządnicę podziemną, tę Jasnowłosą, co plugawi imię prawdziwej Madonny... – dobiegły ją z nagłą słowa zza pleców – ją odrzuć, Walkirio, albowiem ci, co czczą bałwany, nie dostąpią szczytu. Wdeptani zostaną w glinę, nie dostąpią kielicha. Nie myśl, że nie wiem, co za plugastwo odwiedzają ludzie tam w głębi tunelu, przy obwale.

– Kiedy nadejdzie On – odwróciła się powoli, cedząc cicho słowa – niech tę kurwę z tuneli zادةpcze. A najpierw niech zادةpcze jej pomiot.

Po czym zanurzyła się w mrok, pozostawiając mnicha w osłupieniu. Wiele lat chodził zarówno po ziemi, jak i pod ziemią. Lecz żeby stalker urągał Madonnie – tego dotąd nie słyszał. Naciągnął głębiej kaptur na twarz i pogrążył się na powrót w modlitwie.

Zara tymczasem dotarła do sekcji technicznych przylegających do stacji od wschodu. Wślizgnęła się w mroczne przejścia, pokręciła pomiędzy zaułkami, pilnie unikając ludzi w sutannach. Zwędziła parę



rzeczy i już wkrótce, kryjąc pod łachmanami swój żołnierski drelich, wtopiła się w szary, brudny i śmierdzący tłum mieszkańców, apatycznie krążących po peronie stacji. Kilka dni spędziła na Nowym Świecie. Siedząc z dala od krawędzi, ukryta w cieniu, wtapiając się kolorem w brudny beton jednego z filarów, obserwowała, zerkając spode łba, jak zakonnicy pędzili niewolników z Hufców Pracy, jak trwały gorączkowe przygotowania – najwyraźniej do święta. Życie dookoła toczyło się jednak monotonnie, zupełnie jakby obchody uroczystości, na której okoliczność przystrajano stację, nie dotyczyły ludzi, a wyłącznie administracji sekty. Przy czym mieszkańców było niewiele, zupełnie jakby stacja nie była w pełni zamieszкана. Sutanniarze faktycznie biegali jak oparzeni, pokrzykując, wymachując rękoma i wykrzykując religijne frazesy. Największy ruch trwał przy zachodnim krańcu stacji, gdzie jedno z przejść uczęszczane było nadzwyczaj mocno. Zara domyśliła się, że to tam jest wejście do osławionego przedwojennego schronu pod Ministerstwem. Wejście do największej, najpiękniejszej świątyni Świętego Krzyża. Kiedy siedziała tak godzinami bez ruchu, jakby w letargu, co jakiś czas chyłkiem przenosząc się pod kolejny, coraz bliższy świątyni filar, znalazła wreszcie rozwiązanie pierwszego ze swoich problemów.

Tej nocy, gdy światła na stacji pogasły, jeden z kleryków wychodzący ze Świątyni po długich modłach, ujrzał skuloną pod ścianą postać. Skrzywił się z niesmakiem, widząc brudne łachmany, śmierdzące z daleka. Nie powinno tu być nikogo, mieszkańcy stacji zostali wypchnięci z peronu ze swoimi śmieciami, swoimi prowizorycznymi namiotami, cuchnącymi straganami i całym swoim brudem. Ten teren był teraz ziemią świętą, oczekiwał na obchody Rocznicy Uniesienia Krzyża przed Złem.

– Łachudro – zawołał, kierując na postać snop światła z latarki. Rozejrzał się, szukając wzrokiem akolitów z Gwardii. Jak na złość te wszy, które wszędzie się pchały na oczy, gdy tylko w pobliżu był ktoś z Hierarchów, teraz jakby zapadły się pod ziemię. Sapnął zły i podszedł do, zdawałoby się, śpiącej postaci. Z całej siły wymierzył jej kopniaka. Zanim zdążył się zorientować, co się dzieje, spod sterty łachmanów wystrzeliła ręka, chwyciła go pod kolanem, szarpnęła. Kleryk upadł na peron, lecz nie zdążył nawet krzyknąć, bo coś chwyciło go za gardło i ścisnęło. Krztusząc się i bezskutecznie próbując chwycić powietrze, zatrzepotał powiekami. W twarz patrzyła mu ko-

bieta o krótkich włosach, które w mętym świetle latarki wydawały się kolorowe. Nachyliła się nad nim, a w jej oczach zobaczył zimny błysk.

– Plugawym kto jest, ten plugawym zostanie – wyszeptała, kiedy konał. Zaciągnęła trupa w najdalszy mrok, w tunele, gdzie odarła ciało z sutanny i ukryła w kanale technologicznym. Na wyludnionej z okazji przygotowań do święta stacji było niewielu ludzi i nikt jej w tym procederze nie przeszkodził. Cuchnące łachmany ukradzione w poprzednich dniach porzuciła, przedzierzgamąc się w kleryka. Kaptur naciągnęła głęboko na twarz i zastygła na powrót w cieniach pod filarami na peronie, oczekując rozwoju wypadków.

Następny dzień rozpoczął się od pojawienia się zdziwionego gwardzisty.

– Bracie? – zagadnął siedzącą po turecku postać w habicie kleryka. – Bracie?! – powtórzył, kiedy zagadnięty nie zareagował. Wreszcie kleryk drgnął i uniósł nieco głowę, chociaż kaptur zasłaniał jego twarz. – Racz, bracie, powstać, za moment Ojciec Przełożony zaszczydzi świątynię swoją świątobliwą obecnością zaszczytną – wydukał gwardzista. Kleryk skinął wyraźnie głową, lecz się nie odezwał. Chłopak w mundurze Gwardii zacisnął usta. Klerycy uważali się za lepszych, lecz to nie oni położyli swe życie na szali, gdy przyszło siłą wyganiać tych bezbożnych, dzikich Słoiaków. Mimo że Ojcowie wynajęli do pomocy pogańskich stalkerów, bój był krwawy. Wielu gwardzistów zginęło. A jednak klerycy nadal mieli się za lepszych. Ten łach nawet nie zaszczycił go słowem, jedynie skinął głową. Czemż Ojciec Przełożony nie przejrzy na oczy?! Jak zresztą można było do walki z niewiernymi wynajmować pogan. Na własne uszy słyszał, jak wzywali imienia Ma... tej nierządniczy od tuneli. Bluźnierstwo nie chciało mu przejść nie tylko przez usta, ale nawet w myślach się pojawić. – Bracie... – Nagły gest kleryka uciszył gwardzistę. Postać w habicie powstała, górując nad chłopakiem.

– Kiedy? – dobiegł spod krawędzi kaptura ochryply szept. Emanująca nienawiścią postać pochyliła się nad młodszym mężczyzną, przytłaczając go zarówno fizycznie, jak i powagą swego urzędu.

– Nadchodzą, bracie – wydusił gwardzista w odpowiedzi. – Wiesz z pewnością, że Ojciec Przełożony pragnie pomodlić się w świątyni, nim zaczną się uroczystości.

– Gdy nadejdzie On, a o imię cię spyta – rozległ się znów

ochryply szept – będzie ci policzone w poczet prawych. Odejdź teraz.

Niechętnie i z ociąganiem gwardzista cofnął się o kilka kroków, a następnie odstąpił na przeciwległą krawędź peronu. Kleryk tymczasem wstał i pewnym krokiem ruszył ku przejściom, łączącym Świątynię ze stacją. Wkrótce zniknął w mroku.

Ojciec Santiago kroczył ciężko. Miał swoje lata, a i tuszę też niepoślednią. Zresztą – nigdy z tuszą nie miał problemów. Czy też raczej – nie miał problemów z utrzymaniem pokażnej tuszy. Chociaż w kilka lat po wojnie z jedzeniem bywało krucho, to jednak obrotny klecha jakoś zawsze sobie radził. Kombinował, kręcił i piął się w górę. Przełom nastąpił, gdy udało mu się namówić tego idiotę, żołnierzyka z południa, by rzucił się do gardła temu psychopacie ze wschodu. Och, ileż to lat minęło, z kim on wtedy ruszył paktować? Dariusz. Tak, dobry towarzysz Dariusz. Drobnny cwaniaczek, mały bandyta, lecz sprytny. Sprawny był, wywyższył się sam. Santiago zresztą nie był gorszy. Wspinał się przez lata po szczeblach kariery, patrzył, jak starzy ludzie z administracji się wykruszali. Po ich głowach doszedł na szczyt.

Dwadzieścia lat, dwadzieścia długich, mrocznych, wilgotnych lat. Dwie dekady chodzenia w kiece, wygadywania bredni, schadzek po kryjomu i zachowywania pozorów. Trzydzieści długich lat, odkąd ruszył paktować z kretynem w drelichach. Odkąd paniczekowie rzucili się sobie nawzajem do gardła, gryząc, kopiąc i drapiąc. Nic dobrego z tego nie wyszło. Och, przynajmniej nie dla tych, co przelali krew. Święty Krzyż nie pozostał stratny. To wtedy za jego podszeptem ustanowiono Hufce Pracy, aby skanalizować potok jeńców. Pozbawione zewnętrznego wroga stacje śródmiejskie łatwiej poddały się wpływowi braci, aż wreszcie udało się je bez użycia siły zagarnąć. Santiago był jednym z ojców tego sukcesu. I dokładnie zadbał o to, żeby imiona pozostałych ojców zniknęły w mroku przeszłości.

Bywały chwile, że brak mu było Dariusza. Żałował czasem tego nadgorliwego cwaniaczka, który tak agresywnie piął się w górę, aż pewnego dnia uleciał do nieba. Uleciał do nieba, dosłownie – Santiago sam w duchu zaśmiał się z własnego żartu, wspominając kompana spisków, którego kazał usmażyć na stosie. Dariusz pełnił swoją rolę ofiarnie i wiernie. Jednak Santiago, wtedy będący już Ojcem Przełożonym Świętego Krzyża, znał go zbyt długo, zbyt dobrze. A Ojciec Przełożony Świętego Krzyża nie może mieć sentymentów.

O tak, bez żadnych sentymentów pozbył się również tego bękarta Franciszka. Sam nie wiedział, czemu hodował ten wybryk pod bokiem tyle lat, trzeba było się go pozbyć od razu, szybko i po cichu. Ale teraz kłopot miał już z głowy, pójdzie z tymi plugawymi na misję, będzie po nim. Santiago odetchnął z ulgą...

Gestem dłoni odprawił świętę, kiedy lektyka zatrzymała się na stacji Nowy Świat. Co za debil wymyślił tę nazwę, pomyślał. Gorsze było tylko jej pełne brzmienie – Nowy Świat-Uniwersytet. Gdzie stacja, a gdzie Uniwersytet? Całe warszawskie metro pełne było idiotycznych nazw. Chociażby Politechnika. Gdzie tam była Politechnika? Och, zamknij się, stary capie, zganił się w myślach. Przemawia przez ciebie zawistny skurwiol z SGH, którego schody zbiegają na stację Pole Mokotowskie, lecz które miało mniej szczęścia od innych stołecznych uczelni. Wysiadł z lektyki i powoli, założywszy ręce za plecami, skierował się ku Świątyni. Zgromadzonych nie zaszczycił spojrzeniem, lecz przybrał na ich użytek maskę uduchowienia i nieobecnej radości, bo wiedział, że chciwie zerkają na niego, chociaż głowy mieli pochylone, jak nakazywał szacunek.

– Zostańcie. Potrzebuję pobyć z Nim sam na sam – rzucił do podążającej za nim świty. Skonsternowani zwolnili kroku, lecz nie zatrzymali się. Ojciec Przełożony przystanął i obrócił się ku podwładnym. Łagodnym gestem rozłożył ręce. – Jestem już starym człowiekiem. W zgiełku doczesnym zdarza mi się zapomnieć, że najważniejszym jest wsłuchać się. Pozwólcie swemu skromnemu słudze chociaż na chwilę samotnej rozmowy z Nim.

Spojrzał na nich z dobrze markowaną prośbą w oczach. W rzeczywistości bardzo pragnął chwili samotności. Chwili wolności od wszystkich tych szakali, knujących za plecami zdrajców, mułociągów ssących soki życiowe z niego samego, ludzkich mutantów, wynaturzonych przez chciwość, zawiść i żądzę władzy. Pokracznych kopii jego samego, urągających tym bardziej, że żaden nie dorastał mu nawet do pięt.

– Nalegam! – dodał. Zabrzmiało to ostrzej, niżby sobie życzył. Osadziło jednak świętę na miejscu. Wszedł w łącznik, przebył krótki korytarz i dostał się do wnętrza podziemnego schronu. Kolejny raz stwierdził, że jego poprzednik, który zdecydował, że należy ten doskonały schron przeznaczyć na świątynię, był idiotą. Nie można jednak bezkarnie zmieniać takich decyzji. Przez lata utarło się, że schron

pod Ministerstwem jest katedrą, nową Jerozolimą, ocalałą namiastką, Salą Królestwa. Jakże chętnie Santiago zagarnąłby go dla siebie, gdyby mógł. Tego jednak gawiedź by nie zniosła. Chyba żeby przenieść Świątynię do Śródmieścia – Santiago uśmiechnął się pod nosem do własnych myśli.

Santiago... Cóż za idiotyczne imię. Święte Serce... Jemu kojarzyło się jedynie z rzeźnikami z Composteli, rycerzami Chrystusa znanymi z bezkompromisowości i okrucieństwa. Przybrał je dla uciechy, lecz zostało z nim na lata. W rzeczywistości miał na imię Maciek. Maciek Kaźmierczak. Zwykły facet z Warszawy. Ale czasy nie były zwykłe. Więc włożył sutannę, przyjął odpowiednio idiotyczne imię, zagrał w grę. Zagrał i wygrał. Po latach bycia podwładnym został w końcu wyniesiony na sam szczyt. Wyżej sięgnąć nie mógł. Nieba nie było nad Warszawą, po tylu latach nadal spowijały je chmury. Ale życie, jakie sobie urządził, było znośne, szczególnie w porównaniu z jałową egzystencją tych tępych wiernych albo nic niewartym losem niewolników, przeznaczonych jedynie do ciężkiej pracy i śmierci w służbie swoich panów. Wszedł teraz do Świątyni, rozkoszując się tą chwilą wolności, tym czasem darowanym, momentem bez zauszników, przerwą od bycia Ojcem Przełożonym. Piętnasta rocznica wydarzeń, które spokojną oazę przemieniły ostatecznie w groźną sektę, była niepowtarzalną okazją do świętowania. Sam nie wiedział, kiedy wszystkie te lata minęły.

Rozejrzał się wokół, podziwiając przepych i rozmach, z jakim urządzono wnętrze Świątyni. W głębi, na podwyższeniu, na honorowym miejscu, stał Krzyż. TEN Krzyż. Święty Krzyż. Przyniesiony tu na ramionach wiernych z Krakowskiego Przedmieścia w Dniu Sądu. Ten sam, który wierni unieśli przed złem, kiedy Imperium gwałtem zajęło stację Nowy Świat-Uniwersytet. Co za idiotyczna nazwa, pomyślał ponownie Maciej. Szkoda, że Imperator ich wszystkich wtedy nie zajebał. Albo nie, w sumie nie szkoda. Nie byłoby okazji, żeby w ich strukturach robić karierę. Podeszedł do Krzyża, rozejrzał się. Sytuacja była idiotyczna – miał świadomość, że to wszystko brednie, bujda, opium dla ludu. Ale po latach wypowiedania pustych frazesów nasiąkł nimi do tego stopnia, że odruchowo wzdragał się na myśl o bluźnierstwie przeciw tej blade. Nagle dostrzegł w cieniu stojącego kleryka.

– Podejdz, synu – zażądał. Postać w sutannie zbliżyła się, lecz

nie opuściła kaptura zgodnie z przyjętym zwyczajem.

– Jak ci na imię? – zapytał Ojciec Przełożony.

– Zara. Nie wszystko nara – odparł kleryk wyjątkowo wysokim, melodyjnym głosem. – Czy to ty jesteś liderem Świętego Krzyża?

Ojciec Santiago pojął, że coś jest nie w porządku. Bardzo, bardzo nie w porządku. Chciał krzyknąć, lecz zimna dłoń o smukłych palcach spoczęła na jego ustach.

– Nie warto – dobiegł cichy szept spod kaptura. – Nie zdążą, ojcie. Pojednaj się lepiej ze swoim bogiem. Teraz.

Duchowny pojął, że jego kariera zawisła na włosku. Zdążył wyrzucić sobie, że poczuł nudę i wstręt do hierarchii Świętego Krzyża. Pożałował swoich uczuć, chociaż wiedział, że poniewczasie żal nie przynosi nic dobrego.

– Jak ci na imię? – wyszeptał kleryk, odrzucając kaptur. Kryła się pod nim kobieta o krótkich włosach w kolorze błędnącego fioletu. Twarz miała naznaczoną nie tylko latami życia pod ziemią. Nie tylko cierpieniem. Ojciec Przełożony zobaczył w jej rysach coś, co sprawiło, że po kręgosłupie przeszedł mu zimny dreszcz.

– Jestem Ojciec Przełożony Santiago.

– A masz jakieś prawdziwe imię? – spytała. – Zresztą to nieważne. Na pewno wiesz, że nadejdzie Ten, co o imiona pyta.

Sekciarz gorliwie skinął głową.

– I nie każdego jednak on osądzi – powiedziała.

Ojciec Przełożony na moment zamknął oczy. To niemożliwe, myślał gorączkowo, zmija w moim własnym gnieździe! Jak to się mogło stać. Och tak, szeregi Hufców Pracy zostaną dziś zasilone wieloma gwardzistami i klerykami. Polecą w dół drabiny ci, co dopuścili się tak haniebných zaniechań. A przy okazji kilku innych, oskarżonych o spisek... Otworzył oczy.

– Czy to ty wynająłeś bandytów i kazałeś najechać na Braci Mniejszych? – natarczywym szeptem spytała kobieta, przysuwając do jego twarzy swoją.

– Co? Że kogo?

– Dworzec Śródmieście, brudny knurze, czy teraz rozumiesz? – Chwyła go lewą dłonią za kołnierzyk, ścisnęła, aż nieco zbrakło mu tchu.

Potaknął, czując, że lepiej jej nie denerwować i nie kręcić.

– Masz pozdrowienia od wszystkich, których krew splamiła ci

ręce, tłusty skurwysynie – wychrypiała z wściekłością, wbijając nóż aż po rękojęść. Ojciec Przełożony ze zdziwieniem spojrział w dół. Zobaczył ostrze tkwiące w brzuchu, drewniany uchwyt mocno trzymany dłonią o szczupłych, długich palcach. Poczłł nagłe szarpnięcie, kiedy wyciągnęła nóż. Z rany spływała krew, wsiąkając w sutannę.

– Jesteście złymi ludźmi – wyszeptała napastniczka. – Ty jesteś złym człowiekiem... Ale nadal człowiekiem. Powiedz mi, jak nazywał się ten, co nas napadł?

Przełożony wywrócił oczyma, z zagryzionej wargi pociekła mu krew.

– Powiedz mi, śmieciu, to nie będziesz się męczyć – szepnęła mu Zara wprost do ucha. – Chcę mieć pewność!

– Najemnicy – sapnął duchowny – z Kryształowego Pałacu!

Jednym szybkim, łaskawym ruchem poderżnęła mu gardło. Ojciec Santiago nie żył już, gdy jego ciało upadło na podłogę schronu.

– I to nie on będzie sądzić, lecz ona... – Zara splunęła na ciało. – Jedna sprawa z głowy.

Świta Ojca Przełożonego oczekiwała cierpliwie przed wejściem do Świątyni, kiedy wynurzył się z niego kleryk w przepisowym habicie, z głęboko naciągniętym kapturem.

– Ojciec nasz wielebny, ulubiony od Niego, pragnie pojednania z Tym, Który Nadejdzie – oznajmił zgromadzonym ochryplym, zduszonym głosem. Rozległ się szmer szeptów. Kim był ów kleryk? Nikt tego nie wiedział. Jednak nie w naturze urzędników Świętego Krzyża leżało publiczne podawanie w wątpliwość słów świątobliwych. Cisza otaczała przybysza niczym kordon. – Zalecił, abyście dołączyli do niego, gdy południe nadejdzie. Jednak nie wcześniej, gdyż teraz chce pojednać się z Panem, jakem rzekł.

Pomruk dezaprobaty przebiegł przez zgromadzonych. Czekać do południa to była zniewaga dla dostojników sekty. Zaczęli szeptać między sobą, kwestionując decyzję hierarchy, podając w wątpliwość stan jego umysłu i spekulując na temat spustoszeń, jakie wiek poczynił u Santiaga. Nikt jednak nie zaprotestował otwarcie, nie podniósł głosu, większość nawet nie uniosła głowy. Kleryk, nie niepokojony przez nikogo, zszedł na peron i ruszył ku zachodniemu krańcowi stacji. Czuł, jak plecy palą go pod setką nieprzyjaznych spojrzeń. Nie odwrócił się, lecz wszedł w półmrok północnego tunelu, rozjaśniany jedynie przez dające skąpe światło, rzadko rozmieszczone łuczywa.

Ojciec Santiago leżał w świątyni z martwymi oczyma utkwionymi w chałupniczo ozdobiony, niski strop. Kałuża krwi z wolna rozlewała się wokół stygnącego ciała.



## Słodowiec

Wrzesień, dwudziesty pierwszy rok po Zagładzie



W zasadzie to powinniście tam iść sami, bo to wasz burdel. – Porucznik Kropop nie należał do ludzi, którzy niepotrzebnie owijają w bawełnę, co zresztą dał im już odczuć wcześniej, kiedy w lipcu faktycznie wygnał ich ze swojej stacji.

Borka splunął na beton.

– Zaorałem Śródmieście, to i Słodowiec, karwa fa, zaoram, jak będzie trzeba.

– Nie ma się czym chwalić, gówniarzu. – Porucznik chciał coś jeszcze dodać, ale Lodołamacz z najdalszej północy położył mu dłoń na ramieniu, mitygując wojskowego. – Tak, nie tak. No dobra – stwierdził w końcu. – Nie ma sensu zostawiać roboty w rękach amatorów, więc po prostu zrobimy to razem. Mała wspólna karna ekspedycja. Czas po temu i tak najwyższy.

Stalker z Kryształowego Pałacu spojrzął spod przymkniętych powiek na żołnierza.

– Aż dziwne, że już dawno tego nie załatwiliście – zadrwił. – W końcu...

– Milcz, gówniarzu! – porucznik uniósł się, czerwieniejąc na twarzy. – Nie po to cię tu wezwałem, żebyś teraz się wymądrzał!

– Zamknijcie się, panowie. – Drzazga, stary wyga z Marymontu, który od dawna prowadził partyzancką wojnę z bojownikami Białej Rzeszy, zajmującymi Słodowiec, podniósł się od stołu. – Co się stało, to się nie odstanie – rzucił. – Może i lepiej, że młode wilki wsadziły kij w mrowisko, bo inaczej nikt by się nie ruszył.

Stanowczym gestem uciszył Kropopa, który już otwierał usta, aby coś powiedzieć.

– Proszę mi nie przerywać. Nikt z was tyle się nie nastrzelał z tymi brunatnymi gnojkami, co ja. Poszli chłopcy, rozlało się mleko, trzeba posprzątać. Ważne, żeby zrobić to raz a dobrze.

– Wybić wszystkich do nogi, karwa fa – mruknął Borka, skreca-

jąc machorkę w bibułce. Zapalił, zaciągnął się, potem z nadzieją postukał opróżnioną szklanką o blat. Porucznik, jako gospodarz, zmitygował się i polał mętnawy samogon z plastikowej butelki. Szkło było w cenie, ale technologia jego wytwarzania znalazła się poza zasięgiem większości warszawskich społeczności. Plastik natomiast był wieczny.

Borka zabełtał berbeluchę w szklance i wypił na raz. Ugiął się pod naciskiem, bo faktycznie, trochę nabałaganili. Kiedy w lipcu szli na północ w poszukiwaniu mitycznej Atomowej Kwatery Dowodzenia w Puszczy Kampinoskiej, przyjął od Niebieskich z Muranowa zlecenie na zastrzelenie jednego z dowódców Białej Rzeszy – brunatnej społeczności ze stacji Słodowiec. Przyjął zlecenie dość ochoczo, w zamian za uwolnienie z aresztu policyjnego Urwiłapki – specja od materiałów wybuchowych, który zaginął im kilka tygodni wcześniej w czasie szturm na Dworzec Śródmieście. Tym bardziej ochoczo, że komisarze Niebieskich polali sowicie bimbrem całą tę umowę.

Ostatecznie ze zlecenia wyszedł potworny bajzel. Przeznaczony do odstrzału bojówkarz okazał się uznanym przez lata za zaginionego, dawnym dyktatorem z drugiej linii warszawskiego metra. A do wykonania samobójczego w rezultacie zadania zgłosił się jego syn. Licznik, z którym Borka zaprzyjaźnił się wiele lat wcześniej w służbie pod rozkazami Groma z Twierdzy.

Co z tego, pomyślał gorzko rudy dowódca z Pola Mokotowskiego, skoro teraz już go nie ma...

Awantura na Słodowcu nie przeszła bez echa. Wprawdzie oddział Borki uciekł na północ, a następnie wyszedł z metra i dotarł do Puszczy Kampinoskiej, gdzie Szturmowcy znaleźli to, czego szukali, lecz sprawa na tym się nie skończyła. Rozwścieczeni neonaziści zaczęli przypuszczać coraz bardziej gwałtowne ataki na sąsiednie stacje. Stare Bielany jakoś utrzymywały swoją barykadę, lecz z położonego na południe Marymontu, i tak już mocno zniszczonego i prawie bezludnego, musieli wycofać się ostatni partyzanci pod wodzą Drzazgi. Wreszcie sytuacja stała się na tyle nieznośna, że na południe wysłano poselstwo, które otwarcie zażądało od Borki i jego Szturmowców powrotu na północ i pomocy w walce z neonazistami.

– No?! – dotarło do niego powtórzone pytanie.

– Co? – zapytał, unosząc wzrok.

– No, ja nie wytrzymam. – Porucznik zmełł w ustach przekleństwo.

– Młody, kurwa, ogarnij. – Lodołamacz wykazał mniej taktu. – Drzazga się pyta, co sądzisz o planie działania.

– Bądź łaskaw przedstawić od nowa – poprosił rudy brodac. Zebrani przy stole jak na komendę zaklęli głośno, a potem porucznik, jak przystało na gospodarza, polał po szklance. Wieczór zapowiadał się długi i trudny.

Kiedy naprędce zebrane dowództwo obradowało w kwaterach porucznika, Szturmowcy siedzieli w koszarach Starych Bielán, gdzie z miejscowymi wojakami wymieniali się opowieściami i dokładnie tak samo popijali bimber.

– I wtedy Golem zestrzelił Zegarowego – rozgadany Strażak referował właśnie przebieg wojny ze Słoikami.

Na co dzień lekko seplenił, bo na swoim pierwszym stalkerskim wyjściu na powierzchnię w szeregach Szturmowców postradał obie górne jedyńki. Teraz, dodatkowo, do tego defektu dochodziła spora ilość wyjątkowo podłego i wyjątkowo mocnego samogonu. Strażak wprawdzie był młody i zaprawiony w bojach, nie tylko zresztą w kwestii alkoholu, gdyż kobietami raczył się równie chętnie, o ile pozwalał mu na to stan zamożności, teraz jednak powoli poddawał się upojeniu.

– Jebnął na ziemię jak lampa na peron – dokończył, wywołując chóralny rechot. – Zresztą nie tylko on. – Chłopak popił i otarł usta wierzchem dłoni. – Jak Urwiłapka odpalił ładunki, to wywaliło dziury naraz w obu pawilonach na Śródmieściu. Wypieprzyło wszystko. Tylko specja też nieco pokręciło i się ocknął na Muranowie.

– Daruj, Strażak, tę historię – burknął niechętnie najlepszy w metrze spec od ładunków wybuchowych. – Nie ma o czym opowiadać.

– Nie, nie ma, bo nic nie pamiętasz – zarechotał Golem. Tamten zadygotał. W ogóle wyglądał, jakby dostawał co jakiś czas drgawek.

– Już teraz pamiętam – odgryzł się. – Jak mnie wyciągnęliście z ancla i zabraliście do Kryształowego, to sobie przypomniałem.

– Trochę kosztowało, zanim żeśmy cię wyciągnęli. Licznik musiał zajeść tego brunatnego – wypalił Strażak. Przy stole zapadła cisza.

– No, to se pogadaliśmy – skwitował jeden z tutejszych.

– Bez urazy, kolego. – Inny poklepał Urwiłapkę po plecach. – Nikt nie ma ci za złe, że cię koledzy chcieli ratować.

Tamten wzruszył ramionami.

– Szkoda tylko, że koledzy nie do końca to przemyśleli – rzucił ktoś siedzący dalej.

– Ej, no, załatwimy sprawę i będzie dobrze. – Golem uniósł się, odsuwając zbity z desek stołek. – Szturmowcy załatwiają swoje sprawy do końca!

Potoczył po zebranych ponurym wzrokiem. Nie podobało mu się. Nikomu z Kryształowego Pałacu się tu nie podobało. Żaden z nich nie miał ochoty znów wchodzić na brunatną stację. Borka zresztą nie wymagał od nikogo, żeby się do rajdu przyłączył. On nigdy nie wymagał od nikogo udziału w wyprawach. Było w nim jednak coś takiego, że nikt nie potrafił oprzeć się wizji, jaką dowódca roztaczał przed podwładnymi. I szli za nim w ogień. Gdyby powiedział, że idą podbić piekło, to pewnie któryś spytałby, kiedy wymarsz. Żeby się nie spóźnić.

– Polejcie, karwa fa – poprosił Golem, siadając na powrót. – Narobiliśmy gnoju, to posprzątamy. Razem, nie?

Kilku miejscowych kiwnęło głowami.

Operacja zaczęła się dwa dni później. Drzazga wrócił do siebie i na Placu Wilsona zmontował grupę uderzeniową z niedobitków swoich stalkerów i wszystkich zdolnych do noszenia broni mężczyzn. Dołączył do nich silny oddział policjantów, który szybkim marszem dotarł na stację z Muranowa, przedzierając się przez zalany tunel poniżej Dworca Gdańskiego. Od północy do natarcia przygotowywali się Szturmowcy i ludzie z Inflant pod dowództwem porucznika Kropopa ze Starych Bielán i Lodołamacza z Młocin. Początek ataku zaplanowali na ostatnie godziny umownej podziemnej nocy. Zaryzykowali, zakładając, że zmiany warty odbywają się w tym samym trybie, jak miało to miejsce w lipcu, gdy Szturmowcy byli niechcianymi gośćmi w Białej Rzeszy.

Musieli polegać na zsynchronizowanych zegarkach, bo nie udało im się zorganizować bezprzewodowej łączności, która pozwoliłaby na przeprowadzenie kontrolowanego jednoczesnego ataku. W tej sytuacji wiele zależało od przypadku i od tego, czy nic nie zakłóci ustalonego toku wydarzeń. Na chwilę przed wybraną godziną zastygli w ciszy i ciemności tunelu na północ od Słodowca. Borka przyklęknął, nasłuchując. Obejrzał się, w mroku rozróżniając sylwetki swoich stalkerów. Na przedzie stał Strażak z nowiutkim, własnoręcznie zmontowanym

miotaczem ognia, który zastąpił sprzęt utracony w walce z czatownikiem dwa miesiące wcześniej.

– Jaki czas, panie porucznik? – zagadnął. Tamten zerknął pod mankiet, gdzie ukrytą miał radziecką raketę.

– Dwie minuty – odparł. – W zasadzie możemy wchodzić na posterunki.

Twarda, żyłasta dłoń spoczęła na ramieniu dowódcy z Kryształowego Pałacu.

– Na pewno chcesz iść przodem? – zapytał ściszym głosem Lodołamacz.

– Na pewno. To był mój stalker i to ja najbardziej chcę go pomścić – odparł z mocą Borka. – Wasze interesy mniej mnie obchodzą.

– No, to pora na ostateczne rozwiązanie kwestii neonazistowskiej – rzucił żartobliwie porucznik.

– Wchodzimy, nie ma co czekać. – Potężny rudy stalker podniósł się i ruszył naprzód. Idący obok niego żołnierz z Bielan odpalił ręczny reflektor halogenowy, rozświetlając ciemność i oślepiając siedzącą zaledwie pięćdziesiąt metrów dalej obsadę posterunku. Ostre, białe światło tańczyło po betonowych, kwadratowych ścianach tunelu, budząc setki czarnych, rozdygotanych cieni. Na widok światła wartownicy brunatnych poderwali się na nogi, unosząc broń. Jeden z nich krzyknął, ale chrapliwe *Halt* zamarło w gardle przestrelonym pojedynczą kulą.

Chwilę później krótkie serie zagrały ogłuszająco, budząc echa w tunelu. Rykoszety zagrzechotały po betonie. Na peronach Słodowca rozległy się krzyki, w słabym świetle zobaczyli sylwetki miotających się ludzi. Jakieś dwieście metrów dalej, na południowych posterunkach stacji także zaterkotały karabiny. To wkraczały oddziały Niebieskich i ludzie Drzazgi. Rozpoczęła się czystka. Borka parł naprzód, nie zważając na pojedyncze, przypadkowe kule. Dotarli do krawędzi stacji, prując krótkimi seriami do wszystkiego, co się ruszało.

Prawie jak na Śródmieściu, pomyślał Borka. Prawie, bo tutaj nie patrzył, do kogo strzela, nie oceniał, nie rozróżniał cywili i wojskowych. Tutaj wrogiem był każdy, bo każdy, kto dobrowolnie służył pod brunatnym sztandarem, zasługiwał jedynie na unicestwienie, wypalenie z tuneli, wypalenie tak, jak wypala się pleśń.

– Kryjta mnieeee! – wrzasnął Strażak, jak oszalały wbiegając między perony. – Za Licznika, brunatne gnoje!

Uruchomił miotacz i długą smugą ognia pociągnął po obrońcach stacji. Wyglądał jak wariat w wielkich, narciarskich goglach i skórzanej pilotce naciągniętej ciasno na głowę.

– Ha-ha-ha, płoń, karwa fa! – wykrzyknął, smagając wszystkich ognistym biczem. Członkowie Białej Rzeszy padali pod tymi razami, ogarnięci płomieniami, zrywali się, z nieludzkim wrzaskiem biegnąc przed siebie, wpadając na towarzyszy, roznosząc ogień wokół.

Borka szedł naprzód. Coś gdzieś huknęło straszliwie, stalker zastygł w pół kroku i na moment zrobiło się ciemno. Z trudem postawił stopę i ruszył znów naprzód, coraz szybszym krokiem. Zamroczyło go, w piersi poczuł narastający ból. Oczy uciekły mu w tył głowy, zachwiał się i runął naprzód. Poczul, jakby znów miał cztery lata i biegł do ojca, który stał na samym końcu korytarza. Za plecami miał okno, a wpadające przez nie światło opisywało sylwetkę młodego oficera. Mały Borys skoczył naprzód i rzucił się tacie na szyję.



Strażak zerknął w tył i zobaczył, jak Borka leci na ziemię – na jego piersi wykwiłała szkarłatna, szybko powiększająca się plama.

– Borka padł! – wrzasnął dziko. – Gińcie, skurwysyny!

Nie przestając smagać wrogów płomieniem z miotacza, rzucił się naprzód i podpierając się ręką, wskoczył na krawędź peronu. Za-

toczył łuk ognistym biczem, siejąc pożogę i zniszczenie. Ludzie Kropopa zalewali sąsiedni peron deszczem ołowiu, bez litości zabijając wszystkich, którzy nie wyszli z tunelu. Na przeciwległym krańcu stacji trwała także nieprzerwana kanonada. Po pierwszym zaskoczeniu neonaziści przegrupowali się i ostrzeliwali z pomieszczenia technicznego na wschodnim peronie. Atakujący wybili tych, którzy zostali na zewnątrz, i z obu stron zaczęli ostrzeliwać osaczoną bandę.

Pod krawędzią peronu przebiegł schylony Urwiłapka. Na migi nakazał wszystkim, by zakryli uszy, wystawił głowę i szybkim, precyzyjnym ruchem cisnął coś w kierunku broniących się brunatnych. Chwilę potem potężny huk wstrząsnął całą stacją. Z sufitu posypał się betonowy pył, szare kafle poleciały ze ściany, a z pomieszczenia technicznego buchnęły płomienie. Słysząc było krzyki. Zanim ktokolwiek oprzytomniał, Strażak wycelował w kłębiący się dym i puścił ostatnią, palącą strugę paliwa. Obok niego Lodołamacz, wychylając się ponad krawędź peronu, posłał długą serię, którą skosił kilka wynurzających się z dymu postaci.

Na Słodowcu zaczęła się jatka. Od południa i od północy kroczyła tyraliera napastników, metodycznie i dokładnie dobijając każdego, kto przeżył, i zbierając własnych rannych. Golem cofnął się i dźwignął ciało Borki. Zaniósł dowódcę na peron, gdzie ułożył go na plecach. Rudobrody stalker miał przymknięte oczy, spod których upiornie błyskały białka. Na bluzie munduru szeroko rozpełzła się plama krwi.

– Co z nim?! – Strażak podbiegł i padł na kolana, odrzucając precz pusty miotacz. – Co z nim, karwa fa?!

Po twarzy chłopaka popłynęły łzy. Wokół gromadzili się Szturmowcy. Urwiłapka o rozdygotanych dłoniach, Golem, Strażak, małomówny zastępca dowódcy – Miś, podchodzili inni członkowie oddziału.

– Ubili go, kurwie syny – wyszeptał teraz ochrypłym głosem. – Na Madonnę Tuneli, zabili Borkę!

Stalkerzy z Kryształowego Pałacu patrzyli na siebie z niedowierzaniem. To nie miało prawa się zdarzyć. Każdy mógł zginąć, ale nie Borka, nie legendarny najlepszy dowódca na południe od skrzyżowania linii. Nie ten rubaszny, rudobrody zbój, wesóły bandyta, co się kulom nie kłaniał, sprytny wojak z podziemia, co nie gardził wyjściem na powierzchnię. Tacy jak on byli ukochanymi oblubieńcami Świa-



tłowłosej. Im Madonna nie dawała nigdy zrobić żadnej krzywdy. Zaprawieni w bojach ludzie, twardziele, co z równą pogardą patrzyli w lufy wrogów, jak w pełne zębów paszcze mutantów. Weterani, co czuli się tak samo pewnie, gdy nad głową mieli beton lub pędzące czarne chmury. Postapokaliptyczni wojownicy, obyci z bólem, cierpieniem i śmiercią. Teraz wszyscy zamarli, dusząc w sobie szloch, patrząc na krew na piersi tego, których zebrał ich razem, stworzył im rodzinę, dał przyjaciół i cele do osiągnięcia.

Pierś Borki drgnęła i z jego ust wydarło się ciche westchnienie.

– Żyje, karwa fa! Borka żyje! – wrzasnął Strażak, przypadając do ciała i niezdarnie próbując przytulić dowódcę.

– Medyk! – ryknął na całe gardło Urwiłapka. – Felczera, na Madonnę! Szybciej, karwa fa!

Do zgromadzonych podbiegł jeden z żołnierzy z Młocin, bezceremonialnie odsuwając stalkerów, i sprawdził puls Borki.

– Żyje jeszcze, ale... – Wprawnymi ruchami rozciął bluzę i koszulę, krytycznie przyjrzał się ranie na piersi. Dłoń wsunął nieprzytomnemu pod plecy, jakby szukając czegoś. – Gówniana sprawa. – Pokręcił głową niechętnie i krzyknął gromko: – Torba! – Zadudniły kroki i do lekarza przypadł młody chłopak, zdejmując z ramienia ciężką brezentową torbę. – Won wszyscy – zażądał medyk – bo światło zasłaniacie. Dajcie tu jakąś latarkę. Dobrze, tak trzymaj. Świeć na niego kretynie, nie na mnie! – komenderował, przecierając pierś postrzelonego stalkera kawałkiem płótna zamoczonego w czymś wyjątkowo śmierdzącym.

Z kieszeni wyciągnął okulary i pieczęłowicie nasadził je na nos. Wymamrotał przekleństwo i chwilę grzebał w torbie, klekocząc narzędziami, aż wreszcie wy dobył szczypce.

– Odsunąć się! A ty, Błaszczyk, bliżej ze światłem i od razu w pogotowiu plastry i folia!

Stalkerzy i żołnierze posłusznie cofnęli się o krok, robiąc miejsce medykowi. W napięciu patrzyli, jak pochyla się nad rudobrodym, zanurza w ranie szczypce i szuka. Po chwili z westchnieniem ulgi wyciągnął narzędzie z ciała i na posadzce zagrzechotała kula.

– Szczęście w nieszczęściu – mruknął, oceniając kaliber i rodzaj pocisku.

Ponownie przemył ranę cuchnącym płynem i osuszywszy brzegi, wprawnie nakleił kawałek folii, unieruchamiając go z trzech stron

skąpymi paskami przylepca.

– Zajmij się nim, Błaszczyk, zobacz, co trzeba jeszcze zrobić, ja mam innych rannych – powiedział, dźwigając się z klęczek. – Spróbujcie go może unieść trochę, raz, że rana, a dwa, że nieprzytomny może zacząć rzygać.

Szturmowcy otoczyli lekarza ciasnym kręgiem.

– Co z nim? – zapytał ochryłym z emocji głosem Golem.

Doktor wzruszył ramionami.

– Blisko serca. Na szczęście zniszczenia nie są duże, o ile, hm, mogę się tak wyrazić o postrzale w płuco. Nie wiem, panowie, nie wiem. Jest młody i silny, zobaczymy, jak odzyska przytomność. A teraz spieprzajcie, bo mam tu innych potrzebujących – podniósł głos, odganiając ich stanowczym gestem ręki. Szybkim krokiem poszedł ku kolejnej ofierze strzelaniny.

– Co teraz, karwa fa? – Strażak z przerażeniem w oczach zaglądał po kolei w twarze kolegów. – Chłopaki, do chuja, co teraz? Przecież on nie może tak zdechnąć?! Powiedzcie, że nie umrze?! No na cycki Madonny, przecież tak się nie godzi!

– Nie bluźnij, gnoju – warknął pod nosem Miś. – Co ma zginąć od kłów i pazurów, nie zginie od kuli. Jak przeżyje, to żyć będzie. Musimy go zabrać gdzieś.

– Spokojnie, chłopcy – skinął na nich, podchodząc, porucznik Kropop. – Zróbcie, co kazał doktor, a za chwilę zorganizujemy dla wszystkich rannych transport na Stare Bielany. Póki co lepiej byście pomogli z tym burdelem.

Kilku Szturmowców rozejrzało się. Na peronach po obu stronach trwała nerwowa krzątanina. Żołnierze zwycięskiej strony ściągali w jedno miejsce wszystkie trupy, spychając je na torowisko, gdzie przygotowywano stos. Wydzielające mdlący, duszący zapach strumienie krwi ciekły po posadzce i ciurkały gęstymi kroplami z krawędzi peronów wprost na leże torowiska. Niektórzy zrywali wielkie flagi z trystykami, zrzucając je na jedno miejsce pod ścianę. Jakikolwiek emblematy by na nich widniały, nie wolno było zmarnować dobrego materiału. Inni przeszukiwali pozostałe pomieszczenia, grupa zwiadowcza sprawdzała wyjścia na powierzchnię i stan ich zabezpieczeń. W pewnej chwili w technicznej części stacji rozległo się kilka strzałów, które ucichły równie szybko, jak się zaczęły. Tylko echo przez moment dzwoniło pod sklepieniem.

– Faktycznie, niezły burdel – cierpko skomentował Lodołamacz, podchodząc do Szturmowców. – Nie wiem, czy ktoś będzie tu chciał w najbliższym czasie zamieszkać, ale trzeba było wreszcie skończyć z tą brunatną zarazą.

– Wypalić gniazdo os – mruknął Strażak. Wyglądał jak siedem nieszczęść. Gogle podciągnął na głowę, gdzie sterczały dziwacznie. Brudne od kurzu i sadzy policzki przecinały mu biegnące aż do krawędzi szczęki jaśniejsze ślady łez. Wysychająca sól ściągnęła lekko skórę.

Lodołamacz zrobił krok w bok i zwymiotował obficie na torowisko.

– Nie ma dla nas zbawienia – wymamrotał Urwiłapka, próbując zapanować nad drżeniem dłoni. – Żyjemy w piekle i tylko do piekła trafimy, jak w końcu coś postanowi skrócić nasz gówniany żywot. Nawet Madonna nie wstawi się za nami.

– Już, już – zmitygował go Golem. – Nie desperuj, karwa fa. To byli źli ludzie.

– My też jesteśmy złymi ludźmi. – Drzazga wpatrzył się w stertę trupów. Potem bez słowa odwrócił się i ruszył ku południowemu tunelowi. Gwizdnął głośno. W ciszy pojedynczy ludzie w stalkerskim szpeju porzucali swoje zajęcia i dołączali do dowódcy. Jak on, chcieli czym prędzej znaleźć się w domu, na Marymoncie. Nie było czego świętować.

– Nie stać, kurwa – ryknął im nad uchem porucznik, ale szybko stracił rezon. – Panowie, weźcie pomóżcie. Ile możecie. Trzeba się tych wszystkich... tych... tego wszystkiego... Kurwa, trzeba to posprzątać – głos mu się załamał. Strażak, ponownie przełykając łzy, ukląkł przy nieprzytomnym Borce, który leżał na posadzce jak trup – całkiem błądy i bez ruchu. Reszta owinęła twarze szmatami, aby nie czuć zapierającego dech w piersiach smrodu śmierci i palonych ciał, i ruszyła do obrzydliwej, lecz koniecznej pracy. Pozbycie się żmij było dopiero pierwszym krokiem do odzyskania Słodowca dla tych, którzy byli, być może, lepszymi ludźmi. Lepszymi od opętanych chorą ideologią fanatyków, lepszymi od najemnych stalkerów, dbających tylko o zysk, lepszymi od żołnierzy, których naznaczyli na swoich obrońców. Być może.

## Plac, Politechnika, Pole

Wrzesień, dwudziesty pierwszy rok po Zagładzie



No węź. – Zionął jej w twarz oddechem, w którym było coś przypominającego alkohol, ale tak podłego, cuchnącego i obrzydliwego, że człowiek chyba nie mógłby tego wziąć do ust.

– Idź, proszę, póki jeszcze możesz chodzić – odparła spokojnie, unikając jego wzroku.

– Chodzić mogę świetnie! – stwierdził, potrząsnął głową i zademonstrował kilka chwiejnych kroków. Potem zatoczył się z powrotem w kierunku Zary.

– Proszę cię, odejdz. – Spojrzała na niego z politowaniem.

– Bo co?! – roześmiał się chrapliwie. – Nie trać okazji, ja ci zaraz dogodzę! Będziesz piszczała z radości, głupia suko!

Zara znużonym gestem przejechała dłonią po twarzy. Nie unosząc się z przykucu, wyprowadziła cios pięścią prosto pod kolano namolnego zalotnika, a kiedy ten jęknął i się zgiął, poderwała się, kopnęła go ciężkim butem pod żebra. Runął na peron jak przerdzewiały tubing na torowisko, jęcząc i złorzecząc na zmianę. Kobieta uniosła stopę i z całą mocą opuściła ją na goleń napastnika. Rozległ się trzask łamanej kości i straszliwe wycie menela.

– Wierzę, że teraz będziesz mógł nawet tańczyć, śmieciu. – Rozejrzała się czujnie po siedzących dookoła. Wszyscy odwracali głowy na widok tego popisu sprawności i siły, jaki dała niemal od niechcenia. Wykrzywiła usta w złym uśmiechu i doprawiła niedoszęłego zalotnika kolejnym kopniakiem w żebra. Stęknął i zaczął na kolanach odpełzać od ogniska po brudnej, mokrej, betonowej posadzce niedokończonego peronu stacji Plac Konstytucji.

– Co się gapicie?! – warknęła Zara na siedzących obok. Mamrocząc coś pod nosem, unikali jej wzroku.

– Było mu łamać nogę? – burknął ktoś ukryty przezornie za plecami innych.

– Było mu do mnie startować?! Śmiecie zasrane, żaden nie

spojrzy, jak trzeba się odezwać!

– Nie musiałaś łamać – odezwał się inny głos. Zara odepchnęła najbliższego siedzącego. Złapała za połą poprzecieraną, złachmanioną bluzę kulącego się podrostka. Zamachnęła się i wymierzyła mu siarczysty policzek.

– Nie łamałabym gnoja, jakbyś się, śmieciu, odezwał, kiedy się do mnie dostawiał.

– Ale że co? Że niby ja?! Ale jak to?! – głos chłopaka zmienił się w pisk. Stalkerka pchnęła go, aż się zatoczył, rozrzucając ognisko.

– Wy jesteście winni! – zawyrokowała, wodząc po nich wzrokiem. – Żaden palcem nie kiwnął, jak ta pokraka napastowała samotną kobietę, tylko pośmiechujki jakieś!

Szmer niezadowolenia przeleciał po zebranych.

– My nic złego, nie ten – bąknął któryś. – Tak tylko, przecież on nie robił nic złego...

Poderwał się i umknął w mrok skrywający krawędź peronu, kiedy Zara spojrzała w jego kierunku.

– Nie, on nic złego nie zrobił. Bo złamałam tej ludzkiej szmacie nogę! To jest wasza wina, bo jakbyście go powstrzymali, toby teraz nie kwiczał tam z przetrąconym kulasem.

– Spierdalaj, wariatko – rzucił ktoś z ciemności i wszyscy błyskawicznie się ulotnili. Przy sąsiednim ognisku znów zagrała harmoniszka, która umilkła po pierwszym krzyku pobitego casanovy. Zabrzęczał tamburyn, którym wymachiwała oberwana, chuda dziewczyna w rozchełstanej na piersi sukience. Blade, pokryte smugami brudu ciało błyszczało niezdrowo spod zszarzałego materiału. Akordeonista wyszczerzył przetrzebione, szerniałe zęby, ale błyskawicznie odwrócił głowę, gdy stalkerka na niego spojrzała.

Nogą nagarnęła na powrót tłące się śmieci na to, co nazywano tu szumnie ogniskiem, a co przynosiło wstyd i ujmę temu określeniu, przysiadła na piętach i poprawiła aluminiowy kubek z wodą. Część się wylała, gdy potracił go popchnięty lump, więc uzupełniła z manierki. Obróciła się demonstracyjnie plecami do reszty tej przeklętej przez bogów i ludzi stacji. Wyciągnęła z uchwytu na kamizelce nóż i wolno, tak aby wszyscy zauważyli, położyła go tuż obok siebie. Akordeonista zmylił akord, lecz szybko podjął melodię. Połamany pojękiwał gdzieś dalej w ciemnościach, bojąc się jednak podnieść głos i zawołać o pomoc. Na tym ludzkim śmietniku, pełnym najgorszych odpadów cywi-

lizacji, nie znalazł się nikt, kto sam z siebie podszedłby do niego i chociażby spytał, czy potrzebuje pomocy.

Warszawskie metro było ściekiem, do którego spłynęła resztką cywilizacji. W tym ścieku Plac Konstytucji był osadnikiem, gdzie prąd życia nanosił najgorsze brudy i muł. Zara jednak nie miała specjalnych wątpliwości, że to nadreprezentatywna, ale wciąż tylko próbka tego, co się działo w Warszawie po wojnie, i że całe miasto i wszystkie ludzkie społeczności tak wyglądają. Przez ponad dwadzieścia lat obserwowania tego, jak w warunkach radioaktywnej zimy wypalał się płomień człowieczeństwa, nabrała przekonania, że nie było warto tego wszystkiego ratować. Wydarzenia ostatnich miesięcy stanowiły dowód na to, że nie ocalało nic z dawnych wzniosłych ideałów. Wojna, która zniszczyła cały świat, nie otrzeźwiła ludzkości. Ci, co przetrwali, nie byli lepsi, sprawniejsi, mądrzejsi. Mieli tylko więcej szczęścia. Byli jednak wciąż takimi samymi szumowinami, a życie w tym gruzowisku jedynie przyspieszało postępującą z każdym rokiem degenerację. Ludzie mieli wyginać i nic nie mogło tego zmienić.

Zapatrzyła się w ogień, tak jak przez te wszystkie lata patrzyła w ogień razem z bratem. Może i był głąbem, który pakował ich czasem w kłopoty. Może był zwariowanym matosem. I może trzeba było się nim opiekować. Ale to był jedyny człowiek, którego miała w życiu. Miała. I już go nie ma.

Ze Świętego Krzyża nie było łatwo się wydostać. Wieść o śmierci Ojca Przełożonego nie rozeszła się wprawdzie oficjalnie wśród szarej masy, ale na skrzyżowaniu zawrzało. Popełniła błąd – zamiast wrócić do tunelu, iść ku zawałowi, bezmyślnie poszła ku stacji Świętokrzyska, w ten sposób samą siebie wpędzając w potrzask. Zanim się zorientowała, była już na dolnym peronie i próbowała przemknąć się niezauważona pod okiem straży. Ponieważ jednak wszyscy już wiedzieli, że stało się coś niedobrego, posterunki postawione zostały w stan alarmu, a przejście na pierwszą linię pilnowane było wyjątkowo sumiennie nawet na co dzień. W tej sytuacji zaryzykowała i wtopiła się w kolumnę niewolników z Hufców Pracy. Kryjąc się między zgarbionymi, zabiedzonymi postaciami, owinięta w łachmany i z twarzą pomazaną mułem dotarła na górny poziom, a stamtąd do stacji Rondo ONZ. Spędziła tam kilka dni, czekając na okazję. Miała szczęście – grupa przymusowych robotników została wyprowadzona na powierzchnię. Zara chyłkiem zamieniła się z jednym z

nich – mężczyzna nie posiadał się ze szczęścia. Gdy tylko zobaczyła nad głową niebo, zniknęła w cieniach zalegających u podnóża sypiących się wieżowców.

To był jej teren, jej rejon, rewiry, które patrolowali i szabrowali z bratem od początku. W dawnych, szczęśliwych latach, zanim te fanatyczne skurwysyny zawładnęły skrzyżowaniem linii, bliźnięta wpadały w odwiedziny na Ronda. We dwójkę przeszukiwali zamarznięte, spowite mrokiem biura, splądrowane sklepy, zapomniane garaże podziemne. Teraz szybko odnalazła dawne ścieżki, przemykała między wysokościami, chowała się w cieniach u ich stóp, zapadała w zapomniane przejścia, przeskakiwała między ulicami. W pierwszej chwili korciło ją, żeby zbiec do wykopu trasy średnicowej, dobijać się do tamtejszego posterunku, ale porzuciła tę myśl. Co by na tym zyskała? Co chciała osiągnąć? Wykrzyknąć w twarzę rady oskarżenie o zdradę? O to, że czekali z założonymi rękami i pozwolili najemnikom i fanatykom zagarnąć Śródmieście? Co by to dało? Jaki pożytek przyniosłoby jej bratu i innym zabitym? Rada pewnie i tak obsrała się metrowym murem z gówna na myśl, że Centralna będzie następnym celem opętanych przez władzę i religię oszołomów. Przemknęła pomiędzy kolumnami, gdzie zalegały gruzy zwalonego wiaduktu, i popędziła dalej. Woda i śniegowe błoto plaskały pod podeszwami ciężkich butów.

Dobrze zdyszana odbiła w Koszykową. Broń pod kurtką ciążyła jej i spowalniała ruchy, ale wiedziała, że minęły beztroskie czasy ganiań z nożem po mieście. To nie były te szczęśliwe, kolorowe dni, kiedy dwójka nastolatków bezrefleksyjnie ryzykowała życie, ganiając wśród ruin jak dzieci po plaży. Zara ledwo pamiętała, jak wygląda plaża. Ostatni raz była nad morzem, kiedy miała dziesięć lat. Od tamtej pory minęło ponad dwa razy tyle. Gdzieś w jej wspomnieniach tliło się jeszcze odczucie ciepłego piachu pod stopami, gorącego, oślepiającego słońca i ogromnej masy chłodnej, czystej wody. Otrząsnęła się z zadumy. Nad głową miała spowite ołowianymi chmurami niebo, pod stopami marznące błoto i płaty czarnego śniegu. A jedyna masa, jaką miała w zasięgu wzroku, to masa ruin. Chrapliwie wciągnęła powietrze, rozejrzała się. Dotarła do placu Konstytucji, stanęła na moment. Gdzieś tutaj musiało być zejście, o którym powiedział jej kiedyś żołnierz z Twierdzy. Wydawało się to tak dawno... Raz jeden zapuścili się z bratem aż na południe. Widzieli Kryształowy Pałac rozjarzony

światłami, pełen jazgotu pracujących maszyn i pośpiechu ludzi. Potem jedli w jedynej takiej w całej podziemnej Warszawie wietnamskiej knajpie na stacji Raławicka, gdzie przez zwieszające się z krawędzi peronu okienko stary Azjata wydawał potrawy. Pili i śpiewali w barach na Wilanowskiej, pod czujnym okiem żołnierzy Groma, który żywił jakieś poważanie dla jej brata. Taaak. To było po tej zasranej wojnie, którą przeleżała z połamanymi nogami. Matoł poszedł sam i rzucił się z nożem na tygrysa. W głębi serca nigdy nie uwierzyła w tę historię. Jedynym, co przemawiało za jej prawdziwością, był fakt, że była zbyt dumna, żeby można ją zmyślić.

Wtedy, na Wilanowskiej, spotkała jednego twierdzonego. Stach mu chyba było. On powiedział jej o wejściu na stację Plac Konstytucji.

– Wszyscy gadają, że tam zejścia nie ma – klarował jej przy barze, patrząc na nią znad kubka pełnego alkoholu. – No i to jest prawda. Poniekąd. Zamurowali te wszystkie techniczne przejścia, jak spadły bomby.

– Ale? – dopytała, czując w jego głosie niedopowiedzenie.

– Ale jest zejście do czerpni. Z boku... – Rozmazał na blacie odrobinę trunku i palcem wyrysował siatkę ulic. – Widzisz? Wiesz, gdzie to?

– Proste, że wiem. – Roześmiała się. Stach dźgnął palcem wskazującym w punkt z boku jednego z iluzorycznych, alkoholowych budynków.

– Tutaj – powiedział. A potem dokładnie wytłumaczył jej, jak się tam dostać w razie potrzeby. Od tamtej chwili w barze na Wilanowskiej minęło tyle lat.

Jednak mimo upływu czasu nie zapomniała. Udało jej się odnaleźć tajne zejście na stację. Ktoś musiał z niego niedawno korzystać, świadczyły o tym ślady w kurzu na podłodze i inne oznaki świeżej obecności ludzi. Dawniej może przejęłaby się tym bardziej, lecz teraz nie przejmowała się już takimi rzeczami. Przed sobą miała jeden cel.

Pomścić swojego bliźniaka.

Na Placu Konstytucji została na jeden nocleg. Gdyby nie incydent ze zbyt namolnym absztyfikantem, mogłaby nawet uznać ten pobyt za przyjemny. Muzyka, tańce, barwne towarzystwo i obrzydliwy, przyprawiający o mdłości samogon tworzyły kolorową mieszankę słynną nie tylko w metrze, ale także poza jego tunelami. Nie czuła



jednak potrzeby, aby zabawić tam dłużej. Przespała się krótko i wkrótce stanęła u wrót do Politechniki. U wrót do Pałacu, w połowie tunelu, na wysokości wentylatorni szlakowej powitał ją ostry, szybki rozkaz zatrzymania się.

– Czego? Kogo cholera niesie? – Zza barykady na posterunku wychylił się wartownik.

– Przybywam w pokoju! – zażartowała z bezpiecznej odległości. Wartownik czy nie, zasady albo nie, Kryształowy Pałac czy Inflanty, broń w rękach to nigdy nie były żarty.

– Nasz przywódca ma teraz ważniejsze problemy! – odkrzyknął wartownik. Nerwowo zaśmiali się oboje.

– Jestem Antonina! Idę na Pole Mokotowskie!

Ktoś coś powiedział ściszym głosem i z posterunku wyszedł wartownik, świecąc jej w oczy latarką.

– Skąd cię tu przeciąg przywiął? – zapytał rzeczowo. Osłoniła oczy dłonią.

– Z północy – odparła bezpiecznie.

– Tam to teraz niespokojnie, co?

– Nie ma lekko, wiadomo.

– A na Pole to po co?

Udała, że zastanawia się przez chwilę.

– Podobno mają tam fajnych stalkerów.

Wartownik zmierzył ją wzrokiem i uśmiechnął się zdawkowo.

– Ładniejsze od ciebie się o nich zabijają.

Wybuchnęła śmiechem, aż echo poszło po tunelach.

– Ja nie na chłopaków tam idę. Przyłączyć się do nich chcę.

Tym razem wartownik roześmiał się gromko. Aż łzę otarł krawędzią dłoni.

– Żarty się ciebie trzymają...

Ruchem lufy wskazał jej drogę. Czowała jego wzrok na plecach, kiedy wchodziła na posterunek. W kręgu światła z lampy naftowej siedziało jeszcze dwóch wartowników – stary wyga, poznaczony bliznami odmrożeń na twarzy, i gówniarz, najwyżej kilkunastoletni. Ściągnęła kaptur z głowy i wszyscy trzej zagapili się na jej nastroszone, fioletowe włosy.

– O ja cię... – wymamrotał najmłodszy.

– Faktycznie, kobieta-żyłeta – żartem skomentował ten, który wcześniej wyszedł do niej w tunel.

Najstarszy wyciągnął spracowany notatnik ściągnięty gumką aptekarską. Otworzył go mniej więcej w połowie, wyjął zatknięty za ucho ołówek, poślinił grafit i spojrzął na nią wyczekująco. Potrząsnęła głową, dając mu do zrozumienia, że nie wie, czego od niej oczekuje.

– Panienska... – Zmierzył ją wzrokiem. – Pani kto i gdzie?

– Tosia... Znaczy Antonina. Stojanowska. Na Pole Mokotowskie.

Dowódca warty zapisał w notatniku.

– Znaczy po co?

– Do stalkerów się przyłączyć.

Dowódca znów skwapliwie zanotował.

– Prędzej mi cycki wyrosną, jak ciebie Szturmowcy przyjmą w szeregi – mruknął niby do siebie, ale wystarczająco głośno, aby wszyscy usłyszeli. Młody zachichotał i ucichł nagle, spiorunowany wzrokiem przełożonego.

Skryba uniósł głowę i spojrzął na nią. Zmierzył wzrokiem od stóp do głów. Z powątpiewaniem spoglądał na gogle nadgryzione zębem czasu, poplamioną, przetartą kurtkę, porządne, chociaż zachlapanie błotem spodnie.

– Czołgu tam nie masz pod tą kurtką, co? – zagadnął.

– Nic tam chyba nie ma – odpowiedział chłopak. Dowódca warty obrócił się nieznacznie i strzelił go w pysk otwartą dłonią.

– Ryj, gnoju. Kobietę szanuj, nawet jak nie w twoim typie. – Pogroził mu palcem.

Młody skrzywił się, pocierając puchnący policzek. Dowódca warty miał ciężką rękę.

– Pani wybaczy. Dzisiejsza młodzież... – Wrócił do notowania. – Broń?

Spojrzał sceptycznie i nim zdążyła się odezwać, mruknął pod nosem przecząco, notując coś pilnie. Ciężko westchnął, wsunął ołówek za ucho, naciągnął recepturkę na notatnik, a potem pieczołowicie schował go w wewnętrznej kieszeni.

– Panienska... Pani idzie. – Sięgnął do kieszeni w spodniach i wyciągnął blaszkę. – Pani to da wartownikowi na pośrednim, przed odstawczymi. Jakby się był pytał. Czy coś.

– Dziękuję pięknie. – Zara ukłoniła się lekko. Obróciła się i powędrowała w mrok, pogwizdując.

– Pani trafi na stację? – zawołał za nią młody.

– Jak się zgubię, to wrócę do was – odkrzyknęła. Chłopak wzdrygnął się na tę myśl, a kobietę pochłonął mrok.

Stąpiła ostrożnie, świecąc pod nogi małą latareczką. Woda kapła z tubingów, plaskała pod podszewkami, ciurkała po betonie. Zara uśmiechała się do siebie, zbliżał się czas zemsty. Ojciec Przełożony był tylko przygrywką. Na końcu tunelu czekał rudy stalker, który pociągnął za spust tego feralnego dnia. Feralnego dla niego.

Przeszła przez Politechnikę bez problemów. Miejscowy patrol zatrzymał ją na krótko i zadowolił się wyjaśnieniami, że rusza dalej, na południe. Przeszła przez stację, na skraju udało jej się namówić obsługę drezyny, żeby wzięli ją na pokład. Kolejką przejechała przez warsztaty, potem przez bibliotekę na torach odstawczych. Rzemieślnicy w długich fartuchach i bibliotekarze o zaczerwienionych oczach patrzyli na nią dziwnie, ale nikt nic nie mówił. Kryształowy znajdował się na trasie do Twierdzy, obcy pojawiali się w nim regularnie, przechodzili przez podziemną domenę w obu kierunkach i znikali z życia mieszkańców sojuszu.

– A ty skąd? – zagadnął ją jeden z ludzi z obsługi drezyny. Siedzieli oboje na skraju odkrytej platformy, załadowanej najróżniejszymi dobrami. Mężczyzna ćmił skręta. Jego zwalista, masywna sylwetka przytłaczała dużo drobniejszą kobietę.

– Z północy.

– Na Polibudzie cię nie widziałem, cholibka. – Zwrócił ku niej twarz okoloną gęstą, czarną brodą.

– A, bo ja z tej dalekiej.

– Od Krzyża jesteś? – zaciekał się.

– Madonno uchowaj! – obruszyła się Zara.

– No, ta. – Mężczyzna pociągnął skręta, mierząc ją niedbale spojrzeniem. – Stalkerka. W sumie widać, że nie pracujesz w nauce.

– To aż tak widać? – zagadnęła go.

– Tak serio to nie. Ale mi szepnął porządkowy, że do Szturmowców idziesz.

– Serio? Już ploty poszły?

– No ba. Tu się znają wszyscy. Jak się ktoś nowy pojawi, to każdy wie – uśmiechnął się tamten. – Gdzie wcześniej służyłaś? Bo wiesz, naszych to Borka sam wyszkolił. Nie przyjmuje nikogo, chyba że niezły zabijaka. Ostatnio jednego takiego przyprowadził... Na oko – niby dziad zwykły. A jak wyszli, słuchasz? Pierwszy raz wyszli razem

na patrol na Pola, to wiesz co?

Nie wiedziała. Nie do końca ją to obchodziło, ale nie dała po sobie poznać.

– Wyszli i stary od razu lupina ubił. Normalnie ponoć od razu jednym strzałem położył trupem. Taki był!

– Niewiarygodne – mruknęła. Lupina strzałem ubił. Też kozak. Jej brat nożem takie kładł. Zawsze mnóstwo zbędnego ryzyka matół podejmował.

– No, to gdzie wcześniej? – Załogant drezyny przypomniał o sobie.

– Co? A. U Walkirii – odparła bezwiednie i pożałowała takiej otwartości. Tamten aż rozdziawił usta ze zdumienia.

– Ty... No... o. – Podrapał się z zakłopotaniem po głowie. – To Walkirie istnieją?

Z powagą skinęła głową, nic nie mówiąc. Mężczyzna pociągnął długo, pieczołowicie zdusił skręta o burtę wagonu i cisnął niedopałek pod koła.

– Z ogniem trza ostrożnie w bibliotece, cholibka – wyjaśnił.

Jechali chwilę w milczeniu, elektryczny silnik drezyny brzęczał i trzaskał, koła stukały na szynach.

– Serio w Walkiriach byłaś? To prawda, że one nie mieszkają w metrze?

– To prawda.

– Mówią, że one zawsze z powierzchni... Ale dotąd myślałem, że to tylko bujdy. No wiesz, jak te o Madonnie... – Rzucił na nią szybko okiem. – Znaczy, cholibka, przepraszam. Nie mam nic do Madonny...

– Spokojnie. – Położyła mu rękę na ramieniu. – Stosunki między mną i opiekunką stalkerów można określić w najlepszym wypadku jako chłodne.

Przeczesał brodę palcami i przyjrzał się jej uważnie.

– Nie obraż się, ale dziwna jesteś. Inna jakaś... Zupełnie jak nauczycielka z Pola.

– Kto?

– Emilia. Znaczy pani Emilia. Żona Borki.

– Tego od Szturmowców?

– Tego samego. Ale ty nie jesteś taka jak ona. Ona jest od uczenia dzieci. Wiesz, jakieś te ideały, książki, historia i takie tam... Nie na

moją głowę. Ale ty też jesteś inna jak zwykle kobiety. – Na moment przerwał, myśląc nad czymś intensywnie. – Nie wiem... Nie umiem wytłumaczyć. Żaden ze mnie docent, cholibka, ja tylko na wagonach jeżdżę.

– Świetny z ciebie wagonowy. I dobry towarzysz. – Poklepała go po plecach, kiedy wjeżdżali na peron. – Jak jej było?

– Komu?

– Nauczycielce... – W duchu przeklęła, ale uśmiechnęła się do brodacza.

– Emilia. Jak jej będziesz szukać, to idź na południowy kraniec, tam zapytaj. Albo sama znajdziesz, szkołę prowadzi na peronie. Bo tego jej zabijaki to teraz nie ma. Poszedł na północ. Drugi raz w tym roku jakąś wojnę tam prowadzi. Co tam jest na tej północy, to ja nawet nie... – zmitygował się, orientując się, że chyba palnął gafę.

– Nie martw się, chuj tam nocuje. – Puściła do niego oko.

Zeskoczyła na krawędź, zanim dreźyna w pełni się zatrzymała, i rozejrzała się wokół. Pole Mokotowskie nie różniło się zbyt od Politechniki. Charakterystycznym elementem był mieszkalny mrówkowiec. Zapamiętała go, gdy przechodzili tędy dawniej z bratem. Zajmował cały przeciwległy tor, tworząc piętrową warstwową konstrukcję, sięgającą sufitu, po której zewnętrznej ścianie biegły drabinki i wąskie, jakby ażurowe galeryjki. Jej brat się nim wtedy zachwyił. Chciał zaglądać do mieszkań, witać się z ludźmi, pytać, czy może nocować w tym niesamowitym miejscu.

– Zabiłeś go, skurwysynu – szepnęła sama do siebie. – Zabiłeś, a to był najlepszy brat, jakiego dziewczyna może mieć.

Wciągnęła powietrze głęboko do płuc. Tutaj, na Polu Mokotowskim, było zupełnie inne. Pachniało i smakowało lepiej. Czuć w nim było ozon, zapach rozgrzanego metalu, kurz i pył z papieru. I jakby mniej wilgoci i pleśni, do których przywykła na Śródmieściu. Chwilę zastanowiła się nad tym, co powiedział dreźnowy. Rudego mordercy nie było, poszedł na wojnę. Taki fach. Samo się nie zarobi. Może więc ta nauczycielka nie była takim złym pomysłem. Może to był jakiś punkt zaczepienia?

Szła przez stację i rozglądała się. Jednak sporo się tu zmieniło od ich wizyty przed laty. Stropy, dawniej białe i czyste, pokryte były teraz nalotem wieloletniej sadzy. Na ścianach smugami biegły osady wapienne, wytrącające się z cieknącej wody, a po czerwonych meta-

lowych panelach, które dawniej zdobiły ściany, nie pozostał nawet ślad. Również ludzie, chociaż stanowczo w lepszej kondycji niż na jej macierzystym dworcu, sprawiali przygnębiające wrażenie. Wychudli, o twarzach poznaczonych zmarszczkami, zapadniętych oczach. Przyglądali jej się jednak ciekawie, bystrym wzrokiem. Zatrzymał ją patrol wartowniczy, lecz obyło się bez ceregieli. Gdzieś w głębi rozległy się radosne okrzyki i skrajem peronu przebiegła grupka młodszych dzieci. Roześmianych, rozgadanych, pełnych życia. Tak innych od tych, jakie widywała na Śródmieściu, i jednocześnie tak podobnych. Tamte zginęły lub poszły w niewolę do Świętego Krzyża. Zagryzła wargę, aż poczuła słodkawy, mdlący smak krwi w ustach.

Powiodła wzrokiem w kierunku, z którego nadbiegły dzieci. Na posadzce, na rozłożonym dywanie, siedziała dziewczyna w kwiecistej sukience. Na oko młodsza od niej o jakieś dziesięć lat. Zara rozważała, czy podejść i zagadnąć ją, czy raczej od razu skierować się ku kwaterom stalkerów i pytać o dowódcę. Z części technicznej wynurzył się mężczyzna, ciężko kuśtykając, podpierając się na kulach. Przesuwał nogi ostrożnie i powoli – obie były usztywnione. Ubrany był w ciemny mundur, lecz bez oznaczeń i wyposażenia, jedynie na piersi miał naszyty niebieski symbol Kryształowego Pałacu – stylizowane koło zębate i książkę, połączone w jeden element. Zbliżył się do siedzącej nauczycielki i powiedział coś. Zara postanowiła zaryzykować i spróbować.

– Nic mi nie wiadomo. Mieli uderzać rankiem, ale do tej pory żadnych wieści – mówił mężczyzna, podpierając się ciężko na kulach, bo nie miał gdzie przysiąść. Nauczycielka słuchała go ze zmartwieniem malującym się na twarzy.

– Czasem was nienawidzę, Suchy – wyznała cichym głosem. – Jakby was nie miał, to może by nie chodził po mieście, nie wdawał się w awantury, nie ryzykował...

– Dobrze wiesz, że to nie o nas chodzi – odparł Suchy. – Zanim nas zebrał, już go nosiło. W Twierdzy służył, a wcześniej też podobno na tyłku nie mógł usiedzieć. Za ojcem tak czy siak by chodził po całym mieście.

– Tak... Tak, może masz rację, przepraszam – przyznała kobieta. – To źle zabrzmiało, wiesz przecież, że nie to miałam na myśli.

– Wiem, na Madonnę, oczywiście, że wiem. Nie martw się, Emilia. – Poruszył nogą, jakby coś mu przeszkadzało, i syknął z bólu.

– Nie martw się o Borke. To dobry stalker, dobry żołnierz. Może i ma gorącą głowę, ale przecież wszyscy z nim poszli. Chłopaki nie pozwolą mu zrobić krzywdy, nie mam wątpliwości.

Emilia uniosła głowę, wpatrzyła się intensywnie w stalkera. Oczy jej się na moment zaszkliły.

– Módl się za niego, Suchy. Módl się, żeby wrócił cały i zdrowy.  
– Położyła dłoń na brzuchu. – Jeden stalker szukający ojca całe życie już mi wystarczy, nie potrzebuję wychowywać sieroty, wodzącej oczyma za obcymi mężczyznami.

– Modłę się za niego, za Strażaka, Dziadka, Misia, Urwiłapkę, za innych. I za tych, których Madonna powołała do siebie, do światła.

Mężczyzna chciał coś jeszcze dodać, ale przerwał na widok Zary, która stała nieopodal, starając się nie być natrętem.

– Chyba masz gościa – powiedział stalker, prostując się i mocniej opierając na kulach.

– Pani... – pytająco spojrzała na nią nauczycielka. Więc tak to wygląda, pomyślała Zara. To jest żona zabójcy. Jego rodzina. A on zniszczył moją...

– Szukam Borki od Szturmowców – odparła po prostu.

– Nie ma Borki. – Nauczycielka odwróciła głowę, wzrok miała pusty.

– Ja jestem Szturmowcem. Czego pani od niego chce? – Stalker przesunął się nieco, jakby chciał wkroczyć między kobiety, ochronić tę młodszą, bezbronną, słabszą.

– Jestem stalkerką. Chciałabym się przyłączyć do oddziału i służyć pod jego rozkazami.

Suchy gwizdnął cicho i pokręcił głową, jak się zdawało, z uznaniem.

– Trzeba mieć tupet, ale Madonna pomaga tym, co sami szukają swojej drogi w tunelu. Niestety, Emilia dobrze powiedziała. Dowódcy nie ma obecnie w Kryształowym Pałacu – wyjaśnił. – Spodziewamy się go w ciągu kilku dni. Będziesz musiała uzbroić się w cierpliwość...

Spojrzał na nią wyczekująco. Zorientowała się, o co mu chodzi, i uśmiechnęła lekko, łobuzersko.

– Jestem... Tosia – zawahała się tylko przez moment.

Zara było imieniem zbyt znanym w śródmieściu Warszawy, aby ryzykować. Zresztą Zara umarła tej zimnej, czarnej nocy na pokrytym śniegiem peronie dworca Powiśle. Umarła dla świata tak samo, jak

sprawiający wrażenie narwanego matofka stalker Hanoi.

– Tosia. Jestem od Walkirii – dorzuciła. W oczach mężczyzny zobaczyła ponownie błysk uznania.

– Jestem Suchy. – Podał jej rękę, uściśnął krótko, ale mocno. – To Emilia, nasza nauczycielka.

– Następna, co nie może bez walki. – Dziewczyna wstała gwałtownie na równe nogi. Spojrzała na towarzyszącą jej dwójkę z wściekłością w oczach.

– Jeden bandyta, drugi bandyta, ta teraz bandytka. Nazywajcie to sobie, jak chcecie – podniosła głos – ale jesteście tylko zwykłymi zabijakami!

Zacisnęła zęby, aż mięśnie szczęk jej zbieleły. Wypuściła głośno powietrze, obróciła się gwałtownie, zamiatając spódnicą po posadzce peronu, i demonstracyjnie odmaszerowała. Nawet jej plecy zdawały się wyrażać wściekłość i pogardę dla całego stalkerskiego rodu. Suchy poskrobał się po policzku.

– No cóż, stalker idzie, a Madonna tunele prostuje – stwierdził. – Nie przejmuj się, proszę. To dobra dziewczyna, ale ma z dowódcą ciężki los. Oj, karwa fa, ciężki nad wyraz. Może się jeszcze polubicie...

Obrócił się, podpierając kulami. Stalkerka chwyciła go pod ramię, co przyjął z westchnieniem ulgi.

– Zabiorę cię do koszar. Lepszego miejsca i tak nie znajdziesz, a za kilka dni, jak Borka wróci, to się wszystko wyjaśni. On zdecyduje.

Szli powoli, bo Suchemu chodzenie wyraźnie sprawiało ból.

– Myślę, że mu się spodobaś. Jest w tobie coś takiego... Jakiś taki niespokojny duch, jakby coś tobą targało. On ma tak samo, w środku, w jego sercu, siedzi diabeł. Taak, myślę, że mu się spodobaś.

– Chciałabym – powiedziała Zara. Nie całkiem szczerze, bo przecież nie zależało jej, żeby ktokolwiek ją lubił. A już na pewno nie stalker Borka z Kryształowego Pałacu. Dowódca Szturmowców nie był poza tym kimś, kogo ona sama chciałaby lub w ogóle mogłaby polubić...



## Pole Mokotowskie

Październik, dwudziesty pierwszy rok po Zagładzie



Możecie już iść – powiedziała cicho, bezbarwnym głosem, zapatrzona gdzieś w przestrzeń. Machnęła lekko ręką. Dzieciom nie trzeba było powtarzać, zerwały się i rozbiegły jak szczury na torowisku, napełniając stację swoim radosnym śmiechem i krzykami, których echa zwielokrotniły się pod łukowatym sklepieniem stacji. Emilia zacisnęła zęby i zamrugła, żeby powstrzymać łzy, napływające jej do oczu. Poczła lekki przyływ mdłości i położyła dłoń na brzuchu, wiedząc, że niedługo zacznie się zaokrąglać.

W Kryształowym Pałacu nie działo się ostatnimi czasy dobrze. Długo było niespokojnie. Jeszcze zanim zeszła się z dowódcą Szturmowców, ludzie zaczęli znikać. Uciekali na południe i wychodzili na powierzchnię. Szeptali o Arce. O legendzie, która ożyła, o nowym początku, ucieczce od tego wszystkiego. Wtedy ostatni raz widziała też Lidkę, lotną sanitariuszkę, przyjaciółkę, która przeszła przez Pałac z tajną misją, w towarzystwie ponurych mężczyzn. Potem wszystko to rozsypało się jak domek z kart. Po nieudanym spisku, który nazywano potocznie buntem docentów, a który miał na celu najprawdopodobniej obalenie Rady Naukowej, zrobiło się bardzo niespokojnie[7]. Politechnika ucierpiała mocniej z dwóch stacji sojuszu, ale na Polu nie było wcale dużo lepiej. Niepokój w szeregach władzy i niezadowolenie „dołów” zbiegły się z problemami z zaopatrzeniem, które tym razem były wyjątkowo poważne. Brakowało jedzenia, wody, a przede wszystkim elektryczności, która była podstawą istnienia Kryształowego. Starsi mieszkańcy szeptali między sobą, że to najgorszy okres, odkąd skończył się Wielki Głód pierwszych lat po Zagładzie.

Emilia nie pamiętała Wielkiego Głodu, była wtedy zbyt mała. W jej pamięci przetrwały jedynie rozmazane obrazy, niejasne wspomnienia niedostatku, strachu i nerwów. Trudną sytuację odczuwała teraz w dwójnasób, bo w jej łonie rosło dziecko. Małeńka istota, którą nieopatrznie – tak teraz myślała – powołali z Borysem do życia.

Źle działo się na stacji, źle na górze i źle na dole, a jedną z przyczyn tego stanu rzeczy był fakt, że rudy stalker nie wrócił ze Słodowca. Łza spłynęła Emilii po policzku, na moment zawisała na krawędzi szczęki, a potem oderwała się i poszybowała w dół, wsiąkając w sprany, spłowiały materiał kwiecistej sukienki. Borka pomaszerował na czele Szturmowców na północ, drugi raz tego roku. Poszedł sprzątać bałagan, jakiego narobił. Nauczycielka nie była tym zachwycona, ale stalker nie należał do ludzi, którzy zbyt przejmują się poglądami i uczuciami innych. Chodził własnymi drogami i robił, co chciał. Robił też rzeczy złe, rzeczy, na myśl o których ścisnęło się jej gardło. W Kryształowym Pałacu był półboskim herosem, jednym z tych, co żywią i bronią, lecz poza jego granicami... Z przerażeniem przypomniała sobie opowieść o tym, co stało się na dworcu Śródmieście, o rzezi, jaką urządzili tam Szturmowcy, najęci przez Święty Krzyż. Emilia nie miała odwagi zapytać o to Borysa, nie chciała uwierzyć w plotki, ale nie wytrzymała i zapytała o to Jankę.

Janka... Miała dziesięć lat, ale była stara malutka. Nie tylko metaforycznie, lecz także dosłownie. Czarnowłosa dziewczynka, na pozór nieodróżniająca się od swoich rówieśników, była mutantem, dzieckiem atomu. Radioaktywność dała jej już w łonie matki specyficzny dar – telepatię, zdolność sondowania i czytania ludzkich myśli, mówienia umysłem, przenikania cudzych uczuć. Dar lub przekleństwo. Dziewczynka skłaniała się często ku temu drugiemu określeniu. Borys przyprowadził ją latem ze stacji Plac Konstytucji, gdzie za naboje odkupił ją od starszego brata. Wcześniej tułała się po metrze z trupą wędrownych artystów. Borka poszedł na Plac po powrocie z Kampinosu, chciał zbadać tunel, w którym ginęli ludzie. Znalazł małego mutantą, dziewczynkę, która opowiedziała mu niesamowitą historię o telepie, wabiącym ludzi, zabijającym ich z żalu po stracie swego dziecka. Stalker zabrał dziewczynkę ze sobą. Zajęli się nią na swój sposób. Janka, nad wiek dojrzała, przedwcześnie dorosła, z głową pełną zbyt poważnych myśli, chadzała własnymi drogami. Nikt jednak na Polu Mokotowskim nie powiedział złego słowa o znajdzie, którą opiekowała się nauczycielka i dowódca stalkerów.

Pewnego wieczora, po odejściu Borysa na północ, Emilia zapytała Jankę o wydarzenia na Śródmieściu. Po cichu miała nadzieję, że dziewczynka nic jej nie powie, nie mogąc wysondować myśli stalkera. Nadzieja ta okazała się płonna – dziecko wiedziało o wszystkim, wi-

działo w głowie rudobrodego zbója obrazy, które ten oglądał własnymi oczyma nie tak dawno, zaledwie kilka miesięcy wcześniej. Obrazy, które przedstawiały krew, cierpienie i śmierć. A wszystko to za splamioną krwią zapłatę od przełożonych Świętego Krzyża. Janka oszczędziła jej szczegółów, nie chciała opowiadać dokładnie, ale to, co Emilia usłyszała, wystarczyło. Zrozumiała, że związała się z człowiekiem, dla którego ludzkie życie nie miało znaczenia, było tylko towarem, czymś, co można przehandlować za pełne magazynki. Nocą poszła w tunele i wyła, długo, boleśnie, płacząc nie nad swoim losem i nie nad losem chłopaka, którego od lat kochała, a którego w Twierdzy ktoś zmienił w potwora. Płakała nad losem dziecka, które poczęli. Nie wiedziała, co by zrobiła, gdyby Borys był wtedy na stacji. On jednak zdążył wcześniej odejść na północ, z kolejną misją, aby znowu zabijać. Tym razem podobno tych złych, ale jakie to miało znaczenie? Czy życie złych ludzi miało mniejszą wartość niż życie ludzi dobrych? Kto był tak naprawdę zły, a kto dobry? Kto władny o tym decydować?

Emilia zastanawiała się nad tym. Czy Janka była gorsza od innych dzieci tylko dlatego, że urodziła się mutantem, dzieckiem atomu? Czy Słoiki gorsze są od metrasów? Czy brunatni zabijacy, legitymujący się trystyką, gorsi są od piekielnych zakonników, zniewalających ludzi fizycznie i mentalnie? Nikt nie był niewinny w tym spalonym, strasznym mieście, w grobowcu cywilizacji, która już przed upadkiem pożerała własny ogon. Moralność została odrzucona, zbyt względna, jak na punkt odniesienia. Kiedy nadeszła wojna i trudne czasy, wróciło prawo silniejszego. Prawo do życia mieli ci, z których społeczność miała jakiś pożytek. Sama Emilia czuła się jak stary nauczyciel z „Przełęczą”, dawnej radzieckiej powieści o ludziach, którzy rozbili się na obcej planecie. Tamten starzec walczył o ocalenie cywilizacji, przeciwstawiał się zdziczeniu nowych pokoleń. Walka praktycznie daremna, niemożliwa do wygrania. A jednak poszła jego śladem. Cóż z tego, kiedy bohaterem uczonych przez nią dzieci i tak był morderca stalker. Wiedziała, że większość z nich zostanie naukowcami, rzemieślnikami, inżynierami. Będą przekładać zgłiwiałe książki, spawać pocięte kawałki szyn, skręcać i rozkręcać psujące się coraz bardziej urządzenia, cudem ocalone po Zagładzie. Lecz w głębi serca każdy chłopiec chciał nosić broń, każda dziewczynka chciała spoglądać na spalone miasto na powierzchni przez wizjer maski przeciwgazowej, albo przynajmniej słuchać opowieści o tym, przytulona do sil-

nego, muskularnego ramienia. Siedzieli na połatanej wykładzinie i słuchali jej, lecz tylko nieliczne pary oczu koncentrowały się na nauczycielce, nieliczne umysły zaprzętała historia, umiejętność pisania i czytania, opowieści o moralności. Dziczeli, stawali się zwierzętami, wynaturzali się jak walczące o żer mułociągi. Wśród tych dzieci mała ciemnowłosa mutantka była kuriozalnie najbardziej ludzka.

Emilia płakała w samotności nad losem tego spalonego świata i nad losem swoim własnym. Poczęła, ale ojciec dziecka odszedł. Mógł być mordercą, bandytą, najemnym zbójem – a jednak kochała go prawie całe swoje życie, całym sercem i szczerze. Poszedł na Słodowiec ze swoją radosną kompanią i dostał kulę od razu w pierwszych chwilach szturm. Z północy nadeszły hiobowe wieści – goniec, który dotarł na Pole Mokotowskie kilka dni po starciach, nie potrafił powiedzieć, czy rudy Borka wyżył. Wiedział jedynie, że dostał kulę. Emilie siłą musieli zatrzymać na stacji.

Potem przeszli kolejni gońcy, dotarł na macierzystą stację Strażak, posiedział parę godzin i pognął z powrotem. Po nim przyszedł Miś. Borys Dobrowolski walczył ze śmiercią – raz jej się wymykał, raz prawie wpadał w jej objęcia. Nie odzyskał przytomności. Nie byli w stanie przetransportować go do domu, czekał tam, na mokrej, płytkiej północy. Cekał na wyrok bogów – życie lub śmierć. Wstawienictwo Madonny Tuneli, sprawiedliwy wyrok Tego, Który Nadejdzie albo ostre kły czarnej suki Hekate. Nauczycielka z Pola Mokotowskiego czekała także, cierpiąc głód, ciemność i niedostatek. I każdego dnia budząc się z dłonią przytuloną do brzucha, w którym rozwijało się dziecko. Jego ojciec nadal leżał nieprzytomny w lazarecie na Starzych Bielanych. Felczer mówił, że wszystko jest dobrze, ale na tym etapie nie mógł nic pewnego powiedzieć. Cicho i z żalem rozwodził się nad bezpowrotnie utraconymi zdobyczami techniki, takimi jak aparat USG i inne udogodnienia. Janka, przykładając twarz do chłodnej skóry swojej opiekunki, twierdziła, że odbiera szmery budzących się myśli. Emilia płakała w samotności, nie dając po sobie nic poznać przed postronnymi.

Po trzech tygodniach z północy dotarła karawana. Szturmowcy szli z przodu i z tyłu, w środku, na czymś w rodzaju sań, leżał wciąż nieprzytomny Borys. Kiedy złożyli go w szpitalu Świętego Krzyża, mieszkańcy, nawet ci, którzy na co dzień patrzyli nieprzychylnie na zabijaków, przyszli po wieści. Bibliotekarze, inżynierowie, rzemieśln-

nicy nie musieli podzielać zamiłowania do przygód, broni i wojny, nie musieli pochwalać metod i podejmowanych przez stalkerów działań, wszyscy jednak wiedzieli, że to ci ludzie, odmieńcy pośród pokojowych kustoszy zapomnianej wiedzy, byli ich jedynymi obrońcami, jedyną tarczą, za którą mogli się ukryć przy czytaniu, spawaniu i kreśleniu planów, broniącą ich przed potwornościami postatomowego świata. Mieli też świadomość, że to ten rudy osiłek, czasem nieokrzesany, czasem prymitywny, a czasem zwyczajnie straszny, stworzył tę siłę, jaka stała między nimi a maorysami, lupinami, mułociągami, promieniowaniem, czarnym śniegiem, a pośrednio, dzięki swojej pracy, także między nimi a głodem, zimnem, ciemnością i pozostałymi plagami, trapiącymi upadłą Warszawę. Zgromadzili się i czekali na jakiegokolwiek wieści. Nie niósł się po stacji odległy zgrzyt szlifierek, nie trzeszczały spawarki, nie syczały palniki, nie szeleściły przerzucane kartki, płachty planów i połączone mapy.

– Co mówią? – zagadnął docent Komosa siedzącego obok Strażaka. Tamten uniósł ku niemu napuchniętą twarz o oczach przekrwionych z niewyspania i płaczu.

– Nie wiem jeszcze. Jak go tu ciągnęliśmy, to się rzucał w malinie. Gorączki nie ma. Rana goi się dobrze. Tyle wiem – odparł.

– Ale przytomności nie odzyskał ponoć nawet na chwilę?

– Madonna mi świadkiem, że wiedziałbym o tym – odpowiedział chłopak. – A jak ja bym wiedział, karwa fa, toby każdy wiedział, panie docent.

– Cóż. – Komosa przysiadł obok, wyciągnął notatnik, z kieszonki wydobyl ołówek. – Trzeba być dobrej myśli w takim razie.

– Modlić się trzeba – odpowiedział z boku młody chłopak w czarnym stroju. Docent się skrzywił. Nie miał nic przeciwko modlitwom, chociaż sam uważał patronkę stalkerów za miejską legendę. Jednak ten siedzący obok młodzian nie do Madonny chciał się modlić, lecz do boga Świętokrzyżowców. Docent znał go, parokrotnie natrafił już na nieco nieporadne próby apostolskie chłopaka, przekonującego do zmiany trybu życia i przyjęcia „jedynej prawdziwej wiary”. Cóż, każda grupa miała swoją jedyną prawdziwą wiarę. Wiarą naukowców i fachowców z Pałacu była nauka i praca.

– A to warto? – zapytał kąśliwie neofitę. – Ponoć ten wasz dochodzący sam wie, kto dobry, a kto zły. Kto plugawy, a kto godny?

– Niech się pan nie naigrywa z Niego, panie docencie! – Chłó-

pak poczuł się urażony. – On nie patrzy na oszczerców czy pochleb-  
ców, On każdego zapyta o imię i będzie wiedział, osądzi go w jego  
własnym sercu!

– Zamknij ryj! – Strażak przechylił się do tyłu, żeby rzucić  
Świątokrzyżowcowi nieprzychylnie spojrzenie. – Bo zaraz ja cię, kar-  
wa fa, zapytam o imię, a potem ci oddzielę plugawych od prawych.

Odprowadził obrażonego apostoła niechętnym wzrokiem.

– Cholerne gady, że ich nikt nie wygoni! – burknął. – Przez nich  
cała ta niepotrzebna afera! Jakby nie namówili Borki na to zlecenie na  
te zasrane Słoiki, toby nie było tej całej awantury z tymi łysymi i nic  
złego by się nie stało!

Docent Komosa uniósł głowę znad notatek.

– Ciekawa logika, młody. Nie byłoby Świętego Krzyża, to nie  
przygarnęlibyście Dziadka, tak? Więc co, idąc tym tropem, to wszyst-  
kiemu winny Grom, że zniszczył Imperium, dzięki czemu Święty  
Krzyż urósł w siłę?

– Tak było i nie ma w tym kłamstwa! – Stalker uderzył pięścią w  
otwartą dłoń.

– A może, idąc dalej tym tropem, winne Imperium, że wygoniło  
Święty Krzyż z ich pierwotnej oazy?

– No, karwa fa, właśnie, że i tak. I przez to biedny Borka teraz  
leży nieżywy!

– Ani on żywy, ani on martwy – skomentował docent. – A ty to  
przypadkiem nie z Imperium tutaj przywędrowałeś? Wiesz, taki mały  
uchodźca?

– Ja tam nie pamiętam, dzieckiem byłem – odburknął Strażak. –  
A bo wy literaci, karwa fa, to zawsze mózgu w dupie szukacie! Czło-  
wiek coś powie, a ci odwrócą zawsze szczura ogonem!

– No już, młody, nie irytuj się. Wiem, że się denerwujesz. My  
wszyscy... – Naukowiec nie dokończył, bo z lazaretu wyszła nauczy-  
cielka. Zgromadzeni, dotąd wymieniający półgłosem uwagi, zamilkli.  
Szmer rozmów ucichł.

– Żyje – powiedziała dziewczyna. Potem odwróciła się i pobie-  
gła w kierunku mieszkalni, zanosząc się głośnie szlochem. W ślad za  
nią pobięła Janka.

– To się, kurwa, dowiedzieliśmy nowin – mruknął spawacz o  
pokrytych bliznami rękach i pociętej siecią zmarszczek twarzy.

Ludzie znów się rozgadali, spekulowali, podsuwali pomysły,

wymieniali uwagi. W pewnej chwili w głośne rozmowy wdarł się okrzyk:

– Cisza!

Wszyscy obrócili się jak na komendę.

– Tu jest szpital, a nie Plac Konstytucji! – zawołała głośno pani Jadzia, stara pielęgniarka, która wyszła przed lazaret. – Co wy, ludzie, roboty nie macie? Ja tutaj chorych mam!

Potoczyła po zebranych niechętnym wzrokiem jedyne zdrowe oko. Drugie zaciągnięte było kataraktą.

– Rozgadali się jak przekupnie na Wilanowskiej! Tu ma być cisza i spokój, poszli mi stąd, bo wartę zawołam!

Kilku młodszych techników odgryzło się żartobliwymi komentarzami. Ludzie grupkami i pojedynczo zaczęli się rozchodzić do swoich zwykłych obowiązków. Po kilku minutach na płycie peronu został tylko Strażak, trwający wiernie jak pies, wpatrzony tępo w wejście do lazaretu.

– Nie idziesz, młody? – zagadnął go Dziadek, dźwigając się na nogi.

– Nie. Powiedz chłopakom, że przyjdę wieczorem, na zmianę warty. Wolę tu sobie posiedzieć.

– Jak sobie chcesz, karwa fa – odparł starszy ze stalkerów i różnym krokiem ruszył w stronę koszar.

Emilia leżała w swojej mieszkalni, zanosząc się niemożliwym do opanowania płaczem. Chciało jej się wyć, ale gardło miała tak ściśnięte, że ledwo chwytiała oddech, a szloch brzmiał, jakby się dusiła. Janka wsadziła głowę przez stanowiącą wejście zasłonę ze starego koca.

– Emilka... – zagadnęła, ale odpowiedzią były tylko spazmy. Nauczycielka zwinęła się w kłębek, podciągając kolana pod brodę i obejmując je rękoma. – Emilka... – spróbowała ponownie dziewczynka. Nie było żadnej reakcji.

Mała mutantka westchnęła i sięgnęła umysłem ku swojej opiekunce. Weszła delikatnie, tylko sondując, tak, by nie spowodować wstrząsu. To, co działo się środkiem, przytłoczyło ją. Bezrozumna, nie dająca się okiełznać rozpacz, smutek przygnębiający tak bardzo, że odechciewało się żyć. Poznała już ten rodzaj bólu kilka miesięcy wcześniej. Tak samo dorosły telep opłakiwał swoją stratę, próbując odzyskać ciało dziecka. Mała telepatka zacisnęła powieki i wyłączyła

umysł nauczycielki, posyłając ją w głęboki, pozbawiony uczuć i marzeń sen. W czarną noc zapomnienia, ukojenia i nadziei, że kiedy znów się obudzi, coś może się zmienić. Coś może się wyjaśnić.

Sama zakręciła się po peronie i skoczyła w stronę koszar. Postanowiła ograć znów w karty któregoś z nieświadomych jej daru stalkerów. A przy okazji jeszcze raz potwierdzić wiadomości, które uzyskały z Emilią zupełnie przypadkiem.

Było to kilka dni przed przetransportowaniem Borki na macierzystą stację. Siedziały we dwie z Emilią, kiedy w odwiedzinach przyszła Tosia, ta nowa, która chciała zostać Szturmowcem. Nikt nie brał do końca poważnie jej deklaracji ani tym bardziej nie łudzono się co do przychylności Borki w tej sprawie, ale różne się rzeczy zdarzały, tak pod ziemią, jak i na powierzchni, więc społeczność dyskretnie przyglądała się nowej i temu, co robiła. Kobieta szybko wdrożyła się do służby wartowniczej, wzięła udział w jednym z mniejszych wypadków, które, z racji nieobecności oddziału, były teraz mocno ograniczone, i starała się jakoś dopasować do rytmu życia na Polu Mokotowskim. Zaprzyjaźniła się też z nauczycielką, chociaż ich pierwsze spotkanie nie należało do serdecznych. Przychodziła czasem pod mrówkowiec, przynosiła ze sobą coś ze stalkerskiej aprowizacji, opowiadała różne historie. Janka powstrzymywała się od grzebania nowej w głowie. Zgodnie z nakazem wydanym przez Borkę, gdy przyprowadził ją na stację z Placu Konstytucji, starała się tego nie robić w stosunku do nieświadomych jej daru ludzi. Było jednak coś takiego w tej krótko obciętej, żylastej kobiecie, co budziło jej zainteresowanie.

Tamtego wieczora, gdy już zgaszono światła, siedziały we trzy i raczyły się erzacem herbaty, sprowadzanym za pokaźną cenę z Thuoc dia. Rozmowa, początkowo krążąca wokół bieżących wydarzeń, stopniowo stała się bardziej osobista. Zeszły na tematy rodzinne.

– No i wtedy Borka mnie kupił od brata – wyznała Janka, kończąc opowieść o spotkaniu na Placu.

– Jak to „kupił”? – Nowa stalkerka odchyliła się nieco, aby lepiej popatrzeć na dziewczynkę w blasku nocnych lamp, rzadko rozmieszczonych na sklepieniu stacji i dających mętne, słabe światło.

– No, dał mu trochę naboju. – Mała wzruszyła ramionami. – Zresztą brat i tak miał mnie dosyć. Bał się mnie.

– Czemu? – zapytała tamta, a Janka zbyt późno ugryzła się w język. Chociaż miała niewiele lat, wystarczająco dobrze wiedziała, jak



ludzie reagowali na wieść, że jest mutantem. Obdarzonym telepatią dzieckiem atomu, które potrafiło grzebać ludziom w głowach.

– A, bo... – zająknęła się.

– Myśleli, że jest czarownicą – pośpieszyła jej na ratunek Emilia.

– A jesteś? – roześmiała się nowa.

– A wyglądam, jakbym znała się na magii? – Janka wykonała dłonią skomplikowany gest, a na koniec jakby pchnęła coś niewidzialnego ku stalkerce. – Widzisz? Rzuciłam na ciebie urok! – Roześmiała się, maskując zmieszanie. Emilia zawtórowała jej. Ich rozmówczyni odetchnęła, napięte mięśnie rozluźniły się.

– Aleś mnie postraszyła, mała.

– No widzisz? Taka jestem przekonująca. No i brat się mnie pozbył. – Dziewczynka wzruszyła ramionami. – Zresztą i dobrze. Tu mi lepiej. Mam ciepło, mam co jeść, mam Emilkę.

Przechyliła się i objęła opiekunkę ramionami, tuląc twarz do jej brzucha.

– A ty? – zapytała Emila.

– Co ja?

– No wiesz... Sama jesteś na świecie?

Kobieta zasepiła się. W jej oczach na moment pojawiły się ból i zniechęcenie. Potem cichym, bezbarwnym głosem odpowiedziała:

– Sama. Miałam brata, ale już nie mam.

– Jak to...? – nieśmiało zaczęła Emilia i zdała sobie sprawę z niestosowności pytania, które chciała zadać.

– Nic wielkiego, historia jak każda. Zabili go źli ludzie. Nie chcę o tym mówić – ucięła Tosia.

Przez moment żadna nic nie mówiła. Popijały erzac, rozkoszując się smakiem naparu, tak niecodziennym, o wiele lepszym niż zwykajna gorąca woda albo zaparzone rachityczne rośliny, które z uporem godnym lepszej sprawy uprawiano w tunelach. W Twierdzy społeczność hodowała swoje na powierzchni – w dawnych parkingach podziemnych, obszerniejszych piwnicach i miejscach, gdzie docierało chociaż trochę światła. W Kryształowym Pałacu mało kto odważał się korzystać z tych płodów, nawet jeżeli handlarze na Wilanowskiej mieli jakieś na sprzedaż. Bano się skażenia, radiacji, sączącej się w glebę z czarnego śniegu i niesionego wiatrem pyłu.

– No, a ty? Masz jakąś rodzinę? – zapytała stalkerka nauczy-

cielkę, grzejąc dłonie o metalowy kubek, trzymany na kolanach.

– W zasadzie nie. Rodzice odeszli już dawno. Mam tylko tego rudobrodego łązęgę, co bardziej niż o sobie nawet myśli tylko o znalezieniu ojca. My... Ja i dziecko... Nie wiem nawet, co do nas czuje, co o nas myśli. Mówił, że kocha, ale co mi po tym mówieniu. – Emilia upiła łyk erzacu i po chwili kontynuowała: – Myślałam, że zostanę panią Dobrowolską, ale tutaj się na ślub szybko nie zanosi. Ludzie, niby wiesz, traktują nas jak męża i żonę... – głos jej się załamał. – Tak na nas patrzą, ale ja nie wiem. Nie mam nawet jak zapytać Borysa, bo on tam leży. Leży, nie rusza się, nie spojrzy, nie odpowie na pytanie, po prostu jest, jak jakaś pierdolona kukła – uniosła głos aż do krzyku.

Uwadze Janki nie umknęło, że Tosia drgnęła na dźwięk nazwiska.

– Dobrowolski, tak się Borka nazywa – wyjaśniła, głaszcząc Emilię po plecach, aby ją nieco uspokoić. Łzy kapały tamtej na kolana.

– Rozumiem – odparła stalkerka. Zawiesiła głos, jakby chciała coś powiedzieć, ale nie była pewna.

– Borka biega po całym mieście, szuka ojca – informowała dalej Janka, z zaciekawieniem przyglądając się Tosi.

Korciło ją, żeby zapaść sondę do umysłu tamtej. Zagryzła wargę, pokonując ciekawość.

– Jego ojciec był oficerem przed wojną. Rudobrody wierzy, że gdzieś tam jest na posterunku. Że nie wrócił po swojego syna, bo bronił ojczyzny.

Stalkerka wciągnęła głośno powietrze, widać było wyraźne poruszenie, jakie wywołały w niej te słowa. Emilia uniosła głowę, zaniepokojona zachowaniem rozmówczyni. Badawczo wpatrzyła się w jej oczy. Nagle coś do niej dotarło. Zakryła usta dłonią, powstrzymując okrzyk.

– Ty coś wiesz! – Wyciągnęła rękę, potem cofnęła ją gwałtownie, jakby się sparzyła.

Na chwilę zapadła niezręczna cisza, potem Tosia zaczęła mówić. Cicho, powoli, urywanymi zdaniami.

– Nie wiem, kiedy to było dokładnie. Parę lat temu. Pięć, więcej. Nie wiem... – Potarła oczy wierzchem dłoni. – Wyszliśmy z bratem na zlecenie...

Głos na moment jej zadrzał.

– Powiedz – zachęciła Emilia. – Proszę.

– Wyszliśmy na zlecenie. Robiliśmy wtedy jedną rzecz dla ludzi z Zachodniej. Daleko od domu, długo, brzydko to wszystko wyglądało. Wracaliśmy już i stanęliśmy na popas. Mieliśmy wtedy dziwne spotkanie.

Mieszkanki Kryształowego Pałacu wpatrywały się intensywnie w nową. Młodsza toczyła ze sobą wewnętrzną walkę, starsza patrzyła, a na jej twarzy odbijała się mieszanina strachu i niezdrowej fascynacji.

– Spotkaliśmy patrol. Żołnierzy. W mundurach, z bronią. To nie byli stalkerzy. To nie był zbrojny oddział jakiejś kolonii. Nie jakies łachudry z powierzchni ani bandyci. To byli żołnierze, tacy prawdziwi. Mało brakowało, a by nas zastrzelili.

Upiła odrobinę z kubka.

– Ale zanim otworzyli ogień, był tylko jeden. Starszy facet. Nie wiem, po czterdziestce dobrze, może i starszy. Dopadł do nas, mówił coś. O wojsku, o wymarszu. O żonie i synu.

Emilia położyła Tosi dłoń na kolanie. Delikatnie, jakby ze strachem. Przełknęła głośno ślinę.

– Co mówił? – zażądała odpowiedzi ostrym, nagłym głosem. – Ja muszę to wiedzieć!

– Mówił, żeby odnaleźć kobietę. Miała dziwne imię... Gloria? Tak, chciał, żeby odnaleźć Głorię i Borysa Dobrowolskich. Że to jego rodzina. Tak mówił.

– Co się z nim stało?! – Nauczycielka pochyliła się gwałtownie w przód, prawie dotykając twarzą do twarzy rozmówczyni. Janka próbowała ją zmiękczyć, kładąc jej dłoń na plecach, ale Emilia nie zareagowała.

– Na wszystko, co święte, co się stało z tym człowiekiem?!

– Spokojnie. – Stalkerka odsunęła nauczycielkę dłonią. Delikatnie, lecz stanowczo. – Chciał chyba zostać z nami, ale pojawili się jego koledzy i zaczęli do nas strzelać. Uciekliśmy. – Wzruszyła ramionami. – To nic takiego – kontynuowała po chwili. – Dziwniejszych ludzi spotykałam, dziwniejsze słyszałam opowieści. Myślisz, że to on? Mało jest Dobrowolskich?

Emilia kręciła głową z niedowierzaniem, coś mamrocząc pod nosem, wpatrując się w swoje złożone na kolanach dłonie.

– Jakie są szanse, że ktoś szukał innej Głorii i innego Borysa? Ile takich rodzin bez ojca mogło być w tym mieście?

– Tysiące! – roześmiała się Tosia, machnąwszy ręką, chcąc zakończyć tę niezręczną dla niej rozmowę.

– Nie masz racji. – Janka spojrzała jej prosto w oczy. – Gloria i Borys Dobrowolscy. Wiesz, jak miał na imię ten żołnierz?

Wzruszyła ramionami, próbując przypomnieć sobie incydent, który dawno uznała za nieważny.

– Witold? Wiktor? Tak. Wiktor. Chyba. Nie wiem. Minęło kilka lat. Dajcie mi spokój.

W nocnej ciszy peronu spazmatyczny oddech Emilii zabrzmiał dziwnie głośno i upiornie.

– Ojciec Borysa miał na imię Wiktor. Wiktor Dobrowolski. Był oficerem Wojska Polskiego przed Zagładą. To jego całe życie szuka jak opętany ojciec mojego dziecka...

Zerwała się nagle na nogi, pochyliła nisko nad stalkerką. Była drobna, ale teraz ją przytłaczała. Nie tylko fizycznie. Od nauczycielki bił strach, złość, niemal szok. Złapała Tosię za ramiona i mocno ścisnęła.

– On nie ma prawa się o tym nigdy dowiedzieć! – powiedziała ostrym, nieznoszącym sprzeciwu szeptem. – Rozumiesz mnie?! Rozumiesz? Nie może, nie wolno... Nie śmieć mu nigdy o tym nawet wspomnieć!

– Dobrze, spokojnie, opanuj się. – Stalkerka wyprostowała się i stanowczo odepchnęła Emilię. – Nic mu nie powiem. Czemu tak ci na tym zależy?

– On pójdzie. Jeżeli tylko się dowie, gdzie jest jego ojciec, to wstanie i pójdzie za nim, choćby na piechotę tam polezie z tymi swoimi nic niewartymi kolegami. Ucieknie ode mnie, rozumiesz? Ode mnie i od tego dziecka! – Położyła dłoń na brzuchu. – Nie masz prawa nam tego zrobić. Jeden sierota całe życie szukający ojca wystarczy aż nadto na całe metro! Nie wolno... On nie może... Nie mów mu!

– Nigdzie raczej nie pójdzie, bo to towarzystwo pomaszerowało do...

– Nie mów mi! Nie chcę tego wiedzieć! – krzyknęła nauczycielka, zasłaniając uszy. Klęknęła i objęła rękoma kolana Tosi. – Na wszystko, co święte, zaklinam cię! Błagam, żebyś nigdy, przenigdy mu o tym nie mówiła, bo odejdzie stąd i nas zostawi!

– Nie trzeba. – Stalkerka niedelikatnie strząsnęła jej dłonie ze swoich kolan. – Wierz mi... Możesz mi wierzyć, zadbam o to, żeby

Borys Dobrowolski nigdy nie opuścił stacji Pole Mokotowskie.

W jej głosie zabrzmiała dziwna, twarda nuta, ale tylko Janka zwróciła na to uwagę.

– Muszę iść. Mam wartę. – Tosia wstała gwałtownie. Odeszła szybko, bez pożegnania, nie odwracając się.

Janka ułożyła roztrzęsioną, zapłakaną Emilię do snu, ale sama długo w noc leżała, zastanawiając się. Rocznikowo była dzieckiem, ale przez te swoje dziesięć lat patrzyła może na świat własnymi oczyma, lecz już myślała i czuła myślami i uczuciami innych. Zanim nauczyła się osłaniać przed tą inwazją obcych umysłów, przeżyła wiele żywotów, wiele zdarzeń, wiele okropności, cudowności, uczuć, marzeń, snów. Wszystkie cudze, lecz wyraźne jak własne. Nauczona cudzym doświadczeniem wiedziała, że coś złego kryło się w tej na pozór zwykłej kobiecie, która przyszła do nich z północy.

Od tamtego wieczora minął tydzień, a sprawa nie dawała jej spokoju. Nowa stalkerka ich unikała. Nie zachodziła na wieczorne rozmowy. Mijały się w biegu, gdzieś na peronie. Wymawiała się wartami, zadaniami. Emilia zresztą większość czasu spędzała w szpitalu, patrząc tępo na pogrążonego w śpiączce Borke. Janka postanowiła działać. Pojawiła się w koszarach i zaczęła grać w karty z Suchym, Urwiłapką i Strażakiem. Młody wkrótce odpadł, bo mu karta nie szła, a na jego miejsce wszedł do gry Waruchin. Dziewczynka pozwoliła im parę razy wygrać, potem orznęła do cna.

– No, z tobą to się nie da grać. – Urwiłapka rzucił karty na stół.

– Znaczy co, pasujemy? – Suchy potoczył wzrokiem po reszcie oddziału, przypatrującej się grze. – Czy któryś wchodzi na wolne miejsce?

– Z tą czarownicą? Chyba żartujesz! – odezwał się głośno, ze śmiechem Adi.

– Boicie się małej dziewczynki? – judziła Janka.

– Nie. Boję się przegrać żołąd – roześmiał się tamten. Drzwi do koszar otworzyły się i do środka weszła Tosia, ściągając oporządzenie w marszu.

– No co? – zapytała, widząc, że wszyscy na nią patrzą. Potem dostrzegła Jankę. – Przyszła nas w karty oszwabić, czarownica? – Uśmiechnęła się lekko.

– Tak właśnie – odparła czarownica. – Siadaj, zagramy.

– Ja... A, niech ci będzie. Po warcie chwila rozrywki, bo nudno

tam było jak na posiedzeniu Rady Naukowej. – Mogła być nowa, ale szybko podłapywała powiedzonka i poglądy charakterystyczne dla społeczności, która ją przyjęła.

– Teraz to oni tam ciekawie mają, karwa fa, po buncie docentów – skomentował Strażak.

– Nie moja to sprawa – wzruszyła ramionami kobieta i siadła do stołu. Wprawnie przetasowała, upewniła się co do gry i stawki, rozdała. Suchy rozpoczął. Grali, żartując i dogryzając sobie. Janka odpuściła sobie karty i skupiła się na stalkerce. Dyskretnie zerknęła na boki i sięgnęła do jej umysłu. Kobieta wzdrygnęła się lekko. Dziewczynka spróbowała ponownie. Tamtą przeszedł dreszcz, podrapała się po karku, rozejrzała niepewnie, ale na powrót skoncentrowała się na kartach.

Mała telepatka sięgnęła do wspomnień Tosi. Nie, nie Tosi. A w zasadzie nie całkiem. Kobieta wprawdzie miała na imię Antonina, lecz od dwudziestu z górą lat wszyscy wołali na nią Zara. Jej bratu natomiast było Hanoi. Stalkerskie bliźniaki z Dworca Śródmieście. Janka sięgnęła i przymknęła oczy, tłumiąc jęk wydzierający się jej z gardła. Zobaczyła rzeź Śródmieścia, płomienie, błyski wystrzałów, martwych i konających ludzi. Słyszała krzyki przerażenia i bólu, łoskot kanonady. Czowała ból – ten fizyczny, dojmujący. I ten jeszcze gorszy, po stracie najbliższej osoby. Zobaczyła, jak Hanoi pada pod kulami niczym zniszczony przez mróz i lód budynek, który zapada się w siebie.

Janka знаła te sceny. Oglądała je już wcześniej, ale oczami Borysa, jego pamięć dała jej dostęp do tych dramatycznych wydarzeń. Lecz teraz widziała je od drugiej strony. Zapominając o ostrożności, weszła głębiej w umysł stalkerki, aż tamtą rzuciło na krzesło i jęknęła głośno. Janka zobaczyła jej oczyma rudobrodego stalkera. Znała tę twarz, to oporządzenie, ten karabin. To ten sam człowiek, który odnalazł ją na Placu Konstytucji i zabrał do Kryształowego, oferując jej dom i namiastkę rodziny. Obrońca, stalker, ten, co stał między swoim ludem a złem tego świata. Bandyta, który z grymasem na twarzy pociągnął za spust, zabijając brata bliźniaka Zary. Morderca, którego losem była nieuchronna śmierć. Pomsta z rąk osieroconej siostry.

Janka zerwała się z krzykiem, przewracając krzesło. Wybiegła z koszar, pędząc do mrówkowca, gnana jedną tylko myślą. Musiała o tym powiedzieć Emilii. Musiała jej powiedzieć, że Tosia-Zara przyszła z północy, aby zabić Borysa.

Zara straciła przytomność i osunęła się na podłogę, do stóp osłupiających Szturmowców.

7 O tych wydarzeniach przeczytać można w powieści „Upadła świątynia” Dominiki Węclawek.

## Korytarz

Grudzień, dwudziesty pierwszy rok po Zagładzie



Borys biegł korytarzem. Na jego końcu, tak dalekim dla czterolatka, stał tata. Za plecami miał oślepiającą plamę okna, przez które wpadało ostre, letnie słońce, sprawiając, że postać wydawała się monumentalna. Buchające zza pleców promienie obrysowały postawną, wysportowaną, nieco bardziej od przeciętnej muskularną sylwetkę o szerokich ramionach i krótko ostrzyżonej głowie. Chłopiec nie zwracał jednak na takie detale uwagi, biegł jedynie w kierunku ojca, posadzka korytarza umykała spod małych stópek, dudniących echem w długiej, betonowej pustce ścian. Tata rozłożył ramiona i wyciągnął je do chłopca, gotów złapać go i utulić.

Chłopiec biegł, ale nie mógł się zbliżyć do ojca. Działo się coś złego. Chociaż stawiał kolejne kroki, to zdawały się one coraz wolniejsze, jakby coś przytrzymywało jego nogi. Ojciec nadal wyciągał ku niemu ręce, ale jego twarz rozmazywała się, stawała się coraz bardziej niewyraźna, jakby spowita mgłą. Sylwetka, dotąd tak dobrze widoczna, taka postawna, jakby zmalala, skurczyła się. Zza okna buchnęło ostre białe światło i postać ojca rozwiała się w nagłej eksplozji. Borys rzucił się na podłogę, przetoczył, osłaniając głowę ramionami, próbując uniknąć palącego żaru, który pożerał korytarz. Na jego końcu zamajaczyła wysoka, szczupła postać, spowita w nimb światła. Wyciągnęła ku niemu dłoń, jakby chciała pomóc mu wstać.

Borys dźwignął się na kolana, potem wstał. Powolnym, ciężkim krokiem ruszył ku zjawie, czując, że go przyzywa. Nogi nadal coś przytrzymywało, opóźniało marsz, ale parł naprzód uparcie, schylony, mięśnie napięte. Dotarł do spowitej światłem postaci i uniósł głowę. Zobaczył kobietę, tak piękną, jak jeszcze żadna w życiu. Na ramieniu trzymała niemowlę, które wymachiwało pulchnymi rączkami. Borys wyciągnął rękę, pragnąc dłonią sprawdzić, czy to zjawia, czy prawdziwi ludzie. Dotknął, poczuł ciepło ciała, miękkość skóry. Pod jego palcami ciało zszarzało i zaczęło rozsypywać się w proch. W ostatnim



momencie, gdy już tylko twarz majaczyła w chmurze osypującego się szarego pyłu, rozpoznał tego niezwykłego anioła.

– Emilia! – krzyknął na całe gardło, nagle rozumiejąc, że to on był przyczyną. On był zagładą, jaka spotkała ojca, jego ukochaną i jego dziecko. Ich dziecko. – Emilia! – Rzucił się naprzód i zaniósł bolesnym duszącym kaszlem. Czyjeś miękkie dłonie dotknęły jego twarzy, jakieś ręce objęły go za ramiona, czyjś głos zaszeptał mu do ucha:

– Jesteś. Wróciłeś.

Potrząsnął głową, czując niezwykłą słabość. Opadł z powrotem na posłanie, bo zakręciło się mu w głowie, przymknął oczy.

– Co ty robisz, Borka! – usłyszał nad sobą karcący głos. Uchylił powieki i zobaczył lekarza. A tuż obok niego klęczącą Emilię.

– Co... co się stało? – zachrypiał.

– Spokojnie, chłopie. – Lekarz przykleknął przy nim, odciągając mu powiekę i zaglądając do oka, po chwili powtórzył operację z drugim. – Nie ruszaj się za bardzo, spędziłeś kilka tygodni w śpiączce po postrzale.

Borka odchylił głowę do tyłu, na poduszkę. Ostatnie, co pamiętał, to początek szturm na Słodowiec. Musieli go wtedy trafić ci cholerni naziści.

– Co... z akcją? Z ostatecznym... – zaczął, ale lekarz mu przerwał bezceremonialnie:

– Ważniejszych spraw nie masz na głowie? Leż, do cholery, nie wierć się!

Stalker poprawił się na posłaniu i przymknął oczy, czując niezwykłą słabość. Z pewnym trudem uniósł rękę, czując, jak drobne, delikatne dłonie chwyciły jego dłoń i mocno ścisnęły.

– Co... – zapytał cicho – co z dzieckiem?

– Borys. – Emilia przytuliła twarz do jego policzka. – Borys, dobrze, wszystko dobrze. Lekarz mówi, że ciąża jest w porządku.

Poczuł, że kobieta zadrżała. Nie dziwił się. Urodzenie dziecka w tych urągających rozsądkowi warunkach było nie lada wyczynem. Samo donoszenie ciąży było już kłopotliwe, bo warunki sanitarne z trudem pozwalały na normalne życie, a co dopiero na zaspokojenie potrzeb ciężarnej. Opieka medyczna natomiast... Wolał nawet o tym nie myśleć.

– Co z chłopakami? – zapytał cicho.

– Wszyscy cali i zdrowi. – W jej głosie usłyszał nutę irytacji, a

może zawodu.

Odrzucił tę myśl, odepchnął ją od siebie. Owszem, była jego kobietą. Owszem, czekali na dziecko. Ale on nadal, przede wszystkim, był dowódcą. Stalkerem, wojownikiem, żywą tarczą ludzkości. On i jego podwładni.

– Suchy już chodzi o kulach – kontynuowała – chociaż ledwo. Ale ponoć nogi zrastają się dobrze. Niedługo ma zdjąć usztywnienie i spróbować chodzić samodzielnie. W przyszłym roku będziecie mogli iść razem w tunele.

– A reszta? Co z resztą oddziału? – dopytywał się.

– Strażak siedzi całymi dniami pod lazaretem i zalewa się łzami...

– Dobry dzieciak – szepnął, a uśmiech wypłynął na jego bladą, zmęczoną twarz.

– ...reszta też ma się świetnie, normalnie pracują i działają. Miś ich pilnuje. I jeszcze... – na moment się zawahała.

– Co takiego? – dopytał Borka, czując, jak ogarnia go przytłaczająca fala zmęczenia.

– Masz nową kandydatkę, Walkirię. Ale ona... – dobiegł go jeszcze głos Emilii, zanim zapadł na powrót w spokojny, przywracający siły sen. Nie dosłyszał reszty. To nie było zresztą teraz ważne. Najważniejsze, że wrócił do domu.

Kiedy ocknął się ponownie, dokoła posłania tłoczyli się ludzie, a lekarz bezskutecznie próbował ich wygonić albo przynajmniej uciszyć.

– Tu są inni chorzy! – podniesionym głosem strofował obecnych. – Tak nie można! Proszę zachowywać się, jak przystało na szpital! A ty, hej tam, zdejmij kapelusz!

Dłonie, twarde, szorstkie dłonie kolegów dotykały Borkę, ścisnęły jego ręce. Roześmiane twarze mężczyzn pochylały się nad ozdrowieńcem, stalkerzy szeptali słowa pełne radości, otuchy i zapewnień o rychłym powrocie do zadań. Poruszył głową, spojrzął w bok. Emilia siedziała niedaleko na małym taborecie, z którego dawno oblaźła cała farba. Uśmiechnął się do niej.

– Chłopaki. – Dźwignął się w górę, podpierając na łokciach. – Chłopaki, powietrza, bo mnie zadusicie.

Roześmiał się w głos. Żył. Wszyscy żyli. Oni, ona. Przyszłość znów istniała. A jednak gdzieś w głębi duszy czuł, że coś jest nie tak,

coś nie pasuje. Wciąż przed oczami miał majaki, które nawiedzały go w śpiączce. Straszne, przyprawiające go o panikę obrazy jego żony i dziecka rozsypujących się w pył. Ojca znikającego we mgle. I jego samego, bezradnego, małego chłopca, który nic z tym nie mógł zrobić.

– Suchy! – zażądał krótko. Grupa mężczyzn rozstąpiła się, posłusznie przepuszczając kapelana, który przykuśtykał do posłania wsparty na kulach. – A ty ciągle dziadujesz? – Borka klepnął go w udo, na co stalker skrzywił się mocno. – Przepraszam – rzekł dowódca.

– W porządku. Życie to pasmo cierpienia, tak ponoć mówił jeden filozof. Polecam poczytać – odparł tamten.

– Jak już wstanę. Jak już będę mógł znów działać. Teraz czuję się jak dziecko po chorobie.

– Ja myślę! – wciął się w rozmowę lekarz, odsuwając mężczyzn stanowczymi ruchami ramion. – Ty w ogóle zapomnij, że wstaniesz. Leżałeś kilka tygodni w śpiączce, chłopie, ty straciłeś z połowę masy.

Borka, zaciekawiony, uniósł w górę rękę, obejrzał swoje odsłonięte przedramię.

– Karwa fa – zachrypiał. – Dlatego czuję się jak mułociąg pod stalkerskim butem... No cóż, trudno. Siadaj, Suchy. Muszę ci coś powiedzieć.

Kapelan ostrożnie usadził się na podstawionym przez któregoś krześle, wyciągnął usztywnione nogi, oparł kule o biodro.

– Przyszła do mnie Madonna. W wizji. Wezwała mnie...

Zapadła cisza. Stalkerzy byli sortem zabobonnym. Odważnym, lecz lubiącym mieć za plecami chociażby anioła, który ich poprowadzi. Ale prawdziwa wizja Madonny...

– Nie martw się, chłopie – odparł Suchy, siląc się na uśmiech. – Wezwała cię, żebyś tu do nas wrócił. Po prostu.

– Nie. Nie. – Dowódca pokręcił głową. – Może masz rację, ale to chyba coś więcej. Pogadamy później.

Odetchnął ciężko, opadając na posłanie. Emilia podeszła, obzuwając Szturmowców rozszłoszczonymi spojrzeniami.

– Idźcie już sobie. – Pogoniła ich szybkimi ruchami rąk, jakby strzepywała wodę ze stołu. – Idźcie stąd, on musi odpocząć! Wystarczy, żeście go zatargali na ten wasz cały Słodowiec!

Borys patrzył, jak jego podwładni zbierają się niechętnie. Poklepywali go na pożegnanie, obiecywali zaglądać, życzyli zdrowia.

Kiwał nieznacznie głową i mamrotał podziękowania i pożegnania. W końcu zostali sami.

– Borys – zaczęła kobieta, siadając obok niego po turecku. Położyła ręce na brzuchu, który już się widocznie zaokrąglął. Borys wyciągnął ręce i położył też własną. – Borys, zrezygnuj. – Spojrzała na niego błagalnie. Wciągnął głośno powietrze.

– Emilka...

Chwilę szukał słów, zastanawiał się, co mógłby odpowiedzieć. Spojrzał jej głęboko w oczy.

– Przecież wiesz. Nie mogę.

Odepchnęła jego rękę, ukryła twarz w dłoniach. Jej pierś zadrgała spazmatycznie, ale opanowała się i spojrzała znów na niego.

– Musisz wybrać. My. Albo oni. Ja nie będę tłumaczyła dziecku, czemu ojciec nie wraca. Gdzie ojciec jest.

Chciał coś powiedzieć, ale uciszyła go gestem.

– Nie, Borys. Dość tego! Chciałam ci wierzyć, ale już nie potrafię, już nie chcę. Czy ty myślisz, że ja nie wiem, co się dzieje? Ojciec? Poszukiwania? Dobrze, w porządku!

Nabrała powietrza, kontynuując tyradę:

– Wychodzisz osłaniać inżynierów na powierzchni. Jasne. To brzmi tak świetnie! Borys, kurwa, kosynier! Za naszą i waszą wolność! Stalkerzy żywią i bronią! Borys legionista!

Znów nie pozwoliła sobie przerwać, położyła mu dłoń na piersi, naciskając mocno. Syknął z bólu, kiedy dotknęła ledwo zagojonej rany.

– Ja to mogłam zrozumieć. Ja to mogłam znosić. Ale Borys, na bogów, ty jesteś bandytą! Jesteś mordercą!

– Ja nie...

– Nie przerywaj mi! – krzyknęła nagle. – Tu nie chodzi o tych cholernych brunatnych! Ja wiem, co ty zrobiłeś na Śródmieściu! Wy jesteście potworami! Zwierzętami!

Potrząsnęła gwałtownie głową.

– Nie, Borys, nie zwierzętami! Zwierzęta, nawet mutanty, one zabijają, aby jeść, aby przetrwać, bronić młodych. To, co tam zrobiliście, to była rzeź! Tak nie można!

– Skąd... skąd wiesz? – zapytał, nagle zdenerwowany. Emilia nie powinna się zastanawiać nad takimi rzeczami. Nie rozumiała tego. Potrzebowali sprzętu, amunicji, broni. To wszystko nie rosło na drze-

wach. Potrzebowali tego, aby chronić sojusz, stację, on tego potrzebował, aby bronić jej. Jej i ich nienarodzonego dziecka, tak, właśnie tak – sam siebie przekonywał. To dlatego brał brudne zlecenia.

– Janka mi pokazała. – Emilia odwróciła wzrok. – Wyciągnęła te wspomnienia z ciebie, z innych osób. Widziałam, jak zabijasz niewinnych ludzi.

Wstała raptownie, spódnica zatrzepotała od tego ruchu.

– Mam tego dość, Borka... Musisz się zdecydować.

Ruszyła ku wyjściu, zatrzymała się jeszcze na moment.

– Ta nowa, ta, co się chce do Szturmowców przyłączyć...

– Co z nią? – zapytał machinalnie.

– Wypędź ją ze stacji – powiedziała ostro i demonstracyjnie wyszła ze szpitala. Borka został sam ze swoimi myślami.

Następne dni były do siebie podobne. Szturmowcy przychodzili w odwiedziny, po kilku albo samodzielnie. Opowiadali. Poznał historię bitwy na Słodowcu, dowiedział się, co dzieje się na stacji. I zawarł znajomość z Tosią.

Spodobała mu się. Była bystra, silna, dobrze wykształcona. Widać było po niej wiek – wiele lat praktyki, doświadczenia, gromadzonej wiedzy. Zastanawiał się nad słowami Emilii, ale uznał, że przemawiała przez nią zwykła zazdrość. To z pewnością musiało być to, bo przecież co innego. Nowa stalkerka przypadła mu do gustu. Było w niej coś obcego, jakiś ból, jakaś zadra, ale to tylko sprawiało, że stała się ciekawsza. Bardziej godna uwagi. Rozmawiali tylko parę razy w obecności innych, ale wiedział na pewno, że będzie chciał ją sprawdzić, gdy tylko stanie się to możliwe.

Pewnego popołudnia odwiedził go Suchy. Rozmawiali długo, ściszonymi głosami. Borka opowiedział kapelanowi swoją wizję. Tamten słuchał uważnie i kiwał głową. Potem zastanawiał się dość długo.

– Borys, ile lat razem służymy? Będzie z pięć, co?

– Owszem...

– Tak. Pamiętam, karwa fa, jak się spotkaliśmy, wiesz? Wtedy, na Imielinie... Pamiętasz?

– No pewnie! Wtedy miałem cię za rąbniętego.

– Wielu ma do dziś. Ale wiesz, że moja służba Madonnie trwa od wielu lat, nieprzerwanie.

Borka roześmiał się w głos.

– Tak. Czasem podejrzewam, że to ty założyłeś ten kult.

– Nie, to nie ja go stworzyłem. Pewnie nie słyszałeś nazwiska Janowicz, prawda?

Borka pokręcił głową.

– Był kronikarzem. Spisywał między innymi dzieje Ostatniego Przymierza. To on zebrał opowieści żołnierzy o niezwykłym aniele, który ich ratował. Właśnie wtedy, w czasie wojny.

– Jakiś twój znajomy?

– Mój przybrany ojciec.

Borka westchnął ciężko i skinął głową na znak, że rozumie.

– Widzisz, wtedy to były tylko podania. Majaki rannych, podziemne legendy. Ale z czasem razem z ojcem natykaliśmy się na ludzi, którzy wierzyli w Światłowłosa naprawdę. Nie tylko ci, co walczyli wtedy na drugiej linii. Słuchaliśmy ich i opowiadaliśmy o tym każdemu, kto chciał słuchać nas.

– Ja cię lubię słuchać, Suchy – wszedł mu w zdanie Borka – ale ja nie prosiłem o wykład z historii wiary. Ja się ciebie pytam o moją wizję. Nie chcesz mi powiedzieć, że Madonna Tuneli to bujda, którą wymyśliliście z ojcem?

Suchy obruszył się na te słowa.

– W żadnym wypadku. Chcę ci właśnie powiedzieć, że Światłowłosa jest prawdziwa. Ona istnieje. Ja w to nie wierzę, ja to wiem. Wiesz, przed wojną w tym kraju ludzie wierzyli w Maryję Zawsze Dziewicę. Ona była matką ówczesnego Boga. Jezusa. Matką wszystkich wiernych, patronką rodzin i przy tym jeszcze Królową Polski...

– No, to Madonna Tuneli jest Królową Polski Podziemnej, ale teraz streszczaj się – zirytował się Borka.

– No dobra, nie będę cię zmuszał do myślenia. Według mnie Światłowłosa pokazała ci drogę. Twoja droga to Emilia i wasze dziecko. Wasza rodzina. Jeżeli się od nich odwrócisz, zaprzepaścisz wszystko. Stracisz ich i wszystko, do czego całe życie dążyłeś. To symbolizuje twój ojciec.

Borka dźwignął się na łokciach.

– Pierdoły – rzucił tylko i opadłszy na posłanie, odwrócił się plecami do kapelana. – Idź stąd, karwa fa. Na pewno ona cię namówiła, żebyś mi bredni nagadał!

Suchy wstał ciężko. Zastukały o podłogę jego kule, zaszurały kroki.

– Nie powiem ci tego drugi raz, Borys. Ale lepiej, żebyś potem nie żałował.

Kroki oddaliły się i Borka został sam. Krzykiem przywołał lekarza i zaczął wypytywać go o to, kiedy będzie mógł wstać, wyjść, zacząć żyć. Ten był z początku nieugięty, ale ostatecznie, widząc determinację i upór pacjenta, złamał się.

Następnego dnia Borka zaczął wstawać. Z początku na trochę, kilka kroków co jakiś czas, ćwiczenia nóg i rąk. Mięśnie prawie zniknęły, doskonale wyćwiczone ciało było teraz pustą skorupą, lecz w miarę upływu dni radził sobie coraz lepiej. Pewnej nocy po prostu podźwignął się z pościeli i cichaczem uciekł ze szpitala. Doczłapał jakoś do mieszkalni, odnalazł dziuplę Emilii i wczołgał się do środka.

Kobieta poderwała się, obudzona nagle, spłoszona jak dziecko bawiące się na peronie, które zaskoczy nieoczekiwany hałas. W ciemnościach objął ją mocno i zaczął całować.

– Już, już, spokojnie, Emilka, już dobrze, to ja – szeptał jej do ucha. Pocałowała go delikatnie i odsunęła się na tyle, na ile pozwalała jej skąpa przestrzeń.

– Tak... – powiedziała cierpko. – Widzę, że to ty.

– O co ci chodzi, Emilka? – zapytał, zaskoczony. – Całe życie wodzisz za mną oczami, a teraz nagle masz fochy?

– Nie za tobą. – W ciemności potrząsnęła głową.

– No, to ja czegoś nie rozumiem. – Tym razem mężczyzna się odsunął. Wystawił nogi na zewnątrz.

– Widzisz? – zapytała. – Uciekasz... Nie ciebie kocham, Borka. Nie stalkera, który przy byle okazji chowa się za plecami swoich zabijaków. Nie mordercę. Nie bandytę.

– Bardzo muszę cię w takim razie zmartwić, panno pełna ideałów – warknął ze złością. – Chcesz mnie? To z dobrodziejstwem inwentarza.

– Wiem – szepnęła cicho. Rozplakała się.

Borka wysunął się z jej komórki, stanął ciężko na posadzce.

– Wróć, jak będziesz gotów poświęcić się dla nas, a nie tylko dla siebie – dobiegł go cichy głos. Poczłował się w nim wściekłość. Tym gorszą, że czuł gdzieś w głębi serca, że Emilia ma rację. Czuł, lecz za nic nie mógł tego przed sobą przyznać. Pół życia spędził na walce, poszukiwaniach, rozbijaniu się po mieście. Nie był gotów z tego zrezygnować.

Ciężko doczłapał do koszar, gdzie złapała go zadyszka. Szturmowcy otoczyli go kręgiem, witali, cieszyli się z odzyskania dowódcy. Nowa wyciągnęła z szafki samogon, połała do kubków. Borka pociągnął haust i skrzywił się – nie pił od wielu tygodni. Wypił do dna i stuknął w blat.

– Wróciłem! – oznajmił gromkim głosem.

Tej nocy spał jak zabity na swojej dawnej pryczy. Nie zaznał jednak spokoju. We śnie znów zobaczył postać Emilii z dzieckiem na ręku. Postać rozsypującą się w proch, rozwiewaną wichrem. Obudził się zlany potem, usiadł ciężko na pościeli i wpatrywał się w ciemność. Kawalek dalej usłyszał ruch. W poświacie padającej od wejścia zobaczył twarz tej nowej, Tosi. Co za durne imię, pomyślał. Trzeba będzie zabrać ją na akcję, może przylepi się do niej wtedy coś sensowniejszego.

Opadł na poduszki. Walkiria, tak? A więc – taka jak on. Wojownicza. Niewiele było wiadomo o tych kobietach, bo w metrze nie pojawiały się od dawna. Wierzył jednak, że historie o nich nie są przesadzone – świetnie wyszkolone, sprawne, odważne, żadne działania i przygody, a mężczyzn trzymające w domu. Cóż, tutaj tak z pewnością nie będzie, ale już on da jej okazję się wykazać. Pokazać, czy faktycznie to legendarne wyszkolenie i umiejętności są tak dobre. Rzucił okiem w jej kierunku. Nie zobaczył jej sylwetki, ale miał wrażenie, że obserwuje go poprzez dzielącą ich ciemność. Obrócił się na bok i zapadł w ciężki sen.

Następnego ranka przywitały go wrzaski lekarza, który wiedział od razu, gdzie szukać zbiega. Domagał się powrotu do szpitala, ale Borka stanowczo odmówił. Obiecał jedynie oszczędzać się i ćwiczyć regularnie, lecz bez przemęczenia. Wkrótce w koszarach zrobił się ruch. Szturmowcy obradowali, kłócili się o warty i służby, a Borka dochodził do siebie. Kilka godzin spędzili na układaniu planów na nadchodzący czas.

Kiedy nadszedł wieczór, do dowódcy podeszła nowa. Rozmawiali przez chwilę, kiedy zaproponowała przechadzkę.

– Dobrze ci robi na nogi – zasugerowała.

– Oj tak. Raczej nie dałbym rady teraz uciec przed lupinem – odparł kwaśno.

– Z pewnością nie tylko przed nim – rzuciła komentarz, ale go zignorował.



Na stacji trwał jeszcze wieczór, krzątali się ludzie, toczyło życie. Stalker nie miał ochoty natknąć się na Emilię po tym, jak wypędziła go ze swojej nory, skierował więc kroki w głąb części technicznej, a potem po schodkach zszedł na dno tunelu. Tosi zdawało się to również odpowiadać. Szli powoli w mroku rozjaśnianym tylko światłem jednej ledowej lampki, rozmawiając o nieistotnych rzeczach.

– To prawda z tymi Walkiriami? – zapytał w pewnej chwili Borka.

– Tak – odparła. – Spędziłam u nich jakiś czas. Wyszkoliły mnie i nauczyły paru nowych sztuczek. Ale tak naprawdę nie stamtąd pochodzę.

– A skąd?

– Ze Śródmieścia – odparła cicho w pustce tunelu.

– Ze Świętego Krzyża?! – spytał zdziwiony, nie rozpoznając nazwy i myśląc, że mówi o którejś ze śródmiejskich stacji, o skrzyżowaniu linii.

– Nie – odparła głucho. Usłyszał trzask odwodzonego bezpiecznika i poczuł lufę pistoletu na plecach.

Zrozumiał.

– Pochodzę z Dworca Śródmieście. Znasz to miejsce, prawda?

Nie odpowiedział. Nie było sensu. Sytuacja była aż nazbyt kląrowna. W duchu przeklinał się za głupotę i brak ostrożności. Nie miał przy sobie broni, jedynie mały nóż. Kiedyś, przed wypadkiem, z pewnością by zaryzykował i zaatakował tę sukę, ale teraz, kiedy jeszcze wciąż po tygodniach śpiączki łapała go zadyszka od zwykłego chodzenia, swoje szanse oceniał realnie. Były praktycznie równe zeru.



– Nic do was nie miałem. – Wzruszył ramionami. – To nie było nic osobistego.

– Może dla ciebie.

Poczuł, jak docisnęła pistolet do jego pleców. Zaboląła świeża blizna. Zakaszał chrapliwie.

– Opowiem ci bajkę, chcesz? – spytała w ciemności i nie czekając na odpowiedź, kontynuowała. – Było sobie raz rodzeństwo. Brat i siostra. Gówniarze, dzieciaki, mieli po dwanaście lat, kiedy nagle świat się zawalił i musieli sobie radzić sami. Znasz to?

– Na swój sposób...

– Na pewno. Ty podobno byłeś młodszy, kiedy to całe gówno się nam zważyło na głowy. Miałeś matkę, miałeś opiekę. Owszem, my też mieliśmy pomoc, takiego śmiesznego łysego gościa, który się nami zajął i dał nam dom. Ale w gruncie rzeczy mieliśmy tylko siebie. I ty to zniszczyłeś... Zastrześliłeś mi rodzony brata, jedynego człowieka na świecie, który był dla mnie ważny. – Pchnęła go mocniej lufą.

– Daj spokój, ja tylko dowodziłem oddziałem. – Obrócił się gwałtownie, ale uderzyła go lufą w twarz. Poczuli, że krew mu kapie z nosa.

– Nie. Och, gdybyż tak było! Może bym ci darowała! Może bym puściła to w niepamięć!

Umilkła na chwilę.

– A może nie? – zapytała jakby sama siebie. – Nie, z pewnością nie. W końcu Ojciec Przełożony z pewnością sam nie strzelał. A przecież poderznięłam mu gardło. Jak wieprzkowi. Ależ był zdziwiony!

Roześmiała się gorzko, a echo tuneli zmieniło jej śmiech w upiorne ujadanie, które zamarło w oddali.

– Zresztą nie ma się co zastanawiać. Widziałam na własne oczy, jak osobiście zastrześliłeś mojego brata. Może on był głupcem. Może był nierozsądnym dużym chłopcem. Ale był najlepszym stalkerem, jakiego znałam, i wielkim bohaterem wojny z Imperium.

Nabrała powietrza.

– Zabiłeś, skurwysynie, człowieka, który z nożem rzucił się na tygrysa i wygrał. Był legendą, a ty zastrześliłeś go jak śmiecia.

Splunęła mu w twarz i uniosła pistolet, mierząc mu prosto pomiędzy oczy.

– Miał na imię Tomek. Umierał długo. Byłam przy nim do końca. Coś lub ktoś chciał, żebyśmy przeżyła. Przeżyła po to, żeby go pomścić.

– Poczekaj – Borka uniósł dłonie do góry – przecież...

– Och, zamknij się! – rozzłościła się kobieta. – Nie obchodzą mnie twoje tłumaczenia. Mam to gdzieś. Zabiłeś jedyne wartości-

wego człowieka w tym ścieku, w jakim nam przyszło wszystkim mieszkać!

Szczęknął metal, palec kobiety zadrgał na spuście.

– Stój! – rozległ się wysoki, przerażony krzyk i w krąg światła wkroczyła Emilia. Ścisnęła kurczowo w dłoni za duży dla niej pistolet, czarny, błyszczący i wielki.

– Zostaw go! Nie masz prawa odbierać nikomu życia! – krzyknęła.

– A on?! On miał prawo?! – z bólem w głosie zapytała kobieta z Dworca Śródmieście. Stała pomiędzy nimi, mierząc do Borki. Zerkała raz na jedno, raz na drugie.

– Tosia... Błagam cię... Nie możesz go zabić... – prosiła nauczycielka. – Nie możesz mi tego zrobić. Nam nie możesz tego zrobić!

Łzy popłynęły jej po twarzy.

– Kocham go. Może i jest złym człowiekiem. Może jest mordercą. Ale ja go kocham. A dziecko musi mieć ojca. Nie może się wykoleić i całe życie biegać po mieście za mrzonkami!

Zara postąpiła krok naprzód.

– Jesteś strasznie głupia – powiedziała bez cienia emocji. Zamachnęła się i uderzyła młodszą kobietę w twarz. Emilia krzyknęła z bólu, zatoczyła się i upadła na kolana. Pistolet poleciał w powietrze i zagrzechotał na betonie. Zara chwyciła Emilię za włosy i szarpnęła ostro do góry.

– Nie rusz się, Borka – powiedziała, przykładając tamtej do głowy lufę. Stalker drgnął. Popatrzył pod nogi, gdzie wylądowała broń, przyniesiona przez Emilię.

– Zaryzykujesz jej życie? Zaryzykujesz życie dziecka? – zapytała go Zara.

– Nie zrobisz tego.

– Niby czemu? Ty zabiłeś moją rodzinę. Na moich oczach. Ja zabiję twoją. Na twoich. – Wzruszyła ramionami. – Odważysz się zaryzykować?

Borka szybko ocenił sytuację. Szanse miał niewielkie, ale nie widział innego wyjścia. Z rozmachem kopnął leżącą na ziemi latarkę, która potoczyła się po dnie tunelu, sam chwycił pistolet z ziemi, przetoczył się przez bark i pociągnął za spust. Nieodbezpieczony, karwa fa. Skoczył w mrok. Zara zrobiła to samo, ciągnąc Emilię za włosy.

– Zabiję ją – krzyknęła. – Zajebię ją bez mrugnięcia okiem, jeże-

li natychmiast się nie pojawisz!

Widział ją teraz niewyraźnie, plamę w smudze blasku. Osłaniała się ciężarną jak tarczą. Przymierzył się do strzału.

– Wybacz mi, Emilka – szepnął bezgłośnie i wypalił. Rozległ się okrzyk bólu. Borka skoczył naprzód, odepchnął Emilię, w przelocie zobaczył tylko krew na jej twarzy. Dopadł przeciwniczki i powalił ją na ziemię, kiedy wypuściła broń z przestrelonej ręki. Przydusił ją całym ciężarem ciała, klękając jej na piersiach, aż jęknęła.

– Dość tego! – krzyknął. – Widzisz teraz, do czego prowadzi miękkie serce? – zawołał do Emilii, spazmatycznie chwytającej powietrze o krok dalej.

– Borys... Ja... – jęknęła z bólu, łapiąc się nagle za brzuch. – Nie!

Jej oczy zrobiły się wielkie z przerażenia.

– To się skończy tu i teraz. Szybko i czysto. – Palec Borki powoli zaczął naciskać spust. – Pozdrów brata.

– Nie! – usłyszał nagły krzyk.

Emilia rzuciła mu się na plecy, strącając go z powalonej Zary. Tamta poderwała się od razu i odskoczyła w bok.

– Nie możesz jej zabić! – wrzeszczała Emilia, okładając go pięściami. – Dość śmierci, dość zabijania, dość mordowania, opamiętaj się, ty chory skurwysynu! Nie widzisz, że wszystko niszczysz?! Prze stań już, ja już nie mogę na to patrzeć!

Borka bezceremonialnie odsunął ją w bok, nie zważając na jej ciosy. Celował w Zarę.

– Nie uciekniesz. A nawet jak uciekniesz, to cię dopadnę. Na końcu tego tunelu jest posterunek. Zginiesz, zanim tam dobiegniesz.

– To nie ma znaczenia – powiedziała Zara zmęczonym głosem, zamykając oczy. – Ona ma rację. To jest przeklęty krąg, który ktoś musi przerwać. Ja też mam już dość śmierci, dość złości, dość żalu.

Usiadła po turecku na mokrym, betonowym leżu torowiska. Lewą dłonią przytrzymała krwawiącą ranę postrzałową na prawej ręce. Coś w niej pękło.

– Chcesz, to strzelaj. Zabijesz mnie? Ha, no i?

Odetchnęła głęboko i cicho, melodyjnie zaśpiewała tęskną, lecz szybką pieśń, wspominając brata, który takie pieśni dawniej śpiewał. Śpiewał namiętnie i często, póki mu sama nie zabroniła.

*I wmiesta proklatij jemu paswiaszcziaja żywyje stichi*

*Smiejoszsją a tom, szto nie śmierć by, a wodku iz etoj ruki  
Drażit w ambrazure zakat, i uchmyłka pałziot po szcziekam,  
Kak sławna by wypić siejczas pa sto gram takim ljutym wragam...[8]*

Borka zbliżył się o krok, wycelował.

– Borys, nie! – krzyknęła Emilia. – Nie możesz jej zabić!

– Ciekawe czemu? – burknął stalker. Ręka mu mocno drżała, mięśnie uległy atrofii przez czas śpiączki, a ćwiczenia nie przywróciły jeszcze sprawności. – Daj mi jeden powód.

Na chwilę zapadła cisza. A potem Emilia przełknęła głośno ślinę i odezwała się grobowym głosem:

– Ona spotkała twojego ojca. Wie, gdzie on jest.

Borka stał jak skamieniały. Wolno, nieskończenie wolno opuścił rękę. Wypuszczony pistolet stuknął ciężko o beton. Zara roześmiała się z rezygnacją, opadła na plecy, prosto w kałużę mułu. Emilia jęknęła głucho i osunęła się na kolana, trzymając się obiema rękoma za brzuch. Błagalnie podniosła oczy na mężczyznę. Jej twarz zastygła na krótką chwilę, a potem nagle rozkwitł na niej uśmiech, tak absurdalny w całej tej sytuacji.

– Dziecko – wyszeptała. – Dziecko kopnęło...

Zrozumiał.

Stał na końcu korytarza. Słońce grzało go w plecy. Naprzeciwko niego pędziło bez kontroli, bez opamiętania małe dziecko. Delikatna istotka utkana ze światła i marzeń. Otworzył szeroko ramiona. Na jednym z nich poczuł dotyk – ciepłą, świetlistą dłoń Madonny.

8 Ros. „I zamiast przekleństw poświęcając mu żywe wiersze, śmiejesz się, że nie śmierć, a wódkę brać z tej ręki. Drży w ambrazurze zachód słońca i uśmiech pełźnie po policzkach, / Jak fajnie byłoby wypić teraz po sto gram takim srogim wrogom...”

## Epilog

Czerwiec, dwudziesty drugi rok po Zagładzie



Stał na wzgórzu, przepatrując leżący przed nimi teren przez lornetkę. Jak okiem sięgnąć, rozciągała się pusta, szara równina. Gdzieś w zagłębieniach terenu, w cieniu, leżały placzki szarego śniegu, lecz początek lata sprawił, że temperatury podniosły się wystarczająco, aby ziemia odtajała. Nisko płożące się, rachityczne roślinki pokrywały teren całymi połaciami. Ich zieleń sprawiała wrażenie jakby niemrawej, odbarwionej, ale nie była to niezdrowa, głęboka barwa oleistych bluszczu albo trujących zmutowanych krzewów. Na powierzchni zaczynało odradzać się życie.

Opuścił lornetkę i poruszył głową. Zaboląło go w klatce piersiowej. Widać rana po postrzale nie zrosła się do końca dobrze. Teraz nie miało to już żadnego znaczenia. Żył. Tylko to się liczyło. Żył on i żyli inni. Obrócił się do stojącego za plecami unimoga. Przez szybę widział kobietę, karmiącą dziecko. Jego dziecko. Krew z krwi, kość z kości. Nowe, lepsze pokolenie. Człowieka.

Zarzucił pas lornetki na ramię i wolno podszedł do pojazdu.

– I co żeś tam zobaczył, karwa fa? – dobiegł go okrzyk z szoferki stojącej dalej ciężarówce. Mężczyzna zmierzył wzrokiem oba pojazdy. Mimo upływu wielu lat były sprawne i piękne. Pożegnalny prezent generała. Ostatni. Z żalem pomyślał o swoim mentorze, w którego służbie spędził wiele lat. Smutek straty złagodziła myśl, że zdążyli się pojednać, zanim tamtego w końcu wykończył nowotwór. Mężczyzna spojrzał na wschód, w kierunku, z którego przyjechali. Na horyzoncie majaczyły poszarpane zarysy miasta, które porzucili poprzedniego dnia.

Nie czuł nic – żadnej straty, żadnego żalu, żadnej tęsknoty. Miasto – zbrukany, skażony nowotwór na rozległej równinie, zostało za nimi. Nikt z towarzyszących mu ludzi nie spojrzał wstecz, kiedy wyruszyli.

– Przyszłość widzę – odkrzyknął Strażakowi.

Gestem ręki nakazał im jechać przodem. Zawył silnik ciężarówki, wóz szarpnął i ruszył. Za kierownicą Suchy uniósł dłoń w geście pozdrowienia. Borys szybko wsiadł do unimoga, ściągnął półmaskę.

– Gotowe? – zapytał.

Janka spojrzała na niego i poczuł jej obecność w swoim umyśle.

– Wynocha, czarownico! – Pogroził jej pięścią. Emilia, karmiąca dziecko, rzuciła mu wymowne spojrzenie. Trzymiesięczne niemowlę oderwało się od jej piersi, mlasnęło językiem i potoczyło dokoła jasnymi oczami.

– Jedź – powiedziała mu żona.

– Śpieszysz się gdzieś? – zapytał ją z uśmiechem.

– Jedź, mnie się śpieszy – dobiegł go z tylnego siedzenia głos Tosi.

– Na Madonnę, jakie to wszystko niecierpliwe. Nawet nie wiecie, co nas tam może czekać.

– Gorzej niż w tym zapyziałym mieście na pewno nie będzie – odcięła się połowa najlepszego stalkerskiego duetu na świecie.

Odpalił, wcisnął gaz i wrzucił bieg. Wóz potoczył się z niewielkiego pagórka w ślad za oddalającą się ciężarówką, trzymającą się spękanej, pokrytej pyłem wstęgi autostrady A2.

– No, skarbie. – Spojrzał na dziecko. – Dziadek na nas czeka.

Popatrzył na zachód, na drogę, na chmurę pyłu wznieconą przez ciężarówkę ze Szturmowcami.

– Przyszłość widzę – wyszeptał sam do siebie.

*Konstancin-Jeziorna – Sävedalen – Warszawa – Konin  
czerwiec – grudzień 2015*



# ŚNIEŻYCA



## Grudzień, dziewiąty rok po Zagładzie



Agenor! Hej, Agenor! – rozległ się krzyk tuż przy jego uchu. Oczywiście tego, że to krzyk, dowódca się raczej domyślił, bo w ryku zawodzącego wichru słowa drużynnika brzmiały jak jakieś odległe, wątłe echo.

Agenor szarpnął głową, żeby pozbyć się śniegu wciskającego się pod kaptur, i obejrzał się przez ramię. Za nim stał Mysza, zastępca Psów, ale dowódca rozpoznał go jedynie po charakterystycznych naszywkach na kurtce mundurowej. Twarz tamtego tonęła w ciemnej głębi kaptura, spod futrzanego obramowania błyskało jedynie słabo szkło gogli i dobywało się stłumione przez półmaskę sapanie. Dowódca schylił głowę tak, że zetknęli się czołami.

– Ja ci nie będę mówił, jak ty masz oddziałem dowodzić, ale ja cię bardzo poproszę, żebyś ty się zastanowił, czy nie warto nam jednak jakoś życia uratować – Mysza przekrzykiwał ryk śnieżycy. – Z tego zimna to mi się jaja cofnęły do brzucha chyba, a reszta chłopaków też nie za bardzo. Masz jakiś pomysł?

Agenor bez słowa odwrócił się i wyciągnął rękę przed siebie. Mysza zsunął nieco kaptur i osłaniając twarz dłońmi, wbił oczy w zacinający praktycznie poziomo czarny, przesycony radioaktywnym pyłem śnieg. Czuł, jak szczękają mu zęby, a sztywna od mrozu guma półmaski ociera przy tym pokryte kilkudniową szczeciną policzki. Wpatrywał się tak przez dłuższą chwilę, aż w końcu, pomiędzy jednym ukąszeniem wichru a drugim, gdy zalepiające wizjer brudne płatki na moment odpadły, dojrzał w oddali coś niezwykłego. Coś niczym żebra powalonego lewiatana, sterczące ku niemu jak rozpruta klatka piersiowa. Stalker westchnął głęboko, aż mróz powietrza zatchnął go na moment. Obrócił się.

– Chłopy, jest dach! – krzyknął w powietrze. Majaczące w rozciągniętej, beładnej linii sylwetki zafalowały, prostując się i z nowym zapalem podejmując mozolny marsz naprzód. Najprawdopodobniej

przez ryk wichru nie dosłyszeli, co zawołał zastępca Agenora, ale wystarczył im sam gest zachęty, mglista obietnica jakiegoś końca tej upiornej drogi. Chwili wytchnienia w tym rajdzie, który z pozornie prostej, chociaż dalekiej wyprawy przerodził się nagle w śmiertelny potrzask.

Wyruszyli z bazy na Okęciu dwa dni wcześniej. Dowódca swoim, przez większość członków drużyny uważanym za irytujący, zwyczajem nie powiedział im ani o celu marszu, ani o zadaniu, ale dla oddziału to nie była pierwszozna. Akceptowali te małe denerwujące dziwactwa. Nie bez powodu zwano ich Psami Agenora – za nim szli bez pytania, posłusznie i nie kwestionując poleceń. Mawiano, że poszliby i podbili piekło, gdyby tylko miało to jakikolwiek sens albo gdyby nudziło im się wystarczająco mocno. Pierwszą dobę wyprawy spędzili, maszerując po znanym terenie, na nocleg przytulając się w metrze, które na tym odcinku rządzone było przez emerytowanego wojskowego. Agenor miał widać z nim jakieś własne układy, bo nie dość, że wpuszczono ich za wielkie grodzie do wnętrza tuneli, to pozwolono przespać się w tamtejszych koszarach – lokalizacji, biorąc pod uwagę standardy Psów, dość luksusowej. Przy ognisku dowiedzieli się jedynie, że zmierzają do Konstancina-Jeziorny, podwarszawskiego satelickiego miasteczka, w którym przed wojną było uzdrowisko i fabryka papieru. Rankiem opuścili ciepłe, wilgotne jelito miasta i – z zachowaniem należytej ostrożności i odpowiedniej odległości – wzdłuż krawędzi Lasu Kabackiego doszli do skraju skarpy. Utrzymywali dystans ze względów bezpieczeństwa. Powodem były nie tylko lęgające się w Lesie mutanty. Tych przybywało w miarę, jak mijały lata od upadku bomb, a wiatry z zachodu i wschodu przynosiły radioaktywny, niszczący wszystko pył. Od jakiegoś czasu żołnierze ze stacji Kabaty donosili także o innych zagrożeniach – ciała zapuszczających się w leśne ostępy śmiałków znajdowano ograbione z oporządzenia. W pojedynczych przypadkach okazało się nawet, że przyczyną śmierci nie były zwierzęta – te zwykłe czy te spotworniałe, lecz karabinowe kule, które raziły odważniejszych spomiędzy drzew.

Idąc od strony stacji techniczno-postojowej, drużynnicy Agenora zeszli na pola i ruszyli na południowy wschód, chcąc dotrzeć do dawnej dwupasmowej trasy wybiegającej z Wilanowa, zwanej gierkówką. Szlak, z pozoru łatwy, wiodący przez pola pośród nielicznych zabudowań, okazał się nadzwyczaj zdradliwy. Ukryte pod warstwami wie-

loletniego śniegu pułapki w postaci płotów, pozawalanych budynków gospodarczych, rowów melioracyjnych czy innych niespodzianek sprawiły, że marsz zaplanowany na nieco ponad godzinę wydłużył się niepomiaralnie. Kiedy wreszcie, omijając łukiem zabudowania we wsi Powsin, za którymi krył się cmentarz, dotarli do dwupasmówki, zrobiło się późno. Po drodze szło się dużo lepiej, bo chociaż zawiana śniegiem, stanowiła szlak gładki i idealnie wyznaczony ciągiem latarni, których sznur sterczał nadal pomiędzy pokrytymi zaspami jezdniami.

Wtedy właśnie doszło do pierwszego starcia w czasie tej wyprawy. Mijali Powsin od wschodu, kiedy spomiędzy zabudowań wyłoniły się sylwetki. Mimo że w pierwszej chwili wzięli je za ludzkie, błyskawicznie pojęli swoją pomyłkę. Postacie, nadciągające ku nim szybkim truchtem, były stanowczo zbyt wysokie, jak na przedwojennych mieszkańców. Każdy przewyższał człowieka co najmniej o głowę, truchtający na czele prowodyr miał prawdopodobnie około trzech metrów. Nie to jednak rzucało się w oczy najbardziej – masywne, ciemnoskóre, nagie ciała wyposażone były w trzy pary rąk, którymi młóciły powietrze jak wiatraki. Z wichrem doleciał do Psów wydobywający się z dzikich, a przecież nadal na poły ludzkich gardel ryk, który nie wróżył nic dobrego.

Mężczyźni rozpięchli się, formując tyralierę. W pośpiechu ci, którzy mieli broń palną, wyciągali ją spod płaszczy, gdzie tkwiła chroniona przed zimnem. Pistolety, kilka samopowtarzalnych karabinków. Były to zasoby cenne. Jeszcze cenniejsza była amunicja do tych artefaktów sprzed tamtego feralnego lata, gdy niebo spadło ludziom na głowę na ich własne życzenie. Większość stalkerów wyposażona była w broń łatwiejszą do utrzymania w sprawności i mniej wymagającą, jeśli chodzi o pociski – łuki. Kompozytowe sportowe cudeńka wyniesione, wyszabrowane, wygrzebane ze zrujnowanych sklepów ze sprzętem sportowym. W pośpiechu, lecz spokojnie naciągali cięciwy, ściągali zewnętrzne rękawice, pod którymi ukryte były drugie, cienkie, często pozbawione palców – pozwalające na swobodniejsze posługiwanie się śmiertelnością bronią.

– Nie ryzykować chybionych strzałów – krzyknął Jurgen, drugi z zastępców Agenora. – Walić tylko wtedy, kiedy macie pewność trafienia, ale starajmy się trzymać ich na dystans!

W ciągu kilkudziesięciu sekund oddział, osaczony w szczerym

polu, bez szansy na szybką ucieczkę przed przeciwnikami i bez możliwości znalezienia jakiejś realnej osłony, rozsypał się półkolem na czarnym śniegu. Strzelcy wyposażeni w broń palną padli na ziemię, a każdy obrał za cel innego z nadciągających potworów. Wielorękich było już kilkanaście sztuk – pomiędzy zabudowań Powsina nadciągały kolejne osobniki. Łucznicy stali.

Do zwarcia zostało jeszcze jakieś dwieście metrów, kiedy huknęły pierwsze wystrzały. Pojedynczym ogniem razili najbliższej znajdującej się mutanty. Przodownik stada drgnął, raniony pociskiem pistoletowym prosto w pierś, zachwiał się i podjął trucht. Kilka innych również potknęło się, jeden upadł na kolana, ale gramolił się na powrót, pomagając sobie mrowiem rąk.

– Walić w oczy! – krzyknął Agenor, ściągając kaptur, aby móc lepiej celować. Uniósł się do przykłąku, wycelował ze swojego ukochanego pistoletu ochrzczonego Solo i wypalił dwoma szybkimi strzałami prosto w głowę przodownika stada. Mimo przesłaniającego widok lekkiego śniegu, który zaczął padać w ciągu ostatnich kilku minut, wyraźnie zobaczył fontannę krwi, która trysnęła z przedziurawionej pociskami, przerażająco ludzkiej twarzy. Olbrzym zachwiał się, chwilę biegł jeszcze siłą rozpędu, a potem runął w przód, aby zaryć się głęboko w śniegu. Psy mogły żartować z niemal antycznego mauzera, ale celności i siły ognia nie można mu było odmówić. Z gardeł mutantów wydarł się mrozący krew w żyłach ryk, okrzyk bardziej, upiornie balansujący między zwierzęcym zewem a ludzkim głosem. Zagrzmiały kolejne strzały i kilka następnych stworów padło na ziemię. Niektóre z nich podnosiły się. Teraz, gdy potwory były już niecałe sto metrów od Psów, zagrały cięciwy i deszcz zakończonych stalowymi grotami strzał z włókna węglowego zasypał szarżujących napastników. Jeden z trafionych, wyjątkowo wielkie monstrum, zawył dziko, chwytając za sterczący z oczodołu pocisk. Nagłym szarpnięciem wyrwał go razem z gałką oczną i nie zważając na obrażenia, rzucił się przeciw ludziom.

– Bez rozkazu – wrzasnął Agenor, lecz niepotrzebnie, bo palba trwała już teraz nieprzerwanie, a łucznicy, wyćwiczeni w swoim fachu, naciągali cięciwy raz po raz. Przedpole zasłały ranne i dogorywające mutanty, a brudny śnieg zabarwił się szkarłatem krwi – jasnej, pienistej i najwyraźniej pełnej hemoglobiny – zupełnie jak ludzka.

Mysza, leżący tuż obok dowódcy, poderwał się na równe nogi,

kiedy skoczył na niego najbliższy mutant. Dwie pary dużo potężniejszych niż ludzkie ramion chwyciły go pod ręce i ścisnęły. Trzecia para uniosła się do ciosu. Przez gogle widział wykrzywioną furją, naznaczoną obrzydliwie zwierzęcym rysem twarzy. Poczował, jak wynaturzone mięśnie pracują pod skórą, i ramiona napastnika ścisnęły jego żebra. Sztywna, twarda kamizelka do jazdy konnej, wzmocniona dodatkowo kilkoma warstwami dobrze wyklepanej blachy, poddała się i coś w niej pękło. Pod nią, Mysza poczuł to wyraźnie, pękło mu żebro, a pozostałe, nienaturalnie ściśnięte, groziły lada chwila tym samym. Podkulił nogi, na chwilę zawisając w uścisku potwora, i spróbował się odepchnąć, ale nie miał wystarczającego pola manewru. Mutant ryknął mu prosto w twarz, a długie, gęste pasma śliny osiadły człowiekowi na wizjerach maski.

Tuż obok huknął wystrzał i głowa duszącego Myszę wielorekiego eksplodowała w chmurze krwi i mózgu. Stalker upadł na plecy, wyjąc, kiedy pęknięte żebro przeszło mu bok palącym bólem. Agenor wyciągnął rękę i podniósł kolegę na nogi, szybko obracając się w przeciwnym kierunku i strzelając bez celowania w kolejnego nadciągającego stwora. Praktycznie rozpruł pociskami następnego. Trzasnęła iglica. Dziesięć pocisków, które mieścił jego mauzer, nie mogło równać się z magazynkami kałasznikowów. Nie było teraz czasu ładować. Obrócił się znów, ogarniając pole bitwy oszalałym wzrokiem. Ci z drużynników, którzy mieli broń palną, utrzymywali atakujące mutanty na odległość. Gorzej mieli łucznicy – w bezpośrednim starciu musieli odrzucić bezużyteczną broń i stanąć do walki wręcz, która w obliczu przytłaczającej fizycznej przewagi atakujących była niezwykle trudna. Kilku ludzi leżało na ziemi w nienaturalnych pozycjach pomiędzy ścierwem ubitych wielorekich. Mysza zobaczył, jak Jurgen, chłop jak dąb, dwumetrowej postury, staje naprzeciw wyjątkowo wielkiego przeciwnika.

Człowiek, ze zdartym kapturem i bez maski przeciwwgazowej, którą musiał w ferworze pojedynku zgubić, trzymał w rękach gigantyczną maczetę, o prawie półmetrowym ostrzu. Zamachnął się, zasłaniając się tym orężem przed zataczającymi łuk pięściami mutanta. Maczeta przeszła z chrzęstem przez jedno z ramion i wielka pięść, ciągnąc za sobą smugę krwi, upadła w śnieg. Kolejne ramię dosięgło jednak Jurgena i straszliwy cios posłał go na ziemię. Atakujący potwór jakby z niedowierzaniem spojrzął na nienaturalnie skróconą rękę,

warknął zwierzęco i skoczył na leżącego na plecach człowieka. Ten, niewiele się zastanawiając, pchnął z całej siły w przód. Chociaż ostrze maczety nie było przygotowane do zadawania pchnięć, masa potwora wystarczyła, aby wbiło się do połowy w klatkę piersiową napastnika. Rękojeść uderzyła stalkera w pierś, zapierając mu dech i przygważdżając do ziemi.

– Suka, kurwa, ożeż! – ryknął Jurgen, kończąc nieartykułowanym wrzaskiem, gdy poczuł, jak twarda rękojeść broni miażdży mu żebra przez wzmocnianą motocyklową kurtkę ukrytą pod parką i płaszczem. Szarpnął się w bok, lecz nie dał rady całkowicie się wyswobodzić, bo mutant, wciąż żywy, ścisnął go za głowę dłonią wielką jak kamień młyński. Niewiele myśląc, Mysza w kilku skokach dopadł walczących i z przyłożenia przestrzelił potworowi łeb.

– Dobrze? – zapytał, chrapliwie łapiąc oddech, kiedy wyciągał Jurgena pod pachy spod ścierwa.

– Zdechł, skurwiel, więc dobrze – wycharczał tamten. – Niech go rozszarpie czarna suka Hekate! – Poderwał się na nogi, wyszarpnął z cielska maczetę i zatoczył nią łuk w powietrzu, zamierzając się na kolegę.

– Co ty, Jurgen, kur... – Mysza nie dokończył, bo tamten żelaznym chwytem za bark pchnął go na ziemię i tuż nad jego głową zatoczył śmiertelnie szerokim ostrzem łuk w powietrzu.

Coś trzasnęło, mlasnęło obrzydliwie i po czarnym śniegu poturlał się, zamierając z otwartymi w wyrazie zbyt ludzkiego zdumienia oczami, łeb kolejnego mutantu. Bezgłowe, wielkie ciało zachwiało się, zatoczyło, zrobiło jeden niepewny krok jak pijaczyna szukający ściany bunkra w przegranej walce z grawitacją i również runęło na ziemię.

– Dzięki – wyszeptał Mysza zbielałymi wargami, ale Jurgen już go nie słuchał. Przeskoczył nad ścierwem i tocząc z ust najstraszliwsze przekleństwa pod adresem przodków i potomków hordy, ogarnięty szałem mordowania atakował kolejnego wielorękiego. Nie zastanawiając się wiele, stalker poszedł w jego ślady, strzelając do wszystkiego, co się jeszcze ruszało, a nie było człowiekiem.

Mimo przytłaczającej fizycznej przewagi mutantów szala zwycięstwa zaczęła przechylać się na stronę ludzi. Horda napastników, mocno przetrzebiona przez łuczników i strzelców w czasie szarży, nie miała już przewagi liczebnej. Ludzie zdawali się górować nad nimi także intelektem, korzystając z taktyki i łącząc siły, podczas gdy wie-

lorękie monstra walczyły w pojedynkę. Agenor rozejrzał się po pobojowisku, zobaczył oszalałego od żądz krwi Jurgena, biegnącego ku niemu Myszę, spostrzegł leżącego w śniegu bez ruchu Szłapę w charakterystycznej kurtce. Obrócił się i zrobiło mu się ciemno przed oczami, kiedy dostał uderzenie w bok głowy. Szkło maski prysnęło, rozsypując się pod ciosem. Dowódca Psów jak kłoda zwałił się na ziemię. Nie zdążył upaść, kiedy kolejny cios twardej jak beton pięści trafił go w biodro, paraliżując na moment wszystkie mięśnie w nodze. Z trudem przewrócił się na plecy, macając nerwowo w poszukiwaniu broni, którą nagły atak wytrącił mu z ręki. Nad sobą zobaczył mutanta, unoszącego do ciosu trzy pary rąk. Jego zwałista sylwetka przesłoniła całe niebo.

Nagle rozległ się ostry krzyk i szczupła, zwinna postać rzuciła się na potwora, osłaniając swojego dowódcę. Agenor poznał Wagnera, młodego chłopaka, którego przyjął do oddziału rok wcześniej. Bystry, sprytny, pełen zapału, chociaż jak każdy neofita – nieco nadgorliwy. Teraz też – stanął z nożem naprzeciw monstrum przewyższającego go o dwie głowy.

– Mariusz, nie! – krzyknął dowódca. – Spierdalaj, jeśli ci życie miłe!

Chłopak nie posłuchał, wybił się z obu nóg, chwycił mutantą dłonią za ramię i z wymachu drugą ręką zadał mu cios, wbijając nóż aż po rękojeść w nasadę szyi stwora. Tamten ryknął z bólu, zatoczył się kilka kroków w tył i szarpnął jedną z sześciu rąk, chwytając Wagnera dłonią za głowę. Coś trzasnęło obrzydliwie i ciało chłopaka zwiotczało, upadając w śnieg. Oczy mutanty wywróciły się na drugą stronę i cielsko powoli, jak podcięte drzewo, upadło na ziemię w ślad za martwym stalkerem. Fontanna gorącej mutanciej krwi z rozplątanej szyi ochlapała Agenorowi twarz i kurtkę. Zdarł zniszczoną maskę przeciwgazową, zaklął szpetnie i rozejrzał się znów. Jego zastępca rąbał w zbryzganym krwią śniegu ścierwo mutancie, metodycznie przechodząc od jednego do drugiego trupa i ułamaną maczetą rozbijając łby. Kilku innych drużynników dobijało potwory strzałami z pistoletów. Pozostali zbierali rannych i martwych.

– Nie najlepiej – zaczął raport Mysza, podchodząc.

Trzymał się za bok i chrapliwie oddychał. Pomógł dowódcy dźwignąć się na nogi. Odrętwienie uderzonego biodra ustępowało powoli.



– Trochę wpierdol dostaliśmy – przyznał zastępca. – Co to w ogóle za suki jedne są?

Agenor splunął krwią w śnieg.

– Hekatonchejrowie.

– Że co?

– Sturęcy. Z mitologii. – Dowódca splunął ponownie, ściągnął rękawicę, potem drugą, a następnie, mamrocząc bluzgi, wyciągnął sobie z ust ząb. – Kurwa, całkiem dobra trójka, nic nie zepsuta!

Ze zniechęceniem cisnął zębem w powietrze.

– Takie mutanty, odludzkie. Czytałem o nich raport u Groma.

– Tego z Kabat? Tego generała całego? – uściślił Mysza. Nie było tajemnicą wśród zastępców, że Agenor utrzymywał dużo ściślejsze kontakty z metrasami, niż chciałby o tym głośno mówić. Ludzie z metra warszawskiego izolowali się uporczywie i stanowczo od reszty schronów stołecznych, niejednokrotnie dając do zrozumienia, że stan ten są gotowi utrzymać choćby i z użyciem broni palnej, której zdawali się mieć dużo więcej niż jakakolwiek inna społeczność. Dowódca Psów jednak miał z metrowymi, a przynajmniej z ich częścią, dobre układy, które chętnie wykorzystywał, kiedy nadarzała się ku temu okazja.

– No tego. Pokazał mi raport jednej takiej laski. Takiej kurierki, co łąziła już w tych rejonach z innym jeszcze facetem. Podobno ona pierwsza ich opisała. Ale nie spodziewałem się szmat tutaj. – Potoczył złym wzrokiem wokoło. – Z tego, co pisała, występowali dalej na południe, za Jeziorką.

– Za rzeką znaczy? A co ci teraz rzeka za przeszkodę niby stanowi? – Mysza zaśmiał się sucho, klękając przy ciele Wagnera.

– Ta. Cholera. – Agenor wzruszył ramionami. – Świat na opak.

W przyspieszonym trybie, ryzykując kolejną napaść od strony wsi, przeprowadził szybką odprawę i kontrolę oddziału. Bilans nie wyszedł dobrze. Wprawdzie ubili prawie dwa tuziny mutantów, ale sami stracili w sumie czterech ludzi. W zasadzie pięciu, bo jeden był nieprzytomny i trzeba go było ciągnąć na włókach z płaszcza. W milczeniu pozbierali nadające się do użytku lub naprawy strzały, symbolicznie oddali hołd poległym – których nie było nawet jak sensownie pochować – odmawiając modlitwę do Argosa, i zebrawi się do dalszej drogi w gęstniejącym śniegu. Agenor nakazał przyspieszony marsz, bo niebo niebezpiecznie pociemniało, ale zanim zdążyli na dobre ru-

szyć, uderzył w nich wicher, a w kilka minut później doszło do nagłego załamania pogody.

Burze po wojnie nie przypominały w niczym tych sprzed czterech piętnastego roku. Owszem, zdarzały się w Polsce śnieżyce, zawieje i zadymki. Mniejsze i większe, a każda jednakowo potrafiła zaskoczyć nie tylko drogowców. Jednak wraz z nadejściem postatomowej zimy zmieniło się wszystko. Przede wszystkim, prócz samego załamania klimatu, zmieniła się skala zjawisk. Teraz to już nie była zamieć. Teraz to był kataklizm. Kataklizm pełen pędzącego z zawrotną szybkością radioaktywnego, przesyconego pyłem śniegu. Orgia wyjącego szaleńczo wichru, zwalającego z nóg przy byle mocniejszym podmuchu. I szaleństwo mrozu przechodzącego bez trudu przez najlepszą odzież i sprawiającego, że krew tężała w żyłach.

Właśnie w taką burzę śnieżną wpadły Psy Agenora tym smutnym, późnym popołudniem drugiego dnia rajdu. I chociaż najwyraźniej mieli szczęście, bo główny front przetaczał się gdzieś dalej na wschód od nich, nad odległą o pięć kilometrów, zamarznąłą do dna Wisłą, to jednak położenie grupy z minuty na minutę stawało się coraz gorsze. Teoretycznie mogli próbować cofnąć się do Powsina, gdzie powinni dostać się bez większych kłopotów do któregoś z opuszczonych domów, lecz ryzyko, że we wsi natrafiają na więcej hekatonchejów, było zbyt duże. W praktyce mogli więc jedynie przeć naprzód, licząc na to, że dotrą do zabudowań w Bielawie, które według przekonania dowódcy znajdować się miały całkiem niedaleko. Mimo to marsz w zadymce okazał się bardzo trudny i w kilkanaście minut później, gdy wedle obliczeń Agenora przemierzili połowę drogi między Powsinem a Bielawą, było już jasne, że oddział znajduje się w poważnych tarapatach.

Dowódca parł twardo naprzód, w kierunku Klarysewa, widać pewny swego, i kiedy Mysza zaczął go i zażądał jakiegoś wyprowadzenia ich z trudnej sytuacji, wskazał jedynie przed siebie, gdzie w poczerwiałym niebo wzbijały się stalowe żebra budynku. Stalkerzy zwarli linię i ruszyli bardziej wyciągniętym krokiem ku coraz mocniej majaczącej w zadymce budowli. Każdy drużynnik, pilnując pleców kolegi przed sobą, marzył nieledwie o miejscu obiecującym co najmniej osłonę przed wiatrem i zacinającym śniegiem, a być może także, kto wie, jakiś zaciszny kąt z dachem nad głową i czystym kawałkiem podłogi, gdzie będzie można spocząć.

O takim luksusie jak rozpalenie ogniska nikt na razie nie myślał. Na to przyjdzie czas, kiedy już wszyscy schronią się bezpiecznie w przedwojennych murach, które – chociaż niejednokrotnie wypalone, nadgryzione zębem mrozu, stoczone grzybem i pleśnią z powodu wszechobecnej marznącej wilgoci – nadal służyły swoim dawnym panom. Zupełnie jak przed wojną, kiedy w suchych, ciepłych, rozjażonych elektrycznym światłem domach z betonu mieszkali ludzie. Mieszkali i z wysokich pięter spoglądali w dół, na ziemię, co ją sobie uczynili poddaną. Którą okiełznali, poryli stalowymi, plastikowymi i betonowymi ciągami, wyasfaltowali, zaorali, zabetonowali, zmelirowali i zagospodarowali, przetworzyli, sponiewierali i posiadli.

Aż ziemia ta, bezsilna już, na kolanach, w kajdanach, pozornie poddana, przyczała się i czekała cierpliwie. Cierpliwie i do skutku, bo oto ludzie, którym zdawało się, że okiełznali nie tylko swoją planetę, nie tylko prawa fizyki rządzące tym światem, lecz nawet samo życie i samą śmierć, oto ci dumni i pewni siebie władcy, co z głową zadartą w górę patrzyli z odwagą prosto w słońce, a swoich przedstawicieli posyłali w kosmos – sami sobie zadali ostateczny cios i zniszczyli swoją cywilizację prawie do szczytu. Teraz zaś planeta oczyszczała się, w paroksyzmie gargantuicznych kataklizmów wymiałała powierzchnię, skrobała z ran wielowiekową gangrenę ludzkości, wydobywała na powierzchnię człowieczy bakcyl, wymrażała tego wirusa złośliwego, huraganowymi zamieciami ścierała w proch, mrozem rozbijała pozostałości jego tworów.

I tak to trwało już od dziesięciu niemal lat. Ludzkość jednak, ten wirus złośliwy, rak toczący planetę, ludzkość nie była zwykłą prostą chorobą, którą byle pleśń zmoże. Ludzie, chociaż zdziesiątkowani, ginący masowo, nieprzystosowani do życia poza stworzonym przez siebie, zbawiennym dla zdegenerowanego, wyniszczonego i osłabionego wiekami chronionej egzystencji gatunku inkubatorem cywilizacji technicznej – nadal trwali. Mijały lata, w skrytych w gruzowiskach osadach ocalałych niedobitków świętowano kolejne rocznice, na świat przychodziły dzieci, i chociaż śmierć zbierała żniwo, a uwolnione bez kontroli siły atomu przeobrażały na swój sposób planetę, jej faunę i florę, a nawet samych ludzi, ci nieugięcie trwali, wyznając zasadę, że jeśli nie zginiesz, stojąc, to żyć warto choćby na kolanach.

Prac przeciw potężniejącemu wichrowi, mając w polu widzenia jedynie wirujący, czarny, radioaktywny śnieg i ciemną plamę pleców

idącego o kilka kroków z przodu towarzysza, stalkerzy dotarli do pierwszego zabudowania, którego dach wystawał miejscami ledwo na metr ponad poziom śniegu, a miejscami ginął zupełnie pod zaspami, przesypanywanymi wciąż i wciąż przez wichurę. Przemaszerowali jednak po tym dachu, nie szukając pod nim schronienia i nie tracąc czasu na odgarnianie śniegu, bo ledwo półtorej setki metrów dalej majaczyła konstrukcja, którą wypatrzył wcześniej dowódca. Szybko znaleźli się u jej stóp, najprawdopodobniej na szczycie dawnych, obecnie doszczętnie zasypanych schodów. Wszyscy, ilu ich było, zadarli głowy, osłaniając wyloty kapturów dłońmi, aby chronić się przed wciskającym się zewsząd śniegiem. Ponad nimi wznosiła się konstrukcja jako żywo przypominająca rozprutą klatkę piersiową. Dawniej musiała być to gigantyczna, przeszklona sfera o nieco spłaszczonym przekroju, bo tu i ówdzie między żebrami kolosa sterczały jeszcze tafle lustrzanego szkła.

Agenor zadarł głowę w górę, potem obejrzał się na swój oddział i przeszedł pomiędzy dwoma pochyłymi filarami pod rozprutą kulą do wnętrza budynku.



We wnętrzu było nieco lepiej, strop niższej kondygnacji w większości ocalał i teraz przynajmniej nie sypał się na nich bezpośrednio czarny śnieg. Wiatr jednak hulał po budynku, wpadając przez wybite połacie okien, wyjąc w korytarzach, świszcząc między przejściami, ogołoconymi ze wszystkiego, co mogło się komukolwiek przydać.

– Nie podoba mi się – mruknął Jurgen. – Wygląda, jakby ktoś tutaj ostro szabrował.

– Bo i tak było – przyznał Agenor, podążając korytarzem na drugą stronę budynku.

– No to zaraz! – Mysza stanął, rozrzucając ręce teatralnym gestem. – Ty tak ze spokojem to mówisz?

– Co niby? – Dowódca nie zatrzymał się, chociaż zwolnił kroku. – Ruchy, zimno się robi!

– Agenor, jasna cholera, nie będziemy obozowali w miejscu, gdzie możemy się w każdej chwili natknąć na obcą grupę! To nie jest nasze podwórko.

– Nie będę cię przekrzykiwał na tym wietrze! – krzyknął dowódca, minął pustą futrynę z wymontowanymi drzwiami, przeciął pomieszczenie i zaczął schodzić po schodach, znajdujących się po przeciwnej stronie. Mysza podążył za nim, mruczając pod nosem, Jurgen poczekał, aż cały oddział zniknął we wnętrzu klatki schodowej, rozejrzał się uważnie dookoła i ruszył w ślad za resztą.

Pół piętra niżej zastępca nie dawał Agenorowi spokoju.

– No weź mi to wytłumacz, nawet na Służewcu nie włączymy na cudze rewiry, unikamy obcych, jak nie musimy im się na oczy pokazywać, a tutaj włączymy komuś na podwórko.

– Nawet nie. – Agenor przystanął. – Nie na podwórko, ale do domu wręcz.

Roześmiał się, widząc, jak jego zastępca wywrócił oczami pod maską.

– Spokojnie, to cywilna osada. Nie, nie byłem tutaj – dodał szybko, gdy tamten złapał się za głowę. – Ale mam wiadomości z pierwszej ręki. Zaraz wam wszystko opowiem.

Odczekali, aż cały oddział zgromadził się u stóp schodów. Pomieszczenie klatki schodowej było wąskie, betonowe ściany wiały chłodem, ale przynajmniej nie zalegał w nim śnieg, a wiatr, chociaż świszczął w kilkupiętrowej studni, to nie był dokuczliwy. Agenor skinął na swoich stalkerów, wchodząc do niskiej, rozległej hali przez kolejny pozbawiony drzwi otwór. Najwyraźniej był to kiedyś parking podziemny. Agenor rozejrzał się szybko, a potem przysiadł na betonowej belce biegnącej pod ścianą. Ściągnął maskę, pytająco spoglądając na jednego z Psów, który szybko wyciągnął spod płaszcza licznik i zatoczył nim łuk po pomieszczeniu. Miernik milczał jak zaklęty.

– Czyli to nie bujda – mruknął dowódca. Wyciągnął spod kurtki metalową papierośnicę, z niej wydobyl zgniecionego skręta i zapalił, zaciągając się długo. Pogasili latarki czołowe, jedynie na środku postawili akumulatorową latarnię diodową. Taką, jakiej dawniej ludzie używali na biwakach. – No dobra, bo widzę, że niektórym języki z gęby prawie wyskoczą, tacyście skorzy do pytań.

Pomruk aprobaty powitał to stwierdzenie.

– Czytałem o tym miejscu w raporcie Różyczki, wiecie, kto to?

Spojrzał na otaczające go twarze, oświetlane tylko nielicznymi żarzącymi się w mroku punkcikami skrętów i pojedynczą latarką. Kilku spośród Psów pokręciło głowami.

– Nieważne w takim razie. Dość powiedzieć, że chodziła w tych rejonach przez kilka lat, chociaż ostatnio nikt jej nie widział. Co zobaczyła, spisała i zostawiła Gromowi z Twierdzy przed tą ich całą żalostną wojną z Imperium.

– Temu metrasowi? – zagadnął jeden ze stalkerów. Agenor skinął głową i zaciągnął się.

– Tak się składa, że mam dostęp do części jego archiwów.

– Nie no, kurwa, serio? Niewiarygodne... – zakpił Jurgen, z niesmakiem oglądając ułomek maczety. W końcu zniechęcony cisnął ją w ciemny kąt pomieszczenia. Z metalicznym brzękiem odbiła się od ściany i upadła na posadzkę.

– Pod tym budynkiem jest bunkier. Porządny, przemysłowy bunkier. I mieszkają sobie w nim ludzie.

Pomruk zdziwienia przebiegł przez oddział.

– Chyba jaja sobie robisz. – Mysza, który znał dowódcę najdłużej, wiedział, że można się po nim spodziewać różnych rzeczy. Ale mimo kilku lat, jakie spędzili razem już po Końcu, nawet on czasem bywał zaskoczony. – I tak sobie tutaj siedzimy i czekamy na co niby? – zapytał. – Niech cię czarna suka Hekate porwie, taki jesteś, kurwa, wylewny.

– Nie marudź, to jest oddział, a nie kolektyw, dowódca też ma swoje dowódcze sprawy... Siedzimy sobie i czekamy tutaj, bo w dupę ciepło, nie leci na łeb i nie oddaje tłem – odparł Agenor. – A czekać będziemy, aż ktoś do nas wyjdzie. W końcu nie wypada się obcym dobijać do drzwi. No, może nie?

Jurgen wstał, rozejrzał się i zniknął w mroku. Dobiegł ich słabnący odgłos oddalających się kroków, wzbudzających ciche echa w dalszej części pomieszczenia.

– Skąd wiesz, że tu jest jakiś bunkier? – zapytał jeden z Psów. – Ta ruina na górze wyglądała raczej na jakiś biurowiec albo coś takiego. W takich miejscach nie ma bunkrów, najwyżej parking podziemny jak ten tutaj.

Agenor dopalił skręta, parząc opuszki palców. Wcześniej zdjął wierzchnie rękawiczki, aby lepiej przytrzymywać cienki bibułkowy zwitek. Niedopałek rzucił na beton i roztarł butem na miazgę.

– Akurat w tym biurowcu jest bunkier, bo tu miała być centrala zarządzania siecią energetyczną na wypadek wojny.

– Znaczy się jest teraz? – upewnił się inny ze stalkerów.

– Nie, nic nie jest. Tak się złożyło, że zmienili plany w ostatniej chwili. Bunkier się został. I mieszkają w nim cywile.

W ciemności rozległy się kroki ciężkich butów i Jurgen pojawił się znów w kręgu światła. Dowódca spojrzał na niego pytająco, ale tamten zaprzeczył ruchem głowy.

– No, to poczekamy jeszcze trochę. A jak nikt się nie zjawi, to idziemy spać. Jeżeli śnieżycy odpuści do jutra, to ruszamy dalej, a jak nie...

– Ale jak to?! – nalegał znowu Mysza. – Tak po prostu tutaj sobie zaszliśmy? W odwiedzinach?

– Nie, przechodziliśmy z tragarzami. I akurat pomyślałem, że jest po drodze meta, ponoć bezpieczna, to zajdziemy. Ręka w górę, który wołałby siedzieć teraz na górze?

Nikt nie odpowiedział. Siedzieli w półmroku, popalając i rozmawiając półgłosem. W miarę jak upływał czas, niektórzy zaczęli rozsupływać plecaki, wyciągać brezenty i koce, układać się pod ścianami. Gdzieś wysoko, w studni klatki schodowej słychać było odległe zawodzenie wichru. Agenor wpatrywał się w mrok, Mysza drzemał oparty plecami o ścianę, a Jurgen siedział po turecku, wyprostowany jak struna, z półprzymkniętymi oczami.

– Połamałem maczetę – odezwał się w pewnej chwili. Zabrzmiało to jak wyznanie.

– Wiem – mruknął dowódca Psów. – Nie przewidziałem, że te parówki na nas napadną. Nie wiedziałem, że tam są.

Jurgen wciągnął powietrze głęboko i szerzej otworzył oczy, próbując dojrzeć twarz Agenora w prawie kompletnej ciemności, jaka zaległa, gdy zgasili latarnię.

– Ja bym najpierw posłał zwiad, a w razie czego, jakby znaleźli gniazdo, to kazał spalić – powiedział – ale to nie ja jestem dowódcą.

– I chwała Argosowi – odburknął Mysza sennie – bo ty byś wszystko zwiedził i spalił. A lepiej jeszcze porąbał przed spaleniem.

– Nie mogę, połamałem maczetę – z irytacją odparł Jurgen.

– Wiem... – mruknął Agenor. – Doliczysz sobie tę maczetę do rachunku po wyprawie.

– Miałem ją od pierwszego roku.

– Wiem... – Dowódca westchnął ciężko. – Skończ pierdolić, Jurgen, chyba pora, żebyśmy my też poszli spać, tylko wyznaczę...

Chciał wspomnieć o wartach, ale nie zdążył, bo jego zastępca

błyskawicznym, bezszelestnym ruchem poderwał się na równe nogi i uciszył ich syknięciem. Agenor przyklęknął, kładąc dłoń na rękojeści pistoletu. Mysza szturchnął najbliższego stalkera.

Na odległym końcu pomieszczenia rozległ się cichy dźwięk, jakby metal stuknął o metal. Potem dobiegło ich stłumione odległością, ledwo słyszalne skrzypnięcie, jakby nie dość dobrze naoliwionego zawiasu.

– Jurgen, niech cię – prawie bezgłośnie wycedził Agenor przez zęby. – Takeś sprawdził teren, zwiadowco od siedmiu boleści?

Tamten tylko niecierpliwie machnął ręką, co w kompletnych ciemnościach, jakie ich teraz otaczały, bardziej można było wyczuć, niż zobaczyć.

Na drugim końcu podziemnej hali błysnęło światło latarki, zatoczyło krąg, na chwilę ugrzęzło w cieniach i kołysząc się lekko, zaczęło się zbliżać. Towarzyszył mu narastający odgłos lekkich, jakby niepewnych kroków. Jeden ze stalkerów, zgięty wpół, odskoczył od grupy, dobiegł ich szcęk metalu, kiedy odbezpieczał pistolet. Jurgen sięgnął za plecy i wyciągnął nóż.

Kroki zbliżyły się, światło latarki omiotło jeden z plecaków i przybysz zatrzymał się.

– Witam was, panowie, na moich włościach, dawniej należących do Polskich Sieci Energetycznych – posłyszeli niemłody męski głos. – Witać mi wypada, bo to moje włości i ja tu jestem gospodarzem.

Przybysz strzelił przełącznikiem i turystyczna latarka zmieniła się w namiotową lampę, oświetlając jego postać i najbliższe otoczenie.

– Wszyscy spokój – głucho powiedział Agenor, będąc świetnie świadomym, że za chwilę komuś mogą puścić nerwy. – Dziękujemy za powitanie.

– Z kim mam przyjemność? – Mężczyzna potoczył po nich wzrokiem. Zdawał się nie robić sobie nic z faktu, że był sam, naprzeciw niego zaś czaiła się gotowa do ataku grupa uzbrojonych, zaprawionych w bojach mężczyzn, wyglądających, jakby przybyli tutaj z piekła. Sam gospodarz był człowiekiem, który w wiek średni wszedł już jakiś czas temu. Był szczupły, wyprostowany, dość wysoki. Ciemne włosy, na skroniach lekko szpakowate, zaczesał w tył, w spokojnej twarzy zwracały uwagę bystre, ciemne, ruchliwe oczy. Usta otaczała mu dokładnie przycięta, wypielegnowana broda, połączona z przystrzyżonymi wąsami. Ubrany był w grubą, luźną czarną koszulę i



takież spodnie. Wyjątkowo lekko i wygodnie, jak na warunki panujące w aglomeracji. W bunkrze musiało być ciepło i przyjemnie.

– Jestem Agenor. A to Psy, mój oddział stalkerski. Przychodzimy z Warszawy.

– Jestem inżynier Prosperski. Miło mi panów powitać, a że panowie ze stolicy, to miło mi tym bardziej, bo będzie okazja posłuchać dzisiaj ciekawych wieści. A zatem pozwólcie za mną. Śnieżyca wprawdzie tu nie dociera, bo budynek zaprojektowano należycie, jednak mogę zaproponować kwatery lepsze niż ten goły beton.

Ruszył swobodnym krokiem w kierunku, z którego przybył, strzelając przełącznikiem latarki i oświetlając sobie drogę.

– Wybaczcie, że zwlekałem, ale sami rozumiecie: kiedy pod progiem obozują... – zawahał się na moment, jakby chciał przemyśleć, jakiego słowa użyć – zbrojni, tak, zbrojni, w dodatku całym oddziałem, cóż, wypada zachować ostrożność, czyż nie?

– Paulo, kurwa, Kolejo – mruknął Mysza pod nosem, ale na tyle cicho, że nikt prócz Jurgena i dowódcy nie miał go szans usłyszeć.



Zeszli wąską, betonową klatką schodową głęboko poniżej poziomu parkingu. Inżynier Prosperski pieczołowicie zamknął za nimi górne drzwi, wyposażone w mechanizm wyglądający na nowiutki i świetnie utrzymany. Najwyraźniej te kilka lat po wojnie nadal o niego dbano. Na schodach paliły się tylko pojedyncze lampy, kilka z całego długiego szeregu, ale także wyglądały na zadbane. Oprawy były oczyszczone z kurzu, we wszystkich, także tych zgaszonych tkwiły żarówki. Stalkerzy rozglądali się ciekawie, schodząc coraz głębiej pod ziemię. Na samym dole klatki schodowej znajdowały się kolejne drzwi, zabezpieczone zamkiem szyfrowym.

– Panowie. – Inżynier przeprosił stojących najbliżej i podszedł do zamka.

Ustawił się tak, aby swoim ciałem zasłonić klawiaturę, gdy wklepywał kod.

– Sami rozumiecie, względy bezpieczeństwa. – Uśmiechnął się nieśmiało, nieco nerwowo przeczesując starannie przystrzyżoną brodę palcami.

– W porządku. – Agenor odchrząknął i wyczekująco spojrzął na

Prosperskiego.

– No tak! – Tamten cofnął się o krok i pociągnął drzwi do siebie. Dowódca Psów z zadowoleniem skonstatował, że zarówno kierunek zawiasów, jak i dodatkowe sworznie widoczne w skrzydle i futrynie praktycznie uniemożliwiały wyważenie i sforsowanie drzwi od zewnątrz. To była okoliczność sprzyjająca, z drugiej strony, przechodząc przez to przejście, skazywali się w pewien sposób na uwięzienie, zwłaszcza jeżeli od wewnątrz także był zamek szyfrowy.

Przeszli dalej betonowym korytarzem, nieco surowym, pełnym instalacji elektrycznych i grubych rur, w których biegło więcej kabli. Mijali pancerne drzwi, zza niektórych dobiegał szmer pracujących maszyn, inne odzywały się głuchym echem, gdy któryś z mężczyzn je potrącił przypadkiem lub w nie zastukał. Prosperski sięgnął do maszynowego przełącznika i zgasił światło w korytarzu, który minęli.

– Żyje mi się tu dobrze – powiedział – ale nie przelewa się, a energia, sami panowie rozumieją, kosztuje.

Agenor potwierdził skinieniem głowy. Rozglądał się ciekawie. To bez wątplenia był porządny, całkiem nowoczesny bunkier. Możliwe, że wybudowany zaledwie na kilka lat przed wojną. Nie wyglądał na wojskowy obiekt – był surowy, ale przystosowany do bardziej wymagającej cywilnej załogi. Najwyraźniej instalacja przemysłowa jakiegoś typu, prawdopodobnie związana z funkcją biurowca, którego zgliszcząca znajdowały się na powierzchni. Czyli wszystko było tak, jak w raporcie Różyczki. Pozostawała kwestia mieszkańców obiektu, bo wprawdzie zapuszczali się coraz dalej do wnętrza tego labiryntu, lecz prócz inżyniera nie dostrzegli jak dotąd nikogo. Oddział przeszedł przez kolejne drzwi, tym razem zamykane na zwykły zamek. Znaleźli się nagle w sporym pomieszczeniu, które tonęło w półmroku, rozjaśnianym tylko częściowo przez kilka umieszczonych na obwodzie lamp.

– Witam w moich skromnych progach. – Inżynier zatoczył ręką półokrąg, wskazując na pomieszczenie.

– Skromnych w chuj – mruknął pod nosem Jurgen.

– Pan raczy?

– Chodzi o to, że, hm, nieźleście się tu urządzili, inżynierze – wyjaśnił Mysza, rozglądając się ciekawie. – Normalnie cudowna melina, chciałoby się rzec...

– Ach, cóż. – Gospodarz wzruszył nieznacznie ramionami. –

Miałem trochę szczęścia. Panowie spoczną?

Wskazał stojący dalej stolik i kilka najwyraźniej biurowych kanap, które musiały zostać zniesione z budynku na powierzchnię, zanim przepadły w mrozie i śniegu postatomowej zimy. Agenor pierwszy się rozgościł, w jego ślad poszli zastępcy, a potem reszta Psów rozlokowała się wokół.

– Mnie już panowie znają, może więc mógłbym teraz ja poznać szanownych gości? – zagadnął Prosperski.

– Cóż, ja jestem Agenor, a to są moje Psy. To moi zastępcy: Mysza i Jurgen, a resztę oddziału będziecie pewnie mieli okazję poznać w ciągu najbliższych kilku godzin. Na górze szaleje śnieżycą, jak sądzę, będziemy mogli u was przenocować?

– Tak, oczywiście – przytaknął rozmówca. – Mysza? Ciekawa to, jak to mawiają młodzi, ksywa?

– To proste. – Tamten wybuchnął śmiechem. – Nazywam się Nieściur. A wiadomo, jak nie ściur, to mysz, prawda?

– Doprawdy – uśmiechnął się gospodarz pod nosem, unosząc brwi. – Pan Jurgen natomiast, czyżby miał pan niemieckie korzenie?

Mysza roześmiał się znów i odpowiedział za kolegę:

– Słowianin z krwi i kości do entego pokolenia wstecz. Mówimy na niego Jurgen, bo to prawdziwy skurwenson.

Prosperski drgnął nieco.

– No, doprawdy, panowie... Mam nadzieję, że takie żarty nie będą się was ciągle trzymać, bo to nie przystoi... – Urwał nieco zbyt nagle, zupełnie jakby zapomniał się i miał zamiar powiedzieć coś, co powinno pozostać tajemnicą. – Mniejsza o to zresztą, mam nadzieję, że się panom podoba moja kwatera. Zapraszam oczywiście na nocleg, mogę także zaproponować skromny posiłek.

– Robi wrażenie – przyznał dowódca, przyglądając się uważnie staremu inżynierowi. – Chciałbym poznać ten obiekt, jeśli jego mieszkańcy na to pozwolą. Nurtuje mnie jednak obecnie inne pytanie – gdzie są wszyscy?

Gospodarz stropił się nieco. Strzelił oczami na boki, jakby szukając wyjścia z sytuacji.

– Stan osobowy tego obiektu, jak byście to pewnie powiedzieli wy, wojskowi, to sprawa nieco drażliwa. Jeśli to możliwe, chciałbym odłożyć tę rozmowę na później, na przykład na po posiłku. Mam też do zaoferowania nieco przedwojennych trunków, jeśli panowie by so-

bie życzyli.

Agenor zastanawiał się przez chwilę, wreszcie skinął głową.

– Niech i tak będzie – zgodził się.



– Proszę w takim razie wreszcie powiedzieć, co tu się dzieje, inżynierze? – Agenor zapytał ostro.

Od ich przybycia do bunkra pod PSE minęło kilka godzin. Zdążyli zjeść doskonały ciepły posiłek, przygotowany z własnych zapasów i kilku przedwojennych konserw, które zaoferował im gospodarz. Uwadze stalkera nie umknęło, że robił to tylko pozornie beztrusko. Nie było w tym nic dziwnego, zapasy, które jednemu człowiekowi mogły wystarczyć na długi czas, taka grupa jak Psy mogła zużyć w kilka dni, przy nierozsądnym gospodarowaniu. Zapewnił Prosperskiego, że nie zabawią zbyt długo. Zaproponował nawet, że wyśle kogoś na górę, aby sprawdził stan pogody, lecz inżynier zaproponował, twierdząc, że śnieżyca z pewnością jeszcze się nie skończyła. Agenor nie drażył tematu, miał jednak wrażenie, że na zewnątrz czaiło się coś więcej niż jedynie skażony czarny śnieg i ostry wiatr.

– Co tu się dzieje? – powtórzył pytanie, gdy starszy mężczyzna przez dłuższą chwilę nie odpowiadał. – Gdzie podzieli się inni mieszkańcy schronu? Przywitał nas pan samotnie, a wiem skądinąd, że mieszkała tu spora, silna i zorganizowana grupa!

Inżynier podniósł wzrok. Siedzieli jedynie we dwóch, na wyraźną prośbę gospodarza. Zaprosił on Agenora do bocznego pomieszczenia, połączonego z główną salą małym korytarzem, zamienionego w coś w rodzaju gabinetu. Reszta oddziału zajmowała się swoimi sprawami w głównej części. Niektórzy spali, inni dojadali, kilku postanowiło skorzystać z faktu, że obiekt miał bieżącą wodę, i podnieść ogólny poziom higieny w oddziale.

– Czyżby? Skąd ma pan takie informacje? – zapytał inżynier z ciekawością, która podszyta była nieufnością.

– Och, to żadna tajemnica. Pamięta pan kurierkę Różyczkę?

– Różyczkę? – Prospercki pokręcił głową, jakby zastanawiając się. – Przyznam panu szczerze, panie Agenor, że to imię coś mi mówi, lecz niestety... – Z udaną bezradnością rozłożył ręce w geście niewiedzy.

– Dziewczyna, blizna na twarzy, dawniej chodziła z takim brodatym w kapeluszu... Takim przedwojennym pisarzem – podpowiedział stalker.

– Ach tak, teraz ich pamiętam. Byli u nas, ale cóż, ładne kilka lat temu. Trzy albo więcej...

– Jeśli razem, to z pewnością więcej, bo on zginął około piątego. Mniejsza jednak o to. – Agenor zirytował się niepotrzebnym zbaczaniem z tematu. – W jej raporcie jak byk stoi, że kolonia była liczna. Może nie świetnie uzbrojona, ale w tym bunkrze nie musicie się tego obawiać. Chciałbym wiedzieć, gdzie są wszyscy! – zażądał ostro.

– Nie ma. Jak to mawiają prostaczkowie, poszli do nieba, o ile takowe istnieje – odparł z ironicznym uśmiechem Prosperski.

– Nie chce mi pan powiedzieć, że w ciągu paru lat wymarli wszyscy? W takim raju? Ze światłem, ciepłem i jedzeniem?

– To właśnie chcę powiedzieć, panie Agenor – powiedział inżynier powoli i z naciskiem. – Pozostali mieszkańcy tego schronu postradali wszyscy życie. Część wskutek nieszczęśliwego wypadku, wielu wskutek ataku potworów, które, jak się zdaje, zamieszkują teraz na stałe świat opuszczony przez ludzi, część zaś pogrążona w apatii i beznadziei wybrała tchórzowskie wyjście i samodzielnie odebrała sobie życie.

– Brzmi to nadzwyczaj wiarygodnie – odparł z przekąsem stalker. – I nadzwyczaj wygodnie dla pana, panie Prosperski.

– Cóż – tamten wruszył ramionami – nie czuję się winny, że udało mi się przeżyć.

Agenor na moment się zamyślił, odstawiając z żalem opróżnioną puszkę po piwie. Piwo, marzenie i sen podziemnych gorzelników. W zgliszczach Warszawy pędzono niezły bimber, udawało się czasem wino, ale piwo zniknęło, zdaje się, bezpowrotnie. Nikt nie był w stanie uwarzyć złocistego trunku, zapasy zaś dawno stały się pieśnią przeszłości. A w tym dziwnym bunkrze, którego jedynym mieszkańcem zdawał się nieco nerwowy inżynier o starannie przystrzyżonej brodzie – proszę, zachowało się kilka kartonów. Agenor zastanawiał się nawet, co mógłby zaoferować Prosperskiemu w zamian za ten towar, jeśli wypadnie im wracać tą samą drogą po wypełnieniu zadania. Spojrzał z żalem, znacząco na dwie puste puszki, lecz gospodarz nie zwrócił na to uwagi lub zignorował tę niewypowiedzianą sugestię i nie zaproponował gościowi kolejnej.

– Niech i tak będzie – odezwał się z wolna stalker. – Nie mam powodu wierzyć, że było inaczej. Nie brak wam było zapasów, warunki świetne, a któż przy zdrowych zmysłach wolałby zostać na tej lodowej pustyni sam, bez towarzystwa?

– Owszem, to prawda – skwapliwie przyznał inżynier. – Są panowie pierwszymi gośćmi od, niechże policzę, idzie już trzeci rok, jak nikt tędy nie przechodził i do nas nie zaszedł.

– Cóż, panie inżynierze, drogowskazu na gościńcu nie widziałem, a więc... – Agenor nie dokończył zdania, bo za drzwiami oddzielającymi ich od korytarza usłyszeli podniesione głosy. Załomotały ciężko po betonie podkute wojskowe buty i ktoś zabębnił pięścią w drzwi. Nie czekając na zaproszenie, wparował do środka Mysza.

– Dajesz, Agenor, dajesz! Mamy tutaj, hm, ciekawy przypadek. – Obrzucił szybkim, badawczym spojrzeniem Prosperskiego, który zerwał się na równe nogi, gdy stalker wpadł do pomieszczenia.

– O co chodzi? – spytał Agenor, szybko podchodząc do zastępcy. Tamten nie zdążył nic wyjaśnić, kiedy w podziemiach odbił się echem wystraszony, kobiecy krzyk. Drepczący za nimi gospodarz gwałtownie pobladł.

– Alka! – wyszeptał nerwowo.

Rzucił się do przodu, pragnąc wyprzedzić Agenora, ale tamten odepchnął go bezceremonialnie, wchodząc do głównej hali. Stalkerzy stali w kole, na ziemi między nimi leżała nawet nie kobieta, a dziewczyna, pewnie ledwo dorosła. Kuliła się na podłodze, osłaniając głowę rękoma i szlochając głośno.

– Alka, do diabła, co ja mówiłem! – krzyknął rozsierdzony Prosperski. Odpowiedział mu wybuch szlochu.

– Patrzaj, co chłopaki znaleźli. Siedziała gdzie przyczajona pewnie, ale zachciało jej się, biednej myszce, wyjść z norki i poogładać facetów – skomentował Mysza.

– Nic dziwnego, skoro mieszka tu sama z ojcem. Rzadko się trafiają fajne chłopaki – zarechotał jeden ze stalkerów.

– Spokój! – Agenor uniósł dłoń nieznoszącym sprzeciwu gestem. Stalkerzy odstąpili od dziewczyny, do której dopadł ojciec, obejmując ją ramionami. Nerwowo szeptał coś do jej ucha, a ona uspokajała się. Dotarło do nich, że beszta ją najwyraźniej za złamanie zakazu i opuszczenie pokoju, w którym miała się ukrywać.

– Czulości potem. – Dowódca Psów podszedł do klęczącej

dwójki i bezceremonialnie podniósł inżyniera, chwytając go pod ramię. – Coś czuję, że trzeba będzie zrewidować pańską bajkę o pozostałych mieszkańcach schronu.

– W żadnym wypadku, panie Agenor. – Gospodarz odzyskał już rezon i hardo patrzył na stalkera. – Chyba nie dziwi pana fakt, że w obliczu nadciągającej bandy uzbrojonych po zęby rzezimieszków nakazałem córce zrobić jedyną rozsądną i bezpieczną rzecz i ukryć się?

– No, tych „rzezimieszków” to mógł sobie darować – mruknął Mysza.

– Co ty, takie retro, normalnie wołają „bandyci” – skomentował za jego plecami Michalak.

– Wracać do swoich spraw – Agenor podniósł głos. – A wasza dwójka ze mną!

Chwycił oboje pod ramiona i pociągnął z powrotem w kierunku gabinetu inżyniera.

– Jurgen, wyznacz kogoś, żeby wyszedł na zewnątrz, nasz miły gospodarz zaraz udostępni nam kod do drzwi frontowych. Zrobicie rozpoznanie, na wszelki wypadek. Mysza, przeszukajcie resztę bunkra, czy nie kryją się tu jeszcze jakieś zapomniane księżniczki.

Obaj skinęli karnie głowami.



Rekonesans na powierzchni nie wykazał niczego niezwykłego. Na parkingu podziemnym, gdzie spotkali Prosperskiego po raz pierwszy, panował spokój. Nieco wyżej szalała potworna śnieżycyca. Siła i prędkość wiatru, niosącego ze sobą lodowe, brudne kruszyny, sprawiała, że stalkerzy wysłani na zwiad nie byli w stanie opuścić zejścia na parking – po całych ruinach szalała zadymka, sprawiając, że jakakolwiek myśl o opuszczeniu bunkra i kontynuowaniu marszu na południe nie wchodziła w ogóle w rachubę.

– Coś zwróciło waszą uwagę? – odpytywał ich godzinę później Agenor.

– Nic... – przyznał Peła, jeden z dwóch stalkerów, którzy wzięli udział w patrolu.

– Coś to „nic” takie niepewne.

– Nic konkretnego, Agenor, wiesz. Przeczucia stalkerskie, takie tam – bąknął, poprawiając okulary.

– Coś masz do dodania, Spandowski? – dowódca zagadnął drugiego ze zwiadowców.

– Jak ci powiem, że miałem wrażenie, że coś za nami łązi i się przygląda, to co powiesz? – odparł tamten.

– To, co zawsze, że za dużo horrorów czytasz – uśmiechnął się z przekąsem dowódca. Psy były oddziałem stalkerskim, ale też bandą indywidualistów i każdy z nich miał własne odchyły. Jurgen miał maczetę, a Spandowski wiecznie nosił w plecaku książki o wampirach, duchach i innych zjawiskach nadprzyrodzonych.

– No właśnie. – Wzruszył teraz ramionami. – Taka z tobą rozmowa.

– No właśnie – potwierdził Peła. – Zasadniczo nic niezwykłego, jak na taką sytuację.

– Dobra, niech wam będzie. – Agenor zwolnił ich skinieniem dłoni i przywołał Jurgena. Szybko wydał mu dyspozycje rozstawienia wart w kompleksie i ruinach, upewniając się, że dokładne przeszukanie bunkra nie przyniosło dalszych niespodzianek w postaci kolejnych ukrywających się mieszkańców.

Dowódca Psów wrócił do gabinetu, gdzie siedzieli pilnowani przez Jurgena inżynier i jego córka. Usiadł ciężko na krześle, patrząc na tę dwójkę.

– Panie Prosperski, rozumiem pana pobudki. Nawet się nie dziwię, że postanowił pan w pierwszej chwili ukryć przed nami córkę. Ale należało mi o tym jednak potem powiedzieć.

– Skoro, jak pan mówi, rozumie pan sytuację, to nie wiem, o co całe to zamieszanie – obruszył się inżynier. – Moja córka jest młoda i prawdę powiedziawszy, od dłuższego czasu nie miała kontaktu z innymi ludźmi. Sam pan przyzna, że pana żołnierze nie stanowią dobrego towarzystwa dla siedemnastolatki.

Stalker spojrzał na przedmiot ich rozmowy. Alka siedziała na krześle ze spuszczoną głową, ale strzelała oczami i ledwo dostrzegalnie uśmiechała się pod nosem. Ojciec ojcem, a ciekawska natura dziewczyny domagała się działania.

– Sądzę, że wyjaśniliście między sobą co trzeba – powiedział twardo Agenor, próbując nadać karcący ton swojemu głosowi. – Ty, dziewczyno, lepiej, żebyś nie kręciła się między Psami. To dobre chłopaki, ale niestety, hm... – Przerwał.

Chciał jej powiedzieć, że jest dużo ładniejsza i atrakcyjniejsza



niż kobiety z Okęcia, ze stołecznego metra i z innych osad, które znał. Dziewczyny o ziemistej, niezdrowej cerze, ubrane w bure, wygodne ciuchy, albo ognistookie wojowniczkę nie miałyby szans w porównaniu z Prosperką. Jasna cera, ułożone włosy, długa sukienka w kolorowe desenie sprawiały, że wydawała się nierzeczywista w tym świecie lodu, brudu i mroku. Sapał ciężko.

– Dla dobra nas wszystkich nalegam, żebyś siedziała w swoim pokoju. W ten sposób unikniemy kłopotów – powiedział twardo. – Jesteście wolni.

– Hola! – oburzył się inżynier. – Chyba nie zechce pan rozstać mnie po kątach w moim własnym domu!

– Tak, rzeczywiście – przyznał stalker. – Przepraszam, panie inżynierze. Wrócimy do naszej rozmowy później, w tej chwili muszę jeszcze rozmówić się z moim oddziałem.

Nic więcej nie mówiąc, wyszedł z pomieszczenia. Czekający za drzwiami Jurgen usłyszał jeszcze, że Prosperki niezwłocznie wrócił do łajania córki. Agenor nie zwrócił na to większej uwagi, to były sprawy między nimi. Był zirytowany całą sytuacją. Liczył, że natrafia tutaj, daleko od zamieszkanym obszarów stolicy, na silną społeczność, a co za tym idzie, będą mieli daleko wysuniętą placówkę. Rodzaj bezpiecznej przystani, z której mogliby przy dobrych układach korzystać raz na jakiś czas, a przy tym trochę pohandlować. Taka baza pozwoliłaby Psom na niezwykle zwiększenie zasięgu operacyjnego i wypuszczanie się na obszary mało poznane, czyli prawdopodobnie bardzo atrakcyjne. Jeżeli raport Różyczki mówił prawdę, południowe rubieże aglomeracji leżały w większości odłogiem, co znaczyło, że zostało tu wiele do szabrowania. Taki zresztą był jeden z celów ich obecnej wyprawy. Wyprawy, która – gdyby nie bunkier pod ruinami biurowca – mogła skończyć się kiepsko.

Sytuacja w obiekcie sprawiła, że nadzieje Agenora nieco zbladły. Czym innym była silna społeczność w dobrze zabezpieczonym obiekcie, czym innym jeden mężczyzna w średnim wieku, w dodatku obciążony podłotkiem. Zresztą w tym obrazie coś się bardzo nie zgadzało. Różyczka spisała swój raport na podstawie obserwacji z drugiej połowy siódmego roku po Zagładzie. Przez te lata mogło się wiele wydarzyć, ale stalker wiedział z doświadczenia, że społeczności ginęły gwałtownie i całkowicie albo wymierały powoli i stopniowo. W bunkrze pod PSE musiało wydarzyć się coś niecodziennego, co sprawa-

wiło, że przetrwali tylko inżynier i Alka. Coś, o czym Prosperski nie mówił.

Obecność dziewczyny sama w sobie także była pewnym zagrożeniem. Agenor, w przeciwieństwie do Jurgena czy Spandowskiego, nie był przesądny, nie uważał jej za Jonasza, ale kobieta w bandzie samców musiała spowodować niepotrzebny ferment. Był o tym przekonany i nie pomylił się, niestety. Nie pomogły modły do Argosa. Bóg albo przysnął, albo miał drużynę z Okęciami głęboko w dupie, albo jego władza nie sięgała tak daleko poza miasto, hen na południe od macierzystej świątyni. Jeszcze tego samego wieczora, kiedy mimo wyraźnego zakazu ojca dziewczyna, rozszczebiotana i zachwycona uwagą, jaką poświęcają jej stalkerzy, przesiadywała w głównej sali bunkra, doszło do bitki między Pełą i Szurkowskim, którzy posunęli się nieco zbyt daleko w umizgach do dzierlatki. Jurgen rozdzielił szybko zacierzewionych mężczyzn kilkoma silnymi ciosami wielkich jak bochny pieści, a Mysza przykładowo ukarał ich, wyznaczając nocną wartę na zewnątrz bunkra, w podziemnym garażu.

Agenor wściekły przeklinał pogodę, zabójczy świat na powierzchni, mieszkańców obiektu i własną głupotę.

– Bodaj was obu porwała czarna suka Hekate! – wysapał, kiedy winowajcy odmeldowywali się na karną wartę.

W godzinę później pożałował gorzko tego rzuconego nieopatrznie przekleństwa. Na dole nie było słyhać nic, ale w pewnej chwili rozległ się szaleńczy łomot w drzwi, a gdy je otwarto, jeden z wartowników wpadł na klatkę schodową przerażony, tocząc pianę z ust i szaleńczo wywracając oczami. Mysza spoliczkował go i ustawił do pionu.

– Co tu się wyrabia, chłopie, do cholery ciężkiej?! – wrzasnął. Tamten przewrócił oczami, aż błysnęły białka, i zacharczał coś niezrozumiale.

– Jeszcze raz! Tylko tym razem na spokojnie! – Zastępca dowódcy poprawił mu ciężką ręką w drugie ucho.

– Peła przepadł – wysapał przerażony Szurkowski.

– Jak to, kurwa, przepadł?! – wrzasnął Agenor, który w tym momencie dopadł zbiegowiska. – Melduj, człowieku, tylko składniej.

Dłuższą chwilę zajęło im uspokojenie mężczyzny i wydobyć od niego jakichś trzymających się kupy zeznań. Udało im się wreszcie ustalić, że wartownicy obchodzili garaż podziemny. Byli na dalszym

końcu, niedaleko wylotu korytarza, którym Psy zeszły pod ziemię z ruin biurowca. Przepytywany poczuł wtedy nagle zawroty głowy, wywrócił się, a potem, najprawdopodobniej, miał halucynacje – zobaczył bowiem, jak spod nawianych zwałów brudnego śniegu wyłania się srebrzysta ludzka postać. Peła również padł na ziemię, lecz poderał się po chwili, a jego ciałem zaczęły wstrząsać drgawki. Zapłasał, jakby zapadł na chorobę świętego Wita, a potem najpierw z jego oczu i nosa puściła się krew, po chwili zaś jego głowa eksplodowała. Tego było już za wiele – Szurkowski, nie czekając na rozwój wypadków, podał tyły.

Agenor wściekły chodził po korytarzu, czekając, aż nadejdzie inżynier, po którego niezwłocznie posłał. Kilku ludzi sprawdzało broń, gotując się do wyjścia na zewnątrz bunkra.

– Co tu się, do cholery ciężkiej, dzieje, panie Prosperski? – zapytał ostro, kiedy gospodarz wreszcie się pojawił. – Jakiego typu mutanty pan tutaj dotąd obserwował, o których nie raczył mi pan powiedzieć?

Inżynier obruszył się na tę sugestię zaniedbania i dłuższą chwilę nie chciał nic odpowiedzieć. W końcu, kiedy rozsierdzony dowódca Psów wyciągnął pistolet i jednoznacznym gestem wycelował w Prosperskiego, tamten postanowił zmienić nieco linię postępowania.

– Nazwałem go potworem z id.

Na moment zapadła cisza.

– Co to są za, kurwa, bajki rodem z Hollywood? – jako pierwszy nie wytrzymał Mysz.

– O co chodzi? – zapytał ktoś.

– Taki film był – wyjaśnił zastępca dowódcy. – O kosmosie. Polecieli na obcą planetę i tam coś ich zabijało. Potwór z ich własnych umysłów. Czy coś. Nie pamiętam, widziałem ten film, jak miałem z dziesięć lat...

Agenor zmełł w ustach przekleństwo. Chwycił inżyniera bezceremonialnie pod ramię i pociągnął do gabinetu.

– Wychodźcie na zewnątrz – krzyknął za siebie. – Napierdalać do wszystkiego, co się rusza, bez pytania! Przynieście mi głowę potwora!

Odpowiedziały mu trzaski przeładowywanej broni i okrzyk Jurgena, jak smagnięcie biczem.

– O co tu chodzi?! Co pan ukrywa, inżynierze?! – Stalker po-

pchnął mężczyznę na krzesło i zatrzasnął za nimi drzwi. – Czego mi pan nie powiedział o miejscowej faunie? Czy to jest przyczyna wyginięcia całej waszej społeczności?

– Pan się raczy uspokoić! – inżynier podniósł głos.

– Ja jestem diabło spokojny. – Agenor uderzył Prosperskiego wierzchem dłoni w twarz. – Siad!

Starszy z mężczyzn sflaczał i posłusznie opadł na krzesło.

– A teraz melduj, bo ja nie lubię niespodzianek!

Inżynier otarł krew z rozbitego nosa i zerkając spode łba, odezwał się cicho:

– Przyznaję, że trudno moje zachowanie uznać za tradycyjną polską gościnność, ale nie sądzi pan, że jak na gościa w moim domu, zachowuje się pan nieco niegodnie?

Drgnął nerwowo na widok ręki unoszącej się do kolejnego ciosu.

– Dobrze, dobrze, skoro pan nalega... – Zamyślił się na chwilę. – Nie wiem za bardzo, od czego zacząć, wie pan.

– Może dla odmiany od początku? – zasugerował Agenor.

– To było jakieś dwa lata temu. Mam na myśli pierwszy wypadek, rozumie pan. W pierwszej chwili nie zwróciliśmy na to uwagi, dopiero jak teraz o tym myślę, tak... W każdym razie jeden z naszych poszukiwaczy nie wrócił. Znaleźliśmy ciało na zewnątrz, niedaleko ruin. Żadnych śladów przemocy. No, w każdym razie nie był poturbowany, pobity, żadnych złamań. Wyglądał, jakby umarł na udar albo krwotok wewnątrzczaszkowy.

Urwał na moment, odchylając głowę i kciukiem ocierając krew krzepnącą na górnej wardze.

– Z upływem czasu zaczęło się to zdarzać częściej. Znajdowaliśmy trupy, zawsze podobne. Krew z uszu, nosa, oczu. Żadnych śladów szponów czy zębów, więc to nie była robota zwierząt. Potem zaczęliśmy obserwować pewną prawidłowość.

– Jaką? – zainteresował się Agenor.

– Trudno to jednoznacznie ująć. Widzi pan, stalkerze... – Prosperski pochylił się ku rozmówcy, spojrzał mu prosto w oczy świdrującym, nieprzyjemnym wzrokiem. – Wszystko wskazuje na to, że ginęli ludzie, którzy spowodowali jakiś konflikt. Kłótniwi piniacze, nastający na innych mieszkańców. Wprowadzający ferment agresorzy, ludzie siejący niezgodę. Czy rozumie pan, co chcę powiedzieć?

Stalker wzdrygnął się; w oczach inżyniera dostrzegł coś nieprzyjemnego, coś odpychającego.

– Chce pan zasugerować, że jakiś mutant dokonywał samosądu dla dobra społeczności?! – wybuchnął wreszcie. Nie wiedział, czy śmiać się z absurdalnego pomysłu, czy zacząć modlić do Argosa o ochronę.

– Nic nie sugeruję, drogi gościu. – Tamten odzyskał rezon. – Fakty są niepodważalne. Ktokolwiek powodował tu zamieszanie, po jakimś czasie przenosił się na tamten świat. Bez udziału mieszkańców bunkra.

Rozejrzał się po pomieszczeniu.

– W każdym razie bez ich czynnego, fizycznego udziału. Wygląda na to, że ta istota, czymkolwiek jest, wyczuwa emocje i myśli ludzi. Szczególnie te negatywne, skierowane przeciwko innym.

Agenor ze złością kopnął w biurko. Mebel stęknął.

– Czy wie pan coś więcej na jego temat?

– Niewiele. Jeden z naszych ludzi przezwał go Kalibanem.

– Kim?

– Czytuje pan coś czasem? Czytuje pan może Szekspira?

Agenor skinął głową, przypominając sobie.

– „Burza”, prawda?

Prosperski przytaknął.

– Owszem. Potwór nastający na prawowitego władcę.

– Nie, kurwa, to się kupy nie trzyma – zachnął się stalker. – Co mi pan tu będziesz pierdolił o teatrze, panie Prosperski! Jaki mutant miałby niby, co, żywić się emocjami ludzi? Co to są za pierdolety, nie uwierzę w te bzdury, choćby skały srały i dzień dobry mówiły.

– Panie Agenor – głos Prosperskiego był zimny, niepokojąco spokojny – skały zesrały się koncertowo dziewięć lat temu. A co do mutantą, to wystarczy, żeby był telepatą.

Wstał, dając swoją postawą do zrozumienia, że rozmowę uznał za skończoną.

– Telepata? – wściekł się nie na żarty Agenor. – Co to, do chuja pana, powieść fantastyczna jest? Co to są za brednie? To jest prawdziwy świat, a nie jakieś bajki rodem z Pana Samochodzika!

– Jak pan życzy – odparł chłodno inżynier, kładąc dłoń na kłamce. – Proszę wybaczyć, ale muszę zobaczyć, co u Alki. Wieczorny incydent z pana ordynusami oraz aktualna sytuacja z pewnością nie

wpłynęły dobrze na jej samopoczucie.

Otworzył drzwi i postawił krok.

– Liczę, że wyniosą się stąd panowie najszybciej, jak to możliwe. Nie są tu panowie mile widziani.

Po czym ruszył korytarzem, nie oglądając się na stalkera.

– Czarna suka Hekate niech mi będzie świadkiem, że gdy tylko ta śnieżycyca zelżeje, to stąd spierdalamy czym prędzej – szepnął Agenor, raczej do siebie, bo inżynier już go nie słuchał.



Aglomeracja warszawska, prawdopodobnie największy teren nadal zamieszkały przez ludzi, w czarnych latach, które nastąpiły po wojnie atomowej, jest prawdziwą krynicą legend i opowieści. W niektórych z nich miasto stołeczne przedstawiane jest jako bezpieczna przystań, schron dla wygnanych, przyjaciel otaczający opieką. W innych jest zabójczą ziemią, spaloną ruiną, która czyha na zbłąkanych wędrowców, czekając tylko, by ich dopaść i zabić. Warszawa, w której wskutek radiacji ożyły potwory z legend, klątwy i stare opowieści, jest panią cierpliwą, wszechpotężną i kapryśną. Ludzie przy ogniskach wprawdzie częściej przywołują imiona Madonny, Argosa, Tego, Który Nadejdzie, Frei i innych postaci, które zeszyły między wiernych, gdy nastąpił zmierzch starych bogów. Często jednak i równie trwożnie wspominają samą stolicę, jakby była surową matką, która wprawdzie swoje dzieci kocha, lecz nie szczędzi im razów. Są chwile, gdy zda się, że rzucone na kolana miasto tylko pozornie straciło siłę; że wciąż w żyłach kanałów sączy się czarna posoka, że ruiny posłuszne są niezbadanej woli, mutanty słuchają zewu krwi, który nocami dobiega z porzuconych ludzkich sadyb, wreszcie, że sama przyroda, zmutowana, skażona, spotworniała, słucha się miasta. Że aglomeracja rządzić potrafi nawet pogodą, jeśli tylko taki będzie miała kaprys.

O tym przebąkiwali także drużynnicy Agenora, uwięzieni w trzewiach przemysłowego bunkra pod przedwojenną siedzibą PSE w Bielawie, o kilka kilometrów na południe od dawnej siedziby królów i słoików, tuż na północnej granicy modnego niegdyś podwarszawskiego uzdrowiska. Szeptali między sobą, że czarna Hekate wściekła się i wyprosiła u matki Warszawy karę dla Psów, a ta zesłała na nich szalejącą trzeci dzień śnieżycę.

Nastroje były pod psem. Znalezione przez Jurgena ciało Peły wyglądało dokładnie tak, jak opisywał to Prosperki. Żeby nie szerzyć paniki, Agenor nie wtajemniczył w uzyskane od inżyniera wyjaśnienia nikogo prócz Myszy i Jurgena, ale Psy i tak pojęły w lot, że obrażenia, od jakich zginął ich kolega z oddziału, są czymś nieco innym niż zwykle rany kłusane, szarpane, klute czy postrzałowe. Nerwowa atmosfera gęstniała z każdą mijającą godziną. Szczególnie że, wbrew wyraźnemu zakazowi ojca i Agenora, córka inżyniera kręciła się między stalkerami i kilka razy doszło do przepychanek z powodu dzierlatki.

Przed południem następnego dnia Agenor wreszcie nie wytrzymał i zarządził ponowne wyjście na zewnątrz. Zamierzał sam poprowadzić patrol. Wybrał pięciu ludzi, w tym Szurkowskiego, który jako jedyny miał kontakt z przeciwnikiem, zostawiając resztę oddziału pod dowództwem Myszy. Zebrali broń palną od wszystkich tak, aby mieć maksymalną siłę ognia i nie polegać na łukach, które w sytuacjach nagłych nie zawsze były poręczne. Otwarli drzwi i wypuścili się do garażu podziemnego.

Wiatr wył i zawodził pod niskim stropem. W powietrzu unosił się ciemny pył. Od wylotu schodów ciągnęły się zakosy czarnego, skażonego śniegu. Para oddechów gęstniała wokół nich. Psy rozsypały się błyskawicznie w tyralierę. Każdy rozglądał się czujnie i nieco nerwowo. Nie wiedzieli, jak wygląda napastnik, który zabił Pełę, prócz tego, że sylwetką przypomina człowieka. Stąd każda kolumna, każda sterząca rura, każdy cień towarzysza tańczący po ścianach powodowały nerwowe poderwanie lufy. Przeszukali garaż i nie znaleźli niczego, po krótkiej wymianie zdań zdecydowali się wyjść na powierzchnię.

Na klatce schodowej wiatr zdawał się pędzić z szybkością huraganu. W wąskiej studni świstał i dudnił, miotając chmurami radioaktywnego śniegu, ograniczając widoczność do minimum. Kiedy jednak wydostali się już na powierzchnię, zostawiając schody za plecami, znaleźli się w osłoniętym od wichru miejscu, odgrodzonym fragmentem oberwanego stropu. Betonowa płyta pochylała się od sufitu do podłogi, wspierając o pękniętą kolumnę. Wyglądała jak obcięty nożem płat tektury falistej, ukazujący w przekroju swoją strukturę. Szurkowski, idący na szpicy, potknął się nagle. Błyskawicznie poderwali broń; lufy i oczy przeskakiwały od jednej sterty gruzu do dru-

giej, od kolumny do ściany, od wyrwanego pręta zbrojeniowego do śnieżnej zasy. Szurkowski jęknął i oczy mu uciekły.

Agenor rzucił się na ziemię i przeturlał, poderwał się na nogi i poczuł nagle niezwykłą lekkość, jakby odrywał się od ziemi. Rozpie-rała go duma. W końcu był stalkerem, dowódcą oddziału. Jednym z najlepszych stalkerów w Warszawie. O ile nie najlepszym. A jego oddział nie miał sobie równych nawet w szeregach tej ponurej armii, którą generał Grom stworzył w tunelach południowej odnogi metra warszawskiego. Poczul, że się wznosi. Był w końcu bohaterem. Spoj-rzał w dół, na świat rozciągający mu się u stóp. Mikre figurki stalke-rów, poślednich przy nim i niemal śmiesznych. Strzelali. Tak, Psy lu-biły się zabawić. Tak. Do czego oni tak pruli? Jakiś srebrzysty skur-wysyn, który stał pośrodku zasypanego czarnym śniegiem biurowego korytarza. Agenor parsknął śmiechem i coś prysnęło mu z ust. Pod-niósł dłoń, otarł wargi i spojrzal. Na rękawicy lśniła świeża krew. Po-czuł zawrót głowy i ból, kiedy runął na ziemię. W ostatniej chwili przechylił się, upadając na bark i tłukąc go boleśnie. Odszukał wzro-kiem wysoką, jakby posrebrzoną postać i pociągnął z pistoletu w jej kierunku. Kule zdawały się przechodzić przez mutanta, nie wyrządza-jąc mu żadnej krzywdy. Stalker uświadomił sobie, że to, co robią, nie ma sensu.

– Odwrót! – wrzasnął, rzucając się w kierunku klatki schodowej. Biegł, potykając się; obrócił się przez ramię i wystrzelił raz jeszcze w kierunku potwora, którego sylwetka wyglądała jak obwiedziona pło-nącą poświatą. Dwójka Psów biegła za nim. Zobaczył leżące w śniegu ciało. Pozostałych dwóch kompanów nie mógł nigdzie dostrzec. Po-czuł znów nieznośną lekkość, więc zaczął wykrzykiwać modlitwę do Argosa. Biegł dalej, wyrzaskując teraz słowa litanii do Madonny Tuneli, którą czcili od jakiegoś czasu stalkerzy z metra, chociaż na wzmianki o tej nowej boginie natykał się już w całym mieście. Widać pomogło, bo majak jakby ustąpił. Agenor wpadł na schody, potknął się i stoczył na półpiętro. Załomotały ciężkie buciory, ktoś chwycił go pod ramiona i powlókł na dół, do garażu.

Drzwi otwały się przed nimi błyskawicznie, gdy tylko załomo-tali. Agenor krzykiem powstrzymał tych, którzy chcieli wybiec na zewnątrz i walczyć. Rozkaz dowódcy osadził wszystkich w miejscu. Prócz niego i Jurgena wrócił z patrolu tylko jeden. Trzech pozosta-łych, w tym Szurkowski, podzieliło los Peły.



Siedzieli teraz jak na skrzynce granatów. Nadszedł umowny wieczór, markowany jedynie zegarami. Ludzie podziemia, odzwyczajeni od zmian natężenia światła w świecie, w którym nad głową ma się beton, a nie – i tak wiecznie zasnuwane chmurami – niebo, nie mieli problemu z rutyną. Wystawiono warty, reszta ułożyła się do czujnego snu. Dwóch stalkerów pilnowało wejścia, jeden był zawsze na nogach w głównej sali. Agenor co jakiś czas wybudzał się z drzemki i sprawdzał ludzi, czując rosnące napięcie. Miał wrażenie, że ciśnienie przygniata go coraz bardziej, zupełnie jakby strop schronu ponad ich głowami stopniowo, niezauważalnie się obniżał. Teraz bez zastrzeżeń wierzył już w „stalkerskie przeczucia” Spandowskiego. Gdy ten, wracając z łazienki, przywołał go ruchem ręki, dowódca zareagował natychmiast.

– Coś nie ten teges? – zapytał szeptem, starając się nie obudzić reszty.

Obrzucił salę wzrokiem. Prosperski i Alka byli w swoim pokoju, ale zorientował się, że brakuje jeszcze jednego człowieka.

– Widziałeś gdzieś tam Łuczaka? – zapytał.

Spandowski pokręcił głową przecząco.

– O co chodzi?

– Pewnie się będziesz śmiał, ale mam wrażenie, że nie jesteśmy tu sami. I nie chodzi o tego dziadka i jego gówniarę.

Agenor nie zastanawiał się długo. W ciągu kilkunastu sekund oddział był na nogach. Przejrzeli uzbrojenie – na powierzchni stracili dwa karabinki i pistolet, po które nie odważyli się wrócić. Mieli już tylko cztery sztuki broni palnej, resztę stanowiły łuki, krótkie oszczepy i różnoraka broń biała. Rozsypali się po pomieszczeniu, obstawiając drzwi do sąsiednich, sprawdzając przylegające pokoje. Dowódca sam poprowadził zwiad korytarzem do dalszej części kompleksu. Skradali się w półmroku awaryjnych świateł, ciemność rozświetlając własnymi latarkami czołowymi. W pewnym momencie nerwową ciszę rozdarł krzyk dziewczyny.

Psy rzuciły się naprzód, w kierunku, z którego rozległo się przeżalone wołanie. Na końcu korytarza znajdowała się sala generatorów, dobiegał stamtąd cichy, jednostajny szum pracujących maszyn. Kolejny wrzask rozdarł ciszę. Jurgen kopniakiem otworzył drzwi i wpadł do pomieszczenia. Zamarli. Na środku, między pracującymi generatorami kulila się na posadzce Alka, wydzierając się wniebogłosy. Na

pokrywie jednej z maszyn leżało rozciągnięte ciało. Agenor błyskawicznie rozpoznał Łuczaka. Stalker osunął się na podłogę, spadając z generatora. Błysnęły krwawo oczy i struga krwi chlusnęła na beton z nosa.

– Skurwysyny! – wycedził Jurgen przez zaciśnięte zęby i skoczył między generatory. Coś szybko przebiegło pod przeciwległą ścianą, po chwili krewki zastępca zatoczył się i potknął, w pół kroku obracając się wokół własnej osi. Z impetem uderzył o panel odbiornika energii i stęknął głośno z bólu. Ktoś wypalił w kierunku przeciwległego końca pomieszczenia i usłyszeli ostry, wysoki gwizd rykoszetu, a potem trzask łupanego betonu i brzęk blachy, gdy kula odbiła się od kolejnych obiektów. Agenor uświadomił sobie, że to on strzelał. A w zasadzie nie on, tylko jego mauzer wypalił sam z siebie. W końcu nie bez kozery nosił imię Solo – zdarzało mu się, że wystrzelił pierwszy, nie czekając na decyzję właściciela. Tak twierdził stary Azjata imieniem Han, który go Agenorowi sprzedał, a twierdzenie to okazało się niebezpieczne.

– Nie strzelać! – krzyknął dowódca, mając nadzieję, że Psy nie pójda za jego przykładem. Podbiegł do Jurgena, nerwowo mierząc z pistoletu do plam cienia, zalegających pomieszczenie. Chwycił tamtego pod ramię.

– Juuuzzzzz – wychrypiał Jurgen. – Kurwa, już, dobrze...

– Z tyłu! – krzyknął Myszka i pociągnął serią z karabinka. Kule zagrzechotały o zatraskujące się właśnie drzwi, dziurawiąc je na wyłot.

– Uciekł, kurwi syn jeden, brać go! – krzyknął.

– Stać! – wrzasnął Agenor. Rozkaz osadził w miejscu wszystkich. Dowódca dotknięciem palców sprawdził puls Łuczaka – dla niego było już za późno.

– Uciszcie ją. – Wskazał na szlochającą na posadzce dziewczynę. – Jeden z was ma z nią być cały czas. Reszta za mną, szukamy Prosperskiego. Pora dowiedzieć się, co ten stary cap ukrywa!



Minęła godzina, zanim przeszukali dokładnie cały bunkier. Siedzieli teraz w głównej hali, schowani częściowo za czymś, co musiało dawniej być jakiegoś rodzaju panelem sterowniczym. Z oddziału,

który wymaszerował z Okęcia, została raptem połowa, a sytuacja powoli stawała się nieznośna. Agenor ze wściekłości miał ochotę gryźć. Chociaż przeszukali cały bunkier dwukrotnie, nie udało im się znaleźć inżyniera. Wyglądało na to, że gospodarz albo zapadł się pod ziemię, albo uciekł na zewnątrz. Jednak szybki wypad na teren podziemnego garażu nie pozwolił na potwierdzenie tego faktu.

– Jeszcze raz. – Agenor chodził w kółko, jak wilk biegający po klatce w zoo. Tak się właśnie czuł. Pamiętał, jak będąc dzieckiem, przyglądał się wilkom w zoo na Pradze. Niby silne, potężne i dzikie, ale w niewoli wydawały się umniejszone, jakieś takie skurczone, skarłałe. Dwa leżały, mierząc przetaczających się za kratami ludzi niechętnymi spojrzeniami, jeden zaś niestrudzenie biegał wokół wybiegu – łeb spuszczone, ogon nisko, błyszczące ślepią rzucały ukradkowe, badawcze spojrzenia. Teraz Agenor był takim wilkiem. Wilkiem w klatce. – Powtórzcie, kto co sprawdził – zażądał.

Posłusznie wymieniali pomieszczenia, które kontrolowali.

– A gabinet Prosperkiego? – olśniło nagle Agenora.

– Myślałem, że ty – bąknął Mysza.

– Ja nie. Kto z was tam był? – Odpowiedziała mu cisza. – Kurwa, no! Żaden z nas się tam nie napatoczył? Co to, kurwa, czary jakieś?

– Archiwum X. Telepatia – dobiegł go cichy głos Spandowskiego.

– Kurwa, ja ci... – zaczął dowódca i urwał nagle. Tak, to miało sens. Nie wiedział, czy to możliwe, ale przez ostatnią dekadę nauczył się, że wiara, wiedza i inne pojęcia sprzed wojny bywają bardzo płynne w świecie, gdzie sama natura sprzysięgła się przeciw ludziom. Psy błyskawicznie pojęły wyraz twarzy dowódcy.

Otoczyli drzwi do gabinetu półkolem. Każdy z nich przez ostatnią godzinę przechodził tędy co najmniej raz, ale żaden nie zwrócił na nie uwagi. Zupełnie jakby dotąd nie istniały...

– Wchodzimy – zdecydował Agenor. Szarpnięciem otworzył drzwi i wparował do środka, unosząc rękę z pistoletem. Zamarł. Poczł znajomy zawrót głowy i pociemniało mu przed oczami. Za plecami usłyszał krzyki i strzały i padł na twarz.

Przytomność odzyskał po chwili. Leżał na plecach na podłodze, nad nim pochylał się Mysza, klepiąc go po twarzy.

– Uciekł, gad srebrzysty – poinformował. Agenor uniósł się,

chwyając krawędzi biurka. Potem ciężko dźwignął się na nogi. Szumiało mu w głowie, a przed oczami przelatowały purpurowe mroczki.

– Co tu się... – zaczął pytanie, potem usłyszał cichy jęk. Obrócił się. Na kanapie obok leżał inżynier Prosperski. Krew ciekła mu z nosa i uszu, oczy miał półprzymknięte.

– Panie Agenor? – wyszeptał sinymi wargami.

– Jestem. Chyba należą mi się jakieś wyjaśnienia wreszcie, nie uważa pan, inżynierze? – cierpko odparł stalker.

– Tak... Proszę wybaczyć. Sam pan rozumie, mam córkę. Alka... – Zakasłał. – Wie pan, ona miała ledwie osiem lat, kiedy rozpętało się to piekło. Musiałem ją chronić. Z początku dawaliśmy sobie radę, ale mijały lata. W dodatku ona dorastała, a ja zaczynałem tracić kontrolę. Tak... Pan ma dzieci? Nie? Nie zrozumie pan tego. – Pokręcił głową i jęknął. Agenor obejrzał się nerwowo na Myszę.

– Jurgen i reszta poszli za tamtym – poinformował zastępcę.

– Cholera! – wymamrotał Agenor. – Niech pan nabierze wartości, panie Prosperski. Co to za istota?

– Mutant... Telepata... Tak jak mówiłem... – odpowiedzi przychodziły mu z trudem. – Spotkałem go w ruinach... dwa lata temu. Nazwałem go Telperi... To znaczy srebrzysty w mowie...

– I użył pan do zabicia wszystkich mieszkańców schronu?! – stalker przerwał mu bezceremonialnie.

– Teraz to nie...ważne... Chciałem... próbowałem powstrzymać... – Oczy inżyniera uciekły w głąb czaszki, błyskając białkami. – Chronić... Alkę...

Strużka krwi pociekła mu z ust, wsiąkając w kołnierzyk koszuli. Stalkerzy, nie czekając, wybiegli z gabinetu. W głównej sali jeden z Psów pilnował Alki. Gestem głowy wskazał na korytarz, prowadzący do wyjścia.

Usłyszeli wściekły krzyk Jurgena. Agenor zobaczył, jak potężny stalker rozgląda się, a potem jednym szarpnięciem zrywa z tablicy przeciwpożarowej drzwiczki. Z wnętrza wyciągnął ogromny, dwuręczny topór strażacki. Otworzył drzwi i zniknął na klatce schodowej.

– Debilu, stój! – wrzasnął za nim dowódca, zrywając się do biegu. Roztrącił drużynników i susami pokonywał schody, pnąc się w ślad za zastępcą. Wypadł na teren garażu zdyszany, przed oczami wciąż jeszcze robiło mu się ciemno. Zamarł. W padającym od drzwi wąłym świetle zobaczył Jurgena. Wyglądał jak nowożytny Ares,

przygłupi osiłek, dla którego bijatyki i wojna są jedyną rozrywką. Stał w rozkroku, w rękach ściskając mocno topór strażacki. Odchylił głowę i wydał z siebie nieartykułowany ryk, który odbił się echem pod niskim stropem.

Coś poruszyło się w cieniach i z mroku wynurzyła się srebrzysta sylwetka. Sporo wyższa od człowieka, była też szczuplejsza. Mutant podchodził powoli, obracając nagą głowę w kierunku człowieka. Skórę miał bladą, połyskującą, jakby była wilgotna. Chwilami jego sylwetka rozmazywała się jak unoszący się w gorącym powietrzu miazg. Skradał się jak zwierzę, lecz w ruchach i postawie miał coś niepokojąco ludzkiego. Jurgen warknął i zatoczył się, postąpił krok naprzód.

Agenor złożył się do strzału, mierząc w głowę mutanta. Strzelił. Stwór obrócił się w jego stronę i stalker zobaczył, że nie ma oczu. Ich miejsce na nagiej, błyszczącej czaszce zajmowały jedynie dwie ciemniejsze plamy, pod którymi otwierała się szczelina szerokich ust, pozbawionych warg. Postać mutanta zamigotała i jego obraz jakby przesunął się w fазie, materializując się kilkanaście centymetrów w bok. Agenor złożył się ponownie do strzału i tym razem wypalił prosto w korpus potwora. Obraz rozmazał się i zmaterializował, znów o kilka centymetrów w bok. Teraz jednak na piersi mutanta wykwitła plama szkarłatu. Jednocześnie Agenor poczuł potworny, przytłaczający ból, promieniujący ze wszystkich tkanek. Zrobiło się ciemno, jakby stracił na moment wzrok. Poleciał na podłogę. Z tyłu, od klatki schodowej, usłyszał okrzyk bólu i pojedyncze strzały.

Upadł na kolana i uniósł głowę. Wzrok mu się wyostrzał, chociaż stalker nadal był zamroczony. Zobaczył, jak Jurgen dźwiga się ciężko, niczym poważnie ranny. Chwiejąc, zbliżał się do potwora. Rozległ się kolejny strzał i mutantem szarpnęło, a struga krwi chlusnęła na posadzkę z przestrzelonego ramienia. Jurgen jakby odzyskał siły, postąpił naprzód i uniósł monstrialny topór nad głowę. Zamierzył się i opuścił go z całą mocą, pracując masywnymi ramionami jak młotami parowymi.



Wszyscy obecni w garażu poczuli potworny ból, rodzaj psychicznego krzyku, obezwładniającego i odbierającego wszelkie siły. Mutant, z rozłupaną czaszką, osuwał się powoli, niczym drzewo. Pochylił się w kierunku Jurgena, ale stalker szarpnął i wyrwał topór z głowy potwora. Potem zamachnął się obuchem i roztrzaskał niehumanoidalny

łeb. Krew i mózg opryskały osiłka. Agenor jęknął, dźwigając się z klęczek. Wszyscy obecni patrzyli jak urzeczeni, kiedy ciało mutanta padało na betonową posadzkę. Psychiczny krzyk w ich mózgach cichł, gasły echa bólu, który potwór wyemitował.

– Dobrze – powiedział Jurgen, podchodząc do Agenora i podając mu rękę.

– Tak, ładnie go załatwiłeś – przyznał dowódca, spluwając na ziemię wzbierającą żółcią.

– Nie, ta zabawka dobra. – Stalker podrzucił lekko w powietrze topór, jakby to była faktycznie zabawka. – Maczetę połamałem na tamtych sześciorekich gnojach, ale to sobie wezmę, będzie lepsze...

– Weź, Jurgen, weź – skinął głową Agenor. – Pasuje ci jak ulał.

– Ale mnie, kurwa, telepie – przyznał po chwili zastępcą dowódcy. – Twardy był, sukinsyn, telep jeden. – Aż się wzdrygnął.

Agenor podszedł do reszty oddziału, otaczającej zejście na klatkę schodową. Jeden ze stalkerów leżał z odchylną głową, krew ciekła mu po twarzy, ale pierś unosiła się równomiernie, chociaż nieco zbyt szybko.

– Spadamy stąd. Wystarczy tych przygód. Wy dwaj – palcem wskazał na drużynników – zorientujcie się, jak pogoda na zewnątrz. Jakbyście przy okazji znaleźli pukawki, które zgubiliśmy poprzednio, to byłoby dobrze. Reszta na dół, zwijamy obóz.



– No dobra – Agenor obejrzał się przez ramię na dziewczynę – nie wiem zupełnie, mała, co z tobą zrobić. Chyba będziesz musiała nadążać w marszu, bo my tu mamy robotę do zrobienia.

Nie czekając na jej odpowiedź, obrócił się znów twarzą na południe i ruszył szybkim krokiem, pokonując zaspę i zmierzając wzdłuż linii wystających spod czarnego śniegu latarń w kierunku, w którym znajdowały się zabudowania Klarysewa.

– No co jest?! – ostro krzyknął Mysza. – Dajemy, stąd do Jeziorny to już raptem ze dwa kilometry zostały. – Poprawił taśmy plecaka i ruszył za dowódcą. Za nimi, biorąc dziewczynę pomiędzy siebie, rozciągnęła się linia Psów, wydeptując w świeżych, osypujących się zaspach szlak. Stawkę zamykał Jurgen z ogromniastym toporem strażackim, wiszącym na plecach dzięki parcianym pasom wyprutym

z ostatniego znalezionego na terenie biurowca samochodu. Szli na południe; czekało na nich wciąż zadanie do wykonania.

Dowódca obrócił się, przystanął na moment. Westchnął ciężko pod maską. Będą musieli tu wrócić po załatwieniu roboty. W końcu w podziemiach zostały jeszcze trzy kartony piwa. Bogactwo, za które nie tylko w metrze czy na Okęciu można dostać fortunę.

Koniec

*Konstancin-Jeziorna,  
październik 2015 – marzec 2016*



## **Dodatek A**

Chronologia wydarzeń w trylogii warszawskiej

CZERWIEC 2010 – CZERWIEC 2015 – wątek porucznika,  
K7215[9]  
2015

CZERWIEC – Prolog, K7215; Prolog, SNŚ[10]; Prolog,  
DŚ[11]; Kapral Nowicki, SNŚ; Kapitan Raczekiewicz, SNŚ; Grona  
gniewu, DŚ; LIPIEC – W ciemność, SNŚ; Koniec dni, SNŚ; King  
Bruce Lee Karate Mistrz, DŚ; Porucznik z P-1138, DŚ  
2017

WRZESIEŃ – Bliźnięta ze Śródmieścia, DŚ  
2019

STYCZEŃ – Tak mówi prawo, SNŚ  
MAJ – Stosunki sąsiedzkie, SNŚ  
2020

CZERWIEC – W lesie, DŚ  
SIERPIEŃ – I tak warto żyć, K7215  
2021

SIERPIEŃ – W stronę Krzyża, SNŚ  
2022

GRUDZIEŃ – Natomiast pies, DŚ  
2023

STYCZEŃ – Zarzewie wojny, SNŚ  
LUTY – Pierwsza krew, SNŚ; Układ sił, SNŚ; MARZEC – Im-  
perator kontratakuje, SNŚ; Pani Światłowłosa, SNŚ; Drugi brzeg,  
SNŚ; Bitwa o Pragę, SNŚ; Opada kurz, SNŚ; Chłopiec z Pałacu, DŚ  
2027

PAŹDZIERNIK – Epilog, SNŚ

2030

CZERWIEC – Wymarsz, DŚ

2036

KWIECIEŃ – Dziady z lasu, K7215; Zasłużone wakacje, K7215

MAJ – Dziewczyna z Kryształowego, DŚ

CZERWIEC – Wojna ze Słoikami, K7215; Krwawa jatka, DŚ;  
Niewolnik, K7215; Pamięć Dziadka, K7215; Pierwszy mutant, K7215

LIPIEC – Dom, K7215; Ostatnia posługa, K7215; W drogę, na  
północ!, K7215; Umowa, K7215; Biała Rzesza, K7215; Grzechy oj-  
ców, K7215; Nekropolia, K7215; Kompleks 7215, K7215; NA-  
TO-Wschód P-1138, K7215; Powierzchnia, DŚ

SIERPIEŃ – Skarpa wiślana, DŚ; Pojednanie, SNŚ; Twierdza,  
DŚ

WRZESIEŃ – Cisza przed burzą, SNŚ; Kurierzy z północy,  
SNŚ; Święty Krzyż, DŚ; Słodowiec, DŚ; Plac, Politechnika, Pole, DŚ;

PAŹDZIERNIK – Pole Mokotowskie, DŚ

GRUDZIEŃ – Korytarz, DŚ

2037

CZERWIEC – Epilog, DŚ

9 „Kompleks 7215”, pierwsza część trylogii Bartka Biedrzy-  
ckiego.

10 „Stacja Nowy Świat”, druga część trylogii.

11 „Dworzec Śródmieście”, trzecia część trylogii.

## Indeksy

### Osoby

BORKA – właściwie Borys Dobrowolski, dowódca stalkerskiego oddziału Szturmowców z Kryształowego Pałacu DRZAZGA – dowódca stalkerów-partyzantów ze stacji Marymont

EMILIA – nauczycielka z Kryształowego Pałacu, żona Borki, która czekała na ukochanego przez wiele lat GENERAL GROM – właściwie kapitan w stanie spoczynku Radek Raczkiewicz; twórca i przywódca Sojuszu Twierdza GENERAL KULIKOWSKI, WIKTOR – dowódca tajnej natowskiej bazy w sieci NATO-Wschód P-1138

GLORIA DOBROWOLSKA – matka Borki

LODOŁAMACZ – dowódca stalkerów ze stacji Młociny

MARCIN PODLEWSKI – zwany też King Bruce Lee, kioskarz z dworca PKP Śródmieście

MAJOR MOTOKO – właściwie Milena Tupadło, liderka matriarchalnej społeczności wojowniczek zwanych Walkiriami PORUCZNIK DOBROWOLSKI, WIKTOR – inżynier z tajnego natowskiego kompleksu P-1138, ojciec Borki PORUCZNIK KROPOP – dowódca ochrony stacji Stare Bielany

STRAŻAK, GOLEM, MIŚ, URWIŁAPKA – stalkerzy z oddziału Szturmowców

ZARA I HANOI – siostra i brat, bliźniaki, pochodzące z Ursusa sieroty z Dworca Śródmieście, awanturnicy i stalkerzy Sojusze i organizacje

BIAŁA SIŁA – brunatna bojówka zajmująca stację Słodowiec

KRYSTAŁOWY PAŁAC – sojusz obejmujący stacje Pole Mokotowskie i Politechnika, społeczność składająca się z inżynierów i specjalistów, dbająca o zachowanie zbiorów Biblioteki Narodowej P-1138 – tajna podziemna baza operacyjna w sieci NATO-Wschód, zbudowana pod ruinami dawnego peerelowskiego Kompleksu 7215

PODZIEMNA REPUBLIKA LUDOWA – społeczność komunistów, kryjąca się w schronach pod Pałacem Kultury SZTURMOWCY – dowodzony przez Borkę oddział stalkerów z sojuszu Kryształowy Pałac SŁOIKI – mieszkańcy dwóch podziemnych dworców w centrum Warszawy; określenie to było stosowane przez ludzi spoza społeczności, sami siebie mieszkańcy Warszawy Centralnej nazywali

Dworzanami, mieszkańców Warszawy Śródmieście zaś określali mianem Bracia Mniejsi; mieszkańcy Śródmieścia między sobą określali tych z Centralnej mianem Słoików ŚWIĘTY KRZYŻ – pierwotnie pokojowa społeczność religijna, która po wojnie z Imperium zyskała szerokie wpływy, przekształcając się w silnie zhierarchizowaną strukturę władzy opartą o kult Krzyża i opanowując stacje sąsiadujące ze skrzyżowaniem linii metra THUOC DIA – izolacjonistyczna kolonia Wietnamczyków na stacji Raławicka, utrzymująca się z handlu i korzystająca z tranzytowego położenia między Twierdzą a Kryształowym Pałacem TWIERDZA – sojusz skupiający stacje od Kabat do Wierzbna; jedyny odcinek w warszawskim metrze przystosowany faktycznie do roli schronu przeciwoatomowego, utrzymujący regularną armię – Siły Zbrojne Sojuszu Twierdza WALKIRIE – owiany legendą żeński oddział stalkerski i społeczność, stacjonująca w niewiadomym miejscu, dowodzona przez major Tupadło Stwory

BALROG – humanoidalny potwór o niezwykłej sile, zdolny do kontrolowanego samozapłonu LUPIN – pochodzący od psa mutant, występujący często na Polach Mokotowskich i w Lasach Chojnowskich MUŁOCIĄG – przypominający minoga mutant zamieszkujący zaszlamione tunele szlakowe TELEP – mutant o silnych zdolnościach telepatycznych, mogący powodować u ludzi utratę kontroli, halucynacje, zaburzenia psychiczne, ostatecznie utratę przytomności ZEGAROWY – latający mutant gnieźdzący się na najwyższych piętrach Pałacu Kultury i Nauki Bóstwa

MADONNA TUNELI – zwana Światłowłosą lub Jasną Panią, opiekunka stalkerów

TEN, KTÓRY NADEJDZIE – bóg Świętego Krzyża, surowy i sprawiedliwy, który plugawych oddzieli od prawych, aby jednych potępić, a drugich zbawić

## Od autora

Z prawdziwą przyjemnością oddaję w ręce czytelnika ostatnią partię klocków, tworzącą układankę, którą nazywam sam dla siebie „trylogią warszawską”. Trzecia książka, w założeniu finalna, spina wszystkie dotąd rozpoczęte wątki, domyka losy wielu postaci i wyjaśnia wiele niedomówień, które w poprzednich częściach się pojawiły. Jest, w zasadzie, kluczem sklepienia dla tego tunelu.

Kiedy siadałem do pisania tej książki, wszystko – no, prawie wszystko – było już wymyślone. Tak naprawdę o historii dziewczyny ocalałej z pogromu na Dworcu Śródmieście myślałem już dawno, jeszcze zanim siadłem do pisania „Stacji Nowy Świat”. Był to jeden z tych pomysłów, które mogły stać się drugą książką w tej trylogii. Wtedy też, zupełnie niezależnie, wymyśliłem postacie bliźniąt, Hannoiego i Zary, oraz niesławne pytanie z rozdziału „Natomiast pies”, wraz z całą jego linią fabularną. Było jednak za wcześnie na dopisanie dalszych losów Borki i te pomysły, zapisane w chmurze, czekały na swój moment. I stało się dobrze, bo bez prequela nic nie wyglądałoby w tej książce tak, jak wygląda. Musiała swoje losy przeżyć Emilia, musiał Dobrowolski napisać kartkę do syna, pozostawioną w szatniowej szafce, musiały się pojawić Walkirie, wyjaśnić sprawa Białej Rzeszy i w końcu musiałem pokazać walkę z balrogiem, o którą wiele osób pytało, zawiedzionych tak pobieżnym potraktowaniem tematu.

Wiem, że czytelnicy czekali na dalsze losy rudobrodego stalkera, i sądzę, że przynajmniej w pewnym stopniu „Dworzec Śródmieście” te oczekiwania spełnił. Jednak postacie literackie mają to do siebie, że lubią same kierować własnym losem, że każda z nich chciałaby „jeszcze chwilę pożyć”. Tak samo stało się w Warszawie po III wojnie światowej, nazywanej Zagładą. Musiałem dać im szansę. Nie tylko dlatego, że ich polubiłem – w końcu to moje dzieci. Także dlatego, że ich losy splotły się ze sobą mocno, bardzo mocno, miejscami wręcz zbyt mocno, żeby można było napisać o jednym, a pominąć innych. Borka, chociaż był główną postacią tej trylogii, nie był samotną wysepą. Jego życie i czyny wpłynęły na wiele innych losów. W ten sposób, jak wątek pod osnową, pozwolił mi stworzyć pełny obraz.

Teraz Borka i jego towarzysze, i bliscy żegnają już spaloną, wymarłą Warszawę. Nikt nie będzie za nimi tęsknił, bo to duże miasto i pełno w nim jeszcze ludzi, co udowodniła Dominika Węclawek w

„Upadłej świątyni”. Ale z Warszawy w podróż życia wyrusza tylko Borka z najbliższymi. Na przestrzeni tych dwudziestu dwóch lat przecież splatały się w polskiej stolicy losy wielu innych postaci. Oni wszyscy dostaną swoje opowieści, swoje własne przygody, swoje historie. Może nie tak długie i zawile jak losy rudobrodego, ale nie mniej ciekawe. Czekają, żebym je opisał. Agenor i jego Psy czają się już za rogiem, przeklinając czarną sukę Hekate i próbując znaleźć chwilowy azyl w podwarszawskim bunkrze przemysłowym. A za nimi drepcze gdzieś Dynks, Napoleon i wielu innych...

A przecież Warszawa to tylko jedno duże miasto. Postapokaliptyczna aglomeracja to tylko jedno z miejsc, gdzie przetrwali ludzie. Słyszałem, że ktoś mieszka w Białymstoku, że ocaleni trwają w Szczecinie, podnoszą z gruzów świat w Łodzi, Krakowie i Trójmieście. Nie tylko ja wymyślam ich losy. Czy to możliwe, że gdzieś na trasie ci ludzie się kiedyś spotkają? Sądzę, że tak. W końcu to wielki kraj. A jego naród jest strasznie zawzięty. Nawet wojna atomowa nie będzie przeszkodą, jeżeli się na coś uprą.

Do zobaczenia w kolejnych książkach, rozgrywających się w świecie „Kompleksu 7215”. Liczę na was jako na czytelników. I autorów tych historii.

## Podziękowania

Nieustające moje uwielbienie dla Ali, która zasypiała do stukotu klawiatury, a potem budziła się, żeby czytać szczotki.

Dla Anety, która wytłumaczyła mi, na czym polega derby na wrotkach, dla Ewy, która sprawdzała mój zardzewiały rosyjski, oraz dla bywalców Weryfikatorium, zawsze służących cennymi radami i własną wiedzą w zakresie wojskowości i wyposażenia. Dla Pawła, który wpadł w szal pisania; Radka, który klaskał; Krzyśka, Kosmy i Dominiki, którzy nie mieli kłopotu z opiniowaniem fragmentów; a także dla Olgi, która jest mistrzynią betowania.

Dla Lidki, co nauczyła mnie czytać, Krzyśka, który dawał mi swoje stare książki, i dla Grażyny, która uczyła mnie pisać.

Na koniec dla nie mniej ważnej najmłodszej dwójki, czyli rodzeństwa Zuzy i Bruna, którym musiałem te książki dziadka wieczorami czytać, zamiast spędzać czas na pisaniu, a którzy zawsze sprawdzają w księgarniach, czy już wykupiono wszystkie moje publikacje. Mam nadzieję, że nigdy, przenigdy los chociażby trochę podobny do losu Zary i Hanoięgo nie stanie się ich udziałem.

A także specjalne podziękowania dla wszystkich ludzi, którzy pisali muzykę i teksty, towarzyszące mi przy tej przygodzie, oraz wszystkich razem i każdego z osobna fana i fanki z sieci i z życia, z którymi miałem okazję spotkać się, wymienić uwagi i podzielić opiniami przy monitorze, kawie i piwie w całej Polsce i poza jej granicami.

Gdyby nie wy wszyscy, nigdy nie napisałbym tej książki.

W powieści wykorzystano utwory:

Fragment tłumaczenia „Lamentacji” podano za Biblią Tysiąclecia, Wydawnictwo Pallottinum, wyd. IV.

Fragmenty utworu „I See Fire” Eda Sheerana w tłumaczeniu własnym autora.

Fragment utworu „Porządek panuje w Warszawie” zespołu Pizama Porno.

Fragmenty różnych utworów grupy Kino z tłumaczeniami autora.

Fragmenty różnych utworów z płyty „Franek Kimono” autorstwa Andrzeja Korzyńskiego.

Fragmenty utworu „When the Man Comes Around” Johnny’ego Casha w interpretacji własnej autora.

Fragment utworu „Wróg” Koszki Saszki z tłumaczeniem Ewy Białołęckiej.

Wszelkie postaci przedstawione w tej książce są fikcyjne, a wydarzenia nigdy nie miały miejsca.







**Krzysztof Haladyn**

**Na skraju strefy, tom 1**  
**Na skraju strefy, tom 2**  
(w przygotowaniu)

Wojskowa kompania karna na skraju Strefy to nie miejsce dla mięczaków. Ale sprawy naprawdę się komplikują, kiedy znajdujesz lejtnanta z przestrzeloną głową na biurku i pistoletem w ręce. Sierżant Petrenka musi wypić szklanekę wódki, zanim zrozumie, że wdepnął w niezłe gównno. Sam jeszcze nie wie, w jakie.

Ucieczka w Zonę w rocznicę wybuchu Reaktora to nie jest najlepszy pomysł, ale jeśli kumple do ciebie strzelają, właściwie nie masz wyjścia. Prawdziwa historia ze świata S.T.A.L.K.E.R.a, jakiej nie powstydziliby się najlepsi autorzy. Anomalie, bandy mutantów, zaginiony pociąg i pełna wyznawców Cerkiew w środku Zony to tylko początek tej opowieści. Karabin w dłoń, granat do kieszeni i w drogę.

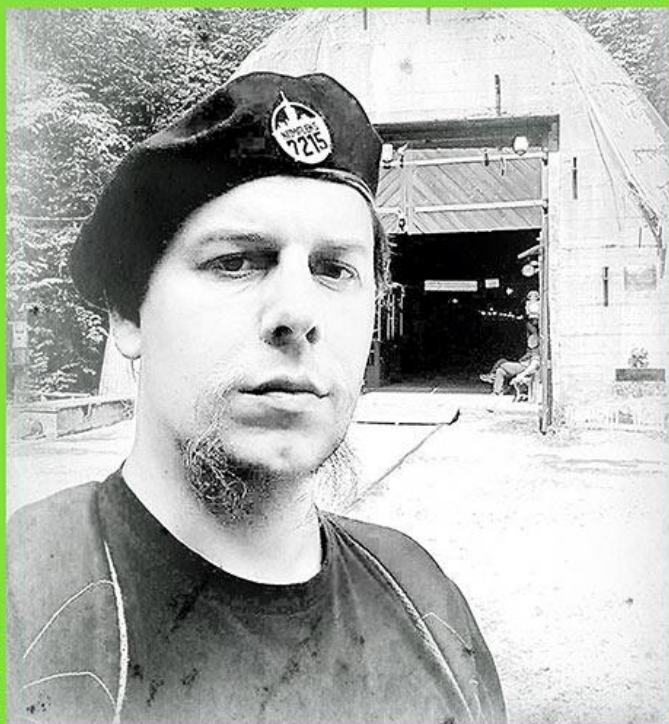


**Paweł Kornew**  
**Lodowa Cytadela**  
**Tam gdzie ciepło**  
**Sopel (w przygotowaniu)**  
**Śliski (w przygotowaniu)**

W świat Przygranicza trafiasz przypadkiem. Z woli losu. Wsiadasz z wagonu, by na postoju napić się piwa. Chwilę potem nie ma ani stacji, ani pociągu, ani torów, ani dworcowej knajpy, z której właśnie wyszedłeś. Tylko mróz, śnieg, zamieć. I konieczność toczenia ciągłych walk. Z ludźmi i innymi bestiami.

Światem Przygranicza rządzi zasada „wszyscy przeciwko wszystkim”.

Srebro i artefakty warte są tu nieporównanie więcej niż ludzkie życie. Miłosierdzie czy przyjaźń to tylko puste słowa. Co drugi jest bandytą. Sroga zima zaczyna się już w sierpniu. Zamarza serce. Czasem palec, i to – niestety – zanim pociągniesz za spust.



Fot. ze zbiorów autora

## **BARTEK BIEDRZYCKI**

Pod wieloma względami jest reliktem. Urodził się w latach 70., ale ludowa rzeczywistość, do której wychowywano go w latach 80., nigdy nie nadeszła. Grał w gry na ośmiobitowym atari, a klocki lego znał głównie z Pewexu.

Był nauczycielem i żołnierzem, pracował w nocnych klubach i telewizji, w końcu rzucił wszystko i poszedł robić do prywatnej korporacji.

Fantastykę poznał dzięki przygodom pilota Pirxa, ale zaczytywał się także w wielotomowych sagach fantasy. Zanim zaczął publikować książki, pisał i wydawał komiksy, zajmował się publicystyką oraz nagrał kilkaset audycji mówionych.

Lubi mięso, robienie zdjęć i rozbiórki mostów drogowych.

# DWORZEC ŚRÓDMIEŚCIE

**Warszawa po Zagładzie.** Ludzie żyją na podziemnych dworcach, w piwnicach, w zapomnianych przejściach. Śmieją się i płaczą, kochają i nienawidzą, czekają, nie wiedząc na co, szukają, rzadko wiedząc czego. **Żyją i umierają.** Ale czasem, kiedy śmierć jest zbyt gwałtowna, krucha równowaga i prowizoryczna umowa społeczna zostają naruszone.

Czy po **wojnie atomowej** nie ma już dobrych ludzi? Czy każdy człowiek, nawet ten z pozoru najlepszy, ma w sobie **utajonego zbrodniarza**, który za godziwą zapłatę zrobi wszystko? Ile wart jest w takim świecie życie – brata, męża, syna...

Napisana z wielkim rozmachem kulinacja przygód rudobrodego stalkera Borki z Kryształowego Pałacu, pokazująca życie **Warszawy** poza systemem stołecznego metra od chwili **Zagłady**, aż po czasy najnowsze. Klucz do zrozumienia wydarzeń trylogii warszawskiej, odkrywający **wszystkie tajemnice** i misterną siatkę powiązań między pozornie nieznanymi bohaterami.



FABRYCZNAZONA.PL



Polub nas na  
**facebooku**



Wyłączny  
dystrybutor



